

CHARLES STROSS

SZKLANY DOM

Przełożył Wojciech M. Próchniewicz

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2011



Tytuł oryginału: *Glasshouse*
Copyright © 2006 by Charles Stross

Redakcja:
Joanna Figlewska

Korekta:
Elwira Wszyńska

Ilustracja na okładce:
Irek Konior

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228134743
e-mail: kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Warszawa 2011
Wydanie I

ISBN 978-83-7480-202-4

Kenowi MacLeodowi

Spis treści:

1. Pojedynek	8
2. Eksperyment.....	23
3. Nuklearność.....	37
4. Zakupy.....	50
5. Kościół	65
6. Miecz.....	79
7. Dno	90
8. Kwestia dzieci	101
9. Tajemnica	114
10. Stan faktyczny	128
11. Pogrzebani.....	147
12. Torebka.....	161
13. Wspinaczka	178
14. Szpital.....	188
15. Rekonwalescencja	201
16. Suspens.....	216
17. Misja.....	228
18. Połączenia.....	241
19. Bramka długodystansowa	253
Epilog	267

Podziękowania

Podziękowania należą się: Jamesowi Nicollowi, Robertowi „Nojay” Sneddonowi, Cory’emu Doctorowowi, Andrew J. Wilsonowi, Caitlin Blasdell, Davidowi Clementsowi, Seanowi Ericowi Faganowi, Farah Mendlesohn, Kenowi MacLeodowi, Juliet McKenna i wszystkim tym, co zawsze.

– Aparat ten – powiedział i ujął rękojeść korby, na której się oparł – jest wynalazkiem naszego poprzedniego komendanta. (...) Czy słyszał pan o nim? Nie? A więc nie przesadzę, jeśli powiem, że urządzenie całej kolonii karnej jest jego dziełem. My, jego przyjaciele, wiedzieliśmy już w chwili jego śmierci, że urządzenie kolonii jest dziełem na tyle skończonym w sobie, że jego następcą, choćby miał w głowie tysiąc nowych planów, nie będzie mógł – przynajmniej w ciągu wielu lat – zmienić nic ze starego. (...) Szkoda, że nie znał pan poprzedniego komendanta!

Kolonia karna, Franz Kafka
(tłum. Juliusz Kydryński)

Kto dziś pamięta o Ormianach?

Adolf Hitler, 1939

Ustroje pochodzące od Republiki Byt nie używają dni, tygodni ani innych ziemskich miar kalendarzowych, chyba że w kontekście historycznym lub archeologicznym; jako podstawową jednostkę czasu zachowano jednak klasyczną sekundę. Oto podręczny przelicznik:

1 sekunda – sekunda, czas, w jakim światło przebywa 299 792 458 metrów w próżni.

1 kilosekunda – w archaicznych jednostkach 16 minut.

100 kilosekund (1 doba) – w archaicznych jednostkach 1 dzień i 3 godziny.

1 megasekunda (1 cykl) – 10 dób. W archaicznych jednostkach 11 dni i 6 godzin.

300 megasekund (1 m-rok) – 300 dób. W archaicznych jednostkach 337 ziemskich dni (11 miesięcy).

1 gigasekunda – w archaicznych jednostkach około 31 ziemskich lat.

1 terasekunda – w archaicznych jednostkach około 31 tys. ziemskich lat (połowa wieku ludzkiego gatunku).

1 petasekunda – w archaicznych jednostkach około 31 mln ziemskich lat (połowa czasu od końca epoki kredowej).

1. Pojedynek

Ciemnoskóra ludzka kobieta z czterema rękami idzie do mnie przez parkiet klubu. Ma na sobie tylko pas z ludzkich czaszek. Włosy tworzą dymny wieniec wokół otwartej i pełnej ciekawości twarzy. Jest mną zainteresowana.

– Jesteś tu nowy, prawda? – pyta, przystając przy moim stoliku.

Gapię się na nią. Jeśli nie liczyć eleganckich przegubów dodatkowych stawów barkowych, ciało, które nosi, jest z grubsza orto: naśladuje tradycyjną konstrukcję ludzkiego ciała. Czaszki to miniaturki, nawleczone na łańcuszek przepleciony drutem kolczastym i różami.

– Tak, jestem nowy – odpowiadam. Obrączka warunkowa łaskocze mnie w palec wskazujący lewej dłoni – takie drobne przypomnienie. – Mam obowiązek cię ostrzec, że przechodzę reindeksację i rehabilitację tożsamości. Ja... ludzie w takim stanie... mogą być skłonni do wybuchów przemocy. Spokojnie, to tylko regulaminowe ostrzeżenie: nic ci nie zrobię. A dlaczego pytasz?

Wzrusza ramionami. Zamaszysty, rozfalowany gest, kończący się kołysaniem bioder.

– Bo jeszcze cię tu nie widziałam, a od dwudziestu czy trzydziestu dób przychodzę tu prawie codziennie. Pomagając komuś, możesz zarobić dodatkowe punkty do rehabilitacji. Obrączką warunkową się nie przejmuj, tu większość ludzi je nosi. Sama jeszcze niedawno musiałam tak wszystkich ostrzegać.

Udaje mi się zmusić do uśmiechu. Kumpela z oddziału? Trochę dalej w programie?

– Napijesz się czegoś? – pytam, wskazując krzesło obok. – I jak się nazywasz, jeśli mogę zapytać?

– Kay. – Wysuwa krzesło i siada, zarzucając ogromną szopę włosów za ramię i dwiema rękami upychając czaszki pod stołem. Jednocześnie zerka na menu. – Poproszę mrożoną podwójną mokrę z wrzutą, mało koki. – Znów na mnie patrzy, prosto w oczy. – Klinika tak to ustawia, żeby cały czas jakiś wolontariusz witał tu nowych. Tym razem ja jestem na popołudnie. A ty powiesz mi, jak się nazywasz? I skąd jesteś?

– Jeśli chcesz. – Obrączka łaskocze. Przypominam sobie, że mam się uśmiechnąć. – Jestem Robin i masz rację, świeżo wyszedłem ze zbiornika. Szczerze mówiąc, tylko mega

temu. (Nieco ponad dziesięć planetarnych dni, milion sekund). – Pochodzę z... – na parę sekund wchodzę w przyśpiech, próbuję wymyślić, jaką historię jej sprzedać, i dochodzę do wniosku, że coś zbliżonego do prawdy – ...mniej więcej tej okolicy. Jestem świeżo po wycinaniu pamięci. Trochę traciłem świeżość i musiałem coś zrobić z tym czymś, co mi świeżość odbierało.

Kay się uśmiecha. Ma ostro zarysowane kości policzkowe, jasne zęby obramowane pięknymi wargami; ma symetrię dwustronną, trzy miliardy lat ewolucyjnych heurystyk i genów homeotycznych generujących twarz, która jest własnym lustrzanym odbiciem... „A ta myśl skąd się wzięła?” – pytam w złości sam siebie. Trudna sprawa, nie móc odróżnić własnych myśli od pooperacyjnej protezy tożsamości.

– Człowiekiem jestem od niedawna – przyznaje. – Niedawno przeniosłam się tutaj ze Zjemi. – Po chwili dodaje cicho: – Na operację.

Majstruję przy frędzlach zwisających z głowicy mojego miecza. Coś z nimi jest nie tak i strasznie mnie to denerwuje.

– Mieszkałaś u lodowych ghuli? – pytam.

– Niezupełnie... byłam lodowym ghulem.

Otwieram szeroko oczy – chyba nigdy nie spotkałem prawdziwego, żywego obcego, choćby byłego.

– I byłaś nim... Jak to się nazywa...? Od urodzenia czy wyemigrowałaś tam na jakiś czas?

– To dwa pytania. – Unosi palec. – Dwa za dwa, zgoda?

– Zgoda. – Bez podpowiadania pamiętam, by kiwnąć głową, i obrączka raczy mnie odrobiną ciepła. Prymitywne warunkowanie: nagradzać zachowania sugerujące rekonwalescencję, karać te, które wzmacniają pooperacyjną fugę. Nie podoba mi się to, ale mówili, że to niezbędny element procesu.

– Wyemigrowałam na Zjemię od razu po poprzednim zrzucie pamięci. – Coś w jej minie mocno sugeruje, że robi unik. Co pomija? Nieudany biznes, osobistych wrogów? – Chciałam poznać społeczeństwo lodowych ghuli od środka. – Stolik wypuszcza jej koktajl, Kay kontrolnie upija łyk. – Bo są takie dziwne. – Przez moment ma rzewną minę. – Ale po jednym pokoleniu zrobiło mi się... smutno. – Kolejny łyk. – Rozumiesz, żeby je badać, mieszkałam między nimi. Jak z kimś mieszkasz przez całe gigasekundy, to mimo woli się przywiązujesz, chyba że pójdziesz w totalny postten i zupgrade’ujesz sobie... no. Zaprzyjaźniłam się z paroma, patrzyłam jak się starzeją i umierają, aż w końcu nie mogłam już tego znieść. Musiałam wrócić i wykasować... to odczucie. Ten ból.

Gigasekundy? Jedna to trzydzieści planetarnych lat. Sporo czasu, jak na mieszkanie wśród obcych. Ona przygląda mi się uważnie.

– To musiała być bardzo precyzyjna operacja – mówię powoli. – Bo ja prawie nic nie pamiętam z poprzedniego życia.

– Ale byłeś człowiekiem – podsuwa.

– Tak. – Zdecydowanie tak. Jakieś strzępy pamięci mi zostały: błysk mieczy w zaułku w wieczornej poświacie, w strefie zremilitaryzowanej. Krew w fontannach. – Byłem naukowcem. Należałem do kadry profesorskiej. – Rząd osłoniętych firewallami bramek assemblerowych, ustawionych za groźnym pancernym posterunkiem kontroli celnej między ustrojami. Wpychanie krzyczących, błagających cywili w ich ciemne wejście... – Uczyłem historii. – To przynajmniej jest – było – prawdą. – Teraz wydaje się takie nudne i odległe. – Krótki rozbłysk broni energetycznej, potem cisza. – Wpadałem w rutynę i chyba trzeba mi było jakiegoś odświeżenia.

To jest niemal stuprocentowym kłamstwem. Nie zgłosiłem się na ochotnika, ktoś złożył mi propozycję nie do odrzucenia. Za dużo wiedziałem. Mogłem albo zgodzić się na operację pamięci, albo następna śmierć byłaby moją ostatnią. Przynajmniej tak napisałem sam do siebie w liście na martwym papierze, który czekał na mnie przy łóżku, kiedy obudziłem się w ośrodku rehabilitacji, zaraz po napiciu się wody z Lete, dostarczonej prosto do mózgu przez roboty wielkości cząsteczek kierowane przez szpitalnych chirurgów-sповідników. Szczerzę zęby, domykając półprawdy wierutnym kłamstwem.

– Dlatego zrobiłem sobie poważną przebudowę i teraz nie pamiętam, dlaczego.

– I czujesz się jak nowy człowiek – mówi ona ze słabym uśmiechem.

– Tak. – Zerkam na jej dolne dłonie. Nie mogę nie zauważyć, że bawią się nerwowo palcami. – Ale zostałem przy tym konserwatywnym planie ciała. – Jestem bowiem bardzo konserwatywnie zbudowany. – Mężczyzna średniego wzrostu, ciemne oczy, czarna szczecina zaczynająca pojawiać się na czaszce... całkiem jak nie zrekonstruowany Euroazjata z epoki przedkosmicznej, ze skórzanym kiltem i konopnymi sandałami do kompletu. – Mam bardzo mocne wyobrażenie samego siebie i tak naprawdę nie miałem zamiaru się go pozbyć. Wiązało się z nim zbyt wiele skojarzeń. Nawiasem mówiąc, ładne masz te czaszki.

Kay się uśmiecha.

– Dzięki. A propos, jeszcze raz dzięki, że nie zapytałeś.

– O co?

– Standardowo: czemu wyglądasz jak ta, wiesz...

Po raz pierwszy biorę do ręki szklankę i upijam łyk przeraźliwie zimnego błękitnego płynu.

– Przeżyłaś tyle czasu, co cała ludzka prehistoria, pod postacią lodowego ghula, a ludzie ci dogryzają, bo masz za dużo rąk? – Kręcę głową. – Pomyślałem, że masz jakiś powód i tyle.

W obronnym geście krzyżuje obie pary rąk.

– Czułabym się jak oszustka, wyglądając jak... – Zerka gdzieś poza mnie. W barze jest jeszcze trochę gości, parę bishojo* i paru cyborgów, ale większość nosi ortohumanoidalne ciała. Kay patrzy na kobietę z długimi blond włosami po jednej stronie głowy i krótką

* Bishojo (jap.) – piękna, młoda dziewczyna, przedstawiona szczególnie w sposób typowy dla mangi i anime (przyp. tłum.).

szczecina po drugiej, ubraną w zwiewną białą draperię i z pasem z mieczem. Kobieta rży głośno w reakcji na słowa jednego z towarzyszy – to berserkerzy czyhający na graczy. – Jak ona, na przykład.

– Ale byłeś kiedyś ortosem?

– W środku ciągle jestem.

Wydało się: pokazując się publicznie, nosi ksenohumanoidalne przebranie, bo jest nieśmiała. Zerkam na tamtą grupkę i przypadkiem nawiązuję kontakt wzrokowy z blondynką. Patrzy na mnie, sztywnieje, potem znacząco odwraca się plecami.

– Od dawno jest tu ten bar? – pytam, a uszy mi płoną. Jak ona śmie mi to robić?

– Jakies trzy mega. – Kay pokazuje głową grupę ortosów przy barze. – Lepiej nie zwracać na nich za bardzo uwagi, to dueliści.

– Ja też. – Kiwam głową. – Działa na mnie terapeutycznie.

Krzywi się.

– Ja nie gram. To brudne. I nie lubię bólu.

– Ale ja też – mówię powoli. – To nie o to chodzi.

Chodzi o to, że jeśli człowiek nie pamięta, kim jest, to często wpada we wściekłość i najpierw chce się na czymś wyżyć, a sformalizowany, opisany regułami kontekst pojedynku gwarantuje, że nie oberwie nikt więcej.

– Gdzie mieszkasz? – pyta.

– Jeszcze w... – uświadamiam sobie, że błyskawicznie zmieniła temat – ...klinice. Rozumiesz, wszystko co miałem... – upłyniłem i uciekłem... – ...nie lubię mieć dużo bagażu. Na razie nie wymyśliłem, kim chcę zostać w tym nowym życiu, więc nie widzę sensu w targaniu mnóstwa bagażu.

– Jeszcze jednego? – pyta Kay. – Ja stawiam.

– Poproszę.

W głowie dźwięczy mi ostrzegawczy dzwonek, gdy wyczuwam, że do naszego stolika zmierza Blondyna. Udaję, że nie zauważyłem, ale w żołądku czuję znajome ciepło i dobrze znane napięcie pleców. Kontrolę przejmują przedwieczne odruchy i niejeden nowoczesny kod do gry: niepostrzeżenie luzuję miecz w pochwie. Chyba wiem, czego chce Blondyna, i z przyjemnością jej to dam. Nie ona jedna tutaj ma skłonność do częstych wybuchów morderczej wściekłości, która nieprędko wygasa. Terapeuta powiedział, żeby to zaakceptować i dawać temu upust, za zgodą towarzystwa. W swoim czasie się uspokoim. Dlatego noszę broń.

Poza tym, drażnią mnie nie tylko skutki resekcji pamięci. Oprócz niej, postanowiłem zresetować sobie wiek. Jednakże, kiedy ma się na nowo dwadzieścia lat, pojawia się nowa dynamika burzy hormonalnej – i każe mi bez końca chodzić w kółko po pokoju, stawać w białym sześcianie kubiku sanitarnego i wbijać sobie ostrza w wewnętrzną stronę przedramion, by z ciekawością obserwować, jak leje się jaskrawoczerwona krew. Seks zaś nabiera

obsesyjnej ważności, o której już niemal zapomniałem. Popęd do seksu i przemocy jest osobiście trudny do zwalczania, gdy budzisz się wycieńczony, pusty, niezdolny przypomnieć sobie, kim kiedyś byłeś, ale za drugim czy trzecim cyklem rejuwenacyjnym jest to o wiele mniej zabawne.

– Wiesz, nie odwracaj się, ale powinnaś wiedzieć, że ktoś zaraz...

Zanim zdążę dokończyć zdanie, Blondyna nachyla się nad ramieniem Kay i pluje mi w twarz.

– Żądam satysfakcji. – Głos ma jak diamentowe wiertło.

– Za co? – pytam beznamiętnie, a serce wali mi młotem. Ocieram policzek, czuję jak narasta złość, ale siłą woli utrzymuję ją pod kontrolą.

– Bo istniejesz.

Niektóre porehabilitacyjne przypadki, będące jeszcze w fazie psychopatyczno-dysocjacyjnej, jeszcze splatające pourywane wątki własnej osobowości i pamięci w nową tożsamość, mają taki właśnie szczególny wyraz twarzy. Bezsensowny gniew na cały świat, egzystencjalna nienawiść – często skierowana na poprzednią, kompletną własną jaźń za to, że umieściła ich w takim świecie, nagich i pozbawionych wspomnień – generują tylko sobie właściwą dynamikę. Dzika, rozszerzająca źrenice nienawiść i idealne umięśnienie zoptymalizowanego fenotypu do spółki powodują, że Blondyna onieśmiela swoją niemal pierwotną dzikością. A jednak ma dość samokontroli, by rzucić wyzwanie, nim zaatakuje.

Kay, nieśmiała i o wiele bardziej zaawansowana w rehabilitacji niż którekolwiek z nas dwojga, kuli się w fotelu, gdy Blondyna wbija we mnie wzrok. I to mnie dopiero denerwuje – Blondynie nie wolno straszyć postronnych osób. Może zresztą nie jestem aż tak opanowany jak mi się wydaje.

– W takim razie... – wstaję powoli, ani na moment nie przerywając kontaktu wzrokowego – ...może przejdziemy się z tym do strefy zremilitaryzowanej? Do pierwszej śmierci?

– Jasne – syczy.

Zerkam na Kay.

– Miło się z tobą rozmawia. Zamówisz mi jeszcze jednego? Zaraz wrócę. – Czuję jej wzrok na plecach, gdy idę za Blondyną ku bramce do Strefy. Która jest tuż za barem.

Blondyna przystaje na progu.

– Pan pierwszy – mówi.

– *Au contraire*. Rzucający wyzwanie idzie pierwszy.

Znowu łypie na mnie groźnie, ewidentnie wściekła, potem wchodzi w bramkę T, migoce i znika. Ocieram prawą dłoń o skórzany kilt, chwytam głownię miecza, dobywam go i wskakuję w łączący dwa punkty tunel czasoprzestrzenny.

Kodeks honorowy nakazuje, by rzucający wyzwanie odszedł od bramki na przyzwoite dziesięć kroków, ale Blondyna nie jest w dobrym nastroju, więc bardzo dobrze, że jestem gotowy sparować zaraz po wyjściu, bo ona już czeka, gotowa natychmiast wbić mi miecz w

brzuch.

Jest szybka, bezwzględna i kompletnie niezainteresowana przestrzeganiem reguł – to dobrze, bo moja własna egzystencjalna złość ma wreszcie upust i twarz. Złość zżerająca mnie od czasu operacji, nienawiść do wojennych zbrodniarzy, którzy mnie do tego zmusili, poddali osobę, którą byłem, masowemu kasowaniu pamięci – nie pamiętam nawet, jakiej byłem płci i ile miałem wzrostu – ma wreszcie punkt skupienia; twarz Blondyny na drugim końcu jej krążącego miecza lśni skupieniem i lustrzanym odbiciem mojej furii.

Ta część strefy zremilitaryzowanej jest zaaranżowana na zniszczone miasto ze starej Zjemi – postnuklearna betonowa pustynia ruin i dziwna pnąca roślinność obrastająca pomniki zdobywców oraz wypalone wraki samochodów na kołach. Moglibyśmy być tu sami, porzuceni na planecie niezamieszkaną przez inne istoty rozumne. Sami, by przepracować swój żal i furję, kiedy powoli ustępuje kooperacyjna fuga.

Blondyna stara się przyspieszyć sprawę, a ja wycofuję się ostrożnie, próbując wypatrzeć jakąś słabość w jej atakach. Woli cięcia od pchnięć i prawą stronę od lewej, ale nie widzę żadnego słabego punktu.

– Pośpiesz się i zdychaj! – warczy.

– Pani pierwsza. – Markuję atak i próbuję wytrącić ją z równowagi, krążąc wokół niej. Obok bramki, przez którą weszliśmy, stoi zawalony kikut wysokiego budynku otoczony wyższymi od człowieka stertami gruzu. (Lampka pozycyjna bramki miga czerwono, sygnalizując brak przejścia, dopóki któreś z nas nie zginie). Gruz nasuwa mi pewien pomysł, więc znów markuję, potem robię krok w tył i się odsłaniam.

Blondyna to wykorzystuje i ledwo udaje mi się ją zablokować, bo jest szybka. Ale cwana nie jest, a już na pewno nie spodziewała się noża w mojej lewej ręce – wcześniej przyklejonego taśmą do uda – i kiedy próbuje się przed nim bronić, odsłania się, a ja wbijam miecz w jej brzuch.

Upuszcza broń i pada na kolana. Siadam ciężko, prawie padam, naprzeciwko niej. O rany. Kiedy ona zdążyła trafić mnie w nogę? Może nie powinienem tak całkowicie ufać własnym odruchom.

– To jak? Koniec? – pytam. Nagle robi mi się słabo.

– Ja... – Kiedy ściska dłońmi kosz mojego miecza, ma osobliwą minę. – Eee... – Próbuje przełknąć ślinę. – Kto?

– Jestem Robin – mówię beztrosko, patrząc na nią.

Chyba nigdy nie widziałem, jak ktoś ginie z mieczem wbitym we flaki. Jest dużo krwi i naprawdę obrzydliwy zapach poprzecinanych kiszek. Myślałem, że będzie widać się i krzyczeć, ale może ma jakiś wyłącznik układu vegetatywnego. Ja w każdym razie jestem zajęty ściskaniem własnej nogi. Krew przecieka mi między palcami. Wspólnota bólu i cierpienia.

– A ty...?

– Gwyn. – Przetyka. Żar nienawiści gaśnie, ukazując coś z tyłu – zdziwienie?

– Kiedy się ostatni raz backupowałaś?

Mruży oczy.

– Echch. Godzinę. Temu.

– No dobra. Mam to skończyć?

Chwilę trwa, zanim spogląda mi w oczy. Kiwa głową.

– Kiedy? Ty?

Przechylam się, krzywiąc usta, i podnoszę jej miecz.

– Kiedy ja się backupowałem? To znaczy, od czasu operacji pamięci?

Kiwa głową, a może się wzdryga. Unoszę ostrze i marszczę czoło, mierząc w jej szyję; zużywa to całą moją energię.

– Dobre pytanie...

Przecinam jej gardło. Krew tryska na wszystkie strony.

– Nigdy.

Kuśtykam do wyjścia – bramki A – i każę jej odbudować nogę przed powrotem do baru. Bramka wyłącza mnie i subiektywną chwilę później budzę się w kabinie w toalecie na tyłach knajpy, a ciało mam jak nowe. Przez jakąś minutę gapię się w lustro, czując się pusty, ale osobliwie pogodzony z samym sobą. Może niedługo będę gotów na backup? Napinam prawą nogę. Asembler przyzwocił ją skanonikalizował i skorygowany miesiąc działa jak trzeba. Postanawiam unikać Gwyn, przynajmniej dopóki nie przejdzie jej ta bezsensowna zapalczliwość, co pewnie trochę potrwa, jeśli będzie wyzywać na pojedynki lepszych od siebie. Potem wracam do stolika.

Kay jeszcze jest, co dziwne. Spodziewałem się, że już poszła. (Bramki A są szybkie, lecz i tak rozbitcie ludzkiego ciała i poskładanie go na nowo trwa minimum tysiąc sekund – to masa bitów i atomów do przeżonglowania).

Opadam na fotel. Faktycznie kupiła mi kolejnego drinka.

– Przepraszam za to – mówię machinalnie.

– Przyzwyczaisz się. – To brzmi filozoficznie. – Lepiej się czujesz?

– Wiesz, ja... – Nie kończę. Przez moment jestem z powrotem na tej zapyłonej betonowej pustyni, z nogą płonąącą bólem i czystą nienawiścią napędzającą cios mieczem w szyję Gwyn.

– Przeszło – mówię. Gapię się na szklankę, a potem chwytam ją i jednym haustem wypijam połowę.

– Co przeszło? – Obserwuje mnie. – Jeśli tylko masz ochotę o tym mówić – dodaje pośpiesznie.

Teraz uświadamiam sobie, że jest przestraszona, ale i przejęta. Moja obrączka warunkowa cały czas pulsuje ciepłem.

– Mam – odpowiadam i uśmiecham się, zapewne ze zmęczeniem. Odstawiam szklankę. – Zdaje się, że ciągle jestem w fazie dysocjacyjnej. Zanim wyszedłem na miasto dziś wieczorem, siedziałem sam w pokoju i rysowałem sobie skalpelem śliczne kreski na rękach.

Zastanawiałem się, czy nie poderżnąć sobie żył i nie skończyć z tym wszystkim. Zły byłem. Sam na siebie. Ale to przeszło.

– To się zdarza. A co się zmieniło?

Marszczę czoło. Wiedza, że to częsty efekt reintegracji, niewiele mi pomaga.

– Zachowałem się jak kretyn. Jak tylko wrócę do domu, muszę zrobić backup.

– Backup? – Kay wytrzeszcza oczy. – Cały wieczór łazisz sobie z mieczem i opaską duelisty i nie masz backupu? – Jej głos podnosi się do pisku. – Co ty chcesz sobie zrobić?

– Świadomość, że masz backup, cię stępią. Zresztą, byłem wściekły sam na siebie. – Zerkając na nią, przestaję marszczyć czoło. – Ale nie da się być takim wściekłym w nieskończoność.

A konkretniej, to nagle zaczęła potwornie, dojmująco przerażać mnie perspektywa odkrycia, kim jestem lub kim byłem. I co to ma znaczyć, że nagle zacząłem odczuwać emocje innych ludzi, zaraz po tym, gdy przebiłem kogoś mieczem? W mrokach średniowiecza byłaby to tragedia, ale nawet tutaj śmierć to nie jest coś, co ludzie traktują beztrzesko. Przez jedną straszną chwilę czuję chęć wybiegnięcia na miasto, znalezienia Gwyn i przeproszenia jej – tylko że to nonsens, ona nie będzie nic pamiętać, będzie w tym samym stanie umysłu co przedtem. Zapewne wyzwalałyby mnie na kolejny pojedynek i dzięki swojej niezmiętej, bezsensownej furii, przerobiła na hamburger.

– Chyba powoli zbieram się do kupy – mówię. – Znasz tu jakieś miejsce, gdzie jest bezpieczniej? No wiesz, żeby nie zwracać na siebie uwagi tych berserkerów?

– Hm. – Patrzy na mnie krytycznie. – Jeśli pozbędziesz się miecza i opaski, to nie będziesz się specjalnie rzucać w oczy na jakimś skwerze w rejonie dla pacjentów w drugiej fazie. To parę kroków stąd. Znam miejsce, gdzie dają naprawdę dobry stek z kangura. Jesteś głodny?

Po pojedynku nabrałem apetytu na jedzenie, tracąc go jednocześnie na przemoc. Kay zabiera mnie na śliczną niskograwitacyjną piazzę z diamentowego włókna, obsadzoną sekwojami bonsai, gdzie staroświeckie parowe roboty pieką na węglowych grillach soczyste szynki. Gadamy sobie i jest dla mnie jasne, że niezmiernie ją intryguje, że na jej oczach ustępują mi emocjonalne skutki operacji pamięci. Próbuję wydobyć z niej szczegóły życia wśród lodowych ghuli, ona przepytuje mnie z akademii szermierczych Niewidzialnej Republiki. Ma zakręcone poczucie humoru, a pod koniec posiłku sugeruje, że zna tu jakąś imprezę, gdzie można zażyć na trochę rozrywki.

Impreza okazuje się dość luzacką orgią o zmiennym składzie, w jednym z mieszkań dla pacjentów dochodzących. Kiedy przychodzimy, jest tam tylko jakieś sześć osób, większość z nich leży na wielkim, okrągłym łożu, podaje sobie fajkę wodną i delikatnie masturbuje się nawzajem. Kay opiera mnie o ścianę tuż obok wejścia, całuje i trzema rękami robi coś elektryzującego z moim krocem i jądrami. Potem znika w łazience, by użyć asemblera. Ja czekam i dyszę. Gdy wraca, ledwo ją poznaję – włosy nabrały niebieskiego koloru, brakuje

dwóch rąk, a skóra jest barwy kawy z mlekiem. Idzie prosto do mnie, znów mnie całuje i poznaje ją po smaku ust. Niosę ją na łóżko i po pierwszym szybkim numerku dołączamy do kręgu z fajką – nabitą opium i lotnymi inhibitorami fosfodiesterazy – potem badamy nawzajem własne ciała i ciała sąsiadów, aż w końcu zachciewa nam się spać.

Leżę tuż obok niej, prawie twarzą w twarz, gdy szepcze:

– Fajnie było.

– Fajnie – powtarzam. – Trzeba mi było... – Obraz mi się rozmazuje. – Za długo.

– Ja przychodzę tu regularnie – odpowiada. – A ty?

– Ja nie miałem...

– Co?

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się pieprzyłem.

Kładzie mi jedną dłoń między udami.

– Naprawdę?

– No, nie pamiętam. – Marszczę czoło. – Chyba to zapomniałem.

– Zapomniałeś, naprawdę? – Wygląda na zaskoczoną. – Może miałeś nieudany związek albo coś w tym stylu? Może dlatego poszedłeś na operację?

– Nie, ja... – Urywam, zanim wyniknie mi się coś jeszcze. Gdyby o to chodziło, list od mojej poprzedniej osobowości wspomniałby o tym, tego akurat jestem pewien. – To po prostu znikło. Chyba normalnie tak się nie dzieje, prawda?

– Nie. – Przytula się do mnie i gładzi mnie po karku.

Czuję zdziwienie, gdy znów zaczynam twardnieć pod jej dotykiem, po czym zaczynam wodzić palcami po brzegach jej sutków, a jej oddech staje się urywany. To pewnie te środki, myślę; niemożliwe, żebym bez jakichś zewnętrznych wpływów był podniecony przez tyle czasu, prawda?

– Świetnie byś się nadawał do eksperymentu Yourdona.

– Do Your-czego?

Naciska moją pierś, a ja posłusznie przewracam się na plecy, żeby mnie dosiadła. Wokół łóżka leży pełno zabawek, pomiaukujących, dopraszających się, by z nich skorzystać, ona jednak chyba woli styl tradycyjny, naga skóra przy nagiej skórze, zapewne widzi w tym coś w rodzaju powrotu do naturalnego człowieczeństwa. Mam świszczący oddech, kiedy łapię ją za pośladki i przyciągam do siebie.

– Do takiego eksperymentu. Szuka ciężkich przypadków amnezji i oferuje nagrodę tym, co je znajdą. Później ci powiem.

Przestajemy mówić, bo mowa po prostu przeszkadza w komunikacji. Tu i teraz, Kay jest wszystkim, czego pragnę.

Po wszystkim wracam do domu alejami wyściełanymi miękką, żywą trawą, zakorzenioną w bryłach zielonego marmuru wyciętego z litosfery planety odległej o setki terakilosów. Jestem sam z własnymi myślami, netlink wyciszony poza mapą trasy obiecującej mi

pięciokilometrowy spacer omijający wszystkich innych ludzi. Choć zabrałem miecz, nie mam ochoty na to, żeby ktoś rzucał mi wyzwania. Potrzebuję czasu do namysłu – kiedy wrócę do domu, będzie czekał na mnie mój terapeuta, a zanim zacznę z nim gadać, muszę sam dojść ze sobą do ładu, sam wiedzieć, kim jestem.

Oto jestem, żywy i przytomny – kimkolwiek jestem. Jestem Robin, prawda? Mam kupę mętnych wspomnień, śladów po płukaniu pamięci, rozmazujących moje poprzednie życie w impresjonistyczną mgiełkę. Zaraz po obudzeniu musiałem sprawdzić własny wiek. Okazało się, że liczę sobie prawie siedem miliardów sekund, choć mam stabilność emocjonalną młodzieńca liczącego sobie jedną dziesiątą tego. Kiedyś ludzie starzeli się już po dwóch gigasekundach. Jak to możliwe, że jestem taki stary, a czuję się taki młody i niedoświadczony?

W moim życiu zieją wielkie i tajemnicze dziury. Na pewno musiałem już kiedyś uprawiać seks, choć nic nie pamiętam. Na pewno się biłem – odruchy i wbite w podświadomość umiejętności szybko rozprawiły się z Gwyn – nie pamiętam jednak, żebym trenował albo zabijał, chyba że w tajemniczych przeblyskach, które równie dobrze mogą być resztkami wspomnień z jakichś programów rozrywkowych. List od poprzedniego ja mówił, że byłem naukowcem, wojskowym historykiem specjalizującym się w maniach religijnych, uśpionych sektach oraz samoistnych wiekach ciemnych. Jeśli tak jest, nie pamiętam z tego nic a nic. Może siedzi to gdzieś głęboko i w razie potrzeby wypłynie – a może przypadło na dobre. Stopień resekcji pamięci, jakiego zażyczyło sobie moje poprzednie ja, musiał być niebezpiecznie bliski całkowitemu kasowaniu.

Co zatem zostało?

Całe foyer mojego kartezyjańskiego teatru jest zawałone rozbitymi odłamkami wspomnień, które tylko czyhają, żebym się pośliznął i pokaleczył. Mam ortohumanoidalne męskie ciało, ortodoksyjny produkt doboru naturalnego. Jego forma pasuje mi dość naturalnie, choć mam wrażenie, że był czas, gdy siedziałem w czymś znacznie dziwniejszym – z jakiegoś powodu przychodzi mi na myśl, że byłem czołgiem. (Albo też przyswoiłem sobie o jeden wojenny przygodowy wirt za dużo, a on uczeplił się mnie i przetrwał, choć przypadły ważniejsze wspomnienia). To poczucie nieograniczonej rozszerzalności, zimnej, kontrolowanej przemocy... tak, może i byłem czołgiem. Jeśli tak, pewnego razu pilnowałem krytycznej bramki sieciowej. Ruch między ustrojami, tak jak i wewnątrz ustroju, przechodzi przez bramki T, tunele czasoprzestrzenne łączące dwa odległe punkty. Bramki T nie są filtrowane – wszystko może przez nie przejść. O ile w granicach ustroju to żaden problem, sprawa robi się poważna, gdy broni się sieciowej granicy przed atakiem innych ustrojów. Stąd firewall. Moje zadanie, jako strażnika granicy, polegało na pilnowaniu, by przyjeżdżający podróżni łądownali prosto w bramce A – baterii asemblerów, które ich dezasemblowały, wczytywały, analizowały pod kątem zagrożeń, a potem szeregowo przesyłały ich dane do drugiej bramki A wewnątrz strefy zdemilitaryzowanej, gdzie byli asembloowani. Normalnie ludzi puszcza się

przez bramkę A tylko do skanu celnego albo serializacji w celu przesłania przez tunel czasoprzestrzenny, który jest dedykowany do transmisji danych, lecz wtedy byliśmy w stanie wojny i kontrolowano wszystkich bez wyjątku.

Wojny? Tak. To była końcówka wojen cenzorskich. W którymś momencie musiałem się zainfekować, bo nie pamiętam, o co chodziło, ale zdecydowanie pilnowałem jakiejś transgranicznej – długodystansowej – bramki T dla któregoś z państw odpryskowych, powstałych na gruzach Republiki Byt, gdy jej asemblery zakaziły się redakcyjnymi robakami.

A potem, coś sobie niewyraźnie przypominam... tak! Swego czasu byłem jednym z Kotów Linebargera*. Albo pracowałem dla nich. Ale wtedy nie byłem czołgiem. Byłem czymś innym.

Wychodzę z bramki T na końcu zatęchłego korytarza biegnącego przez kamienne serce ruin katedry. Po obu stronach w czarne niebo strzelają potężne filary, po ażurowych drewnianych przegrodach między nimi pną się bluszcz. (Te filary to niezbędne złudzenie – sygnalizują granicę pola tunelowego utrzymującego tu atmosferę; ta planeta poza gotyckim parkiem krajobrazowym jest bowiem lodowata i pozbawiona powietrza, uwiązana siłą pływową do brązowego karła gdzieś w przestrzeni pozasłonecznej, paręset bilionów kilometrów od legendarnej, wymarłej Zjemi). Mijam butwiejące gobeliny z karmazynowej i turkusowej wełny, które przedstawiają ortohumanoidalne postaci w zbrojach lub długich szatach, walczące lub kochające się po drugiej stronie tak potężnej przepaści sekund, że przy niej moja własna przeszłość nic nie znaczy.

Oto jestem, porzucony po drugiej stronie czasu, w ośrodku rehabilitacji prowadzonym przez chirurgów-sповідników Niewidzialnej Republiki, przemierzam opustoszałe korytarze malowniczej imitacji ruiny, wzniesionej na powierzchni planety jakiegoś brązowego karła i próbuję poskładać do kupy swoją sprutą tożsamość. Nie pamiętam nawet, jak się tu dostałem. O czym mam gadać z terapeutami?

Idę za mrugającym kursorem wyświetlanej przez netlink mapy do środkowego dziedzińca, potem skręcam w lewo ku nawie, mijającej kamienne ołtarze zwieńczone rzeźbionymi szkieletami olbrzymów. Nawa zaraz kończy się prostokątną dziurą w przestrzeni – kolejna bramka T. Przechodząc przez nią, czuję nagłą lekkość – grawitacja nie chce już mnie trzymać, a wyraźna siła Coriolisa ciągnie w lewo. Światło jest jaśniejsze, a podłoga to jezioro błękitnej cieczy o tak silnym napięciu powierzchniowym, że mogę się po niej ślizgać – stopy ledwo wgniatają powierzchnię. Na poziomie wody nie ma drzwi, są tylko wnęki i wycięte w ścianach nieregularne otwory. Powietrze słabo pachnie jodyną. Zaryzykowałbym twierdzenie, że przechodzę przez wnętrze jednego z zagadkowych routerów orbitujących

* Koty Linebargera – nawiązanie do Paula Linebargera, eksperta od wojny psychologicznej, publikującego pod pseudonimem Cordwainer Smith; koty często przewijają się w jego twórczości, a w opowiadaniu *The Crime and the Glory of Commander Suzdal* występują genetycznie programowane koty. Później w powieści pojawia się jeszcze nazwa firmy Cordwainer Heavy Industries (przyp. tłum.).

wokół tak wielu brązowych karłów w tej części galaktyki.

Na końcu korytarza mijam kilka chmur wielkości człowieka – mgła prywatności rozmywa postaci innych, żeby przechodnie nie musieli zauważać się nawzajem – i wchodzę do kolejnego pomieszczenia z rozstawionymi pod ścianą pierścieniem bramkami T i bramkami A. Wchodzę we wskazane drzwi i znajduję się w znajomym korytarzu wyłożonym po obu stronach żywym drewnem. Na dziedzińcu na jego drugim końcu stoi ozdobna fontanna. Jest tu cicho i przyjemnie, wszystko oświetla ciepły blask żółtej gwiazdy. Tu mamy mieszkania – ja i paru innych pacjentów rehabilitacji. Tu możemy przyjść i bezpiecznie spędzać czas w towarzystwie ludzi w tej samej fazie rehabilitacji, w chwilach, kiedy to nam służy. I tu przychodzę spotkać się ze swoim terapeutą.

Dzisiejszy terapeuta nie jest ani trochę człekokształtny, nie jest też elfem czy bishojo. Piccolo-47 to mezomorficzny robot o kształcie mniej więcej gruszki, z dużą liczbą rozmaitych, dziwnie wyglądających mechanicznych kończyn – niektóre z nich nawet nie łączą się fizycznie z jego ciałem. Nie ma nic, co przypominałoby twarz. Wydaje mi się to niekulturalne (mechanizm rozpoznawania stanów emocjonalnych z wyrazu twarzy jest u ludzi wbudowany bardzo niskopoziomowo; pokazywanie się publicznie bez twarzy jest uważane za poważny afront), ale zachowuję tę myśl dla siebie. Zapewne robi to celowo, żeby przetestować moją stabilność – jeśli nie radzę sobie z kimś, kto nie ma twarzy, to jak będę się zachowywać publicznie? Zresztą, wdawanie się w awantury z własnym terapeutą to nie lekarstwo na moje rozchwianie emocjonalne. Jestem zmęczony, mam ochotę wziąć gorącą kąpiel i pójść spać, dlatego postanawiam szybko mieć to z głowy bez żadnych emocjonalnych incydentów.

– Walczyłeś dzisiaj w pojedynku – mówi Piccolo-47. – Opisz własnymi słowami, co doprowadziło do tego zajścia.

Siadam na kamiennych stopniach pod fontanną, odchylam się w tył, dopóki nie poczuję na karku zimnych kropel wody i próbuję powtórzyć sobie, że rozmawiam z urządzeniem AGD. To pomaga.

– Proszę bardzo – mówię i podsumowuję wydarzenia dnia, przynajmniej te publiczne.

– Jak uważasz, czy Gwyn złośliwie cię sprowokowała? – pyta terapeuta.

– Hm. – Przez moment zastanawiam się nad odpowiedzią. – Myślę, że może to ja ją sprowokowałem – mówię powoli. – Nie celowo, ale zauważyła, że na nią patrzę, i zapewne mogłem przestać. Gdybym chciał. – Po tym wyznaniu czuję się trochę winny, ale tylko trochę. Gwyn chodzi sobie teraz i nie pamięta, że dostała w brzuch. Straciła niecałą godzinę życia. A mnie noga ciągle przypomina o niej skurczami i rzykowałem...

– Mówiłeś, że nie zrobiłeś backupu. To chyba trochę lekkomyślne?

– Tak, tak, oczywiście – decyduję się. – Zrobię, jak tylko skończymy tę rozmowę.

– To dobrze.

Wzdrygam się lekko i zaniepokojony patrzę na Piccolo-47. Terapeuci normalnie nie

wygłaszają podczas sesji opinii, ani pozytywnych, ani negatywnych; właśnie prysło złudzenie, że nikogo tu nie ma i, patrząc na jego gładki pancerz, czuję ciarki na skórze.

– Badanie twojego publicznego stanu wskazuje na to, że robisz duże postępy. Zachęcam do dalszego eksplorowania sektora rehabilitacyjnego oraz skorzystania z grup wsparcia dla pacjentów.

– Eee... – Wytrzeszczam oczy. – Myślałem, że nie powinienes wpływać...

– Wywieranie wpływu jest przeciwwskazane we wczesnych fazach rekonwalescencji u pacjentów z ciężką dysocjacją psychopatologiczną będącą skutkiem resekcji pamięci. Jednak w późniejszych fazach można, jeśli to potrzebne, zapewniać przewodnictwo pacjentom wykazującym objawy szybkiego powrotu do zdrowia... Chciałbym cię o coś poprosić. Możesz oczywiście się nie zgodzić.

– Hm? – Wpatruję się w podstawę jego grzbietowego manipulatora.

Przypomina opalizujący kalafior, pulsujący, opalizujący i oddychający, albo coś w rodzaju nagiego płuca, wywróconego na lewą stronę i galwanicznie pokrytego tytanem. Jest fascynująco nieludzki, makroskopowa nanomaszyna, na tyle skomplikowana, że wydaje się, że żyje własnym życiem.

– Mówiłeś, że pacjentka Kay wspomniała ci o eksperymencie Yourdona. Profesor historii Yourdon należy do moich współpracowników, a Kay ma rację. Twoja stosunkowo głęboka terapia oznacza, że jesteś idealnym kandydatem do tego eksperymentu. Uważam także, że udział w nim może się okazać w długiej perspektywie korzystny dla twojej rekonwalescencji.

– Hm. – Jeszcze potrafię poznać, kiedy jestem ugłaskiwany, nim zacznie mi się coś brutalnie wciskać. – Musisz mi powiedzieć coś więcej.

– Oczywiście. Momencik.

Domyślam się, że Piccolo-47 wchodzi w przyśpiech i wysyła do kogoś wiadomość, bo centrum jego uwagi zaczyna wędrować. Widzę, jak rozogniskowują się peryferyjne sensory, a nasada manipulatora przestaje drżeć.

– Robin, pozwoliłem sobie przesłać twój publiczny profil do biura koordynacji. Eksperyment, do którego nawiązuję, to interdyscyplinarny projekt departamentów archeologii, historii, psychologii i inżynierii społecznej Scholastium. Profesor Yourdon jest generalnym koordynatorem. Jeśli zgłosisz się na ochotnika, kopia twojego następnego backupu – albo oryginał, jeśli wybierzesz całkowite zanurzenie – zostanie ucieleśniona jako odrębna istota w eksperymentalnej wspólnocie, gdzie będzie żyć przez trzydzieści do stu megasekund razem z setką innych ochotników. – Po staremu to rok do trzech lat. – Ta społeczność ma być, w zamyśle, doświadczeniem pozwalającym zbadać pewne psychologiczne ograniczenia związane z życiem przed wojnami cenzorskimi. Inaczej mówiąc, taka próba rekonstrukcji kultury, o której straciliśmy większość informacji.

– Eksperymentalne społeczeństwo?

– Tak. O wielu okresach w historii mamy tylko ograniczone informacje. Od początku ery

maszyn emocjonalnych ciemne wieki zaczęły się pojawiać o wiele za często. Czasem to przypadek – najciemniejszy wiek, u samego zarania ery emocjonalnej, był skutkiem ówczesnego niezrozumienia gospodarki opartej na informacji i idącego za tym przyjęcia wielu niezgodnych formatów reprezentacji danych. A czasem są celowe, na przykład podczas wojen cenzorskich. W sumie skutek jest taki, że ze sporych odcinków czasowych przetrwało bardzo niewiele informacji nieskażonych tendencyjnością obserwatora. Propaganda, rozrywka i kwestie wizerunkowe zmówiły się, żeby pozbawić nas precyzyjnych opisów, a starość i potrzeba okresowego kasowania pamięci pozbawiają nas subiektywnych wspomnień. Dlatego eksperyment profesora Yourdona ma na celu zbadanie samorzutnie powstających relacji społecznych w kulturze wczesnej ery emocjonalnej, o której nie wiemy obecnie prawie nic.

– Chyba rozumiem. – Wiercę się na kamieniach i opieram o fontannę. Głos Piccolo-47 tchnie otuchą. Jestem prawie pewien, że jednocześnie emituje poprawiające nastrój feromony, ale jeśli dobrze podejrzewam, nie przyszło mu do głowy, że mogę sam sobie zadać pewną niewygodę i dzięki temu zachować czujność. Drobnie lodowate kropelki bębniące mi w kark zapewniają stały drażniący bodziec. – Czyli co, mam pójść i zamieszkać w tym społeczeństwie na dziesięć mega? A potem? Co ja będę tam robić?

– Nie mogę ci dokładnie powiedzieć – przyznaje Piccolo-47, tonem pojednawczym i łagodnym. – To zaszkodziłoby spójności eksperymentu. Aby miał empiryczną wiarygodność, jego cele i funkcje muszą pozostać nieznane badanym obiektom, ponieważ mają tam stworzyć żywe społeczeństwo – rzeczywiste społeczeństwo. Mogę natomiast powiedzieć, że będziesz mógł go opuścić, kiedy tylko eksperyment osiągnie satysfakcjonujący nadzorcę stan końcowy albo nadzorująca go komisja etyki zgodzi się na przedterminowe wyjście. W ramach eksperymentu będziecie mieć narzucone pewne ograniczenia w poruszaniu się, dostępie do informacji i procedur medycznych oraz dostępności artefaktów i usług z czasów późniejszych niż badany okres. Od czasu do czasu nadzorca będzie rozsyłał uczestnikom pewne informacje, pomagające zrozumieć funkcjonowanie społeczeństwa. Przed wejściem należy notarialnie podpisać odpowiednią zgodę. Zapewniamy jednak, że wszystkie wasze prawa i ludzka godność zostaną zachowane.

– A co ja będę z tego miał? – pytam obcesowo.

– Za udział w eksperymencie dobrze ci zapłacą. – Głos Piccolo-47 jest niemal nieśmiały. – I jest jeszcze system premiowy dla uczestników, którzy aktywnie przyczynią się do sukcesu.

– Aha. – Szczerzę zęby do terapeuty. – Nie o to mi chodziło. Jeśli myśli, że potrzebne mi kredyty, bardzo się myli. Nie wiem, dla kogo wcześniej pracowałem – czy to naprawdę były Koty Linebargera, czy też jakaś inna, bardziej utajniona (i jeszcze bardziej przerażająca) Potęga – ale jedno jest pewne: nie zostawili mnie na lodzie, każąc iść na resekcję pamięci.

– Jest też pewien aspekt terapeutyczny – mówi Piccolo-47. – Masz objawy erozji celów. To jest związane z niemal całkowitym wykasowaniem ośrodków nagrody i motywacji w twoim bloku delta oraz pamięci o twoim dawnym zawodzie; czujesz się, mówiąc wprost,

pozbawiony celu i jałowy. Symulowana społeczność zapewni ci zawód, będzie oczekiwać od ciebie pracy, znajdziesz się także w grupie współuczestników będących w tej samej sytuacji. Prawdopodobne efekty uboczne to między innymi nawiązanie przyjaźni i odnalezienie celu w życiu. Będziesz mieć jednocześnie czas na rozwijanie własnych zainteresowań i wybór kierunku odpowiadającego twojej nowej tożsamości, bez presji dawnych współpracowników czy znajomych. I powtarzam, dobrze ci zapłacą. – Piccolo-47 waha się. – Poznałeś już jedną z innych uczestniczek.

Trafiony zatopiony.

– Pomyślę nad tym – mówię niezobowiązująco. – Wyślij mi szczegóły, a ja się zastanowię. Ale od razu ci nie powiem: tak czy nie. – Uśmiecham się szerzej, obnażając zęby.
– Nie lubię, jak się mnie naciska.

– Rozumiem. – Piccolo-47 unosi się nieco i cofa o jakiś metr. – Przepraszam. Bardzo się przejmuję powodzeniem tego eksperymentu.

– Jasne. – Macham ręką. – A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym mieć trochę spokoju. Bo wiesz, ja nadal śpiam.

– Do zobaczenia za mniej więcej jedną dobę – mówi Piccolo-47, unosząc się wyżej i wirując ku otworowi, który otworzył się żrenicą w suficie. – Do widzenia.

Znika, zostawiając po sobie tylko nikły zapach lawendy, a mnie z uderzająco intensywnym wspomnieniem smaku i dotyku języka Kay badającego moje usta.

2. Eksperyment

Witamy w Niewidzialnej Republice.

Niewidzialna Republika to jeden z ustrojów powstałych na gruzach Republiki Byt w rezultacie szeregu wojen cenzorskich, szalejących pięć do dziesięciu gigasekund temu. Podczas tych wojen rozpadła się sieć długodystansowych bramek T łączących ze sobą podsieci hipermocarstwa i pozostawiała po sobie luźne sieci, z rzadka połączone bramkami assemblerowymi, uzbrojonymi w firewalle i najemników pod bronią. Każdego przybysza poddawano przymusowej dezasemblacji i kontroli pod kątem wrogich cech, odbudowywano i dopiero potem wpuszczano do środka. Bitwy szalały na pozbawionych powietrza kriogenicznych ugorach mieszczących długodystansowe bramki łączące wojujące ustroje, wypuszczone przez stronnictwa Cenzorów robaki redakcyjne czaiły się w oprogramowaniu każdej bramki A, którą udało im się zakazić, a ich wirusowy ładunek bezlitośnie kasował z mózgów przechodzących przez bramki uchodźców wszelką wiedzę o przyczynach konfliktu.

Jak niemal wszystkie ludzkie ustroje od czasów Akceleracji, Republika Byt mocno polegała na bramkach A, używając ich do produkcji, routingu, przełączania i filtrowania pakietów oraz innych operacji niezbędnych cywilizacji sieciowej. Zdolność baterii nanoassemblerów do dekonstrukcji i powielania artefaktów i organizmów na bazie surowego atomowego surowca sprawiła, że stały się niemal niezbędne – nie tylko do celów produkcyjnych i medycznych, ale i do wirtualnego transportu (łatwiej upchnąć jednocześnie do bramki T sto transferowych szablonów niż sto fizycznych ciał) i firewalli filtrujących na poziomie molekularnym. Nawet kiedy wojna naraziła bramki na ryzyko zainfekowania robakami prowadzącymi wrogą działalność, nikt nie chciał obywać się bez bramek – starzenie się i zniedołężnienie, padnięcie ofiarą chorób czy obrażeń wydawało się czymś gorszym niż ryzyko zniekształcenia pamięci. Nieliczni paranoicy, odmawiający przechodzenia przez zarobaczone assembly, wymarli ze starości albo nawarstwiających się obrażeń; natomiast ci, którzy wciąż z nich korzystali, nie mogą być już niczego pewni – nie wiadomo, co właściwie te robaki chciały ukryć, ani nawet kim byli sami Cenzorzy.

Stres związany z cenzurą sprawił jednak, że ludzie przestali dowierzać wszystkim bramkom, których sami nie kontrolowali. Nie da się cenzurować danych czy masy

przeplływającej przez bramkę T, która jest po prostu łączącym dwa odległe punkty tunelem skrzyżowanej czasoprzestrzeni. Zatem na takie bramki przestawiła się cała, nawet krótkodystansowa, komunikacja, a nowe asemblery masy stały się rzadkością, ponieważ nikt już nie ufał ocenzonej bramkom A. Nastąpił gospodarczy krach, potem rozpad łączności, kiedy całe sieci bramek T – sieci o dużym stopniu wewnętrznej spójności, niekoniecznie bliskie sobie w sensie przestrzennym – zaczęły odłączać się od globalnej sieci. Byt przeszedł w Niebyt i na terenie będącym niegdyś miriadą publicznych przestrzeni o otwartej topologii wyrosły groźne zbrojne posterunki, kontrole graniczne między izolowanymi przez firewalle wirtualnymi republikami.

To było kiedyś, a teraz jest teraz. Niewidzialna Republika była jednym z pierwszych ustrojów-sukcesorów. Zbudowano wewnętrzną sieć bramek T i zaciekle broniono jej przed dostępem z zewnątrz, dopóki nie udało się stworzyć pierwszej generacji nowych bramek A, pieczołowicie wyprodukowanych od zera – od poziomu ręcznie litografowanych macierzy kwantowych kropek. Niewidzialni zaczęli jako grupa uczelni, które jeszcze w czasach wojen stworzyły rozproszoną, zaufaną sieć i wciąż zachowują te akademicko-wojskowe korzenie. Scholastium widzi w wiedzy potęgę i stara się odbudować dane stracone podczas kolejnych ciemnych wieków – chociaż jednocześnie toczy się ożywiona debata, czy to naprawdę dobry pomysł, odkrywać na nowo przyczynę cenzury. Podczas tej wojny niemal każdy stracił fragment swojego życia, a dziesiątki milionów zginęły całkowicie – odtwarzanie warunków początkowych dla najgorszego holokaustu od czasów XXIII wieku nie jest więc kwestią pozbawioną kontrowersji.

Paradoksalnie, Niewidzialna Republika stała się teraz miejscem, gdzie wielu ludzi przychodzi zapomnieć o przeszłości. Ci, którzy pozostali ludźmi (przez edycję w brankach A chroniąc się przed starym zniedołężnieniem), wcześniej czy później muszą nauczyć się zapominać. Czas to żrący płyn, rozpuszcza motywację, niszczy ciekawość i wysysa z życia wszelką radość. Zapominanie to jednak kłopotliwy proces, podatny na błędy transkrypcji i uszkodzenia osobowości. Skasujesz nie ten wzorzec i stajesz się kimś innym. Wspomnienia są powiązane zależnościami, a zarządzanie nimi to jedna z najwyższych sztuk medycznych. Stąd wysoki status i potęga zasobowa chirurgów-spowiedników, w których ręce oddało mnie poprzednie ja. Uczyli się, analizując szkody zadane ofiarom wojen cenzorskich. Tak oto wczorajsza potworna zbrodnia prowadzi do dzisiejszego zabiegu medycznego.

Parę dób – prawie pół dekady – po mojej pogawędce z Piccolo-47 znów jestem w klubie dla rekonwalescentów, dzierzę drinka i rozkoszuję się łagodnymi halucynacjami, jakie produkuje w połączeniu z puszczaną mi przez klub łagodną muzyką. Przeglądano gorący dzień i większość imprezowych gości siedzi na zewnątrz, gdzie wyhodowali sobie basen. Ja natomiast studiowałem, próbowałem dowiedzieć się czego się da o konstytucji i tradycjach prawnych Niewidzialnej Republiki, ale to ciężka praca, więc przyszedłem trochę się rozerwać. Zostawiłem w domu miecz i szarfę duelisty. Zamiast tego mam na sobie czarne

legginsy i luźną bluzę ozdobioną gąbką Mengera z pustych kieszeni zszytych z mniejszych kieszeni, a te z jeszcze mniejszych, niemal po granicę widoczności – utkanych w nieważkości przez hordy maleńkich maniakałnych pajęczków, których geny podobno zaprogramował jakiś ogarnięty nerwicą natręctw krawiecki topolog. Jestem z siebie dość zadowolony, bo moja ostatnia terapeutka-zastępca, Lutnia-629, powiedziała, że robię duże postępy. I pewnie dlatego nie dość się pilnuję.

Siedzę sobie sam przy stoliku i nikomu nie przeszkadzam, gdy nagle, całkiem bez ostrzeżenia, dwie dłonie zakrywają mi oczy. Wzdrygam się i próbuję wstać, napinając się do pierwszego instynktownego ruchu – uniesienia przedramienia w osłonie – ale kolejna para rąk już naciska mi na barki. Uświadamiam sobie kto to, w samą porę, by powstrzymać się od walnięcia jej pięścią w twarz.

– Cześć, nieznajomy – szepce mi do ucha, wyraźnie nieświadoma tego, jak niewiele brakowało, żebym ją uderzył.

– Cześć. – W jednej oszałamiającej chwili czuję tuż przy swoim policzku zapach jej skóry; serce chce mi się wyrwać z piersi i zalewam się zimnym potem. Ostrożnie gładzę ją po twarzy. Już mam powiedzieć, że nie powinna się do mnie tak podkradać, ale wyobrażam sobie jej uśmiech i coś zmusza mnie do przybrania łagodniejszego tonu. – Zastanawiałem się, czy tu będziesz.

– Zdarza się. – Dłonie znikają mi sprzed oczu, puszcza mnie. Odwracam się, żeby zobaczyć ten psotny uśmiech. – Robisz coś ważnego?

– Nie, skąd. Naczytałem się różnych rzeczy i teraz muszę się zrelaksować. – Uśmiecham się ze skruchą. I zrelaksowałbym się, gdybyś nie testowała mojego odruchu walka-ucieczka!

– To dobrze. – Wślizguje się do łoży obok mnie, opiera o mój bok i pstryka palcami na menu.

Po paru chwilach pojawia się coś w wysokiej, oszronionej szklance, przechodzące od barwy złotej na górze do błękitu na dole, parujące lekko w wilgotnym powietrzu. W mgiełce widzę przypominające Koński Łeb zgęstki, niebieskie, samopodobne smużki pary.

– Ciągle nie jestem pewna, czy to kulturalnie, pytać ludzi, czy chcą ze mną pogadać. Od moich czasów konwencja się kompletnie pozmieniała.

– Ja jestem łatwy. – Dopijam drinka i pozwalam stołowi wchłonąć szklankę. – Właściwie myślałem, żeby coś przegryźć. Jesteś może głodna?

– Może. – Zagryza dolną wargę i patrzy na mnie z namysłem. – Mówisz, że liczyłeś na to, że mnie zobaczysz.

– No. Myślałem trochę o tym, wiesz, projekcie badawczym. Kto tym rządzi i czy potrzebują jeszcze ochotników.

Mruga i lustruje mnie od stóp do głów.

– Myślisz, że już masz odpowiednią samokontrolę? Chcesz się zgłosić do... to niesamowite!

Drga mi jeden z zewnętrznych wyzwalaczy, podpowiadając, że właśnie przegląda moje publiczne metadane, widmowy obłoczek medycznych zapisów, który lata za nami jak rój wymyślonych pszczoł, gotowy zmusić uzależnieniem do posłuszeństwa przy pierwszym objawie nieukierunkowanej agresji.

– Naprawdę bardzo ci się poprawiło!

– Nie chcę być w nieskończoność pacjentem. – Chyba brzmi to odrobinę nadwrażliwie. Może nie zdaje sobie sprawy, że pogłaskała mnie pod włos, ale nie lubię, jak się mnie traktuje protekcyjnie.

– A wiesz już, co będziesz robił, kiedy miary twojej samokontroli wejdą powyżej progu dla obywateli? – pyta.

– Nie mam pojęcia. – Zerkam na menu. – Halo, dla mnie to samo – mówię stolikowi.

– A czemu? – To wygląda na niewinną ciekawość. Może dlatego postanawiam bez ogródek powiedzieć jej prawdę.

– Nie za bardzo wiem, kim jestem. Rozumiesz, moje poprzednie ja urządziło mi maksymalne pranie, prawda? Nie pamiętam, czym się zajmowałem, co robiłem, a nawet czym się interesowałem. Tabula rasa to ja.

– O rany. – Ze stolika wysuwa się mój drink. Patrzy na mnie, jakby nie wiedziała, wierzyć mi czy nie. – A masz jakąś rodzinę? Znajomych?

– Nie bardzo wiem – przyznaję.

To drobne kłamstwo. Mam bardzo mętne wspomnienia z dzieciństwa, niektóre bardzo stereotypowo intensywne, co sugeruje prostackie wzmacnianie podczas poprzednich operacji prania pamięci – czyli wspomnienia, które chciałem zachować za wszelką cenę: dwie dumne matki obserwujące moje pierwsze kroki na czarnej, piaszczystej plaży... Mam też silne, choć bezpodstawne przekonanie, że miałem jakichś długoterminowych partnerów, co najmniej gigasekundę życia rodzinnego. Jakieś niewyraźne przebłyski współpracowników, duchy innych Kotów. Niestety, choćbym nie wiem co robił, nie potrafię nikomu z nich przypisać twarzy, a to bardzo nieprzyjemna świadomość.

– Mam jakieś ogryzki, ale przeczuwam, że przed operacją pamięci byłem raczej samotny. Zwierzę organizacyjne, trybik wielkiej maszyny. Tylko że nie pamiętam, co to była za maszyna.

Świeżo rozlana krew bulgocąca i musująca w próżni. Kłamca.

– To takie przykre – mówi.

– A u ciebie? – pytam. – Zanim zostałaś lodowym ghulem?

– A, no tak! Dorastałam w trupie artystów, miałam masę braci, sióstr i rodziców. Wyznawaliśmy fundamentalizm naczelnych, wiesz? Żenująca sprawa. Ale od czasu do czasu mam kontakt z kuzynami, wymieniamy się czasem wrażeniami. – Uśmiecha się tęsknie. – Kiedy byłam ghulem, to była jedna z niewielu rzeczy, jakie przypominały mi, że mam w sobie coś z obcego.

– Ale posłuchaj, kiedy byłaś ghulem, to czy miałaś...?

Twarz jej sztywnieje.

– Nie, nie miałam.

Odwracam z zażenowaniem wzrok. Właściwie, czemu myślałem, że jestem jedynym kłamcą przy stole?

– A propos tego jedzenia – mówię, pośpiesznie zmieniając temat – ciągle testuję różne knajpki tu w okolicy. No wiesz, sprawdzam, co dobre i kto tam przychodzi. Moglibyśmy na przykład pójść coś zjeść i może spotkać takie moje znajome, Linn i Vhorę. Nie znasz ich? Też są na rehabilitacji, ale trochę dłużej niż my. Linn robi terapię zajęciową, takie improwizowane modyfikowanie środowiska, a Vhora uczy się grać na dudach.

– Masz na myśli jakieś konkretne miejsce? – Rozluźnia się natychmiast, gdy schodzimy z drażliwego tematu.

– Przyszedł mi do głowy taki ogródek w Zielonym Labiryncie, z tyłu za Skrzydłem Rzeszy. Gotuje tam dwóch facetów, tworzą historycznie nieautentyczne indonezyjskie tapas, na oczach klientów. Dla rozrywki, trochę teatralnie. Tych ich prototypów nawet nie trzeba jeść, chyba że chcesz. – Unoszę palec. – Jeśli to cię nie interesuje, wczoraj zbadalem jeszcze taką budę z kuchnią fusion, też w Zielonym Labiryncie. Robią przyzwoitą calzone z patelni, tylko nazywają ją „dizer” czy „dozer”. No i oczywiście sushi.

Kay kiwa z namysłem głową.

– Możliwe – zgadza się. Potem się uśmiecha. – Te tapas nieźle brzmią. Pójdziemy, zobaczymy ile damy radę zjeść? A potem spotkamy się z twoimi przyjaciółkami?

To nie tyle przyjaciółki, ile znajome na „cześć”, ale nie mówię jej tego. Plącę machnięciem ręki przy czytniku i wychodzimy tylnymi drzwiami, prowadzącymi na przepiękną srebrną plażę na tyłach klubu dla rekonwalescentów, a potem wchodzimy w rustykalne wrota kryjące bramkę do Zielonego Labiryntu. Po drodze Kay wyciąga z kieszeni w pasie – sprytnie zamaskowanej bramki prowadzącej do prywatnego składziku – batikowe szarawary i żakiet z czarnej koronki o oficjalnym kroju. Oboje jesteśmy boso, gdyż mimo owiewającej nam skórę bryzy i świecącego jasno słońca jesteśmy tak głęboko we wnętrzu, jak to tylko możliwe: znajdujemy się w kokonie potężnie izolowanych habitatów polatujących w odległości świetlnych kilosekund od siebie na potężnym obszarze kosmicznej czerni.

Zielony Labirynt to jedna z tych prostoliniowych różnorodności, sam szczyt mody sprzed mniej więcej czterech gigasekund, zaraz po tym, jak powojenna fragmentacja osiągnęła dno. Jego szkielet składa się z zielonych korytarzy, prostych i przecinających się pod kątem prostym, połączonych oszalałającą liczbą bramek T. A właściwie jest to graf rzadki, więc można wyjść drzwiami po jednej stronie labiryntu, a wylądować po drugiej, albo parę pięter wyżej, albo i dwa zakręty z podskokiem i przytupem za własnymi plecami. Wisi na tym masa osiedli mieszkalnych, wliczając i tylne wejście do mojego mieszkania, oraz jeszcze większa liczba przestrzeni publicznych w stylu kubistycznym, kącików zabaw, knajpek, miejsc do

odpoczynku, centrów rozrywki, a także parę prawdziwych labiryntów z żywoplotu, imitujących te starsze o parę dziesiątków terasekund.

Nie trzeba chyba mówić, że nikt nie potrafi chodzić po Zielonym Labiryncie na pamięć czy na azymut – niektóre z bramek przesuwają się zresztą co dobę – ale mój netlink wie, gdzie idę, i puszcza przede mną świetlika. Przejście na miejsce w niekrępującej ciszy zajmuje nam jedną trzecią kilosekundy. Ciągłe głowię się, czy mogę Kay zaufać, ale już wiem, że ją lubię.

Lokal z tapas jest jednym dużym pomieszczeniem, starożytne żeliwne krzesła i stoły na trawiastym podeście, nakryte kopułą, pod różowym niebem upstrzonym chmurami z tlenku węgla, szybującymi nad postrzępioną bazaltową dziczą. Słońce jest bardzo małe i bardzo jasne, i gdyby kopuła zniknęła, pewnie zamarzlibyśmy na śmierć, nim zdążyłaby nas zatruć atmosfera. Kay zerka na porośnięty bluszczem dekoracyjny łuk wokół bramki T i wybiera stolik blisko niego.

– Coś nie tak? – pytam.

– Kojarzy mi się z domem. – Ma taką minę, jakby ugryzła durian, myśląc, że to mango. – Przepraszam. Postaram się nie zwracać uwagi.

– Nie chciałem...

– Wiem, że nie chciałeś. – Wąski, krzywy uśmieszek. – Może za mało skasowałam.

– Ja się boję, że skasowałem za dużo – wymyka mi się. Wtedy Frita, jeden z dwóch właścicieli/kucharzy/projektantów podchodzi do nas i przez chwilę rozplwamy się w pochwałach jego najnowszych wytworów, oczywiście musimy także spróbować owoców pierwszego przebiegu produkcyjnego i szczegółowo je zrecenzować, podczas gdy Eri stoi nieopodal i z dumną miną brzdąka na mandolinie.

– Skasowałem za dużo – podpowiada Kay.

– Tak. – Odsuwam talerz. – Nie wiem na pewno. Stare ja zostawiło mi długi i dość ogólnikowy list. Napisany pismem szeregowym, nie przeżyciowy; zakodowany w taki sposób, żebym na pewno był w stanie go zdekodować. Starannie o to zadbał. W każdym razie, są w nim aluzje do najróżniejszych ciemnych spraw. Wiedział za dużo, rozwodził się na tym, że pracował dla Potęgi i robił złe rzeczy, aż w końcu współpracownicy zmusili go do resekcji i rehabilitacji. I urządzili mu bardzo dokładne zapominanie ze wspomaganiami. Rozumiesz, z tego co wiem, to mogę być zbrodniarzem wojennym albo kimś podobnym. Kompletnie straciłem ponad gigasekundę, a wcześniejsze życie też jest pełne dziur – nie pamiętam, czym się zajmowałem, co robiłem podczas cenzur, żadnych znajomych, rodziny, nic z tych rzeczy.

– To okropne. – Kay kładzie smukłe dłonie na moich i patrzy na mnie nad szczątkami wyjątkowo smacznej zapiekanki z bakłażanem i czosnkiem.

– Ale to nie wszystko. – Zerkam na jej kieliszek, pusty obok karafki z winem. – Napijesz się, jeszcze?

– Z przyjemnością.

Nalewa mi wina do kieliszka i unosi go do moich ust, jednocześnie pijąc z własnego i nie puszczając moich rąk. Może ten sześciokończynowy plan ciała coś w sobie ma, choć ja bałbym się zrobić sobie coś takiego; musiała przejść spore modyfikacje rdzenia, żeby móc z taką podświadomą gracją koordynować ruchy wszystkich sześciu odnóży.

– Mów dalej.

– W liście są aluzje. – Przelykam ślinę. – Mało subtelne. Ostrzega mnie, żebym uważał na starych wrogów – takich, którzy nie zadowolą się zwykłym pojedynkiem do śmierci.

– A czym? – wygląda na zaniepokojoną.

– Kradzieżą tożsamości, nadpisaniem backupu... – Wzruszam ramionami. – Albo... Nie wiem. To znaczy nie pamiętam. Poprzednie ja było kompletnym paranoikiem albo maczało palce w czymś bardzo brudnym i zdecydowało się na bardzo radykalny pakiet emerytalny. Jeśli to drugie, to mogę być w niezłym bagnie. Skasowali mi tyle, że nawet nie wiem, jak zachowują się ci ludzie, z którymi miało do czynienia, i dlaczego. Trochę sobie poczytałem, historia i tak dalej, ale to nie to samo, co uczestnictwo. – Znow przelykam ślinę, zasycha mi w ustach, bo w tej chwili ona pewnie wstanie i pójdzie sobie, a ja nagle zdaję sobie sprawę, że od jej opinii o sobie uzależniłem znaczną część własnej samooceny. – Wiesz, on pewnie był najemnikiem i pracował dla którejś z Potęg.

– O, to bardzo niedobrze. – Puszczą moje ręce. – Robin?

– Słucham?

– To dlatego nie robiłeś backupu od wyjścia z rehabilitacji? I dlatego trzymasz się miejsc publicznych i zawsze siedzisz plecami do najsolidniejszej ściany?

– Tak. – Przyznałem się i teraz nie wiem, czemu nie powiedziałem tego wcześniej. – Boję się własnej przeszłości. Chciałbym, żeby nie wstawiała z grobu.

Kay wstaje, nachyla się nad stołem, bierze mnie za ręce, przyciąga moją twarz i całuje. Po chwili odpowiadam jej łakomie. Jakimś sposobem stoimy nad stołem i obejmujemy się – w przypadku Kay to bardzo dużo kontaktu – a potem śmieję się z ulgą, gdy gładzi mnie po plecach i mocno ścisła.

– Wszystko dobrze – uspokaja. – Wszystko będzie dobrze.

No cóż, nie będzie, ale z nią jest dobrze i nagle mój horyzont jakby powiększył się dwukrotnie. Nie jestem już w pojedynczej celi, mam kogoś, z kim mogę pogadać, nie obawiając się przesłuchania. To olbrzymia ulga, o wiele istotniejsza niż po prostym seksie.

– No chodź – mówię – odwiedzimy Linn i Vhorę.

– Dobra – odpowiada i częściowo mnie puszcza. – Ale Robin, przecież to oczywiste, co powinieneś zrobić?

– Hę?

– No, z twoim problemem. – Niecierpliwie postukuje palcem u nogi. – Co, terapeuti nie wciskali ci tego na siłę?

– A, chodzi o eksperyment? – Prowadzę ją z powrotem w Zielony Labirynt, prosząc netlink o kolejnego świetlika. – Chciałem odmówić. To jakiś absurd. Miałbym na ochotnika mieszkać w Panoptikonie przez dziesięć czy pięćdziesiąt mega?

– Tylko pomyśl – mówi. – Zamknięte społeczeństwo mieszkające w odłączonej od sieci różnaitości bramek T. Jak się zacznie, nikt nie wchodzi i nikt nie wychodzi, dopóki się nie skończy. A poza tym, skoro to eksperyment, obowiązują różne procedury. Dane będą zanonimizowane i przetasowane, a dokumenty ochotników będzie chronił Dział Etyki Doświadczeń Scholastium. Więc...

Przychodzi olśnienie.

– Jeśli ktoś faktycznie mnie ściga, nie będzie w stanie mnie dopaść, chyba że znajdzie się tam od początku! A poza tym, siedząc w środku, będę niewidoczny.

– Wiedziałam, że sam do tego dojdiesz. – Ściska mi dłoń. – No chodź, znajdziemy te twoje znajome. Nie wiesz, czy je też ktoś namawiał?

Znajdujemy Linn i Vhorę w leśnym zagajniku, rozkoszujące się nieskończonym letnim popołudniem. Okazuje się, że obie pytano, czy chcą wziąć udział w eksperymencie Yourdona. Linn ma ortohumanoidalne żeńskie ciało i prawie kończy rehabilitację; ostatnio zainteresowała się historią mody – ubrań, kosmetyków, tatuaży, skaryfikacji i tak dalej – i idea tego doświadczenia przemawia do niej. Vhora, dla odmiany, ma mechaciao w kształcie centaura, ślicznusie na japoński komiksowy sposób: ogromne czarne oczy, rzęsy do kompletu, idealne piersi i srokata skóra pokryta kevlarowymi łatami.

– Miałam sesję z doktorem Mavridesem – nieśmiało przyznaje Linn. Ma długie kasztanowe włosy, bladą, piegowatą skórę, zielone oczy, zadarty nosek i elfie uszy, a stylizowana na historyczną suknią zakrywa ją od szyi do podłogi. Jest zielona, pasuje do jej oczu. Vhora dla odmiany jest naga. Linn tuli się do jej boku, jednym ramieniem leniwie obejmując grzbiet i machinalnie gładząc nasadę żłobkowanego rogu wyrastającego z czoła Vhory. – Dla mnie brzmi to całkiem interesująco.

– Nie moja bajka. – Vhora jest jakby rozbawiona, choć trudno to ocenić. – Historia. I do tego czasy premorficzne. Przykro mi, ale w orto już nie wchodzi. Dwa życia mi wystarczą.

– Oj, Vhora. – Linn wzdycha z rozdrażnieniem. Jednym palcem robi coś z nasadą rogu i mech sztywnieje na moment.

– Czemu nie...?

– A o jaki dokładnie okres historyczny chodzi? – pytam ostrożnie. Szczerze mówiąc, umyślnie zignorowałem szczegółowe informacje przesłane przez Piccolo-47, dopóki Kay nie uświadomiła mi zalet zniknięcia na parę lat w zamkniętym ustroju, gdyż nie interesowało mnie mieszkanie w jaskini i polowanie z dzidą na mamuty, czy co tam Yourdon i jego współbadacze sobie wymyślili. Nie lubię, jak mi się ściemnia, a ton Piccolo-47 był co najmniej protekcyjny. Bo wiecie, Piccolo-47 jest takim zadowolonym z siebie, skupionym na sobie specem od psychologii, który każdą sugestią, że zachowuje się lekceważąco, traktuje

jak projekcję pacjenta, i nie ma zamiaru korygować błędów we własnym zachowaniu. Z mojego doświadczenia wynika, że z takimi osobnikami najlepiej radzić sobie, po prostu uprzejmie zgadzając się na wszystko co mówią, a potem to ignorując. I dlatego nie mam dokładniejszych informacji o tym przedsięwzięciu.

– No cóż, wszystkiego nam nie mówią – dodaje przepaszającym tonem Linn. – Ale trochę pogrzebałam. Profesor Yourdon, historyk, interesuje się działką, o której mam trochę pojęcia – pierwszym postindustrialnym ciemnym wiekiem, czyli od połowy XX do połowy XXI wieku, jeśli kojarzycie chronologię starej Zjemi. Współpracuje z pułkownikiem doktorem Boatengiem, który jest specjalistą od polimorficznych społeczeństw – systemów kastowych, segregacji płci, stratyfikacji według urodzenia, astrologii czy innych cech poza indywidualną kontrolą. Niedawno wypuścił parę publikacji, w których mówi, że ludzie w większości społeczeństw sprzed Monarchii Interwałowych nie mogli działać w pełni autonomicznie, gdyż mieli narzucone przymusowo społeczne ograniczenia. Poza tym, podejrzewam, że Scholastium finansuje te badania, bo mają implikacje dyplomatyczne.

Czuję, jak Kay wzdryga się lekko pod moją lewą ręką, obejmującą jej górną parę ramion. Przytula się do mnie mocniej, ja z kolei napieram na pień drzewa za plecami.

– Jak u ghuli lodowych – mruczy.

– Ghuli lodowych? – pyta Vhora.

– Nie są technicz... albo nie, raczej chodzi o to, że ciągle rozwijają technikę. Nie osiągnęli jeszcze Akceleracji. Żadnych maszyn emocjonalnych, żadnych wirtualnych ani samopowielających się narzędzi. Zero Bogompodobnych, zero bramek, zero umiejętności restrukturyzowania ciał bez zjadania trujących roślinnych ekstraktów albo kaleczenia się metalowymi nożami. – Wzdryga się lekko. – Są więźniami własnych ciał, starzeją się i rozpadają, a jeśli któryś straci kończynę, nie umieją jej odbudować. – Jest z czegoś bardzo niezadowolona i przez chwilę zastanawiam się, ile znaczyły dla niej ghule lodowe, z którymi żyła, skoro musiała przyjść tutaj, żeby zapomnieć.

– Brzmi słabo – mówi Linn. – W każdym razie, tym interesuje się pułkownik doktor Boateng. Ustrojami, w których ludzie nie mają kontroli nad tym, kim są.

– No to jak ma działać ten eksperyment? – pytam.

– Cóż, wszystkich szczegółów nie znam. – Linn gra na zwłokę. – Ale jeśli się zgłosisz, przepuszczają cię przez różne testy. Swoją drogą, nie przepuszczą cię, jeśli masz bliskich krewnych albo przyjaciół. Tylko dla samotników.

Uścisk Kay tężeje wokół mnie na moment.

– No, w każdym razie, robią ci backup i twoja kopia budzi się w środku. Przygotowali do tego eksperymentu kompletny ustrój. W materiałach piszą, że to ponad sto milionów metrów sześciennych kubatury mieszkalnej i kompletna wewnętrzna sieć krótkodystansowych bramek. To nie jest całkiem dzikie, jak surowy planetarny biom, czy coś. Ale parę kruczków jest. Nie ma dostępnych asemblerów, więc nie możesz sobie zażyczyć dowolnej struktury.

Żeby dostać jedzenie, ubranie, narzędzia, wszystko jedno – musisz korzystać ze specjalnych, ograniczonych fabrykatorów, które robią tylko to, do czego masz prawo w ramach eksperymentu. Mają system pieniężny i zapewniają pracę, czyli musisz pracować i płacić za to, co skonsumujesz; to ma emulować przedakceleracyjną gospodarkę niedoboru. Ale nie jakiegoś straszego, bo nie chcą, żeby ludzie głodowali. Drugi kruczek, hm... przydzielają ci nowe, ortohumanoidalne ciało i historię, w ramach której masz grać. Podczas eksperymentu musisz trzymać się tej przydzielonej roli. Żadnego netlinku, żadnych backupów, żadnej edycji. Jeśli się zranisz, musisz czekać, aż ciało się samo nareperuje. Rozumiecie, przed Akceleracją nie było bramek A, prawda? A żyły wtedy miliardy ludzi, więc to nie może być aż tak straszne, po prostu trzeba trochę uważać, żeby się nie uszkodzić.

– Ale o co chodzi w tym eksperymencie? – powtarzam.

Czegoś mi brakuje, tylko jakoś nie potrafię uchwycić, czego...

– No rozumiecie, to ma być symulacja społeczeństwa z ciemnego wieku – wyjaśnia Linn.

– Po prostu tam żyjemy, przestrzegamy reguł, a oni obserwują. Potem to się kończy i wychodzimy. Co jeszcze wam trzeba?

– A jakie są te reguły? – Linn uśmiecha się z rozmarzeniem, tuląc się do Vhory, pieszcząc róg centaurki, który jarzy się łagodnym różem i pulsuje w rytm ruchów jej ręki. – Chcą tylko odtworzyć mikrokosmos polimorficznego społeczeństwa naszych przodków. Ciemne wieki to znaczna część naszej historii – wtedy doszło do Akceleracji – ale tak mało o nich wiemy. Może liczą, że zrozumienie funkcjonowania tamtego społeczeństwa wyjaśni, jak dotarliśmy tu, gdzie jesteśmy? Albo coś podobnego. Coś z genezą dyktatur poznawczych i wczesnych kolonii.

– Ale chodzi mi o reguły...

– Są dobrowolne – mówi Vhora. – Mają skłaniać uczestników do trzymania się roli, bo dostają punkty za postępowanie zgodne z naszą wiedzą o ciemnych wiekach, a tracą za poważne odchylenie od tej roli. Na koniec eksperymentu punkty można wymienić na dodatkową premię pieniężną. I tyle.

Gapię się na centaurkę.

– Skąd ty to wiesz? – pytam.

– Przeczytałam protokół. – Vhora posyła mi psotny uśmiech. – Chcą, żeby ludzie współpracowali i zachowywali się spójnie, bez narzucania niczego. W końcu w każdym społeczeństwie ludzie łamią narzucone reguły, nie? Chodzi po prostu o bilansowanie kosztów i korzyści.

– Ale to tylko punktacja – mówię.

– Tak. Pewnie po to, żeby było wiadomo, czy idzie ci dobrze, czy źle.

– Jak tak, to spoko – mruczy Kay.

Ściska mnie mocno. Popołudniowe słońce w zagajniku świeci łagodnie i żółto; choć wokół brzęczą i skrobią owady, biom daje nam spokój. Linn znów się do nas uśmiecha,

niezwykle jasnowidząco, i gładzi punkt na szczycie głowy Vhory. W tym geście kryje się coś otwarcie erotycznego, ale na mnie ten erotyzm nie działa.

– To jak, idziemy? – pyta mnie Kay.

– Chyba tak. – Pomagam jej wstać, a ona z kolei podnosi mnie.

– Fajnie, że wpadliście – mruczy Vhora, wyraźnie drżąc, gdy Linn znów łaskocze nasadę rogu. – Może jednak byście zostali?

– Dzięki za propozycję, ale nie – mówi łagodnie Kay. – Za kilosekundę mam terapię. Może innym razem.

– No to do zobaczenia – odpowiada Linn. Kiedy wychodzimy, Vhora jedną ręką rozwiązuje sznurowanie na plecach jej sukni.

– Szkoda, że masz tę terapię – mówię, kiedy jesteśmy za pierwszą bramką i za pierwszym rogiem. Wyciągam dłoń i Kay ją chwyta. – Myślałem, że trochę pobędziemy ze sobą.

Kay ściska mi rękę.

– Jaką terapię?

– To znaczy, ty...

– Cicho, głupi. Oczywiście, że skłamałam! Myślałeś, że podzielę się tobą z tą laską-kucykiem?

Odwracam się, opieram ją o ścianę i nagle wszędzie jej pełno, łakome dłonie chwytają, głaszczą i ściskają. Usta mają smak Kay i obiadowych przypraw, nieopisanych i egzotycznych.

* * *

Jakiś czas później wynurzamy się w dyskretnej altanie w części wypoczynkowej, której żadne z nas nie znało, gdzieś w Zielonym Labiryncie, cali spoceni, nadzy, zmęczeni i rozradowani. Wcześniej kochałem się z nagim, prywatnym ortociałem Kay, ale to zupełnie inna historia. Potrafi swymi czterema sprytnymi rękami zrobić takie rzeczy, że aż krzyczę z rozkoszy i niecierpliwości, i trzymać mnie na ostrym jak brzytwa skraju orgazmu chyba przez wieczność. Szkoda, że nie mogę się odwzajemnić jej czymś podobnym. Może któregoś dnia, kiedy pozbieram się na tyle, by odważyć się na przesiadkę do ksenomorficznego ciała. Zwykle to przywiązanie do własnego wizerunku wcale mi nie przeszkadza, lecz Kay potrafi nieźle szarpnąć moimi zahamowaniami.

Po wszystkim odkleja się ode mnie i obejmują ją.

– Par nie biorą – mówi cicho.

– Ale mówiłaś, że ja powinienem iść.

– To prawda. – Podchodzi do tego całkiem spokojnie. Nie wiem, bo nie pytałem, czy to nadal tylko przelotny romans?

– Ale nie muszę iść.

– Skoro coś ci grozi, wołałabym, żebyś był bezpieczny.

Obejmuję dłonią jej pierś. Dygoce.

– Dadzą nam inne ciała – szepcze. – Pewnie nawet się nie rozpoznamy.

– Tobie to nie będzie przeszkadzało? – pytam zaniepokojony. – Jeśli jesteś nieśmiała...

– Mogę udawać, że to takie rozbudowane przebranie. Pamiętaj, że już to kiedyś robiłam.

O.

– Będziemy musieli skłamać. – To wymyka się wbrew mojej woli.

– Czemu? – pyta. – Przecież nie jesteśmy parą... – serce staje mi na moment – ...jeszcze nie.

– Jesteś mono? Czy poli? – pytam ją.

– Jedno i drugie. – Sutek sztywnieje mi pod palcami. – Chociaż emocjonalną równowagę łatwiej zachować z jednym partnerem. – Czuję, jak jej plecy lekko się napinają. – A co, jesteś z natury zazdrosny?

Muszę się nad tym poważnie zastanowić.

– Chyba nie... ale nie jestem pewien. Za mało pamiętam. Ale... tam, gdy Linn mnie zaprosiła, chyba nie byłem zazdrosny. O ile tylko rzecz dzieje się wśród przyjaciół.

– To dobrze. – Zaczyna przysuwać się do mnie, potem unosi się na wszystkich czterech rękach i wspina, aż zaczyna górować nade mną, i tak zostaje, jak pajęcza bogini doczesnych rozkoszy. – Czyli, ściśle rzecz biorąc, nie będziemy kłamać, mówiąc, że nie jesteśmy w trwałym związku. Obiecasz mi, że poszukasz mnie tam w środku? Albo po zakończeniu, jeśli w środku ci się nie uda? Albo jeśli tam nie trafisz?

Patrzę w jej oczy z odległości paru milimetrów, widząc odbite w nich pożądanie, głód i niepokój.

– Tak – mówię. – Obiecuję.

Pajęcza bogini kiwa głową i wraca, by nagrodzić samca, przytrzymując jego rozpostarte kończyny czterema rękami i jednocześnie pracując nad nim ustami i pozostałymi kończynami. Samiec tymczasem ze swojej strony zastanawia się, czy to nie jest ich ostatnie spotkanie.

* * *

Kiedy po tej schadzce wracam samotnie do domu, ktoś usiłuje mnie zamordować.

Mimo tego, co powiedziałem Piccolo-47, ciągle nie zrobiłem sobie backupu. Ten krok wydaje mi się nieodwołalny, jakby oznaczał, że akceptuję swój nowy stan. Zbackupowanie własnej tożsamości przydaje bagażu, tak jak resekcja pamięci pozbawia go. Zdaje się jednak, że w moim przypadku naprawdę powinienem zrobić sobie backup, gdy tylko wrócę do pokoju. Kay pewnie cierpiałaby, gdybym teraz zginął i wrócił do stanu, w którym byłem, zanim się poznaliśmy. A teraz jest dla mnie ważne, by nie przysparzać jej bólu.

Może dlatego udaje mi się przeżyć.

Po wyjściu z parku wypoczynkowego rozdzielamy się, machając do siebie nieśmiało i

rzucając wilgotne spojrzenia. Kay teraz naprawdę musi pójść na sesję terapeutyczną, a ja próbuję trzymać się swojego reżimu lektur i nauki, który wymaga, bym w ciągu tej doby poświęcił mu co najmniej dziesięć kilosekund. Rozstajemy się niechętnie, obolali od nowej wrażliwości. Ciągłe nie jestem pewien, jak właściwie się czuję, i niepokoi mnie idea przenosin do eksperymentalnego ustroju (Czy mnie rozpozna? A ja ją? Czy zainteresujemy się sobą nawzajem w nowych ciałach i nowych punktowanych rolach?), ale w końcu jesteśmy dorosłymi osobami. Mamy prowadzić własne, niezależne życia. I jeśli tylko zechcemy, możemy się pożegnać.

Nie mam teraz ochoty na niczyje towarzystwo (poza Kay), więc kiedy zmierzam do domu przez graf bramek T łączących Zielony Labirynt, każę netlinkowi się zanonimizować. Ludzie są widoczni dla mojego nerwu optycznego jako poruszające się w majestatycznej ciszy słupy mgły, a ich netlinki filtrują w ten sam sposób moją osobę.

Jednakże nierozpoznawanie ludzi to nie to samo co nieświadomość czyjejś obecności. Zresztą musisz mieć możliwość omijania przechodniów, nawet nie wiedząc, kim są. Mniej więcej w połowie drogi zauważam, że jeden ze słupów mgły idzie za mną, przeważnie pozostając o bramkę lub dwie z tyłu. „Bardzo interesujące”, mówię sobie, obserwując odruchy, o których posiadanie dotąd się nie podejrzewałem. Mówię netlinkowi, żeby oznaczył ten słup jasnoczerwoną plamą i cały czas przekazywał mojemu zmysłowi pozycyjnemu jego położenie. Da się to zrobić bez łamania anonimowości – to jedna z najstarszych sztuczek w podręczniku śledzenia i tropienia. Idę dalej, starając się nie zdradzać, że zauważyłem ów cień.

Zamiast wracać drogą, jaką szliśmy w tamtą stronę, idę przez Zielony Labirynt prosto ku korytarzowi swojego mieszkania. Słup mgły mnie śledzi, a ja nonszalancko wsuwam lewą dłoń w wielką biodrową kieszeń kurtki, wymacując w gąbczastej różnorodności bramek T odpowiedni otwór.

Kiedy mój cień wkracza do akcji, idę wzdłuż bocznej nawy w świątyni szkieletów-olbrzymów. Wokół nikogo nie ma, pewnie dlatego wybiera właśnie tę chwilę. Rzuca się na mnie, myśląc, że go nie widzę, ale zdradza go znacznik w moim netlinku – w lewym oku mam liczoną na bieżąco odległość i gdy tylko zaczyna ona raptownie maleć, wyłączam filtr anonimizujący, odwracam się i wyciągam broń.

Przeciwnik jest małym, niepozornym mężczyzną – orzechowa cera, czarne włosy, wąskie oczy, żylasta budowa ciała – nosi równie niepozorny kilt i kamizelkę; właściwie jedyną niezwykłą rzeczą jest jego miecz – nie taki do pojedynków, ale wspomagany energetycznie drut z monowłókna, nawet diamentowy pancerz tnący jak powietrze. Jest niewidzialny, poza żarzącym się na końcu czerwonym koralikiem, ponad dwa metry od jego prawej dłoni.

Jaka szkoda. Spinam się, naciskam spust na ułamek sekundy, potem puszczam go i próbuję, mrugając, pozbyć się okropnych fioletowych powidoków. Przerażliwy grzmot, nieprzyjemny zapach ozonu i spalonego mięsa, a mnie bolą ręce. Głównia miecza zaczyna

podskakiwać na kamieniach, pośpiesznie uskakuje jej z drogi – nie chcę przypadkiem stracić stopy – a potem się rozglądam, ufając, że kątem oka dostrzegę, czy jest tu ktoś jeszcze.

– Szuja! – syczę w stronę pana Usmażonego.

Czuję się dziwnie mało wstrząśnięty tym, co zrobiłem, chociaż szkoda, że te powidoki nie ustępują szybciej – miotacza powinno używać się z ochronnymi goglami, ale nie miałem czasu, żeby je wyciągnąć. To prosta broń, zwykła mała bramka T, połączona (przez drugą parę bramek T działających jako zawór) z punktem orbitującym w fotosferze gwiazdy-nadolbrzyma. Jest brudna, ma mały zasięg, da radę wszystkiemu oprócz pełnej wojskowej zbroi, a ponieważ składa się tylko z pary powiązanych superstruną tuneli czasoprzestrzennych, nie da się jej zablokować. Co do minusów – dzwoni mi w uszach, już czuję, że skóra twarzy swędzi od popromiennych oparzeń, a poza tym nadtopiłem parę krypt. Używanie miotaczy w pojedynku jest niekulturalne – podobnie jak każdej innej broni, która nie jest napędzana wyłącznie mięśniami ręki – i zapewne dlatego się tego nie spodziewałem.

– Nie przychodzi się z nożem na strzelaninę – mówię panu Usmażonemu, odwracając się. Jego prawa ręka zastanawia się nad tym przez chwilę, po czym odpada.

Reszta podróży do domu mija bez niespodzianek, ale, docierając do celu, cały się już trzęsę i dzwonią mi zęby. Zamykam drzwi i każę im stopić się ze ścianą, po czym zwalam się na stojące pośrodku krzesło, jedyny mebel, kiedy łóżko jest schowane. Czy wiedział, że nie mam backupu? Zdawał sobie sprawę, że moje poprzednie ja nie skasowałyby wszystkich obronnych odruchów albo że wiem, gdzie w Niewidzialnej Republice można skombinować miotacz? Nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że ktoś próbował zabić mnie z zaskoczenia, bez świadków i bez typowego zmartwychwstania po pojedynku, co sugeruje, że chcą mnie na jakiś czas wyłączyć, żeby zdążyć znaleźć moje backupy i w nich pogrzebać. A to już próba kradzieży tożsamości, czyli przestępstwo przeciwko człowiekowi, które według większości ustrojów jest o parę stopni cięższe niż zabójstwo. Nie ma już przed tym ucieczki. Pójdę zrobić sobie backup, a potem poszukam azylu w eksperymencie Yourdona. Skoro jest to izolowany ustrój, odłączony na czas projektu naukowego od różnorodności, powinno być tam bezpiecznie jak nigdzie. O ile tylko żaden z moich prześladowców też się do niego nie zapisał...

3. Nuklearność

Robienie backupu jest bardzo proste, ciężko natomiast poradzić sobie z jego następstwami.

Trzeba znaleźć bramkę A z możliwością robienia backupu (co oznacza po prostu, że kabina musi być na tyle duża, żeby zmieścił się w niej człowiek, i nie może to być bramka do specjalnych zastosowań, na przykład wojskowa). Jest w każdym mieszkaniu w kompleksie rehabilitacyjnym, korzysta się z niej do robienia kopii mebli i przygotowywania kolacji, a także do rozbioru ludzi do poziomu atomowego, robienia im mapowania i składania z powrotem. Żeby zrobić sobie kopię zapasową, po prostu siada się w tym czymś i mówi netlinkowi, że ma cię zbackupować. Trwa to czas jakiś (to nie magia tuneli czasoprzestrzennych, lecz siłowa rozbiórka w nanoskali), ale nie poczujesz tego potencjalnie nieprzyjemnego wrażenia, że toniesz w niebieskiej mazi, która cię zżera, digitalizuje i składa na nowo, gdyż netlink wyłączy cię, gdy tylko zaczniesz przepisywać twój wektor stanu do bufora bramki.

Właśnie ta luka czasowa mnie niepokoi. Nie podoba mi się, że przez jakiś czas będę wyłączony, kiedy pewna nieznana siła usiłuje ukraść mi tożsamość. Z drugiej strony, zrezygnowanie z backupu przy takich podejrzeniach byłoby lekkomyślnością. Skoro udało się im mnie dopaść, chciałbym, żeby moja następna kopia wiedziała, o co chodzi. (I pamiętała o Kay). Pauza jest jednak nie do omińnięcia, podejmuję zatem pewne środki ostrożności. Zanim wejdę do kabinki, każę assemblerowi wyprodukować parę niewinnych rzeczy, z których można zrobić bardzo nieprzyjemną minę-pułapkę. Instaluję ją, biorę głęboki wdech i przez prawie minutę stoję bez ruchu, patrząc w otwarte drzwi bramki. Rozumiecie, żeby po prostu uspokoić nerwy.

Wchodzę do środka.

– Zrób mi backup – mówię.

Kabina wypączkowuje siedzenie, siadam, drzwi uszczelniają się i zapalają sygnał ZAJĘTE. Zdążam tylko zobaczyć mlecznobłękitną ciecz wpadającą wirem przez szczeliny na poziomie podłogi, po chwili wszystko szarzeje i czuję się niezwykle zmęczony.

A teraz a propos następstw. Po chwili nieświadomości powinieneś obudzić się

oszołomiony i trochę wilgotny. Drzwi się otworzyły, idziesz pod prysznic zmyć z siebie pozostałości wydzielonego przez bramkę żeluz. Straciłeś może z tysiąc sekund, podczas których błona wysadzana jakimś tysiącem bilionów automatycznych głowic dezasemblacyjnych wielkości większych białek przeżyła cię nanometr za nanometrem, sprowadzając cię do molekularnego surowca, zapisując twój wewnętrzny wektor stanu, a jednocześnie montując w tle procesu skanowania świeżą kopię. Nie zauważasz jednak tego, bo przez cały czas jesteś w stanie śmierci mózgowej i kiedy drzwi bramki A się otwierają, możesz kontynuować życie od momentu sprzed backupu. Oczywiście czujesz się trochę niewyraźnie, ale jesteś sobą. A twoje ciało jest...

Inne.

Próbuję wstać za szybko i uginają się pode mną kolana. Kręci mi się w głowie, padam na ścianę kabiny, ale, uderzając w nią, zdaję sobie sprawę, że jestem za niski. Na tym etapie wciąż tylko czuję, a nie myślę. Kolejna sprawa: znów siadam, a kabinka jest nieprzyjemnie wąska, bo jestem za szeroki w biodrach, a tułów mam za krótki. To nie wszystko. Ręce są dziwne: ludzkie, ale po prostu inne. Unoszę rękę, kładę ją na kolanach, uda wydają mi się zbyt grube, lecz jest coś jeszcze. Oj, uświadamiam sobie, wsuwając dłoń między nogi. Nie jestem facetem. Jestem kobietą. Unoszę drugą rękę, macam pierś. Kobieta, ortohumanoidalna.

To jeszcze nic takiego. Bywałem już kobietą orto; nie za bardzo wiem kiedy i jak długo, zresztą to nie jest mój ulubiony plan ciała, jakiś czas jednak przeżyję. Dopiero oczywisty wniosek sprawia, że zrywam się na nogi z przerażeniem, ciemnieje mi przed oczyma i niemal padam znów. Ktoś zmanipulował mi backup! A potem spóźniona myśl: To ja jestem backupem. Gdzieś właśnie umarła pierwsza kopia mnie.

– Cholera – mówię, opierając się o mlecze drzwi kabinki. Głos mam obcy, wyższy o oktawę i cieplejszy. – Ciężka cholera.

Nie mogę siedzieć tu bez końca, ale na pewno po otwarciu drzwi nie zobaczę nic dobrego. Opanowując rosnące przerażenie, naciskam zamek. I mniej więcej wtedy zdaję sobie sprawę, że nic na sobie nie mam. To żadna niespodzianka – moja kurtka-rozmaitość była zrobiona z bramek T, one zaliczają się do rzeczy, których bramka A nie potrafi wyprodukować – jednak legginsy też znikły, a były ze zwykłego materiału. Ktoś mnie zhackował ładnie i dokładnie, uświadamiam sobie z narastającym lękiem. Drzwi się odsuwają, wpuszczając powiew powietrza, chłodny na wilgotnej skórze. Mrugam i rozglądam się. Całkiem jak moje mieszkanie, tylko na niskim stoliku obok krzesła leży czysty biały tablet, nie ma pułapki, a w ścianie z powrotem są drzwi. Przyglądając się uważniej, widzę, że mają inny kolor, a krzesło też nie jest takie, jak to, które z rana wyciągnąłem sobie z bramki.

Patrzę na tablet. U góry miga czerwony napis: PRZECZYTAJ TO TERAZ.

– Później. – Zerkam na drzwi, wzdrygam się i idę do łazienki. Ten, kto mnie dopadł, wyraźnie się nie śpieszy, więc ja też nie będę; zbiorę myśli, zanim stawię im czoła.

Łazienki w pokojach rekonwalescentów są nieodróżnialne – białe, ceramiczne jajo z

dyszami wodnymi, powietrznymi, bezkierunkowym, śledzącym twoje ruchy oświetleniem, odpływami i składanymi, chowanymi w ścianach urządzeniami. Ustawiam prysznic na gorący i silny strumień. Stoję pod nim, dygocąc ze strachu, aż skóra robi mi się czerwona i czysta.

Ktoś mnie zhackował i nie da się z tym nic zrobić, mogę tylko skakać przez przeszkody, które dla mnie przygotował, i liczyć, że na końcu przyzwolicie mnie zabije albo wypuści. Opór, jak to mówią, jest bezcelowy. Skoro złamali mój backup tak dogłębnie, że mogli wcisnąć mi nowy plan ciała, to mogą zrobić ze mną co zechcą. Namieszać mi w głowie, wygenerować mnie w wielu kopiach, dobrać się do moich prywatnych kluczy, a nawet zrobić ze mnie ciało-zombiaka i kazać mu robić co zechcą – a wszystkim tym obciążą potem mnie. Skoro potrafią obudzić mnie w bramce A w innym pokoju, położyli łapę na moim wektorze stanu. Mogę tysiąc razy uciec, sto razy zostać zamęczony na śmierć i dalej będę się budzić w tej budce, więzień po raz kolejny.

Kradzież tożsamości to paskudne przestępstwo.

Przed opuszczeniem łazienki przyglądam się uważnie mojemu nowemu ciału. W końcu widzę je pierwszy raz i mam przykre przeczucie, że powie mi coś o oczekiwaniach moich porwawczy.

Okazuje się, że mam cechy ortohumanoidalnej kobiety, ale nie nachalne. Jestem jakieś piętnaście centymetrów niższa niż przedtem, symetryczna osiowo, mam niezłą cerę i włosy. Ciało wygląda całkiem dobrze, nie narzucili mi przesadnych seksualnych atrybutów – lalą nie jestem. Mam szerokie biodra, wąską talię, piersi większe, niżbym sobie wybrał, wysokie kości policzkowe i pełne usta, skórę bledszą, niż sam bym chciał. Nowe czoło jest gładkie i wysokie, ponad niebieskimi oczyma w stylu zachodnim, bez zmarszczek nakątnych – dziwnie okrągłymi i wytrzeszczonymi, niemal mangowymi – i mam kasztanowe włosy, oblepiające mi teraz ramiona. Ramiona? Aż takie długie. Czemu mam długie włosy? Paznokcie na rękach i nogach są krótkie. To się nie trzyma kupy. Wyciągam ręce nad głowę i czuję nieprzyjemny szok. Jestem słaba – górna część ciała prawie nie ma mięśni. Pewnie nie utrzymałabym miecza w wyciągniętej ręce przez pół kilosekundy.

Zatem, reasumując: jestem niska, słaba i nieuzbrojona, za to ładna, jeśli wasze poczucie estetyki opiera się na staromodnych planach ciała.

– Co za ulga – warczę do odbicia w lustrze. Potem wracam do sypialni, siadam i patrzę na tablet.

– PRZECZYTAJ TO – mówi.

– No to dawaj – odpowiadam i słowa układają się w nowe kształty.

Szanowny uczestniku

„Dziękujemy, że zgodziłeś się uczestniczyć w eksperymentalnym ustroju Yourdona-Fiorego-Hanty. (Jeśli nie pamiętasz, że wyrażałeś zgodę, dotknij TUTAJ, aby przeczytać oświadczenie, jakie podpisałeś po swoim ostatnim

backupie). Liczymy, że będziesz zadowolony z pobytu w naszym ustroju. Przygotowaliśmy dla Ciebie wykład wprowadzający doktora Fiorego. Kolejna prezentacja nastąpi za 1294 sekundy. Aby zachować właściwą atmosferę, prosimy o przyjsię w przygotowanym kostiumie z epoki (patrz pudełko pod krzesłem).

Po wykładzie przewidziana jest powitalna impreza z serem i winem, która ma być okazją do zapoznania się z innymi aktualnie wchodzącymi uczestnikami”.

Mrugam. Potem czytam tabletki jeszcze raz, szukając w popłochu dwuznaczności. Nie podpisałem tego. A może? Wygląda na to, że tak – albo zostałem zhackowany, ale bardziej prawdopodobne, że faktycznie to podpisałem. Naciskam łącze, i proszę: czarno i czerwono na białym, a szesnastocyfrowa liczba działa, kiedy weryfikuję ją na netlinku odciskiem palca. Podpisałem umowę, która mówi, że zobowiązałem się żyć w Ustroju YFH pod przybraną tożsamością, imieniem Reeve, przez następne... sto megasekund? Trzy lata? A podczas pobytu moje prawa obywatelskie będą ograniczone na mocy dwustronnej umowy – nie zrzekam się podstawowych praw istoty rozumnej, nie wolno im mnie torturować ani prac mi mózgu – i nie mogę być zwolniony z tego zobowiązania bez zgody zarządzających eksperymentem.

Zauważam, że zaczynam się hiperwentylować, kiedy oscyluję między uginającą kolana ulgą, że nie padłem ofiarą kradzieży tożsamości, i przerażeniem skalą tego, na co się zgodziłem. Mają prawo eksmitować mnie według własnego uznania (O, to nie ma sprawy, kiedy będę chciał wyjść, po prostu muszę ich wkurzyć), wolno im decydować, w jakim ciele mam mieszkać! Wygląda to potwornie, a wśród drakońskich zapisów dostrzegam również, że pozwoliłem im monitorować wszystkie swoje czynności. Permanentna inwigilacja. Właśnie zameldowałem się w hotelu z motywem przewodnim „Panoptikon z ciemnego wieku”. Co mi odbiło, że... o. W zapisach drobnym drukiem jest aneks pod tytułem „Dodatki wyrównawcze”.

Oho.

Po pierwsze, Scholastium przejmuje wszelką odpowiedzialność eksperymentatorów i wszelkie roszczenia z tego tytułu. Zatem, jeśli naruszą ograniczone prawa, jakie mi przyznali, mogę ich pozwać, a Scholastium ma kieszenie bez dna. Po drugie, wynagrodzenie jest bardzo satysfakcjonujące. Po szybkim przeliczeniu wychodzi mi, że to, co zapłacą mi za trzy ziemskie lata w klatce na szczury, pozwoli mi po wyjściu na komfortowe życie co najmniej trzykrotnie dłużej.

Powoli się uspokajam. Nie zhackowali mnie; sam to sobie zrobiłem, z własnej woli, a sytuacja ma też pewne jaśniejsze strony. Moje drugie ja nie całkiem postradało zmysły. Przychodzi mi do głowy, że złym ludziom, kimkolwiek są, bardzo trudno będzie mnie dopaść w środku eksperymentalnego ustroju, do którego można wejść tylko przez jedną bramkę T, pilnowaną przez firewall i oddziały szturmowe Scholastium.

Mam za zadanie trzymać się roli osadzonej w historycznym okresie, w którym będę żyć na niby, nosząc ciało, które mnie nie przypomina, korzystając z pseudonimu i tożsamości o fałszywej historii oraz nie rozmawiając o świecie zewnętrznym z innymi badanymi. To oznacza, że zamachowiec, który tu za mną wejdzie, ma na starcie potężny handicap: nie wie, jak wyglądam, nie wolno mu o to pytać i nie może zabrać ze sobą żadnej broni. Przy odrobinie szczęścia, moje ja, które tu nie siedzi, w ciągu stu mega zdąży załatwić tę sprawę, tak że kiedy wyjdę i scalimy nasze delty, pójdę do domu wolny oraz bogaty. A jeśli mu się nie uda, no cóż, pogadam, może pozwoli mi zachować po wyjściu tę przybraną tożsamość...

Wyciągam karton z ubraniami spod łóżka i marszczę nos. Nie pachną brzydko ani nic takiego, ale są trochę dziwne – tablet powiedział, że zgodne z realiami epoki. Jest tu dziwaczna prosta czarna tunika do kolan, odsłaniająca ramiona, oraz czarna marynarka. W charakterze butów mam parę błyszczących czarnych czółenek, sugerujących strefę silnej grawitacji, ale z dziwacznymi, spiczastymi czubkami i obcasami zwężającymi się do trzy-, czterocentymetrowego szpica. Bielizna jest w miarę prosta, ale trochę trwa nim pojmuję, że błoniaste szare rurki mam nałożyć na nogi, które, jak zauważam, są pozbawione włosów – nie mam ich zresztą nigdzie poza głową. Tak więc ciało mam orto, lecz nie całkiem niecywilizowane. Kręcę głową.

Najdziwniejsze ze wszystkiego jest to, że wszystkie tkaniny są głupie – zbyt głupie, żeby odpychać brud albo zjadać naskórne bakterie, nie wspominając już o aktualizacji stylu czy udziale w rozmowie. I cały ten kostium nie ma ani jednej kieszeni, nawet dyskretnej bramki T wszytej w podszewkę marynarki. Kiedy je wynaleźli? – zastanawiam się. Muszę potem poszukać jakiegoś ubrania, które ma trochę mózgu. Wkładam to wszystko i oglądam się w łazienkowym lustrze. Problem będzie z włosami. Szukam wszędzie, ale znajduję tylko elastyczną gumkę, żeby je związać. Na razie musi wystarczyć, dopóki nie przystrzygę ich na sensowną długość.

Po tym wszystkim nie pozostaje mi nic innego, jak pójść na ten wykład wprowadzający oraz „imprezę powitalną z serem i winem”. Biorę więc tablet, otwieram drzwi i idę.

* * *

Po drugiej stronie drzwi znajduje się długi i wąski pokój. Wyszłam właśnie z jednych spośród dwanaściorga drzwi na trzech spośród jego ścian, pomalowanych na beżową biel. Podłoga jest wyłożona czarnymi i białymi kwadratami marmuru. Czwartą ze ścian, naprzeciwko moich drzwi, pokrywa coś, w czym po chwili rozpoznaję arkusze drewna – prawdziwe martwe drzewa, zabite i pocięte na deski – z dwójkiem otwartych i podpartych po obu stronach drzwi. Domyślam się, że tam odbędzie się wykład, choć nie rozumiem, dlaczego nie mogą zrobić go w sieci. Podchodzę do najbliższych otwartych drzwi, zirytowana, że moje buty paskudnie stukają przy każdym kroku.

W środku dużego pomieszczenia jest już siedem czy osiem osób oraz kilka rzędów na oko

niewygodnych krzeseł ustawionych frontem do podium umieszczonego na tle pomalowanej na biało ściany. Jest wśród nas – muszę przyzwyczajać się do faktu, że zgłosiłam się na ochotnika, choć zupełnie się tak teraz nie czuję – mniej więcej po równo mężczyzn i kobiet, i wszyscy noszą kostiumy z epoki. Wygląda na to, że rządzi nimi zawiły zestaw reguł, mówiących, komu wolno nosić jaki strój, a do tego wszyscy mamy na sobie zadziwiającą masę szmat, zważywszy, że jesteśmy w habitacie o kontrolowanej atmosferze. Ci, którzy są kobietami, dostali jednoczęściowe sukienki albo sięgające do kolana spódnice w połączeniu z bluzkami zakrywającymi górną część tułowia. Mężczyźni noszą pasujące kolorystycznie zestawy spodni i marynarek, a pod spodem koszule, mające przy szyi jakieś niewygodne z wyglądu połączenie kołnierzyka i szarfy. Większość ubrań jest albo czarno-biała, albo szaro-biała i niesamowicie bezbarwna.

Poza historycznymi strojami jest jeszcze parę anomalii – żaden z mężczyzn nie ma długich włosów, a żadna kobieta krótkich, o ile widzę. Kiedy wchodzę, odwraca się parę głów, ale nie czuję się nie na miejscu, nawet z moimi związanymi w kucyk długimi włosami. Po prostu kolejna anonimowa postać w historycznym przebraniu.

– Czy to tutaj ma być wykład? – pytam najbliższej osoby, wysokiego mężczyzny, pewnie nie wyższego niż ja przedtem, lecz teraz patrzę nań z dołu. Ma czarne włosy i elegancko przycięty zarost na twarzy.

– Chyba tak – odpowiada wolno, wzduszając ramionami, po czym robi niepewną minę. Nic dziwnego, jego strój wygląda, jakby powoli go dusił. – Dopiero weszłaś? Po ostatnim backupie znalazłem w pokoju tablet do przeczytania...

– Tak, ja też – mówię. Ściskam tablet pod pachą i uśmiecham się do niego, zadzierając głowę. Potrafię rozpoznać nerwową paplaninę, a Duży czuje się dokładnie tak nieswojo, jak ja. – Pamiętasz, że podpisałeś albo zrobiłeś to po ostatnim backupie?

– Czyli nie tylko ja? – Na jego twarzy maluje się ulga. – Byłem na rehabilitacji – mówi pośpiesznie. – Wychodziłem właśnie z tego początkowego szaleństwa. I obudziłem się tutaj...

– No, zresztą. – Kiwam głową, tracąc zainteresowanie. – Ja też. Kiedy się zaczyna?

W białej ścianie z tyłu otwierają się drzwi, których wcześniej nie zauważyłam, wchodzi pulchny mężczyzna, orto. Ma na sobie długi biały płaszcz pozapinany z przodu na archaiczne guziki, a idąc, kołysze się na boki, jak spasiony, zadowolony z siebie płaz. Czarne włosy opadają rzadkimi, tłustymi z wyglądu pasmami po obu stronach twarzy, dłuższe niż u wszystkich innych mężczyzn tutaj. Podchodzi do podium i obrzydliwie chrząka, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Witam wszystkich. Cieszę się, że zgodziliście się przyjść na moją małą wprowadzającą pogadankę. Chciałbym przeprosić, że kazaliśmy wam przyjść osobiście, nasz projekt badawczy jest jednak prowadzony w warunkach rygorystycznej spójności, uznaliśmy więc, że nie powinniśmy wykraczać poza parametry funkcjonalne symulowanego społeczeństwa. Oni zorganizowaliby to właśnie tak, jako osobiste spotkanie, więc... czy moglibyście usiąść?

Chwilę trwa zajmowanie przez wszystkich miejsc. Łąduje w pierwszym rzędzie, między Dużym i kobietą o bladej, piegowej cerze i rudych włosach, całkiem jak Linn, ale ubraną w kremową bluzkę, ciemnoszary żakiet i spódnicę. Nie rozumiem tego stylu – jest niezrównoważony w pionie i szczerze mówiąc, trochę dziwaczny. Nie różni się jednak za bardzo od tego, co mi dali do włożenia, więc pewnie jest zgodny z realiami epoki. To nasze poczucie estetyki tak bardzo się zmieniło? – zachodzę w głowę.

– Jestem doktor major Fiore – zaczyna facet na podium. – Razem z profesorem pułkownikiem Yourdonem opracowałem protokół tego eksperymentu. Przyszedłem tutaj, aby wyjaśnić wam, co próbujemy osiągnąć, chociaż – liczę tu na zrozumienie – przemilczę kwestie, które mogą wpłynąć na wasze zachowanie w doświadczalnym stroju. – Uśmiecha się, jakby właśnie rzucił żart. – Pierwsze ciemne wieki. – Kiedy ma powiedzieć coś, co wydaje mu się znaczące, nadyma pierś i bierze głęboki wdech. – Pierwsze ciemne wieki trwały około trzech gigasekund, dla porównania, wojny cenzorskie zajęły siedem. Ale, dla perspektywy, one zajęły niemal połowę Akceleracji, tak zwany późny wiek dwudziesty i wczesny dwudziesty pierwszy według historycznej chronologii. Badając zapisy od ery przedtechnologicznej aż po pierwszy ciemny wiek, stwierdzamy, że patrzymy na ludzi żyjących jak wspomagane techniką małpy – bardzo inteligentne naczelnice posiadające skomplikowane mechaniczne narzędzia, ale w zasadzie niezmiennione od czasu wykształcenia się gatunku. A potem, gdy patrzymy na ludzi po pierwszym ciemnym wieku, widzimy istoty bardzo podobne do nas, żyjących w erze nowożytniej, erze „maszyn emocjonalnych”, jak to ujął pewien ciemnowieczny szaman. Mamy lukę w zapisach historycznych, nagły przeskok z węglowego atramentu na zmacerowanej pulpie drzewnej do diamentów pamięciowych czytelnych dla wczesnej, acz rozpoznawalnej wersji naszego protokołu intencjonalności.

Duży mruczy coś pod nosem. Nie od razu to rozszyfrowuję: „Co za nadęty bufon?”. Powstrzymuję parsknięcie śmiechem, bo sytuacja wcale nie jest do śmiechu. Ten nadęty bufon przez następną dziesiątą gigasekundy trzyma w rękach moją przyszłość. Chciałabym usłyszeć, co jeszcze ma do powiedzenia.

– Wiemy, dlaczego doszło do tego ciemnego wieku – ciągnie Fiore. – Nasi przodkowie pozwolili swojej architekturze przechowywania i przetwarzania danych rozmnażać się w niekontrolowany sposób, mieli też skłonność do wyrzucania starych technologii, zamiast je wirtualizować. Dla korzyści handlowych niektóre ich największe organizacje umyślnie tworzyły niekompatybilne formaty danych i zamykały w nich ogromne ilości cennych materiałów, tak że kiedy nowe architektury wyparły stare, pewne dane stały się niedostępne. Szczególnie wpłynęło to na zapisy dotyczące życia osobistego i domowego z drugiej połowy ciemnego wieku. Mamy dużo informacji na filmach, robionych przez amatorów i zapaleńców z początków tego wieku. Korzystali z tak zwanej „kamery filmowej”, zapisującej obrazy na nośniku fotochemicznym. Można było je zdekodować ludzkim okiem. W jednej trzeciej ciemnego wieku przeszli jednak na zapis na taśmie magnetycznej, która szybko się rozkłada,

a potem na zapis cyfrowy, z którym jest jeszcze gorzej, gdyż z niewiadomego powodu wszystko szyfrowali. To samo stało się z zapisami dźwiękowymi oraz tekstami. Dlatego, paradoksalnie, wiemy o wiele więcej o ich kulturze z początku wieku ciemnego, w starej rachubie – około roku 1950, niż z końca – około roku 2040.

Fiore przerywa. Parę osób za mną zaczęło cicho rozmawiać. Wygląda na lekko zirytowanego, że ludzie nie spijają mu słów z ust. Ja natomiast jestem zafascynowana – ale ja także byłam historykiem, choć specjalizowałam się w całkiem innej dziedzinie.

– Da mi pani dokończyć? – pyta ostro Fiore, wbijając wzrok w kobietę w rzędzie za mną.

– Tylko jeśli powie pan, co to ma z nami wspólnego – odpowiada tamta bezczelnie.

– Ja zaraz... – Fiore urywa. Znów robi głęboki wdech i cofa ramiona. – Wy będziecie żyć w ciemnym wieku, w symulowanej kulturze euroamerykańskiej podobnej do istniejącej w latach 1950-2040. Usiłuję wam powiedzieć, że to najlepsza rekonstrukcja tego środowiska, na jaką stać nas na podstawie dostępnych źródeł. To eksperyment socjologiczny i psychologiczny w pełnym zanurzeniu, oznacza to, że będziemy obserwować wasze wzajemne interakcje. Będziecie otrzymywać punkty za trzymanie się roli, to znaczy przestrzeganie podstawowych społecznych reguł, oraz tracić punkty za wychodzenie z roli.

Prostuję się.

– Wasz indywidualny wynik wpływa na całą grupę – kontynuuje Fiore – to znaczy, na wszystkich. Wasza kohorta, czyli cała dziesiątka, jedna z dwudziestu grup, które przez pięć mega wprowadzimy do tego segmentu ustroju, będzie spotykać się raz w tygodniu, w niedziele, w dzielnicowym ośrodku zwanym Kościołem Nazareńskim, i omawiać, czego się nauczyliście. Aby symulacja lepiej funkcjonowała, jest w niej dużo postaci niezależnych, zombiaków sterowanych przez Mistrza Gry i w znacznym procencie będziecie kontaktować się z nimi, a nie z innymi badanymi. Całe środowisko mieści się w szeregu segmentów mieszkalnych, które są połączone bramkami tak, aby powstało wrażenie ciągłości geograficznej, jak na powierzchni tradycyjnej planety. – Uspokają się trochę. – Są pytania?

– Jakie są podstawowe reguły? – pyta śniadoskóry mężczyzna w jasnym garniturze z drugiego rzędu. Wygląda na zdezorientowanego.

– Dowie się pan. W dużej mierze są narzucone przez środowiskowe ograniczenia. Jeśli trzeba będzie coś wam powiedzieć, prześlemy to netlinkiem albo przez któregoś zombiaka.

– Teraz wydaje się jeszcze bardziej zadowolony z siebie.

– A co my mamy tu robić? – pyta ruda obok mnie. Brzmi trochę niespokojnie. – To znaczy, poza „przestrzeganiem reguł”. Sto mega to sporo czasu, nie?

– Przestrzegać reguł. – Fiore się uśmiecha. – Społeczeństwo, w którym będziecie żyć, było bardzo sformalizowane i zrytualizowane. Wielką wagę przywiązywano do relacji osobniczych oraz statusu, często wyznaczanych przez genetyczny przypadek. Podstawową jednostką tego społeczeństwa jest tak zwana rodzina nuklearna. To heteromorficzna struktura oparta na kobiecie i mężczyźnie, którzy mieszkają blisko siebie. Zwykle jedno z nich zajmuje

się lekko zrytualizowaną pracą, żeby pozyskać środki pieniężne, a drugie – sprawami społecznymi, pracami domowymi oraz wychowywaniem dzieci. Powinniście się do tego dostosować, chociaż wychowywanie dzieci jest oczywiście opcjonalne. Interesuje nas badanie stabilności takich relacji. W waszych tabletach znajdziecie kopie paru książek, które przetrwały z czasu ciemnych wieków.

– No dobra, czyli tworzymy te, no, rodziny nuklearne! – woła kobieta z tyłu. – Co jeszcze musimy wiedzieć?

Fiore wzrusza ramionami.

– Już nic. No, może... że w tym świecie medycyna ma ciemnowieczne ograniczenia. Możecie się zabić w wypadku. Albo, co gorsza, doznać obrażeń. Podczas eksperymentu nie będziecie mieć dostępu do assemblerów. Raczej nie powinniście też próbować modyfikować swoich ciał, gdyż istniejące techniki są naprawdę bardzo prymitywne. Od teraz nie będziecie mieć także dostępu do swoich netlinków.

Próbuję sprawdzić, ale nic nie reaguje. Przez jedną paniczną chwilę zastanawiam się, czy nie ogłuchłam, potem uświadamiam sobie: Prawdę mówi! Tu nie ma sieci.

– Netlinki będą wam przekazywać punktację społeczną i nic poza tym. Istnieje wprawdzie prymitywna sieć komunikacyjna oparta na przewodowych terminalach, ale nie planujemy, abyście z niej korzystali. W sali obok urządziliśmy bufet. Proponuję, żebyście zapoznali się ze sobą, potem wybrali sobie partnera i weszli tam. – Wskazuje drzwi po drugiej stronie białej ściany. – Traficie do waszego głównego miejsca pobytu na inicjację. Pamiętajcie, żeby zabrać tablety, by móc przeczytać wprowadzenie do społeczeństwa ciemnego wieku. – Rozgląda się szybko po sali. – Skoro nie ma więcej pytań, idę.

Z tyłu podnosi się ręka czy dwie, ale zanim ktokolwiek się odezwie, Fiore odwraca się i znika w drzwiach, przez które wszedł. Patrzę na Rudą.

– To by było tyle wykładu – mówi. – I co teraz?

Oglądam się na Dużego.

– A ty, jak myślisz?

Wstaje.

– Chyba powinniśmy zrobić, jak mówił, i coś zjeść – odpowiada powoli. – I pogadać. Jestem Sam. A ty?

– Jestem R... Reeve – mówię, zacinając się na imieniu, które narzucił mi tablet. – A ty...?
– Zerkam na Rudą.

– Możecie mówić mi Alice. – Wstaje. – No dobra. To chodźmy, zobaczymy, kto jeszcze tu jest, i się poznamy.

* * *

W drugiej sali stoją dwa długie stoły zastawione talerzami zimnych przekąsek, owoców i „sera” – mocno pachnącej skrzącej substancji ze sfermentowanego czegoś, czego nie

rozpoznać – i kieliszkami wina. Jest nas dziesięcioro, pięciu mężczyzn i pięć kobiet. Rozdzielamy się na luźne grupki po dwóch stronach pomieszczenia. Oprócz rudej Alice jest Angel (ciemna skóra, kręcone włosy), Jen (pucołowata twarz, włosy jasnobłond i jeszcze bardziej zaokrąglona niż ja) oraz Cass (proste czarne włosy, cera koloru kawy, poważne oczy). Wszystkie czujemy się trochę nieswojo, ruchy mamy nerwowe i urywane, wiercimy się w nowych ciałach i paskudnych ubraniach. Mężczyźni to Sam (którego już poznałam), Chris (śniadoskóry z drugiego rzędu), El, Fer i Mick. Usiłuję odróżnić ich po kolorze garniturów i tych szarf pod szyją, ale ciężko mi to idzie, a krótkie włosy przydają im wszystkim mechanicznego, niemal owadziego podobieństwa. To musiała być bardzo konformistyczna epoka, myślę sobie.

– No dobra. – Alice popatruje na naszą małą grupkę i się uśmiecha, potem bierze z talerza z pulpy drzewnej kosteczkę „sera” i przeżuwa ją z namysłem. – Co robimy?

Angel wyciąga tablet z małej torby, którą ma przewieszoną przez ramię. Jeśli u mnie w pokoju było coś takiego, nie zauważyłam – w myślach daję sobie kopa, że nie pomyślałam ani nie zaimprovizowałam czegoś takiego.

– Tu jest lista lektur – mówi, starannie stukając w kolejne pozycje. Zaglądam jej przez ramię, ikonki zwojów rozwijają się w obrazy stron starożytnych manuskryptów. – O, i znowu to dziwne słowo. „Żona”. Co to „żona”?

– Ja chyba wiem – mówi Cass. – To coś z tą, hm, „rodziną”. Kiedy jest tylko dwóch uczestników i są morfologicznie związani, ten żeński to „żona”, a męski „mąż”. To pociąga za sobą jakieś stosunki seksualne, jeśli jest tak, jak u lodowych ghuli.

– Nie wolno gadać o świecie zewnętrznym – mówi zaniepokojona Jen.

– Ale wtedy nie będziemy mieli punktu odniesienia dla wszystkiego, co próbujemy tu zrozumieć, żeby mieszkać w tym świecie, nie? – mówię, powstrzymując się od gapienia się na Cass.

Czy to ty, Kay? To może być zbieg okoliczności, że wie coś o lodowych gbulach – jakieś dwie gigasekundy temu, kiedy ich odkryto, był wielki szal na ich punkcie. Możliwe też, że wrogowie zauważyli Kay i wysłali za mną łowcę głów, uzbrojonego na przynętę we wszystko, co dało się wyciągnąć z jej głowy...

– Ciekawe, skąd oni wzięli te książki – mówię. – Mają tylko daty wydania i przybliżone nakłady, więc wiadomo, że były popularne. Ale czy dokładnie opisują system społeczny – to zupełnie inna sprawa.

– A kogo to obchodzi? – obcesowo wtrąca Jen. Bierze kieliszek i chlapie do niego słomkowego koloru winem ze szklanego dzbanka. – Wezmę sobie jakiegoś „męża”, a szczegóły później. – Szczerzy zęby i opróżnia kieliszek.

– Jaki mamy dzień? – Cass marszczy brwi, walcząc z prymitywnym interfejsem tabletu. Uświadamiam sobie, że to nasz odpowiednik instrukcji obsługi. – O – mówi. – Mamy piąty dzień tygodnia. Mówili na to „czwartek”. Tydzień ma siedem dni, mamy się spotykać w

pierwszy dzień, czyli za około dwieście pięćdziesiąt kilo, nie, trzy dni, od teraz.

– I co z tego? – Jen dolewa sobie wina.

Cass się zastanawia.

– Jeśli mamy odgrywać rodziny, pewnie powinniśmy dobrać się w pary i pójść do mieszkań, które nam przydzielili. Może z dołączyliśmy w tych wszystkich notatkach, trochę się poznamy i dojdziemy, co właściwie mamy tu robić. A poza tym, zobaczymy, czy to partnerstwo do czegoś się nadaje.

Jen odchodzi z kieliszkiem w dłoni do gromadki mężczyzn po drugiej stronie sali. Angel bawi się tabletem, obraca go w kółko w rękach, z niepewną miną. Alice zjada następny kawałek sera. Niedobrze mi, kiedy na nią patrzę – to coś jest obrzydliwe w smaku.

– Nie jestem przyzwyczajona do mieszkania z kimś – mówię powoli.

– To nic strasznego. – Cass kiwa głową. – Ale sposób dobrania się w pary jest bardzo wymuszony i arbitralny. Alice kładzie jej rękę na ramieniu, dodaje otuchy.

– Stosunki seksualne są tylko w domyśle – mówi. – Jeśli wybierzesz sobie męża i nie będziesz się z nim dogadywać, na pewno na tym spotkaniu w kościele da się wybrać innego.

– No, może. – Cass odsuwa się i zerka nerwowo na grupkę mężczyzn i jedną kobietę, śmiejącą się głośno, kiedy dwóch z nich próbuje dolać jej wina. – A może i nie.

Alice ma niezadowoloną minę.

– Ja muszę się dowiedzieć, o co w tej imprezie chodzi. – Odwraca się, idzie do drugiej grupy. Zostają więc z Cass i Angel. Angel, rozkojarzona, pośpiesznie przewija jakiś tekst na tablecie. Cass natomiast jest niespokojna.

– Spokojnie, nie będzie aż tak źle – mówię odruchowo.

Wzdryga się i obejmuje ramionami.

– Nie będzie? – pyta.

– No, nie wydaje mi się. – Starannie dobieram słowa. – To kontrolowany eksperyment. Jeśli czytałaś zgodę, widziałaś, że podstawowych praw się nie zrzekliśmy. Jeśli coś pójdzie bardzo źle, będą musieli interweniować.

– Co za ulga – mówi.

Patrzę na nią uważnie.

– Wiecie co, każda z nas musi sobie wybrać „męża” – zauważa Angel. – Ostatnia nie będzie miała specjalnego wyboru i zostanie jej ktoś, kogo wszystkie inne odrzuciły. Z dowolnego powodu. – Patrzy na nas z pokerową miną. – To na razie.

Wpatruję się w Cass.

– To, co wcześniej mówiłaś, o lodowych gbulach...

– Nieważne – ucina dyskusję, tnąc ręką powietrze. – Może Jen miała rację. – W jej głosie brzmi przygnębienie.

– Znałaś kogoś jeszcze, kto zgłosił się do eksperymentu? – pytam, a potem gryzę się w język.

Cass patrzy na mnie, marszcząc brwi.

– Oczywiście, że nie, inaczej by mnie nie dopuścili. – Potem odwraca wzrok, powoli i znacząco. Spoglądam tam, gdzie ona. W rogu sufitu wisi dyskretna czarna półkula. Cass prostuje ramiona. – Trzeba się przyłączyć do towarzystwa.

– Jeśli boisz się implikacji tego kojarzenia w pary, to może pomieszkamy razem przez parę dób – proponuję z bijącym sercem i spoconymi dłońmi. To naprawdę ty, Kay? Jestem tego prawie pewna, ale ona nie odezwie się słowem, w żadnym miejscu, gdzie może być monitoring. A jeśli zapytam i okaże się, że to nie ona, ryzykuję zdemaskowanie się przed kimś, kto mnie ściga, jeśli tu za mną wszedł.

– To chyba będzie niedozwolone – mówi ostrożnie. Delikatnie kiwa głową w moją stronę, potem wskazuje podbródkiem resztę, teraz już całkiem rozgadaną. – Pójdziemy, zobaczymy, kogo nam załatwili?

Okazuje się, że po drugiej stronie sali Jen skruszyła lody, domagając się, by wszyscy mężczyźni konkurowali o nią, nalewając jej wina i elegancko podając kieliszek. Nie można powiedzieć, że jest nawalona, ale wesolutka. Chyba skupiła się na Chrisie-z-drugiego-rzędu – wygląda na to, że jest trochę zażenowany jej zachowaniem, lecz nie ma wyjścia, bo Alice i Angel wzięły na celownik trzech innych, zostawiając go w szponach Jen. Duży, Sam, stoi sztywno, podpierając ścianę, i jest niemal tak skrępowany jak Cass. Zerkam na nią i widzę, że została z tyłu, po czym w myślach wzruszam ramionami i podchodzę do Sama, omijając rozjazgotane stado wokół Jen.

– Dusza towarzystwa, co? – mówię, wskazując brodą Jen.

– Eee... no tak. – Trzyma pusty kieliszek i nieco się chwieje. Może bołą go stopy. Trudno odczytać wyraz jego twarzy, mięśnie zasłania grzywa czarnych włosów wokół ust, ale nie wygląda na zadowolonego. Właściwie, gdyby podłoga rozstała się pod stopami i go pochłonęła, pewnie uśmiechnąłby się z ulgą.

– Posłuchaj. – Dotykam jego ramienia. Spina się, tak jak się spodziewałam. – Odejdźmy na chwilę, dobra?

Pozwala mi wyprowadzić się z roju ortohumanoidów usiłujących lawirować przez towarzyski pas asteroid.

– I jak ci się to podoba? – pytam cicho.

– Denerwuję się. – Jego wzrok biega ode mnie ku drzwiom i z powrotem.

To widać, myślę.

– Ja też się denerwuję. I Cass. – Wskazuję brodą gromadkę po drugiej stronie sali. – A pewnie nawet Jen.

– Czytałem część tego wprowadzenia. – Kręci głową. – Czegoś takiego się nie spodziewałem. I nie było tego...

– No. – Zaszło mi w ustach. Popijam wino i patrzę na Sama, kalkulując. Jest większy ode mnie. Jestem słaba fizycznie (niech no tylko dopadnę błazna, który ustawiał ten

parametr), ale on wydaje się dobrze zsocjalizowany, chyba że bardzo grubo się mylę. – Możemy to sobie ustawić po swojemu. Oczekują, że zamieszkamy z osobą innej płci. Rozgościmy się, poczytamy materiały, porobimy, o co proszą, a w niedzielę pójdziemy do kościoła, żeby zobaczyć, co tam u innych. Myślisz, że dasz radę, jeśli potraktujesz to jak pracę?

Sam pieczołowicie odstawia pusty kieliszek na stół i wyciąga tablet.

– Pewnie tak, ale tutaj piszą, że ta „rodzina nuklearna” to nie tylko instytucja ekonomiczna, chodzi także o seks. – Waha się przez moment. – W kwestiach bliskości nie jestem za dobry. Zwłaszcza z obcymi.

Dlatego jesteś taki spięty?

– To nie musi być problem. – Upijam kolejny łyk wina. – Posłuchaj... – Zauważam, że zerkam na kopułkę z kamerą (dzięki, Cass). – Ten dobór w pary na pewno nie jest na zawsze. Będziemy mieć okazję naprawić wszystkie pomyłki w pierwszą tę... no, niedzielę. A na razie... taki układ mi nie przeszkadza. Nie musimy uprawiać seksu, jeśli oboje nie chcemy. Zgoda?

Przez moment patrzy na mnie z góry.

– Może i się uda – mówi cicho.

Uświadamiam sobie, że właśnie wybrałam męża. Pozostaje nadzieja, że nie jest jednym z łowców...

A zakończenie imprezy jest rozczarowujące. Ktoś chyba obserwował dynamikę grupy przez tę kamerę, bo po paru hektosekundach nasze tablety podzwaniają, zwracając na siebie uwagę. Polecają nam przejść przez drzwi z tyłu sali wykładowej, parami, w przynajmniej dwusekundowych odstępach. Jesteśmy już w Ustroju YFH, w podsieci administracyjnej, za długodystansową bramką łączącą nas z Niewidzialną Republiką, a za tamtymi drzwiami jest jakiś układ krótkodystansowych bramek T, gotowych do przeniesienia nas do domów. Biorę więc Sama za rękę – jest ogromna, ale nie trzyma mnie mocno, a skórę ma trochę lepka – i prowadzę do drzwi.

– Gotowy? – pytam.

Kiwa głową, z nieszczęśliwą miną.

– No, miejmy to za sobą.

Krok.

– Za sobą? To zajmie jeszcze – krok – co najmniej trzy lata, nim będziesz to mieć „za sobą”!

I już stoimy, twarzą do jeszcze jednych drzwi, w bardzo małym pokoju, wypełnionym niewyobrażalną ilością gratów, on puszcza moją rękę i odwraca się.

– To już? – pytam, a mój głos unosi się do pisku.

4. Zakupy

Reeve i Sam Brown – to nie ich, lecz nasze prawdziwe nazwisko – są parą przedstawicieli klasy średniej z lat 1990-2010, z samego środka ciemnych wieków. Są tak zwanym „małżeństwem”, co oznacza, że mieszkają razem i zasadniczo żyją w związku monogamicznym, oficjalnie zatwierdzonym przez rząd ustroju oraz władze ideologiczne/religijne. Jest to komórka ciesząca się szacunkiem społeczeństwa.

Dla celów projektu naukowego, państwo Brown są aktualnie bezrobotni, choć posiadają oszczędności wystarczające na wygodne życie przez mniej więcej „miesiąc”, w tym czasie muszą jednak starać się znaleźć pracę. Niedawno przenieśli się na przedmieście, do domku z półpiętrzem i własnym ogródkiem – jak się zdaje, jest to szczątkowa instalacja ogrodnicza, utrzymywana ze względów estetycznych i zwyczajowych – przy drodze z pełnowymiarowymi drzewami po obu stronach, oddzielającymi go od innych, podobnych z wyglądu domów. „Droga” to pozbawiony ścian korytarz transportowy, umożliwiający transport naziemny autami i ciężarówkami. („Auta” chyba gdzieś kiedyś widziałam, ale co to jest „ciężarówka”?). W tym miejscu symulacja się kończy – choć całe otoczenie ma naśladować powierzchnię planety, „niebo” jest wyświetlaczem wiszącym dziesięć metrów nad naszymi głowami, a „droga” po dwustu metrach w każdą stronę znika w tunelach, kryjących wejścia do bramek T. Ściany komory są obsadzone roślinnymi barierami utrudniającymi dostęp do nich. Symulacja jest całkiem przyzwoita, jeśli wziąć pod uwagę, że, według tabletu, naprawdę mieści się w paru walcowatych habitatach (orbitujących w pasach akrecyjnych trzech czy czterech brązowych karłów, odległych od siebie o setki miliardów kilometrów próżni), ale prawdziwe to nie jest.

A nasz dom...

Wychodzę z szafy, w której zmaterializowaliśmy się z Samem, i się rozglądam. Szafa znajduje się w czymś w rodzaju szopy: chropowate ceramiczne kafle na podłodze i cienkie, przezroczyste panele w ścianach (według Sama zwane „oknami”) przytrzymywane kratką białych plastikowych pasków, zakrzywiających się u góry. Wszędzie jest pełno rzeczy. Ze ścian zwisają koszyczki z małymi, kolorowymi roślinami, drzwi – zrobione z pasków drewna sprytnie zazębiających się wokół przezroczystej płytki – i tak dalej. Pod drzwiami leży, nie

wiadomo dlaczego, mata z czegoś przypominającego szorstki dywan. Otwieram drzwi, a to, co widzę, jest jeszcze bardziej dezorientujące.

– Myślałam, że to ma być mieszkanie – mówię.

– Nie byli za dobrzy w prywatności. – Sam rozgląda się, jakby próbował zidentyfikować, które artefakty coś mu mówią. – Nie znali anonimowości w przestrzeni publicznej. Ani bramek T. Dlatego całą prywatną przestrzeń skupiali w domu, w jednym miejscu. To się nazywa „budynek” i ma dużo pomieszczeń. To jest tylko przedsionek.

– Skoro tak mówisz. – Czuję się jak kretynka. Wchodzę do domu i łąduję w korytarzu z drzwiami po trzech stronach. Łążę od pokoju do pokoju, sapiąc z niedowierzaniem.

Starożytni znali dywany. Są wystarczająco grube, by wytłumić denerwujące klik-klak moich butów. Ściany są pokryte jakąś drukowaną tkaniną, statyczną, ale dość miłą dla oka. Okna w pokoju od frontu wychodzą na ziemny garb obsadzony kolorowymi kwiatkami, a te z tyłu na połąć krótko przyciętej trawy. We wszystkich pokojach jest pełno mebli, przysadzistych, ciężkich, zrobionych z kawałów drewna, metalu i czegoś, co, jak zakładam, chyba jest diamentem konstrukcyjnym. Mieli hopla na punkcie kątów prostych, relegując krzywe do drobnych przedmiotów i jakichś nieokreślonych, martwych z wyglądu machin. Z tyłu domu jest jeden pokój, gdzie znajduje się wiele metalowych powierzchni, stoi coś przypominającego otwarty zbiornik na wodę, a na wszystkich szafkach są rozstawione dziwne urządzenia. Natomiast w małym pokoiku pod schodami jest rozpoznawalna, choć na oko prymitywna wysokograwitacyjna toaleta.

Kręcę się po korytarzu na piętrze, próbując dojść przeznaczenia poszczególnych pokoi. Dzielili je według zastosowania, choć zdaje się, że większość służy do różnych celów. Jeden to chyba łazienka, ale jest za duża i chyba się zawiesiła – wysunięte i nieruchome są wszystkie moduły higieniczne naraz. W paru pokojach są powierzchnie do spania i wielkie drewniane szafy. Zaglądam do jednej – nie ma w niej nic poza drążkiem ciągnącym się od końca do końca. Wisi na nim jakby wspornik na haczyku.

Bardzo to wszystko zagadkowe. Siadam na łóżku i wyciągam tablet, który właśnie brzęknął sygnałem. Co teraz? – zastanawiam się.

Tablet wypączkowuje przycisk, strzałkę i mówi: **ABY OTRZYMAĆ OPIS, WSKAŻ PRZEDMIOT.**

Okay, więc mają system pomocy, myślę. Z ulgą wskazuję nim pudełkowatą szafę i naciskam guzik.

SZAFKA NA UBRANIA. Pomieszczenie do przechowywania ubrań przed użyciem. Uwaga: używane ubrania można oczyścić przy użyciu PRALKI, która znajduje się w KOTŁOWNI w piwnicy. Jako nowo przybyli, macie tylko jeden komplet ubrań. Sugerowane zadanie na jutro – pojechać do centrum i kupić nowe ubrania.

Swędzą mnie stopy. Odruchowo zrzucam z nóg buty, z przyjemnością pozbywając się denerwujących obcasów. Potem zsuwam z ramion czarny żakiet bez kieszeni i chowam go w szafie, wieszając na zwisającym z drążka ustrojstwie z haczykiem. Wygląda tam bardzo samotnie i nagle czuję się strasznie dziwnie. Wszystko tu jest takie cudaczne. Jak Sam to znosi? – zastanawiam się z obawą; na przyjęciu zapoznawczym czuł się nieszczególnie, więc jeśli to wszystko jest dla niego równie dziwaczne, jak dla mnie...

Zanim zejść na dół, czekam aż przestanie mi się kręcić w głowie. (Po drodze wpada mi do niej pewna myśl. Czy w „domu” nosi się to samo ubranie, co na zewnątrz? Ci goście mieli osobowości wyraźnie rozdwojone na prywatną i publiczną – pewnie mieli także inne stroje na okazje oficjalne i nieoficjalne). W rezultacie żakiet zostawiam na górze, ale z odrobiną żalu wkładam z powrotem buty.

Sama zastaję w salonie, rozwalonego w rogu ogromnej sofy, naprzeciwko sporego czarnego pudła z zakrzywioną soczewką, wyświetlającą kolorowe, choć płaskie obrazy. Wydaje głośny, niewyraźny dźwięk.

– Co to? – pytam, a on podskakuje prawie pod sufit.

– Nazywa się „telewizor” – odpowiada. – Oglądam mecz.

– Aha.

Obchodzę sofę i siadam w jej połowie, na tyle blisko, żeby móc wziąć go za rękę, ale na tyle daleko, by siedzieć oddzielnie, jeśli tego zechcemy. Patrzą na ruchome obrazki. Jakieś mechy – nie, to chyba są ortosi, mężczyźni, tak? W zbrojach. Tworzą stojące naprzeciwko siebie grupy. Są oznaczeni kolorami.

– Czemu to oglądasz? – pytam.

Jeden z nich rzuca drugiej grupie ortosów coś niebezpiecznie podobnego do miny szturmowej. Tamci próbują się na nią rzucić. Potem zaczynają biegać i walczyć o panowanie nad miną. Po jakimś czasie ktoś gwizdże gwizdkiem i znów rozlega się ten ryk – teraz uświadamiam sobie, że wydaje go tłum oglądający ten... rytuał? Autoegzekucję na wyścigi? Grę? – z rzędów siedzeń z tyłu.

– To podobno była popularna rozrywka. – Sam kręci głową. – Pomyślałem, że popatrzę, może coś zrozumieć...

– Co mamy przede wszystkim zrozumieć? – pytam, nachylając się ku niemu. – Eksperyment czy to, jak w nim żyć?

Wzdycha, podnosi czarny prostokąt z guzikami, wskazuje nim czarne pudło i czeka, aż obraz zgaśnie.

– Tablet powiedział, że powinienem spróbować – przyznaje.

– A mój powiedział, że jutro mamy pojechać i kupować ubrania. Mamy tylko to, co na sobie, a te rzeczy chyba szybko się brudzą i zaczynają śmierdzieć. Nie możemy po prostu ich wyrzucić i zrobić nowych, trzeba je kupować w mieście. – Przychodzi mi coś do głowy. – A kiedy człowiek jest głodny, to co się robi?

– Jest kuchnia. – Wskazuje brodą drzwi do pokoju z zagadkowymi urządzeniami. – Ale jeśli nie umiesz jej używać, można zamówić jedzenie przez telefon. Taka sieć, ale tylko głosowa.

– Jak to, „nie umiesz jej używać” – pytam go, unosząc brwi.

– Powtórzyłem, co powiedział tablet. – Sam przybiera obronny ton.

– Pokaż no.

Podaje mi. Szybko czytam tekst, na który patrzył. Obowiązki domowe: ludzie w ciemnych wiekach, kiedy żyli razem, rzekomo dzielili się pracą według płci. Mężczyźni wykonywali płatne zajęcia; od kobiety oczekiwano, że będzie sprzątać i porządkować dom, kupować i przygotowywać jedzenie, kupować ubrania, czyścić je i obsługiwać domowe urządzenia, podczas gdy mężczyzna pracował.

– Gówna prawda! – mówię.

– Myślisz? – Patrzy na mnie dziwnie.

– Raczej tak. Wzięte żywcem z najprymitywniejszych ludzkich kultur. Żadnemu zaawansowanemu społeczeństwu nie przyszłoby do głowy zostawianie w domu połowy siły roboczej i arbitralne dzielenie pracy. Nie wiem, z jakich źródeł oni wzięli te bzdury, ale wygląda to mało wiarygodnie. Gdybym miała zgadywać, to pewnie jakieś radykalnie normatywistyczne dokumenty wzięli za opisowe. – Stukam palcem w jego tabliczkę. – Zanim wezmę to za dobrą monetę, chcę zobaczyć wyniki jakichś poważnych badań socjologicznych. My w każdym razie nie musimy żyć w ten sposób, nawet jeśli tak nakazują większości zombiaków w swoim ustroju. To tylko ogólna wytyczna, w każdej kulturze jest pełno odstępstw.

Sam się nad czymś zastanawia.

– Według ciebie, źle to urządzili?

– No, pewności nie mam, dopóki nie zobaczę źródeł i nie sprawdzę, jakie mają skrzywienie. Ale nie ma mowy, żebym wykonywała wszystkie prace domowe. – Uśmiecham się szeroko, łagodząc to stwierdzenie. – Mówiłeś, że można zamówić jedzenie za pomocą „telefonu”?

* * *

Kolacja ma postać okrągłego, płaskiego, pieczonego placka, zwanego „pizzą”. Jest na nim ser, ale także przecier pomidorowy i inne rzeczy, dzięki którym da się ją przełknąć. Całość jest tłusta, gorąca i przychodzi krótkodystansową bramką w szafce na werandzie, a nie żadną „ciężarówką”. Jestem trochę rozczarowana, ale uznaję, że ciężarówka może poczekać do jutra.

Po kolacji Sam się odpręża. Zdejmuję buty, rajstopy i przekonuję go, że lepiej się poczuje bez marynarki i tego tak zwanego „krawata” – zresztą nie muszę specjalnie go przekonywać.

– Pojęcia nie mam, po co to nosili – skarży się.

– Później poszukam jakichś materiałów. – Cały czas siedzimy na sofie, opierając na kolanach otwarte pudełka z pizzą i jedząc palcami gorące, tłuste kawałki. – Sam, czemu zgłosiłeś się do eksperymentu?

– A bo co? – Robi spanikowaną minę.

– Jesteś nieśmiały, nie radzisz sobie w sytuacjach towarzyskich. A z góry mówili nam, że trzeba będzie żyć w społeczeństwie z ciemnego wieku przez jedną dziesiątą giga, bez możliwości wyjścia. Nie przyszło ci do głowy, że to mało rozsądne?

– To dosyć osobiste pytanie. – Zaplata ręce na piersi.

– Właśnie. – Wbijam weń wzrok.

Przez moment ma tak smutną minę, że chciałabym cofnąć te słowa.

– Musiałem uciec – mruczy.

– Od czego?

Odkładam swoje pudełko na podłogę i idę po dywanie do dużego, drewnianego mebla z szufladami i szafkami pełnymi butelek z alkoholem. Biorę dwa kieliszki, otwieram butelkę, wącham zawartość – i tak nic nie wiadomo, dopóki się nie spróbuje – i nalewam. Potem niosę je z powrotem na sofę i podaję mu jeden.

– Kiedy wyszedłem z rehabilitacji... – Gapi się w telewizor, co dziwne, bo machina jest wyłączona. Pod butami ma coś w rodzaju krótkich, grubych pończoch. Nerwowo wygina palce stóp. – Poznawało mnie za dużo ludzi. Bałem się. Myślę, że to moja wina, ale gdybym został, mogliby mi coś zrobić.

– Coś zrobić?

Sam jest wielki, ma gęste włosy, nie porusza się zbyt szybko i robi wrażenie bardzo łagodnego. Myślałam, że poszczęściło mi się z nim – w tych nuklearnych związkach łatwo jest się nad kimś poznęcać, on jednak jest tak nieśmiały i wycofany, że w ogóle nie widzę problemu.

– Byłem trochę stuknięty – mówi. – Wiesz, niektórzy ludzie po głębokiej resekcji pamięci przechodzą fazę psychopatii dysocjacyjnej. Było naprawdę strasznie. Zapominałem się zbackupować, wszczynałem walki i ludzie ciągle musieli zabijać mnie w samoobronie. Zrobiłem z siebie kompletnego idiotę. A kiedy to przeszło... – Kręci głową. – Czasem po prostu masz ochotę się schować. Może po prostu trochę za dobrze się schowałem.

Patrzę na niego uważnie. Nie wierzę ci, decyduję.

– Wszyscy od czasu do czasu robimy z siebie idiotów – mówię, próbując nadać temu spostrzeżeniu ton pociechy. – Proszę, spróbuj. – Unoszę kieliszek. – Napisane było „wódka”.

– Za zapomnienie. – Unosi kieliszek. – I za jutro.

Budzę się sama w obcym pokoju, leżę na podwyższeniu do spania, pod workiem z tkaniny wypchanym jakimiś włóknami. Przez kilka panicznych chwil nie pamiętam, gdzie jestem. Boli mnie głowa, w oczy jakby ktoś sypnął piaskiem: jeśli tak ma wyglądać życie w ciemnych wiekach, to je sobie zabierzcie. Ale przynajmniej nikt nie chce mnie teraz zabić,

powtarzam sobie, starając się znaleźć jakieś jasne strony. Wytaczam się z łóżka, przeciągam i idę do łazienki.

Wszystko przez to, że jestem taka rozkojarzona. Po drodze zderzam się z Samem. Jest nagi, ma zmęczony wzrok, wygląda na śpiącego, a ja po prostu rozplaszczam mu się na piersi.

– Oj – mówię.

– Dobrze się czujesz? – pyta jednocześnie.

– Chyba tak. – Odsuwam go o parę centymetrów, zadzieram głowę i patrzę mu w twarz. – Przepraszam. A ty?

Ma niespokojną minę.

– Mieliśmy kupić sobie ubrania i, eee... rzeczy. Prawda?

Z nagłym zdenerwowaniem uświadamiam sobie, że oboje jesteśmy nadzy, a on jest większy ode mnie i cały owłosiony.

– No, mieliśmy – mówię, patrząc na niego nieufnie. Tyle włosów: normalnie nie zdecydowałabym się na kogoś tak mało eleganckiego, po czym uświadamiam sobie, że on też patrzy na mnie, jakby pierwszy raz widział mnie na oczy.

Sytuacja jest delikatna, potem jednak on kręci głowę, rozładowując napięcie.

– Tak. – Ziewa. – Mogę iść pierwszy do łazienki?

– Pewnie.

Robię krok w bok, przeciska się obok mnie. Odwracam się, patrzę za nim. Nie jestem pewna, co czuję, dzieląc „dom” z nieznanym, który jest większy, silniejszy i sam przyznał się do epizodów przemocy w przeszłości. Ale... chyba nie mnie go krytykować. Znając się z Kay mniej więcej tyle czasu, byliśmy już razem na szalonej orgii, pieprzyliśmy się do upadłego – jeśli to nie jest impulsywne zachowanie, to już nie wiem... może i Sam ma rację. W naszej sytuacji seks jest nieprzyjemną komplikacją, zwłaszcza gdy jeszcze nie wiemy, jakie naprawdę są reguły. O ile są jakieś reguły. Do głosu próbują dojść niewyraźne wspomnienia: mam wrażenie, że przed operacją miałam związki zarówno z mężczyznami, jak i kobietami. Może i bi, może i poli – nie pamiętam. Kręcę głowę i wracam do pokoju, żeby wbić się w kostium.

Przygotowując się, biorę do ręki tablet. Mówi mi, żebym zajrzała do szafy na werandzie. Schodzę na dół i stwierdzam, że na werandzie jest strasznie zimno – czy ci ludzie nie mieli sensownych systemów podtrzymywania życia? – a kredens, który wczoraj mieścił w środku bramkę T, teraz ma tam ślepa ścianę i parę półek. Na jednej leży para niewielkich torebek z nieinteligentnej tkaniny. Mają masę kieszonek, a kiedy otwieram jedną z nich, widzę, że jest pełna plastikowych prostokątów z liczbami i nazwiskami. Tablet mówi mi, że to „karty kredytowe” i możemy z ich pomocą uzyskać „gotówkę” albo płacić nimi za towary i usługi. Prymitywne i niewygodne, ale i tak je biorę. Odwracam się od drzwi, wtedy nagle dzwoni mi netlink.

– Eee? – Rozglądam się. Kiedy zerkam na portfele w mojej dłoni, zapala się nad nimi

jaskrawoniebieski kursor, a netlink mówi: DWA PUNKTY. – O co kur... – Staję jak wryta.
Tablet wydaje sygnał.

Instrukcja: społeczne punkty są przyznawane i odbierane za zachowania zgodne lub niezgodne z publicznymi normami. To jest pierwszy przykład. Twoja społeczna punktacja może także spadać lub rosnać w zależności od zbiorczego wyniku całej twojej kohorty. Po zakończeniu symulacji wszyscy badani otrzymają premię pieniężną proporcjonalną do ich punktacji; kohorta z najlepszym wynikiem otrzyma dodatkową premię w wysokości 100% ich wypłat.

– No i dobra. – Biegnę z powrotem, żeby dać Samowi jego portfel.

Kiedy wchodzę do środka, on już schodzi na dół.

– Proszę – mówię, pokazując mu oba portfele – ten jest twój. Możesz je nosić, dopóki nie kupię sobie takiej torby na ramię? Nie mam gdzie włożyć swojego.

– Jasne. – Bierze rzeczy. – Czytałaś instrukcję?

– Zaczęłam... potrzebowałam coś poczytać na sen. No to... a jak się jedzie do miasta?

– Wezwałem taksówkę. Przyjedzie po nas za chwilę.

– Dobra. – Lustruję go od stóp do głów. Włożył z powrotem swój kostium, dalej źle na nim leży. Mimo woli stukam niecierpliwie palcami stóp. – Najpierw ubrania. Dla ciebie i dla mnie. Gdzie pojedziemy? Wiesz, gdzie sprzedają takie rzeczy?

– Jest coś, co nazywa się „dom towarowy”, instrukcja mówiła, żeby od tego zacząć. Może znajdziemy też inne sklepy.

– Hm. – Przychodzi mi coś do głowy. – Głodna jestem. Myślisz, że tam będzie jakiś lokal z jedzeniem?

– Może.

Przed drzwiami pojawia się coś dużego i żółtego.

– To to? – pytam.

– A ja wiem? – Wygląda na zdenerwowanego. – Chodź, zobaczymy.

Ten żółty sprzęt to taksówka, auto, które wynajmuje się na hektosekundy. Z przodu siedzi człowiek-operator, z tyłu jest coś jakby tapicerowana ławeczka do siedzenia. Wchodzimy, Sam nachyla się ku kierowcy.

– Proszę nas zawieźć do najbliższego domu towarowego – mówi.

Operator kiwa głową.

– Do Macy's. W centrum. To będzie pięć dolarów.

Gdy wyciąga rękę, zauważam, że ma idealnie gładką skórę i brak mu paznokci. To zombiak? – zastanawiam się. Sam wyciąga „kartę kredytową”, operator przeciąga ją między palcami i oddaje. Sam siada wygodniej, maszyna szarpie i jedziemy. Taksówka wydaje rozmaite odgłosy, tak głośne, że boję się, że za chwilę nastąpi awaria – pod spodem coś

głośno łomocze, z przodu warczy – ale wyjeżdżamy na drogę i przyśpieszamy ku tunelowi. Chwila ciemności – i jesteśmy gdzie indziej, jedziemy drogą pomiędzy dwoma rzędami budynków o szarych fasadach. Taksówka staje, drzwi obok Sama otwierają się ze szczęknięciem.

– Jesteśmy w centrum – mówi operator. – Proszę wysiadać.

Sam marszczy czoło nad tabletem, potem się prostuje.

– Tędy – mówi, po czym rusza ku jednemu z najbliższych budynków, który ma na dole rząd drzwi.

Idę za nim.

W sklepie od razu się gubię. Wszędzie jest tyle rzeczy, spiętrzonych w stosy, poukładanych w koszach, a między tym wszystkim łązi mnóstwo ludzi. Ci w dziwnych mundurach to obsługa sklepu, jej zadaniem jest pomóc ci znaleźć towar i wziąć od ciebie pieniądze. Nie ma tu asemblersów i katalogów – podejrzewam, że mogą sprzedać tylko to, co widać – dlatego pewnie wszędzie pełno towarów. Pytam kogoś z obsługi, gdzie znajdę ubrania, i słyszę odpowiedź:

– Na trzecim piętrze, proszę pani.

W środkowej części, pod wysokim sufitem, są ruchome schody, ruszam więc na trzeci poziom i się rozglądam.

Ubrania. Masa ubrań. Więcej naraz niż sobie kiedykolwiek wyobrażałam – i wszystkie zrobione z głupiego włókna, bez możliwości wyszukania tego, czego chcesz, i dostosowania do odpowiedniego rozmiaru! Jak oni w ogóle byli w stanie znaleźć to, czego im potrzeba? Pomyłony system – ładujesz wszystko do wielkiego budynku i niech kupujący wybierają sobie na chybił trafił. Jest tu jeszcze parę osób, które spacerują i macają towary, lecz kiedy podchodzę do nich, okazują się zombiakami udającymi normalnych ludzi. Nikt inny jeszcze tu nie dotarł. Chyba musieliśmy wcześniej wstać.

Wędruję przez las obwieszonych żakietami stojaków, aż spotykam zombiaka z obsługi.

– Ej – mówię. – Co się dla mnie nadaje?

Wygląda jak ortohumanoidalna kobieta, nosi niebieską spódnicę i żakiet oraz te buty o niewygodnych obcasach. Uśmiecha się do mnie po robociemu.

– A jakich produktów pani potrzebuje?

– Potrzebuję... – Waham się. – Bielizny. – Te rzeczy nie czyszczą się same. – Żeby wystarczyło na tydzień. I trochę par pończoch... – skoro ta na lewej nodze już mi się podarła – i jeszcze komplet identyczny, jak ten, który mam na sobie. I buty... Mogę dostać spodnie?

– Proszę czekać. – Sprzedawca zamiera. – Proszę tędy. – Prowadzi mnie do pulpitu obok wystawy z posągami w powiewnych, długich sukienkach, z drzwi w ścianie wychodzi inny zombiak objuczony paczkami. – Oto pani zamówienie. Spodnie, produkt niedostępny w tym dziale. Proszę podać szablon, a dostarczymy ubranie w odpowiednim rozmiarze.

– O. – Rozglądam się. – Mogę tu coś sobie wybrać?

– Tak.

Przez parę kilosekund spaceruję po sklepie, wypatrując jakichś nadających się ciuchów. Spodni mają tu bardzo mało i wszystkie na oko uszkodzone – zrobione z grubego niebieskiego materiału i porozdzierane na kolanach. W końcu łąduję w innym dziale sklepu, gdzie widzę na stojakach spodnie. Byłyby w sam raz, proste, czarne, bez żadnych dziur.

– Poproszę takie w moim rozmiarze – mówię do najbliższego sprzedawcy, mężczyzny.

– Produkt niedostępny w damskim rozmiarze – mówi.

– Aha. Świetnie. – Drapię się po głowie. – Możecie go przerobić?

– Produkt niedostępny w damskim rozmiarze – powtarza. Netlink mi dzwoni. Nad wieszakiem ze spodniami pojawia się czerwona ikona: NARUSZENIE NORMY SPOŁECZNEJ.

– Hm. – Czyli są ograniczenia, co mi sprzedadzą, a co nie? To się robi irytujące. – Czy możecie dać mi takie w moim rozmiarze? Są dla mężczyzny o dokładnie takim wzroście, jak ja.

– Proszę czekać.

Czekam, niecierpliwiąc się. W końcu z dyskretnych drzwi w ścianie sklepu wyłania się mężczyzna z obsługi z pakunkiem.

– Pani prezent, proszę.

– Aha. – Powstrzymując uśmiech, biorę spodnie, przypominam sobie o tych denerwujących butach i jak... – Proszę mnie zaprowadzić do działu z butami. Chcę buty w moim rozmiarze, dla mężczyzny...

Płacąc „kartą kredytową”, zarabiam następne punkty społeczne: jak dotąd mam ich pięć.

Sama znajduję jakieś pięć kilosekund później w dziale mebli. Oboje jesteśmy potwornie objuczeni torbami, ale on kupuje przenośny pojemnik zwany „walizką” i pakujemy do niego większość zakupów. Ja kupiłam sobie torbę na ramię i parę butów do kostek z miękkimi podeszwami, nie klekocących przy chodzeniu – poprzednie wetknęłam do torby, na wypadek gdyby miały się kiedyś przydać – i chodzi mi się teraz o wiele wygodniej.

– Chodź, rozejrzyjmy się, gdzie by można coś zjeść – proponuje Sam.

– No dobra.

Naprzeciwko Macy’ego, po drugiej stronie ulicy, jest lokal z jedzeniem, prawie jak prawdziwy, z tym, że dania przynosi ludzka (no, zombiacka) obsługa i podobno są przygotowywane przez innych ludzi w kuchni. Na szczęście to tylko symulacja, bo zrobiłoby mi się mocno niedobrze. Przed dalekimi misjami bojowymi uczą, jak syntetyzować jedzenie z odpadków biologicznych albo martwych towarzyszy, ale to zupełnie inna sprawa. To ma być cywilizacja, czy coś w tym rodzaju. Zamawiamy z menu wydrukowanego na arkuszu białej folii, potem siadamy i czekamy na jedzenie.

– Jak tam twoje zakupy? – pytam Sama.

– Nie najgorzej – mówi ostrożnie. – Kupiłem sobie bieliznę. I trochę spodni i koszulek.

Tablet mówi, że jest bardzo dużo społecznych konwencji dotyczących ubrań. Jakieś rzeczy można nosić, innych nie można, inne trzeba. Strasznie to zamotane.

– Mów mi jeszcze. – Opowiadam mu o kłopotach z zamówieniem spodni bez dziur.

– Piszą... – Wyciąga tablet. – O, jest. Konwencje społeczne. Nie było to skodyfikowane, ale na początku ciemnych wieków kobietom nie wolno było nosić spodni, a mężczyznom spódnic. – Marszczy czoło. – Mówią także, że te zwyczaje zmieniły się mniej więcej w połowie okresu.

– Będziesz się trzymać instrukcji? – pytam, kiedy podchodzi zombiak i stawia koło naszych nakryć po szklance bladożółtego płynu zwanego piwem.

– Zawsze mogą nas ukarać punktami – mówi, wzruszając ramionami. – Ale chyba masz rację. Nie musimy robić niczego, co nam nie odpowiada.

– Racja. – Zadzieram prawą nogę i kładę stopę na stół. – Zobacz.

– But. Wysoki.

– Z działu męskiego. Ale dopasowali go dla mnie, kiedy powiedziałam, że to prezent dla mężczyzny, który ma ten sam rozmiar.

– O.

Uświadamiam sobie, że pokazuję nogę z rozdartą pończochą, i chowam ją pod stół.

– Są ograniczenia, choć trochę autonomii mamy. Ale jak już tu jesteśmy, to chyba możemy sobie żyć, jak chcemy, nie?

Przynoszą talerze z jedzeniem – syntetyczne steki, sztuczne warzywa zaprojektowane tak, jakby wyrosły w błotnistym zakątku dzikiej biosfery, oraz miseczki z jaskrawymi przyprawami. Przez chwilę zajmuję się tylko swoim talerzem. Jestem naprawdę głodna, a jedzenie jest smaczne, choć trochę za proste. Przynajmniej nie umrzemy tutaj z głodu. Szybko się nasycam.

– Nie wiem, czy się da – mamrocze Sam z pełnymi ustami. – No wiesz, ta punktacja...

– Niczego nam nie zabrania – przerywam mu, odsuwając od siebie talerz. – Musimy tylko się umówić, że nie zwracamy na nią uwagi, i możemy robić, co chcemy.

– Chyba tak. – Widelcem pakuje do ust kolejny kawałek steku.

– A zresztą, nie mamy pojęcia, co właściwie jest wykroczeniem. No, rozumiesz: co właściwie trzeba zrobić, żeby stracić punkt? Albo zarobić? Tego nam nie powiedzieli, kazali tylko „przestrzegać reguł i zbierać punkty”. – Dźgam widelcem w jego stronę. – W tabletach mamy te wszystkie teksty informacyjne, tyle pierdoł o społeczeństwie zdeterminowanym genetycznie i wszystkich tych durnych zwyczajach, ale nie rozumiem, jak to może na nas wpływać, jeśli sami nie chcemy. Każde społeczeństwo ma trochę elastyczności, a ci goście po prostu wzięli pierwszą z brzegu wąską, normatywną interpretację, jaka wpadła im w ręce. Jak dla mnie, pewnie z lenistwa.

– A co inni sobie pomyślą? – pyta.

– Co sobie pomyślą? – Wytrzeszczam na niego oczy. – Będziemy tu przez sto mega.

Naprawdę myślisz, że premia na koniec będzie dla nich ważniejsza niż, powiedzmy, konieczność noszenia przez trzy lata butów z durnymi szpicami, od których bolą nogi?

– Zależy. – Sam odkłada nóż. – Wszystko to zależy od tego, jaki będzie punkt równowagi między wygodą kosztem komfortu innych ludzi a własnym przyszłym bogactwem. – Zastanawia się nad czymś. – Ten protokół jest... interesujący.

– No dobra. – Wstaję. – To go przetestujemy. – Strząsam żakiet, kładę go na oparciu krzesła.

Paru jedzących zombiaków się ogląda.

– Ej, patrzcie! – krzyczę. Rozpinam zamek sukienki, zsuwam ją do kostek.

Sam jest zszokowany. Obserwując jego twarz, sięgam za siebie i odpinam biustonosz, zrzucam go, po czym wchodzę na krzesło i ściągam pończochy i stringi.

– Patrzcie na mnie!

Sam unosi na mnie wzrok, a gdy widzę jego minę, twarz zaczyna mi płonąć...

Wtem w moim polu widzenia rozlewa się czerwony błysk, netlink piszczy głośno jak alarm dekompresyjny, którego uczymy się bać, zanim jeszcze umiemy chodzić. MINUS DZIESIĘĆ PUNKTÓW ZA PUBLICZNE OBNAŻENIE – mówi.

Gdy rozjaśnia mi się przed oczyma, widzę, jak kelnerzy i szef sali lecą ku mnie z ręcznikami i fartuchami, żeby tylko coś zrobić, cokolwiek, żeby zakryć ten straszny widok. Sam ciągle patrzy na mnie z dołu – teraz nie tylko ja się rumienię. Schodzę z krzesła, trzech czy czterech zombiaków-mężczyzn, wszyscy więksi ode mnie, zbiera się wokół, łapie mnie za ramiona i niesie gdzieś na zaplecze. Powstrzymuję odruchowy wrzask: „Nie mogę się ruszyć!”. Oni jednak niosą mnie prosto do damskiej toalety, po czym tylko wpychają za drzwi i zostawiają. Chwilę później, gdy jeszcze łapię oddech, drzwi otwierają się ponownie i ktoś ciska mi pozbierane ciuchy.

„Minus dziesięć punktów za naruszenie porządku publicznego”, intonuje mój netlink. Wezwano policję. Funkcja pomocy radzi naprawić wykroczenie w ubiorze i wyjść.

Cholera, cholera... Przez chwilę mozolę się z sukienką, wciągając ją przez głowę, a potem wciskam ramiona w żakiet. Bielizna może poczekać – nie wiem, co to ta „policja”, ale nie brzmi to dobrze. Otwieram drzwi i wyglądam zza rogu – nie ma nikogo, tylko krótki korytarz z drzwiami prowadzącymi do restauracji i drugimi z napisem WYJŚCIE EWAKUACYJNE. Otwieram je i ląduję w wąskim zaułku pełnym pojemników na kółkach. Śmierdzą rozkładającym się jedzeniem. Trochę się trzęsąc, idę uliczką do końca, potem skręcam w lewo i znów w lewo.

Na ulicy wpadam prosto na Sama.

– Teraz będziesz poważnie traktować protokół? – syczy mi do ucha. – Mało mnie nie aresztowali!

– Aresztowali? Co to znaczy?

– Policja – dyszy ciężko. – Mogą cię zabrać i zamknąć. To się nazywa „areszt”. – Ciągle

ma czerwoną twarz i jest wyraźnie zdenerwowany. – Mogli ci coś zrobić.

Wzdrygam się.

– Jedźmy do domu – mówię.

– Zawołam taksówkę – burczy. – Na jeden dzień już dosyć narozrabiałaś.

* * *

Sam kupił sobie przedmiot zwany „telefonem komórkowym” – to kieszonkowy zamiennik wielkiego terminalu sieciowego, podłączonego kablem do ściany. Trzyma go w kieszeni. Mówi coś do niego i za parę hekto podjeżdża taksówka. Idziemy do domu, Sam wpada do salonu, zostawiając walizkę w przedpokoju, i włącza telewizor. Przez chwilę chodzę na palcach, w końcu zaglądam – ma lekko zdziwioną minę, ale jest pochłonięty oglądaniem meczu futbolowego.

Spędzam trochę czasu w sypialni, czytając swój tablet. Pełno w nim rad na temat życia w ciemnych wiekach, ale kompletnie nie mają sensu – po odarciu ze społecznego kontekstu i historii, która tłumaczy, jak wykształcił się dany zwyczaj, większość tego, co robili, wydaje się nieuzasadniona i głupia. Ciągłe męczy mnie, że eksperyment w restauracji ugodził we mnie rykoszetem (jak to możliwe, żeby w kontekście racjonalnego społeczeństwa nienoszenie ubrania było aż tak niebezpieczne?), po chwili jednak uświadamiam sobie, że rano, kiedy chodziłam nago po domu, nie dostałam kopa. Zdejmuję więc ciężkie buty, potem sukienkę, która już trochę zalatuje. Schodzę na dół, zabieram zakupy i zanoszę je do pokoju. Układam je w szafie. Jest w niej miejsce na dziesięć razy tyle rzeczy. Zdumiewające. Nie mam ochoty przymierzać teraz nowych kostiumów. Czuję się parszywie. Sam ostentacyjnie nie zwraca na mnie uwagi (to pewnie reakcja obronna), żyjemy w zwariowanym, bezsensownym eksperymencie i dopiero pojutrze dowiem się, czy pozostali też widzą ten absurd.

Właśnie czytam w tablecie wyjaśnienie, jak w ciemnych wiekach działały zajęcia – to znaczy, przepraszam, „praca”, głowiąc się nad tym trochę, kiedy na niskim stoliku koło łóżka zaczyna coś dzwonić. Zerkam tam i widzę, że tablet błyska: ODBIERZ TELEFON.

O, nie wiedziałam, że mam coś takiego. Szperam wokół przez chwilę, po czym znajduję spore ustrojstwo na sznurze, które trzeba trzymać przy twarzy.

– Tak? – odzywam się.

– R... Reeve! To ty?

– Cass? Kay? – pytam, z początku myląc imiona.

– Reeve! Musisz pomóc mi stąd uciec! Jemu odbiło. Jeśli tu zostanę, na pewno znowu mnie uderzy. Muszę się wynieść.

Słyszałam już wcześniej panikę w głosie i to jest to. Cass (Kay? – upiera się jakiś zakątek umysłu) jest zdesperowana. Ale czemu?

– Gdzie jesteś? – pytam. – Co się dzieje? Uspokój się i wszystko mi powiedz.

– Muszę stąd uciec – powtarza z naciskiem, łamiącym się głosem. – On zwariował!

Przeczytał wszystkie podręczniki, uparł się, że chce dostać tę premię na koniec i jeśli będzie musiał, to zmusi mnie do robienia wszystkiego tak, jak w instrukcji. Dziś rano poszedł sobie, zamknął mnie i zabrał mi portfel – i ciągle go ma – a kiedy wrócił, zagroził, że mnie pobije, jeśli nie zrobię mu jedzenia. Twierdzi, że maksa można wyrobić tylko jeśli kobieta będzie się słuchać mężczyzny, a jak nie będę robić, co każe instrukcja, to mnie pobije... Cholera, idzie tu.

Klik.

Stoję ze słuchawką w ręce, w przerażeniu gapiąc się na ścianę nad łóżkiem. Rzucam ją i biegnę na dół do salonu.

– Sam! Musimy coś zrobić!

Unosi głowę znad tabletu.

– Co zrobić?

– K... Cass! Dopiero co dzwoniła. Trzeba jej pomóc. Jej mąż zwariował. Zabrał jej portfel, zamknął w domu i grozi, że ją pobije, jeśli nie będzie go słuchać. Trzeba coś zrobić! Nie ma szans się obronić...

Sam odkłada tablet.

– Jesteś pewna? – pyta spokojnie.

– Tak! Tak mi powiedziała! – Nosi mnie z wściekłości. (Jeśli kiedyś dorwę tego błazna, który zabrał mi całą siłę górnych kończyn, to przysięgam, że przeszczepię jego głowę leniwcowi i każę biec na wytrzymałość). – Musimy coś zrobić!

– Co na przykład? – pyta.

Tracę pewność siebie.

– No, nie wiem. Chce uciec. Ale...

– Patrzyłaś na grupową punktację?

– No... nie. A co to ma...?

– To popatrz – mówi.

– No dobra. Ile punktów ma nasza kohorta? – pytam netlinka. Wynik mnie deprymuje. – E, no, całkiem niezłe! Nawet po...

– No właśnie, jeśli spojrzysz na podsumy, widać, że dostajemy masę punktów za tworzenie „stabilnych normatywnych związków”. – Drga mu policzek. – Jak Cass i ten, jak mu tam, Mick.

– Ale jeśli coś jej robi...

– A robi? No dobra, skoro tak mówi. Ale co możemy zrobić? Jeśli ich rozdzielimy, zabierzemy każdemu po sto punktów. Pstryk i nie ma. Reeve, widziałaś dziennik zdarzeń? Wykroczenia są widoczne publicznie. Wszyscy zauważyli twój drobny... eksperyment... przy obiedzie. Każdy to widzi na czerwono w swoim dzienniku. Narobiłaś niezłego zamieszania. Jeśli zniszczysz kohorcie jeden „stabilny związek”, niektórzy – nie ja, tylko ci, co mają obsesję na punkcie końcowej premii – znenawidzą cię. A jak sama zauważyłaś, mamy tu

tkwić jeszcze przez sto mega.

– Cholera! Cholera! – Wytrzeszczam na niego oczy. – A ty?

Unosi na mnie wzrok z narożnika kanapy, twarz ma beznamiętną.

– Co ja?

– Też mnie znienawidzisz? – pytam cicho.

Zastanawia się przez chwilę.

– Nie. Nie. Nie wydaje mi się. – Milczy przez chwilę. – Ale wolałbym, żebyś była trochę bardziej dyskretna. Działać po cichu, najpierw pomyśleć, przynajmniej z pozoru robić wrażenie, że chcesz się dostosować.

– No jasne. To co mam pomyśleć? W kwestii Cass. Skoro ten skurwiol wykorzystuje swoją większą siłę fizyczną...

– Reeve. – Znów się waha. – W zasadzie się zgadzam. Ale najpierw musimy wiedzieć, co należy zrobić. Może go zostawić sama, bez naszej pomocy? Jeśli tak, powinna to zrobić – to jej wybór. Jeśli nie, co na to poradzimy? Pierwsze błędy mszczą się na nas jeszcze długo. Jeśli Cass nie jest w bezpośrednim niebezpieczeństwie, najlepiej będzie namówić całą kohortę, żeby zadziałała, nie robić nic samemu.

– Ale w tej chwili musimy go powstrzymać, żeby nic jej nie zrobił. Nie?

Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Czuję się bezradna i nienawidzę tego. Powinnam móc pojechać do domu tego męta, wykopać drzwi, żeby jego flaki poczuły smak zimnej stali. Albo, jeśli nie, zaplanować cwany, dwuetapowy zamach: wywieźć ofiarę w bezpieczne miejsce, a jemu założyć pułapki w łazience i nasypać do łóżka proszku na swędzenie. Tymczasem tylko puszczam parę w gwizdek, histeryzuję i wyżywam się na Samie. Brak mi mojej normalnej sieci zasobów i umiejętności, pozwalam, aby środowisko narzucało mi reakcje. A środowisko jest zaprojektowane tak, by wpajać nam te dziwaczne, zdeterminowane płciowo role, więc ja... Kręcę głową.

– Nie chcemy, żeby komuś jeszcze przyszło do głowy, że bicie i zamykanie członków kohorty to świetny sposób na nabijanie punktów – mówi z namysłem Sam. – Masz jakiś pomysł, jak to zrobić?

Zastanawiam się przez moment.

– Zadzwon do niego – rzucam, zanim jeszcze pomysł w pełni się ukształtuje. – Zadzwon do niego i... o właśnie. – Zerkam na ogród. – Powiedz mu, że widzimy się z nim, i Cass, w kościele, pojutrze. Nie ma potrzeby krzyczeć. Piszą, że mamy się elegancko ubrać i ładnie wyglądać. Taki zwyczaj. Powiedz mu, że stracimy punkty, jeśli Cass będzie źle wyglądać. Wszyscy, grupowo. – Odwracam się do Sama. – Myślisz, że to dotrze do niego?

– Chyba że jest bardzo głupi. – Kiwa głową, wstaje. – Już dzwonię. – Waha się. – Reeve?

– Tak?

– Ty chyba nie... niepokoisz mnie, kiedy tak się uśmiechasz.

– Przepraszam... Sam?

– Tak?

Chwilę milczę, próbując ustalić, jak dużo mogę mu bezpiecznie powiedzieć. Potem jednak wzruszam w myślach ramionami i po prostu mówię wszystko. Nie wydaje mi się, żeby Sam był tym zimnokrwistym mordercą opłacanym przez wrogów mojego poprzedniego ja.

– Ja znałam Cass. Poza eksperymentem, zanim się, tego, zgłosiłyśmy. Jeśli ten zasrany szmaciarz coś jej zrobi, ja – no, w tym ciele nie będę w stanie wbić mu zębów tak głęboko, żeby musiał żreć dupą, ale wymyślę coś innego. Coś w tym stylu. I wiesz co, Sam?

– No?

– Jeśli chodzi o zrobienie komuś kuku, potrafię być bardzo kreatywna.

5. Kościół

Sam podnosi słuchawkę telefonu w hallu i prosi Odźwiernego, żeby połączył go z domem Micka. Ja czaję się u szczytu schodów i podsłuchuję. Brzmi, jakby starał się nie stracić panowania nad sobą. Po paru hekto odkłada z trzaskiem słuchawkę i człapie z powrotem do salonu. Przez resztę wieczoru staram się go unikać, pogrążając się w czarnej depresji rozmyślaniami, czy aby, wciągając w to Sama, nie pogorszyłam sytuacji Cass.

Punkty. Odpowiedzialność zbiorowa. Stabilne pary. Presja grupy. Aż kręci się w głowie. Co prawda, jestem przyzwyczajona do tego, że życie codzienne ma jakieś reguły – przynajmniej w czasie pokoju – ale wydaje się wręcz nieprzyzwoite to, że są one aż tak dosłowne. Społeczeństwa buduje się na cichym zrozumieniu, szturchnięciu łokciem, puszczeniu oka oraz – bardzo sporadycznie – sprawdzeniu w bazie prawnej. Przyzwyczaiałam się rozpracowywać na bieżąco, jak co działa, więc to przeżycie, czołowe zderzenie z kompletnie uformowanym zestawem reguł, jest dla mnie wielkim szokiem.

Gdybam sobie, że radziłabym sobie z tym lepiej, gdyby nie uwięzili mnie w ewidentnie nienadającym się dla mnie ciele. Normalnie nie uświadamiam sobie własnego wzrostu ani siły, nie interesowałam się też mezomorficznymi modyfikacjami – ale też nigdy świadomie nie uczyniłabym się małą i kruchą. To ciało jest też na pograniczu niedożywienia. Patrząc w lustro w łazience, pod podskórną warstwą tłuszczu niemal widzę żebra. Nie przywykłam czuć się taką chudziwą, niech no tylko dopadnę tego, kto mi to zrobił... Ha, tylko że przecież nie będę w stanie nic mu zrobić, prawda? – Co za dupki – mruczę ponuro, potem ruszam do kuchni sprawdzić, czy ma w ofercie coś wysokobiałkowego.

Później zwiedzam piwnicę. Stoi tam trochę maszyn, tablet mówi, że służą do konserwacji domu. Głowie się nad maszyną do czyszczenia ubrań. Ma w sobie coś prymitywnego i mechanicznego, sztywny, dany raz na zawsze kształt. W niczym nie przypomina prawdziwej maszyny, cieplej, zmiennej, dopasowującej się do twoich potrzeb. Nawet nie reaguje, kiedy mówię, żeby mi wyczyściła ubranie – jest naprawdę głupia.

W głębi piwnicy znajdują coś jeszcze – ławkę z przymocowanymi dźwigniami, do budowania pracochłonną metodą masy mięśniowej górnych kończyn. Jestem trochę sceptyczna, tablet mówi jednak, że ci ludzie musieli rozwijać mięśnie przez regularne

podnoszenie ciężarów i inne ćwiczenia. Znajduję instrukcję do tej maszyny i po jakiejś kilosekundzie udaje mi się zmienić własne ciało w rozdygotaną, zalaną potem galaretę. Istna psychologiczna tortura, lekcja wbijająca do głowy, jak jestem słaba.

Człapię na górę, biorę prysznic i zapadam w niespokojną drzemkę, nękana snami, w których się topię, wizjami Kay wyciągającej do mnie wszystkie swoje ręce, błagającej o coś niezrozumiałego. Nie wspominając już o echach czegoś straszego, imigrantach cisnących się i popychających pod lufą broni, krzyżących, proszących, by przepuścić ich przez bramę Piekieł. Budzę się raptownie i przez pół godziny leżę, drżąc, w ciemności. Co się ze mną dzieje?

Jestem więźniem innego świata. To prawda, co mówią: przeszłość to inny ustrój, ale przeważnie mają na myśli chyba coś innego.

* * *

Kiedy rano stoję w kuchni i próbuję rozszyfrować instrukcję obsługi ekspresu do kawy, dzwoni telefon. Terminal jest w hallu, więc idę tam i odbieram, zastanawiając się, co się stało.

– Połączenie do Sama – brzęczy płaski głos. – Połączenie do Sama.

Przez chwilę gapię się na słuchawkę, potem zerkam w górę schodów.

– To do ciebie! – krzyczę.

– Idę. – Sam zbiega po dwa stopnie.

Podaję mu słuchawkę.

– Tak? – przez moment słucha. – Co... nie rozumiem. Może pan powtórzyć? Aaa. Tak, tak, mogę.

Niesamowite jest słuchanie rozmowy prowadzonej przez taki stary telefon. Działają w osobliwej przestrzeni, pozbawionym prywatności królestwie łączności półdupleks.

Sam słucha dalej instrukcji, najpierw nimi zdziwiony, potem zirytowany. W końcu odkłada słuchawkę.

– No! – mówi z naciskiem.

– Próbuję zrobić kawę – mówię. – Chodź tu i mi opowiedz.

– Oni przysyłają po mnie taksówkę. Mam „pół godziny” – to jakieś dwa kilo, nie? – żeby się przygotować.

– Co za „oni”? – pytam. Żołądek kurczy mi się z niepokoju.

– Przydzielono mi tymczasową pracę – odpowiada. – Wysyłają mnie na szkolenie przygotowawcze. Mam się dowiedzieć, jak działa tutaj system pracy. Później może przydzielą mnie do czegoś innego.

– Hm. – Odwracam się do ekspresu, żeby nie widział, jak marszczę brwi. Skoro to jest zbiornik na wodorotlenek, to pewnie jest dysza Venturiego... rozłożone metalowe elementy są dla mnie równie niezrozumiałe jak przed rozebraniem. – A co ja mam robić? Mnie też przydzielą jakąś pracę?

– Chyba nie. – Waha się. – Możesz poprosić o pracę, ale nikt tego od ciebie nie oczekuje. A ta moja... instrukcja mówi, że to taki wstęp. – Nie wygląda na zbyt zadowolonego. – Płacą nam zbiorowo – dodaje po paru sekundach.

– Co takiego? Tobie każą pracować, a ja dostaję połowę?

– Tak.

Kręcę głową, po czym składam maszynę z powrotem. Po jakimś czasie osiągam tyle, że zaczyna pojękiwać, gulgotać i pluć brązowym płynem. Wytrzeszczam oczy. Chyba powinna najpierw zrobić filiżankę? O ja głupia, przecież tu nie ma assemblerów! Pośpiesznie plądruję szafki, w końcu znajduję parę filiżanek i podtykam jedną pod dyszę.

– Głupio, głupio – mruczę, sama nie wiedząc, czy opisuję siebie, czy dawno umarłych projektantów maszyny.

Niebawem pojawia się taksówka i Sam odjeżdża na swoje szkolenie przygotowawcze. Łażę trochę po domu i próbuję ustalić, co w nim jest i do czego służy. Pralka, okazuje się, ma fizyczne przełączniki, które trzeba ustawić, żeby zadziałała. Jest na wodę, a do ubrań trzeba dodać tak zwany „proszek” – zamiast porządnie zaprojektować materiał. Czytam o tkaninach w podręczniku *Zaprojektowane, by mieszkać* i robi mi się niewyraźnie – postanawiam nosić tylko sztuczne. Pomysł noszenia ubrań zrobionych z martwych zwierząt jest niewymownie obrzydliwy. A to coś, co nazywa się „jedwab”, to po prostu rzygi gąsienic. Skóra cierpnie na samą myśl.

Po paru godzinach zaczyna mi się nudzić. Dom jest kompletnie niekomunikatywny (w prawdziwym ustroju nazwałabym go autystycznym), a zasoby rozrywkowe są, oględnie mówiąc, prymitywne. Próbuję telefonować, myśląc, że zadzwonię do Cass i zobaczę, jak się czuje – bo domyślałam się, że Mick też pojechał na szkolenie przed pracą – ale telefon tylko wydaje to kretyńskie popiskiwanie przez minutę czy dwie (próbuję przyzwyczaić się do tych dziwnych starożytnych miar czasu). Może śpi, może poszła na zakupy? A może nie żyje? Przez chwilę chaotycznie śnię na jawie: po telefonie Sama Mick walnął ją w głowę drążkiem od maszyny do ćwiczeń i pokroił na kawałki w piwnicy. Albo udusił ją we śnie...

Czemu ciągle chodzą za mną te okropne fantazje? Coś jest ze mną poważnie nie tak. W dużej mierze to dlatego, że czuję się uwięziona. Odizolowana, zamknięta w podmiejskim domu, podczas gdy mój mąż wychodzi sobie do przydzielonej pracy. Wszystko nie tak: naprawdę chodzi o to, że szuka mnie zamachowiec albo zamachowcy, dlatego że... że co? Coś, co wydarzyło się przed operacją pamięci – a ja tu tkwię w izolacji i miotam się we własnej niewiedzy.

Muszę się stąd wydostać.

Dziesięć minut później już stoję przed werandą, ubrana w niezgodne z kodeksem ubraniowym bucior i spodnie. Na ramieniu mam torbę zawierającą portfel i znaleziony w kuchni bardzo ostry nóż. Śmiechu warta broń, zważywszy stan moich mięśni rąk (które bołą, jakbym je tłukła młotkiem), ale na razie nie mam pod ręką nic lepszego. Przy odrobinie

szczęścia prześladowcy są w tej samej sytuacji i będę mieć czas, by się przygotować, zanim będą gotowi na swój ruch.

Numer jeden na liście dobrze przygotowanego zbiega: poznaj drogi ucieczki.

Nie wzywam taksówki. Idę natomiast na pobocze drogi i się rozglądam. Okolica jest spokojna, choć trochę dziwna. Po obu stronach rosną olbrzymie liściaste drzewa, a zaraz za granicą ogrodu przylegającego do naszego domu roślinność robi się dzika i niekontrolowana. Niewidoczne bezkręgowce poskrzypują i skrobią jak psujący się mechanizm. Próbuję przypomnieć sobie, w którym kierunku wiozła nas taksówka. Tam. Skręcam w lewo i idę poboczem, gotowa uskoczyć, jeśli nagle pojawi się auto.

Wzdłuż drogi stoją inne domy. Są mniej więcej tej samej wielkości co mój, zbitki prostokątnych pudełek z otworami przesłoniętymi szkłem w ramach i dziwnie poprzekrzywianymi górnymi powierzchniami. Pomalowano je na różne kolory, ale i tak wyglądają na wyblakłe i ponure, jak pancerze zrzucone przez ogromne ziemne stawonogi. W żadnym nie widać śladu życia, domyślałam się zatem, że to tylko dekoracja. Nie mam pojęcia, gdzie mieszka Cass. Szkoda. Mogłabym pójść ją odwiedzić. Nie wiem nic – równie dobrze mogłaby siedzieć w sąsiednim domku. Niestety, usługa katalogowa to tylko jedna z dostępnych w netlinku usług, których tu brakuje, a Sam miał rację w jednej kwestii – starożytni byli potwornie terytorialni. Jeśli potrafią wołać stróżów porządku i zatrzymywać ludzi tylko za to, że są źle ubrani w miejscu publicznym, co by zrobili, gdybym weszła do czyjegoś domu?

Po kilkuset metrach dochodzę do wzniesienia terenu. Droga biegnie dalej poziomo, wchodząc w stromy wykop, a w końcu nurkując w ciemny tunel w zboczu góry. Zerkając w bok, widzę, że w kwestii drzew coś się trochę nie zgadza. Mam was, myślę. To jest krawędź modułu habitatu. Ledwo mogę sobie wyobrazić, co mam pod stopami – skomplikowaną maszynę zamkniętą w skorupie z konstrukcyjnego diamentu, kilometrowy walec wirujący w pustce, orbitujący w lodowatym mroku. Pusto przez kolejne parędziesiąt milionów kilometrów, potem gwiazda-brązowy karzeł, niewiele większa od gazowego olbrzyma, potem kolejne dziesiątki bilionów kilometrów do najbliższego układu gwiazdowego. Skala to pierwszy wróg.

Wchodzę do tunelu i widzę przed sobą zakręt, za którym robi się bardzo ciemno. To niepokojące – nie zauważyłam tego, siedząc z tyłu w taksówce, choć skupiałam uwagę na każdym osobliwym widoku. Zatem, jeśli tam jest bramka T... no cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Ruszam, sunąc prawą dłońią po zakrzywiającej się w mrok ścianie tunelu. Idę powoli, a po jakichś pięćdziesięciu metrach zaczyna odchyłać się w drugą stronę. Mijam kolejny zakręt, widząc już światelko na końcu, i już idę drogą, gdzie budynki po obu stronach różnią się od tamtych kształtem i wielkością. Mam przed sobą tablicę z napisem: WITAMY WE WSI. („Wieś” to mała miejscowość; „centrum” to rejon wsi ze sklepami – przynajmniej tak sobie wyobrażam, że to działa).

Przeczytałam masę rzeczy, jak przykładowa obywatelka i jest parę sklepów, do których muszę pójść, na początek sklep z narzędziami. Bo kwestia jest taka: ci ludzie nie mogli sobie po prostu zażyczyć jakiegoś potrzebnego wzoru z asemlera, musieli sami wytwarzać przedmioty z prostych składników. A to oznacza „narzędzia”, przy czym porządny zestaw narzędzi jest zaskakująco łatwo przerobić na niezły arsenał. Dopóki nie zdradzę się ze swoją tożsamością, prawdopodobnie jestem tu bezpieczna, ale „prawdopodobnie” to za mało, kiedy alternatywą jest śmierć – zresztą, już i tak nie śpię w nocy, bo się jej boję.

W sklepie z narzędziami spędzam około pół godziny, stwierdzając, że zombie-sprzedawcy nie są zaprogramowani do tego, by uniemożliwić kobietom zakup siekier, łomów, zwojów stalowego drutu, spawarek łukowych, urządzeń do obróbki substryktywnej czy wszelkich innych narzędzi w zasięgu wzroku. Zestaw, który kupuję, kosztuje sporo, jest wielki i bardzo ciężki, mówią jednak, że przywiozą to wszystko i zamontują w naszym „garażu” – dostępnym z zewnątrz pomocniczym budynku, którego jeszcze nie zwiedziłam. Dziękuję im i dopisuję do zamówienia parę kawałków surowego metalu oraz parę odcinków stali sprężynowej.

Kiedy wychodzę ze sklepu z zamówionym do domu podstawowym wyposażeniem warsztatu oraz siekierą ukrytą w olstrze pod płaszczem, najbliższa przyszłość rysuje mi się znacznie bardziej optymistycznie. Jest pogodny, ciepły poranek: z drzew liściastych pomiędzy budynkami dobiegają terytorialne okrzyki małych, pierzastych dinozaurków, ja zaś po raz pierwszy, odkąd tu trafiłam, czuję się panią własnego losu.

I dokładnie wtedy wpadam na Jen i Angel, idące pod rękę chodnikiem w stronę rustykalnego budyneczku z szyldem nad drzwiami, mówiącym: KAWIARNIA RETRO.

– O, cześć! – sapie Jen, rozkładając szeroko ręce, żeby mnie objąć, natomiast Angel z wątlym uśmiechem trzyma się z tyłu.

Sztywno wchodzę w jej objęcia, licząc, że nie wyczuje siekiery, ale niestety.

– Co ty masz na sobie? I co masz pod płaszczem? – pyta.

– Dopiero co byłam w sklepie z narzędziami – wyjaśniam, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu. – Kupowałam dla Sama różne narzędzia do tego... do ogrodu i nie zmieściły mi się do torebki, więc mam je w takim futerale na pasku, który też miałam mu kupić. – Im więcej ćwiczę, tym łatwiej przychodzą mi kłamstwa. – A co tam u was?

– U nas super! – mówi ekspansywnie Jen, puszczając mnie.

– Miałymy wpaść tu na kawę – dodaje Angel. – Pójdiesz z nami?

– Jasne – mówię.

Nie ma kulturalnego sposobu, żeby im odmówić. Poza tym od stu kilosekund nie miałam kontaktu z żadnym człowiekiem oprócz Sama, więc chętnie się dowiem, co tam sobie myślą. Dlatego idę za nimi do „Kawiarni retro”, gdzie siadamy w łoży wyłożonej błyszczącym czerwonym winylem, za stołem ze śnieżnobiałego polimeru, a kelnerzy pytają, czego sobie życzymy.

– I jak ci idzie adaptacja? – pyta Angel. – Słyszałyśmy, że wczoraj miałaś jakieś kłopoty.

– No właśnie, skarbie. – Jen uśmiecha się, kiwając głową. Jest ubrana w jaskrawożółtą sukienkę, na głowie ma kapelusz, nieco przypominający balistyczny wahadłowiec. Na twarz nałożyła jakąś farbę w proszku, wzmacniającą kolor ust (czerwony) i rzęs (czarny), a na skórze ma coś, przez co pachnie jak eksplozja w kwietnym ogrodzie. – Chyba nie wejdzie ci to w nawyk?

– Na pewno nie – drwi z niej Angel. – To się zdarza na początku. Każdemu pewnie przytrafi się parę razy, prawda? – Zerka w bok na kelnera. – Mrożoną latte z podwójną czekoladą, z ekologicznych ziaren, bita śmietana, bez cukru – rzuca.

– Dla mnie to samo – udaje mi się powiedzieć, zanim Jen zaczyna rozwódzić się nad wszystkimi pozycjami cennika nad ladą, zmieniając każde zdanie ze trzy razy, zanim dotrze do kropki. Ja tymczasem przypatruję się Angel. Ma na sobie żakiet ze spódnicą. Mówią na to „garnitur”, choć jest inny niż te przeznaczone dla mężczyzn – jest ciemniejszy i poważniejszy niż strój Jen, ale dobrała sobie do niego błyszczące kawałki metalu przyłączone do małżowin uszu. Domyślam się, że to ma być biżuteria, choć wygląda dość boleśnie. – A co to jest to w uszach? – pytam.

– To się nazywa „kolczyki” – wyjaśnia Angel. – Tam dalej jest salon, gdzie przekłuwają uszy, potem można w nich wieszać różne ozdoby. Jak tylko dziurki się zagoją – dodaje, krzywiąc się lekko. – Na razie trochę bołą.

– Zaraz, to one nie są przyklejone ani zainstalowane jak trzeba? To się przebija przez ucho, nie przebudowuje ucha naokoło? I to jest z metalu?

– Tak – odpowiada, rzucając mi dziwne spojrzenie.

Nie wiem, jak na to zareagować, ale na szczęście nie muszę, bo Jen kończy zamawiać swoją kawę po amerykańsku i z powrotem skupia się na nas.

– Tak się cieszę, skarbie, że cię spotkałyśmy! – Nachyla się do mnie konfidencjonalnie. – Zrobiłam rozeznanie i nie jesteśmy tu jedyną kohortą – jest sześć, wszystkie spotykają się jutro w kościele i nie możemy sobie pozwolić, żeby ktoś zawałał sprawę.

– Że co? – pytam, zbита z tropu.

– No rozumiesz, musimy zachowywać pozory – dodaje Angel, znów z tym porozumiewawczym spojrzeniem, którego nie potrafię rozszyfrować.

– Nie rozumiem.

Między brwiami Jen pojawia się delikatna zmarszczka.

– Nie chodzi tylko o wczoraj – podkreśla. – Każdemu wolno popełniać drobne błędy. Chodzi o to, że punkty nie tylko uśredniają się w ramach kohorty. Przedstawiciele każdej kohorty w parafii będą mówić o tym, co osiągnęli w ostatnim tygodniu, a inne kohorty ocenią ich zachowanie i zagłosują czy dodać im punkty, czy odebrać.

– Taki iterowany dylemat więźnia z odpowiedzialnością zbiorową – wtrąca Angel, a zombiak z obsługi przekręca gałkę na wypolerowanym metalowym zbiorniku za barem,

powodując hałas jak przy dekompresji. – Bardzo elegancka konstrukcja eksperymentu, moim zdaniem.

– Taki... – Jasna cholera. Kiwam ostrożnie głową, nie wiedząc, ile mogę wyjawić. – Teraz chyba rozumiem.

– Tak. – Angel kiwa głową. – Trzeba będzie bronić twojego wczorajszego zachowania, a inne grupy mogą nam dodawać albo zabierać punkty, zależnie od tego, na co według nich zasłużyliśmy i czy myślą, że się zemścimy, kiedy przyjdzie ich kolej.

– Naprawdę cwane!

– Tak.

Jen się uśmiecha.

– I dlatego, skarbie, nie będziesz psuć nam opinii: ubierzesz się zgodnie z regułami i wyrazisz skruchę za ten wczorajszy incydent, cokolwiek to było – nie, nawet nie chcę znać żadnych obrzydliwych szczegółów – a my ze swojej strony poprzemy cię i spróbujemy pogrzebać całą kwestię pod kupą grzechów innych kohort. Prawda? – Zerka na Angel. – Jesteśmy nowi, więc na pewno się do nas przyczepią. Już i tak będzie ciężko, przez Cass.

– A co jest z Cass? – pytam.

– Nie przystosowuje się – mówi Jen.

Angel chce coś powiedzieć, ale Jen ucisza ją lekceważącym machnięciem ręki.

– Pewnie miałyście od niej jakieś głupawe telefony. Zignorujcie je. Chce tylko zwrócić na siebie uwagę. Niedługo jej przejdzie.

– Mówiła, że Mick grozi jej pobiciem – mówię.

W tym momencie zombiak przynosi pierwszą kawę.

– No i co z tego? – Jen też wbija we mnie wzrok, w głębi jej oczu widzę bryłę zimnej stali. – Co nas to obchodzi? To są prywatne sprawy między mężem i żoną, jeśli tylko nie grożą nam stratą punktów albo wpakowaniem w kłopoty całej kohorty. Nie licząc, oczywiście, tej drugiej sprawy.

– Jakiej drugiej...

– Dostaje się punkty za rżnięcie – wtrąca beznamiętnym tonem Angel. Znów rzuca mi to dziwne spojrzenie. – Myślałam, że już do tego doszłaś.

– Za seks? – Chyba wyglądam na oburzoną, zszokowaną albo coś takiego, bo twarz Jen rozluźnia się w maskę rozbawienia.

– Tylko z własnym mężem, skarbie. – Popija kawę i patrzy na mnie taksująco. – No właśnie, to jeszcze jedna rzecz, którą zauważyliśmy. Nie chcemy cię poganiać, broń Boże, ale...

– Gównu was obchodzi, z kim się pieprzę – mówię. Podają moją kawę, ale już nie mam na nią ochoty. W ustach mam suchy, gryzący posmak, jakbym przeżuła kilo surowej kokainy. – Wystroję się do kościoła, powiem, że będę grzeczna i zrobię wszystko, co mam publicznie zrobić. Postaram się nie kosztować was więcej punktów. Ale. – Stukam w stół obraźliwie

blisko filizanki Jen. – Nie będziecie mi mówić, nigdy więcej, z kim mam się zadawać ani co mam z nim robić. Ani z kim mam uprawiać seks. – Cisza wypęczkowuje sople lodu. Biorę nierozsądnie duży łyk kawy i parzę sobie podniebienie. – Czy wyrażam się jasno?

– Całkiem jasno, skarbie. – Oczy Jen lśnią jak odłamki zamrożonej złościwości.

Zmuszam się do uśmiechu.

– A teraz, może znajdziemy sobie jakiś kulturalny temat do rozmowy przy kawie i ciastkach?

– To chyba dobry pomysł – mówi Angel. Wygląda na lekko zbulwersowaną. – Może po obiedzie kupimy ci coś odpowiedniego do kościoła? – pyta mnie. – Na wszelki wypadek. A poza tym, ciekawe, czy używałaś już pralki? Ma parę ciekawych opcji... – I już rozwódzi się nad technikami zarabiania punktów w świecie kobiet, wygenerowanym przez teorię gier i inwigilowanym przez grupową punktację.

* * *

Pod koniec obiadu wydaje mi się, że je rozpracowałam. Angel chce dobrze, tylko jest aż nazbyt asekurancko ostrożna. Boi się wyjść przed szereg, nie chce tracić punktów i przejmuje się tym, co myślą o niej ludzie. Takie połączenie czyni z niej łatwy łup dla Jen, z zewnątrz hałaśliwej i agresywnie ekstrawertycznej, ale pod tą przykrywką chowającej brak pewności siebie i potrzebę aprobaty – to sprawia, że zastrasza ludzi, aż jej tę aprobatę dadzą. Od czasu operacji nie spotkałem kogoś tak bezwzględnego, a w klinice było parę ciężkich przypadków. Chirurdzy-spowiednicy chyba ich przyciągają. (Bardziej niepokoi mnie fakt, że niewyraźnie przypominam sobie dawne znajomości z podobnymi osobami, choć bez żadnych szczegółów. Kim byli i ile dla mnie znaczyli – to utonęło w otchłani, gdzie trafiają wspomnienia, gdy właściciele już ich nie potrzebują).

Obie, działając w cichej zмовie, mianują się na popołudnie moimi asystentkami od zakupów. Nie robią tego obcesowo, ale bardzo uparcie, i właściwie nie starają się ukryć, że chcą zmodyfikować moje zaufanie, tak aby przystawało do arkuszy z punktacją.

Po kawie i ciastku (stawia Angel), prowadzą mnie do kolejnych przybytków. W pierwszym zostaję poddana zabiegom fryzjerskim. Angel siedzi ze mną i bez końca gada o sprzętach kuchennych, Jen idzie załatwiać jakieś swoje sprawy, a zombiak unieruchamia mnie i atakuje moją głowę budzącym lęk zestawem noży, grzebieni, odczynników chemicznych i małych ręcznych maszynek. Kiedy wstaję z fotela, muszę przyznać, że mam teraz inne włosy – nadal długie, ale o parę odcieni jaśniejsze, a kiedy kręcę głową, poruszają się jak jedna bryła styropianu.

– To może kupimy ci parę ciuchów na jutro? – mówi Jen, uśmiechając się szeroko. Formułuje to jak propozycję, ale ton nie pozostawia wątpliwości, że to rozkaz.

Prowadzą mnie przez szereg butików, gdzie muszę pokazywać swoją kartę kredytową. Upiera się, żebym przymierzyła kostium, a kiedy pokazuję jej, jak wyglądam, Angel poleca

sklepowym zombiakom spakować moje stare ubranie. W końcu wyglądam jak jedna z nich, jak paniusia.

– No, już prawie – mówi Jen. Na jej twarzy maluje się coś bliskiego aprobaty. – Trzeba cię tylko jeszcze umalować.

– Co takiego?

Po prostu śmieją się ze mnie. Może i dobrze, bo gdyby mi powiedziały wcześniej, o co chodzi, pewnie bym uciekła. Ja zaś cały czas przypominam sobie (z coraz większą obawą), że mam jeszcze prawie sto dekad – trzy lata – na żałowanie popełnionych dzisiaj błędów.

* * *

Światła czerwienieją i płyną ku tunelowi na krawędzi świata, kiedy taksówka, w której siedzimy stłoczone, zatrzymuje się pod moim domem i otwierają się drzwi.

– No, idź – mówi Angel, wciskając mi torbę z zakupami. – Idź i go zaskocz. On miał męczący dzień i będzie potrzebował pociechy.

Uświadamiam sobie, że używa uogólnionego „on” – nic ich nie obchodzi, kim „on” jest, ważne tylko, że jest moim mężem i możemy zarobić dla nich punkty.

– No dobra, idę już, idę – mówię znękana. Biorę torbę, a kiedy się odwracam, coś żądli mnie w nogę. – Ej! – Rozglądam się, ale taksówka już odjeżdża. – Cholera – mruczę. Noga mi drży. Sięgam w dół. Coś się w nią wbiło. Mały rombik z wystającą na końcu igiełką. – Cholera.

Kuśtykam po ścieżce w nowych butach, które mi wcisnęły – obcasy mają jeszcze wyższe i mniej wygodne niż ta pierwsza para – i wchodzę do domu. Rzucam torby, idę do salonu, w którym jest włączony telewizor. Sam leży przed nim z zamkniętymi oczyma i poluzowanym krawatem. Robi mi się go żal. Czuję ból w miejscu ukłucia, zimne przypomnienie.

– Sam. Wstawaj! – Szarpie go za ramię. – Pomóż mi!

– Co je... – Otwiera oczy, patrzy na mnie. – Reeve? – Jego źrenice wyraźnie się rozszerzają.

Pewnie dziwnie pachnę – Jen z jakiegoś niezgłębionego powodu wypróbowała na mnie połowę zawartości baru z zapachami.

– Pomocy. – Siadam obok niego i zadzieram spódnicę, pokazując mu ukłucie na udzie. – Zobacz. – Pokazuję mu ampułkę. – Dopadli mnie. Co to, do kurwy nędzy, jest?

Moje krocze nienaturalnie się uwrażliwiło, do tego kręci mi się trochę w głowie, jestem niepokojąco rozluźniona i dziwnie mało zestresowana tym, co się przed chwilą stało.

– To jest... – Mruga. – Nie wiem. Kto ci to zrobił?

– Jen i Angel. Wyszadziły mnie z taksówki i chyba w ostatniej chwili Angel mi to wbiła. – Oblizuję usta. Czuję się naprawdę osobliwie. – Jak myślisz, co to jest? Trucizna?

– Raczej nie – mówi, wbijając we mnie wzrok. Potem podnosi tablet i stuka w niego. – O – mówi, pokazując mi coś. – Taki mieli pomysł na rozrywkę.

Wkładam ręce między uda i ściskam je, a gdy czytam, litery mi się rozmazują.

– To... aha! – Zalewa mnie wściekłość. – Te kurwy!

Sam kręci głową.

– Miałem bardzo męczący dzień, ale zdaje się, że ty miałaś dość ekscytujący. Przychodzisz do domu ubrana jak ta, no... a jeszcze koleżanki wstrzykują ci coś na podniecenie. – Unosi brew. – Po co to zrobiły, jak myślisz?

Umie pozostać opanowany i analityczny w najcięższych sytuacjach. Chciałabym mieć pod presją chociaż połowę tego.

– Reeve, o co tu chodzi? Presja grupy naprawdę jest taka silna? – W jego głosie brzmi obawa i współczucie.

– Tak. – Zaciskam zęby.

Siedzi za blisko mnie, lecz nie zaryzykuję żadnego ruchu. Afrodyzjak zalewa mnie ciepłymi, łaskotliwymi falami – boję się, że zostawię na kanapie mokrą plamę.

– Chodzi o te punkty. Wiedzieliśmy, że są wspólne dla kohorty, ale są jeszcze inne mechanizmy przymusu, o których nie mieliśmy pojęcia. Jen i Angel powiedziały mi, ale ja nie... cholera. A poza tym, można zarobić punkty na... innych zajęciach.

– Jakich innych zajęciach? – pyta łagodnie.

– Domyśl się – dyszę i zwiewam do łazienki.

* * *

Sam puka do drzwi, raz, nieśmiało, kiedy leżę w brodziku kabiny prysznicowej nieprzytomna z żądy, pozwalając, by fale gorącej wody zalewały mnie jak tropikalna burza – skąd ja w ogóle wiem, jak wyglądała tropikalna burza na Zjemi? – i usiłuję się oczyścić. Chciałabym go tu zaprosić, ale udaje mi się ugryźć w język i zmilczeć. Chyba mogę skreślić Jen i Angel z listy potencjalnych zamachowców, choć łapię się na tym, że pod prysznicem fantazjuję o nich – o milionie mściwych tortur, jakie im zadaję. Wiem, że to tylko fantazje – w tym miejscu nie da się kogoś zabić więcej niż raz, a raz zabity jest już poza twoim zasięgiem – ale część mojej jaźni pragnie zadawać im ból, i to nie tylko dlatego, że zaprzępaściły wszelkie moje szanse na normalny seks z tym osobliwie introwertycznym, troskliwym misiem, którego mam za męża. Ćwiczę zatem do wyczerpania na maszynie w piwnicy, a później kładę się spać, samotna i nieswoja.

Niedzielny świt jest słoneczny i ciepły. Niechętnie wkładam sukienkę, którą kupiłam pod presją Jen i Angel, i schodzę na dół, by przywitać się z Samem. Nie mam kieszeni, nie wiem, czy wolno wziąć torbę, a bez choćby scyzoryka czuję się niepewna. Sam włożył czarny garnitur, białą koszulę, czarny krawat. Bardzo monochromatycznie. Wygląda solidnie, ale sądząc po minie, jest równie niepewny jak ja.

– Gotowy? – pytam.

Kiwa głową.

– Wezwę taksówkę.

Kościół parafialny to wielka kamienna budowla, znajdująca się w sporej odległości od naszego domu. Na jednym końcu ma wieżę, ostrą i symetryczną osiowo jak relatywistyczny ładownik (gdyby okręty wojenne robiono z kamienia i wiercono im w grzbiecie otwory do powieszenia ogromnych parabolicznych dzwonów). Dzwonią głośno, a parking zapełnia się taksówkami oraz kobietami i mężczyznami ubranymi w stroje z epoki. Widzę parę znajomych twarzy, między innymi Jen. Kiedy czekam przed wejściem, okazuje się jednak, że większości ludzi nie znam, więc trzymam się ramienia Sama, z obawy, że go zgubię.

W środku kościół składa się z jednego pomieszczenia, z podestem na jednym końcu i ustawionymi przed nim rzędami ławek wyciętych z martwych drzew. Na podeście stoi ołtarz, a na nim leży długa naga klinga obok wielkiego złotego kielicha. Wchodzimy gęsiego do środka, siadamy. Gra cicha muzyka, z korytarzyka z tyłu budynku wychodzi procesja. Trzech mężczyzn, starszych wiekiem, ale nie starców, w bardzo charakterystycznych szatach przetykanych metalową nitką. Wchodzą na podwyższenie, zajmują ustalone miejsca. Ten z przodu, po prawej odzywa się i uświadamiam sobie z osłupieniem, że to doktor major Fiore.

– Drodzy parafianie, przyszliśmy tutaj wszyscy, by wspomnieć tych, którzy odeszli przed nami. Nieruchome twarze wyrzeźbione w kamieniu, nieruchome twarze milionów. – Przerzywa, a wszyscy wokół powtarzają jego słowa, jak basowe, dudniące echo, ciągnące się w nieskończoność.

Fiore dalej pompatycznym tonem recytuje jakiś bełkot, coraz szybciej. Co zdanie lub dwa przerywa, a kongregacja powtarza jego słowa. Mam nadzieję, że to bełkot, bo niektóre zdania są nie tylko konsternujące, ale wręcz trochę groźne: mówią o osądzeniu po śmierci, karze za grzechy, nagrodzie za posłuszeństwo. Zerkam na boki, ale szybko uświadamiam sobie, że wszyscy poza mną patrzą na niego. Powtarzam słowa, choć czuję się z tym bardzo nieswojo. Wygląda na to, że niektórzy wręcz się tym wykrzykiwaniem nakręcają.

Potem zombiak we wnące gra napuszoną melodię na jakiejś prymitywnej maszynie do muzyki, a Fiore mówi nam, żebyśmy otworzyli leżące przed nami papierowe książki na podanej stronie. Wszyscy zaczynają wyśpiewywać napisane tam słowa i klaskać do rytmu. To też kompletnie nie ma sensu. Powtarza się jakby imię „Krystian” ale nie w żadnym zrozumiałym kontekście. A przekaz tej śpiewanki jest bardzo złowrogi – nic tylko posłuszeństwo, podporządkowanie i nagrody za to. Całkiem jakbym miała jakiś głęboko zakorzeniony refleks uniemożliwiający mi bezkrytyczne chłonięcie propagandy: w końcu zaczynam z mocno zmarszczonym czołem czytać tę książkę.

Po jakiejś półgodzinie Fiore macha na zombiaka, żeby przestał grać.

– Moi drodzy.

W myślach dodaję do jego słów sarkastyczny komentarz: „Za drodzy dla ciebie”.

– Chciałbym, abyście dzisiaj serdecznie przywitali naszych najnowszych uczestników, kohortę numer sześć. Nasz kościół jest dobrotliwy i winniśmy – naprawdę użył takiego słowa,

„winniśmy” – przygarnąć ich do piersi i przyjąć do naszej rodziny. – Uśmiecha się ekstatycznie i ściska pulpit, jakby pod spodem siedział młodziak-zombiak i obciągał mu pałę. – Powitajcie, proszę, naszych najnowszych członków, Chrisa, Ela, Sama, Fera i Micka oraz ich żony, Jen, Angel, Reeve, Alice i Cass.

Wszyscy dookoła – poza Samem, który jest równie zdezorientowany jak ja – zaczynają nagle walić dłońią o dłoń przed sobą. To chyba jakiś powitalny rytuał, myślę, a dźwięk jest zadziwiająco głośny. Sam zerka mi w oczy i też zaczyna klaskać, niepewnie, lecz wtedy Fiore unosi rękę i wszyscy przestają.

– Moje dzieci – mówi, patrząc na nas czule – nasi nowi bracia są tu zaledwie od trzech dni. W owym czasie musieli się wiele nauczyć, wiele zobaczyć i zrobić, więc niektórzy z nich popełnili błędy. Mylić się jest ludzką rzeczą, tak jak ludzką rzeczą jest wybaczać. Wybaczymy, na przykład, pani Alice Sheldon z szóstki jej trudności z hydrauliką. Albo pani Reeve Brown, też z szóstki, jej niefortunne obnażenie się w miejscu publicznym. Albo...

Śmiech tłumi jego słowa. Rozglądam się i widzę, że nagle wszyscy śmieją się i pokazują sobie mnie palcami. Czuję falę zażenowania i złości. Jak on śmie? Jednakże jest w tym też coś z zastraszenia. Jest tu chyba z pięćdziesiąt osób i część z nich gapi się teraz na mnie, jakby próbowały wyobrazić sobie, jak wyglądam bez ubrania. Gdybym była sobą, w wybranym przez siebie ciele, wyzwalałabym go w sekundę – ale nie jestem. Tak właśnie działa presja grupy, prawda? O to właśnie chodzi. Eksperymentatorzy nie mogą liczyć na to, że powstanie działające społeczeństwo z ciemnego wieku, w zaledwie trzy lata, po prostu przez wrzucenie do ustroju bandy rekonwalescentów w ortohumanoidalnych ciałach, żeby sobie łazili bez ładu. Potrzebny jest jakiś społeczny mechanizm, żeby sami zmuszali się nawzajem do posłuszeństwa, a najlepiej, żeby sami karali własnych dewiantów...

– ...albo wybaczyć Cass jej skłonność do spania do późna. Tak jak dzisiaj, kiedy najwyraźniej zapomniała przyjść do kościoła.

Już na mnie nie patrzą, ale coś mruczą – wokół rozchodzi się ponury prąd dezaprobaty. Zerkam Samowi w oczy, wygląda na przestraszonego. Wyciąga dłoń w bok, chwytam ją i trzymam się jej, jakbym tonęła.

– Proszę, abyście wszyscy współczuli Mickowi, jej mężowi, który musi utrzymywać taką leniwą żonę, a także pomogli jej, kiedy ją następny raz zobaczycie.

Teraz mogę spojrzeć tam, gdzie wszyscy, na Micka. Jest niski, żyłasty, ma wielki ostry nos i ciemne, groźne oczy. Wygląda na wściekłego, ma defensywną postawę – i nic dziwnego. Sama miałam miękkie kolana pod bolesnym ciężarem wykroczenia za pięć punktów, a on teraz zbiera za to, że żona nie wstała rano...

Nie wstała rano? Mam ochotę wrzasnąć do Fiorego: „To wymówka, kretynie, wymówka, żeby się nie pokazać publicznie!”.

Fiore zaczyna mówić o innych ludziach, innych kohortach, sprawach, które dla mnie są teraz bez znaczenia. Ożywa mój netlink i każe mi głosować za dodaniem lub odebraniem

punktów każdej z tych kohort, z listą grzechów i sukcesów pod każdym nazwiskiem. Nie głosuję za nikim. Na koniec głosujący z pozostałych pięciu kohort jednomyślnie się na nas rzucają. Wszyscy tracimy po parę punktów, co sygnalizuje ponure bicie żeliwnego dzwonu wiszącego pod łukiem z tyłu kościoła. Fiore kiwa na zombiaka, żeby walnął w organy, i intonuje kolejną bezsensowną pieśń. Potem msza się kończy. Ale nie mogę jeszcze uciec i się schować, bo po auto-da-fé jest przewidziane przyjęcie na cześć nowej kohorty, przywołujemy więc na twarze wątle uśmiechy i jemy kanapeczki pod magnoliami, a reszta uśmiecha się do nas szyderczo.

Stoły są rozstawione w ozdobnym ogrodzie na tyłach kościoła, zwanym „cmentarzem”. Przykryto je białymi obrusami, rozstawiono kieliszki z winem. Wyprowadzają nas tam i każą radzić sobie samemu. Podczas niedzielnego nabożeństwa nie jeżdżą taksówki. Łapię się na tym, że stoję sztywno, plecami opierając się o mur wokół kościoła, jedną ręką ściskam kieliszek z winem, a drugą Sama. Buty mnie uwierają, a twarz jakby na stałe wykrzywiła się w grymas.

– Reeve! I Sam! – To Jen. Wlecze za sobą Angel i obu mężów, Chrisa i Ela. Jest chyba trochę mniej żywiolowa niż wczoraj. Domyślam się, dlaczego.

– Za dobrze nam nie poszło – mruczy El. Rzuca mi lepkie spojrzenie, które boli jak cios pięścią w brzuch. Naprawdę obleśne.

Dokładnie wiem, co sobie myśli, ale nie mam pojęcia dlaczego. Czy dlatego, że kosztowałam go punkty, czy dlatego, że próbuje mnie sobie wyobrazić bez ubrania?

– Mogło być gorzej – mówi Jen, cedząc szorstko słowa. Rękoma dusi na śmierć torebkę.

– Na zewnątrz – biorę głęboki oddech – wyzwalałbym Fiorego, gdyby publicznie zrobił mi coś takiego.

– Ale nie jesteś, skarbie, na zewnątrz – zauważa Jen. Uśmiecha się do Sama. – W domu też taka jest czy tylko kiedy ma publiczność?

Jestem bliska, bardzo bliska, chluśnięcia jej w twarz zawartością kieliszka i zażądania satysfakcji, tylko po to, by sprawdzić, czy pęknie, ale uwagę mojego umysłu o skupieniu motyla odwraca ktoś przekradający się za jej plecami – to Mick, więc, zamiast czegoś głupiego, robię coś wariackiego i podchodzę wprost do niego.

– Cześć Mick – rzucam wesoło.

Podskakuje i łypie na mnie groźnie. Jest spięty jak sprężyna.

– Tak? Czego chcesz? – pyta.

– A, w sumie to nic. – Uśmiecham się i patrzę mu badawczo w twarz. – Chciałam tylko złożyć ci wyrazy współczucia, że masz żonę, której nie chce się wstawać do kościoła. To duży kłopot. A przyjdzie tu za tydzień?

– Przyjdzie. – Zgrzyta zębami. Trzyma ręce sztywno przy bokach, zaciśnięte w pięści.

– O, to świetnie! Naprawdę super. Posłuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko, może wpadnę do niej dziś po południu, co ty na to? Mamy dużo do pogadania i myślałam, że...

– Nie odwiedzisz suki. Ani dzisiaj, ani nigdy. Idź sobie. Kurwo.

Nie jestem pewna, co znaczy to słowo, choć jakieś tam pojęcie mam.

– Dobra, idę – mówię z napięciem. Gdybym spędziła kilka dni więcej na ławeczce z ciężarkami, przyszłoby mi to trudniej. Ale nie teraz. Jeszcze nie.

Odwracam się i idę z powrotem do Sama. Nie odzywa się, gdy się do niego przytulam – może i dobrze, bo nie ufam swojemu taktowi, zwłaszcza kiedy jesteśmy w miejscu publicznym i nie mogę uciec. Serce mi dudni, czuję mdłości od stłumionego gniewu i wstydu. Mąż traktuje Cass jak wirtualnego więźnia. Mnie publicznie ośmieszają i nastawiają wszystkich przeciwko mnie, tylko dlatego, że próbowałam zachować swoją tożsamość. Cały ten ustrój jest tak ustawiony, żebyśmy zaczęli zdradzać przyjaciół... ale gdzie indziej ludzie żywią wobec mnie mordercze instynkty. Zatem, jeśli nie będę siedzieć cicho, wcześniej czy później mnie znajdą.

6. Miecz

Po kościele wracamy do domu. W niedzielę Sam nie musi pracować, więc ogląda telewizję. Ja idę obejrzeć garaż. To chwiejna konstrukcja przylegająca z jednej strony do domu, z wielkimi wrotami od frontu. W środku jest stół warsztatowy, a zombiaki ze sklepu z narzędziami zainstalowały już wszystkie kupione wczoraj sprzęty. Chwilę majstruję przy wiertarce na statywie i czytam instrukcję od spawarki łukowej. Potem schodzę na dół i ćwiczę na maszynie, ponuro wyobrażając sobie, że to machina tortur, przenosząca fizyczne obciążenia na ciało ofiary, a po drugiej stronie mam Jen. Sprasowawszy ją w krwawą kulkę wielkości torby na zakupy, czuję się wyczerpana, ale zadowolona i gotowa na trudniejsze zadania. Idę więc poszukać Sama.

Siedzi w salonie i gapi się tępo w ściszony telewizor. Siadam obok niego, a on ledwo to zauważa.

– Co jest nie tak? – pytam.

– Ja... – Kręci głową.

Chcę go wziąć za rękę, ale ją cofa.

– Chodzi o mnie? – pytam.

– Nie.

Znów sięgam po jego rękę, łapię ją i nie puszczam. Tym razem jej nie zabiera, choć jest wyraźnie spięty.

– To o co?

Przez moment mam wrażenie, że nic nie powie, jednak potem, gdy już mam pytać drugi raz, wzdycha.

– Nie, to ja.

– Ty... co?

– Ja. Nie powinienem tutaj być.

– Co? – Rozglądam się. – Tu, w salonie?

– Nie, w tym całym ustroju – mówi.

Teraz rozumiem: to nie złość, to depresja. Sam nie wyżywa się na innych, ale zamyka się w sobie i kisi w złym nastroju.

– Wytlumacz mi. Przekonaj mnie. – Przysuwam się bliżej, nie puszczając jego ręki. – Pomyśl, że jestem jednym z eksperymentatorów i chcesz uzasadnić wcześniejsze wyjście, dobra?

– Ja... – Patrzy na mnie dziwnie. – Nie powinniśmy mówić, kim byliśmy przed eksperymentem. To nie pomaga socjalizacji i pewnie będzie nam przeszkadzać.

– Ale ja... No dobra, mnie możesz powiedzieć. Ja nikomu nie wypaplam. – Patrzę mu w oczy. – Jako para mamy tu być podstawową komórką społeczną. W tym społeczeństwie, w ramach pary nie ma żadnych gier o sumie ujemnej, prawda?

– No, nie wiem. – Wzdycha. – Możesz się wygadać.

– Komu?

– Twojej przyjaciółce, Cass.

– Gówno prawda! – Walę go lekko w ramię. – Posłuchaj, a jak obiecuję, że nikomu nie powiem?

Patrzy na mnie z namysłem.

– To obiecuję.

– Dobra, obiecuję... To co jest nie tak?

Garbi się.

– Niedawno miałem operację pamięci – mówi powoli. – Wygląda na to, że właśnie tam Fiore i Yourdon znaleźli większość ochotników. Klinika redakcyjna to świetne miejsce na znalezienie osobników, którzy są zdrowi, ale zapomnieli większość tego, co wiedzieli. Którzy zdryfowali na margines życia, z minimalnymi więziami społecznymi. Bo ludzie z aktywnymi powiązaniemami nie chodzą na operacje pamięci, prawda?

– Chyba raczej rzadko – mówię, w czym delikatnie przeszkadza mi wspomnienie wojskowych oficerów na odprawie: kłopoty w poprzednim życiu, pośpieszne planowanie riposty na nagły ruch wroga.

– Chyba że próbują coś ukryć sami przed sobą.

Udaje mi się odegrać przed nim rozbawiony śmieszek.

– To chyba mało prawdopodobne. Co, tak miałeś?

– Ja... no właśnie. Mam dość wąskie kanały emocjonalne. Wąskie, ale głębokie. Miałem rodzinę. I wszystko się popsuło, teraz nie mam pojęcia z jakiego powodu, ale niewykluczone, że mogłem coś z tym zrobić. A może nie. W każdym razie to jest ogólny zarys tego, co pamiętam. Reszta to już takie szkice w trzeciej osobie, zrekonstruowane wszczepione wspomnienia, które mają zastąpić coś, co było dla mnie ważne. Bo nie przesadzam, naprawdę się po tym wypaliłem. Gdyby nie redakcja pamięci, pewnie miałbym skłonności samobójcze. Bo mam skłonność do reagowania depresją, a właśnie straciłem wszystko, co było dla mnie ważne.

Trzymam go za rękę, nie odważając się drgnąć i nagle zastanawiając się, co to za emocjonalną bombę zegarową wzięłam sobie nonszalancko na głowę przy bufecie z serem i

winem, pół tygodnia temu.

Po jakiejś minucie znowu wzdycha.

– Ale to minęło. To wszystko przeszłość i nie pamiętam jej za dobrze. Nie miałem pełnej operacji, tylko żeby trochę to wszystko zamazać, żebym mógł zbudować sobie nowe życie. – Patrzy na mnie. – Wiesz coś o tym?

Wiem o czym? – myślę, spanikowana. Potem rozumiem o co pyta.

– Też miałam operację pamięci – mówię powoli – i to nie pierwszy raz. I bardzo głęboką. Ja... – Przełykam ślinę. – Musiałam przeczytać autobiografię, którą sama sobie napisałam. – Ale czy było w niej nakłanianie? Poprzednie ja powiedziało mi prawdę, czy utkało piękny dywan z kłamstw, dla obcego, którym miało się niebawem stać? – Przeczytałam, że byłam w związku, długoterminowym. Troje partnerów, sześcioro dzieci, trwało to ponad gigasekundę. – Cała dygoce, zastanawiając się nad kolejnym zdaniem. – Nie pamiętam ich twarzy. Ani jednej.

Tak naprawdę w ogóle nic z tego nie pamiętam. Równie dobrze mogło się to przydarzyć komuś innemu – jedyna podstawa to autobiografia. Całość skończyła się ponad cztery gigasekundy temu – sto dwadzieścia lat. Zaraz potem przeszłam pierwsze zerowanie pamięci, a kolejne, o wiele dokładniejsze, ostatnio. Przez ponad trzydzieści lat tych trzech partnerów i sześcioro dzieci było dla mnie, no, wszystkim. A teraz stanowią tylko tło dla fabuły mojego życia, jak suche dokumenty przekazujące sfabrykowaną legendę agentowi-śpiochowi, który ma być przerzucony do obcego ustroju.

Sam trzyma mnie za rękę.

– Zrobiłem operację, żeby poradzić sobie z bólem – mówi. – Wyszedłem i okazało się, że chyba w ogóle nie była mi potrzebna. Bo ból to bodziec, sygnał, że organizm musi zrobić jakiś unik, prawda? Nie chodzi o chroniczny, jak przy uszkodzeniu nerwów, ale taki zwykły. Emocjonalny tak samo. Trzeba z nim coś zrobić, a nie omijać. Potem to wszystko znalazło się daleko, choć czułem pustkę. Jakbym nie do końca był człowiekiem. Zresztą nie byłem pewien, kim jestem.

Gładzę go po dłoni.

– Patologia dysocjacyjna? – pytam. – Czy coś poważniejszego?

– Poważniejszego. – W jego głosie słyszę roztargnienie. – Czułem taką pustkę, że... popełniłem błąd i znowu się zakochałem. Za szybko, w kimś, kto był szybki, inteligentny, dowcipny... i pewnie kompletnie zwariowany. Zapytał mnie o ten eksperyment, kiedy byłem w podłym nastroju, próbując wy badać, czy naprawdę jestem zakochany, czy tylko się wygłupiam. Pogadaliśmy trochę na ten temat, ale jemu chyba ten pomysł się za bardzo nie podobał. A ja w końcu miałem już tego wszystkiego dość, zapisałem się, zrobiłem backup i obudziłem się tutaj. – Patrzy na mnie nieszczęśliwym wzrokiem. – To był błąd.

– Co? – Wytrzeszczam oczy, nie wiedząc, jak to rozumieć.

– Bo to nie jest tak, że nie lubię seksu – mówi przepraszającym tonem – tylko po prostu

kocham kogoś innego. A nie zobaczę go, dopóki... – Kręci głową. – No i proszę. Na pewno masz mnie teraz za stuprocentowego kretyna.

– Nie. – Tak naprawdę myślę, że muszę uratować Cass z łap tego kutasa, który zamknął ją w domu. – Nie mam cię za kretyna – słyszę własny głos. Przechyliam się i całuję go po przyjacielsku w policzek. Wzdryga się, ale nie stara się mnie odepchnąć. – Tylko szkoda, że jesteśmy aż tak porąbani.

– No, szkoda – mówi ze smutkiem. – Mnie też szkoda.

Przez chwilę tulę się do niego, słowa wydają się zbędne. A potem czuję dyskomfort, mając jego ciało zbyt blisko, wstaję i idę z powrotem do garażu. Jest jeszcze jasno, a ja mam w głowie parę pomysłów, nad którymi chciałabym popracować. Jeśli się okaże, że muszę ratować Cass z łap Micka, a on zechce użyć siły, muszę mieć odpowiedni sprzęt.

* * *

W poniedziałek Sam idzie do pracy. I dzień później, i dwa dni później – codziennie, z wyjątkiem niedziel. Szkoli się do pracy radcy prawnego, co brzmi o wiele ciekawiej, niż faktycznie wygląda, choć zdobywa sporą wiedzę o prawach i zwyczajach starożytnych – niektóre potężne bazy prawne przetrwały ciemne wieki niemal nietknięte, a Ratusz ma mnóstwo roboty papierkowej. Jeden ze skutków jest taki, że codziennie nosi te same ciemne garnitury, dopiero w domu wolno mu przebrać się w dżinsy i rozpięte pod szyją koszule.

Zaczynam się przyzwyczajać do tego, że codziennie wychodzi. Wykształca się stały porządek dnia. Wstaję rano i robię nam obojgu kawę. Po wyjściu Sama schodzę do piwnicy i ćwiczę, aż jestem cała mokra, a ramiona mi skrzypią. Potem robię kolejną kawę, wychodzę i parę razy pokonuję dystans między dwoma tunelami – najpierw sześć długości, bo odległość to pół kilometra, a we wtorek zwiększam dystans. Kiedy chwieję się na nogach z wyczerpania, wracam do domu i biorę prysznic, kolejna kawa i albo ubieram się w coś porządnego i jadę do miasta, albo w coś nieporządnego i pracuję w garażu.

Są oczywiście jeszcze inne problemy. Po jakichś dwóch tygodniach mieszkania tutaj budzę się w środku nocy z bolesnym skurczem brzucha. Następnego dnia z obrzydzeniem stwierdzam, że krwawię. Oczywiście słyszałam o menstruacji, ale nie sądziłam, że projektantom Ustroju YFH odwali na tyle, żeby ją tu wprowadzać. Samice większości ssaków po prostu reabsorbują swoją śluzówkę, zatem czemu u ludzi z ciemnych wieków miałyby być inaczej? Myję się najdokładniej jak umiem, potem stwierdzam, że dalej cieknę. Bardzo źle się z tym czuję, gdy jednak w końcu łamię się i dzwonię do Angel z pytaniem, czy można to jakoś zatrzymać, poleca mi pojechać do apteki i poszukać środków higienicznych dla kobiet.

Zaopatrujemy się w sklepach w centrum. Jeżdżę tam parę razy na tydzień. Jedzenie ma postać gotowych pakowanych posiłków albo surowych składników, ja jednak kiepsko gotuję i wolno się uczę, więc staram się unikać tych drugich. W tym tygodniu przyspieszam ten rozkład zajęć – i to raptownie – bo środki higieniczne oznaczają aptekę, gdzie sprzedają takie

wkładki do noszenia pod bielizną. Jedna wielka obrzydliwość. Co się jeszcze stanie? Trądem też nas zarażą? Zgrzytam zębami i postanawiam kupić sobie więcej bielizny. I środki przeciwbólowe, mające postać małych gorzkich dysków, które trzeba połykać, i nie działające zbyt dobrze.

Kwestię ubrań mam mniej więcej rozpracowaną. Przywykłam do zabierania ze sobą Angel albo czasem Alice, żeby kupić stroje na publiczne okazje. To chroni mnie przed złymi wyborami i trafieniem na czyjąś listę kandydatów do obrzucenia gównem. Jen stwierdza, że słabo znam się na modzie – to oskarżenie miałoby może jakąś wagę, gdyby na śnieżnej kulce tego światka było nas dość, żeby naprawdę mieć tu jakieś mody, a nie tylko poddawać się dyktatowi fragmentarycznej, historycznej bazy danych, która leci przez dawne lata pięćdziesiąte XX wieku w tempie jednego roku na dwadzieścia dni.

Co do innego wyposażenia... ciągle nawiedzam sklep z narzędziami. Sam zapewne myśli, że wszystkie jego pieniądze wydaję na makijażystki, fryzjerów i tym podobne, a ja naprawdę troszczę się o własne przetrwanie. Jestem zdeterminowana nie poddać się bez walki, jeśli (i kiedy) odnajdą mnie zamachowcy. Zdaje się, że odkąd się wprowadziliśmy, on w ogóle nie zaglądał do garażu. Bo gdyby zajrzał, na pewno zauważyłby warsztat, wiertarkę stołową, spawarkę oraz zapasy metalu, drewna, gwoździ, kleju. Oraz książki: *Kusza wojskowa i cywilna od średniowiecza do nowoczesności; historia konstrukcji i obsługa*. To zabawne, jakie rzeczy przetrwały.

W tej chwili czytam grube tomiszcze *Pomocnik płatnerza*. W tym szaleństwie jest metoda. Nie ma tu prostego sposobu na skombinowanie miotacza czy innej nowoczesnej broni, a ja nie jestem samobójczynią, żeby bawić się materiałami wybuchowymi, nie znając fizycznej topologii tego ciśnieniowego habitatu, ale przychodzi mi do głowy, że niezłą masakrę można zrobić zabawkami, które da się zbudować w ciemnowiecznym warsztacie. Główny problem, jaki mam z kuszą, to ustalenie osi obrotu każdego z sektorów, żeby wiedzieć, jak kompensować siłę Coriolisa przy celowaniu. I tu przyda się pion i laserowy dalmierz.

Publicznie natomiast bardzo się staram być inną osobą. Nikt nie może się domyślić, że buduję arsenał.

Panie z naszej kohorty – co oznacza Jen, Angel, mnie i Alice, mąż bowiem nadal nie wypuszcza Cass z domu – spotykają się trzy razy w tygodniu na obiedzie. Nie pytam o Cass, bo nie chcę sugerować Jen, że się nią interesuję. Uznałaby to za słabość i zaczęła się zastanawiać, jakby tu ją wykorzystać. A nie chcę, żeby miała na mnie jakieś haki, dlatego stroję się, spotykam z nimi w restauracji czy kawiarni, uśmiecham się i uprzejmie słucham rozmów o tym, co robią mężowie, albo najnowszych plotek o sąsiadach. Na mojej ulicy pozostałe dziewięć domów jest pustych, czekają na przybycie kolejnych kohort badanych, ale to nietypowa sytuacja – wnioskuję, że reszta mieszka obok ludzi z innych kohort, więc w zalewiskach podmiejskiej anomii chlupoce potężne morze plotek.

– Zdaje się, że możemy coś ugrać z trzecią kohortą – mówi któregoś dnia Jen, nad posypanym papryką hiszpańskim omletem. Brzmi przebiegle.

– Tak? – pyta niecierpliwie Angel.

– Tak. – Jen wygląda na zadowoloną z siebie.

– No, mów. – Alice odkłada widelec w pobojowisko po sałatce Cezar. Próbuje wyglądać na zaintrygowaną, ale mnie nie nabierze.

Jen rzuca jej ostre spojrzenie, po czym dźga omlet.

– My mieszkamy na jednym końcu Lakeside View, Esther i Mal na drugim. – Kęs omletu drży nadziany na czubek widelca, żeby skupić naszą uwagę. Jen machinalnie przeżuwa. – Któregoś dnia rano zauważyłam, że Esther obserwuje mnie z ogrodu. Wezwałam taksówkę, że niby jadę na zakupy, ale kazałam jej zrobić pętlę i wysadzić mnie przy tunelu po drugiej stronie. Zabawne, kogo widziałam. – Uśmiecha się, ukazując idealne, ostre zęby drapieznika.

– Kogo? – pyta Alice jako usłużna publiczność.

– Ona wraca do domu, a po jakichś dziesięciu minutach taksówką przyjeżdża Phil. Odsyła ją, dzwoni do drzwi, wychodzi po godzinie czy dwóch.

Angel cmoka z dezaprobatą. Alice też wygląda na lekko zniesmaczoną.

– Nie rozumiecie? – pyta Jen. – Robią to potajemnie. Mamy na nich haka. – Nadziewa łodygę brokułu, zębami oddziera z niego po jednym pączku. – Jest na to słowo. Cudzołóstwo. Nie ma za to ujemnych punktów, jeśli jest trzymane w tajemnicy. Ale jeśli się wyda...

– My wiemy – przerywa jej Angel. – Ale co z tego...

– Nie jesteśmy w kohorcie trzeciej, rozumiesz? A Esther, Mal i Phil tak. A ta, no... presja grupowa musi być wywierana przez członków twojej grupy. Czyli mamy haka na Esther i Phila. Jeśli powiemy Malowi, stracą masę punktów.

– Jakoś źle się czuję – mówię, odkładając nóż i odsuwając krzesło. – Pójdę się przewietrzyć.

– Coś nie tak powiedziałam? – pyta od niechcienia Jen.

Coraz lepiej udaje mi się kłamać w żywe oczy. Kiedyś chyba nie byłam w tym dobra, ale przy Jen przechodzi się przyspieszony kurs kłamstwa.

– Nie chodzi o was, to coś z tym jedzeniem – mówię, wstając.

Staram się nie wyróżniać i nie urazić Jen ani reszty, lecz moja wytrzymałość ma granice. Milczące uczestnictwo w zjawianiu się na szantaż to już za dużo. Jutro czy pojutrze będę musiała się do nich uśmiechać, ale w tej chwili chciałabym być sama. Wychodzę na dwór, gdzie wieje delikatny wietrzyk, idę spacerkiem do pierwszej przecznicy i przechodzę na drugą stronę. Ruch jest bardzo mały (prawdziwi ludzie nie prowadzą tu samochodów, to zbyt niebezpieczne), a zombiaki są skonfigurowane tak, żeby ustępować pierwszeństwa pieszym, więc udaje mi się dość szybko dotrzeć do parku.

Park jest na wpół udomowionym biotopem. Trawa jest elegancko przystrzyżona, wielkie drzewa liściaste starannie poprzycinane, a meandrujący przez środek mały strumień wodny

uregulowany i poprzecinany licznymi kładkami. Ma wielką zaletę – o tej porze jest niemal pusty. Nie spotykam tu nikogo poza paroma zombiakami-ogrodnikami i może jeszcze kilkoma żonami, które nie mają nic lepszego do roboty. Idę kamienną ścieżką prowadzącą od centrum do małego zagajnika na skraju rekreacyjnego jeziora.

Podchodząc do brzegu, stopniowo się uspokajam. Jest symulowany słoneczny dzień z odrobiną wysokich chmur i leniwym wietrzykiem, od czasu do czasu rozpędzającym się na tyle, żeby ochłodzić mi skórę pod ubraniem. Jeśli nie liczyć nieustannego, mechanicznego świergotu dinozaurów wielkości pięści na drzewach, jest tu całkiem spokojnie. Czasem niemal udaje mi się zapomnieć o złości, nieustannie gotującej się w środku, i upokorzeniu, które Jen tak uwielbia wywoływać u reszty grupy.

Choćbym nie wiem jak się starała, nie potrafię spojrzeć na to z ich strony. Całkiem jakby nie zdawali sobie sprawy, że mogą oszukać system, ignorując go, odmawiając uczestnictwa, albo, równie dobrze, nie przejmując się jawnymi nagrodami i karami. Wszyscy podświadomie postanowili poddać się arbitralnej presji nakazującej segregację płci i nie spoczną, dopóki reszta nie podda się temu samemu i nie zacznie konkurować o te same nagrody. Czy kobiety z ciemnych wieków naprawdę tak miały? Były ofiarami losowości genetycznego determinizmu, a nie ochotniczkami w eksperymencie motywującym jawnymi karami i nagrodami? Jeśli tak, to mam szczęście: dla mnie to będzie trwało tylko trzy lata.

Rolą żony jest samotność. Sam i ja prowadzimy życie dość niezależne od siebie. On rano wychodzi do pracy, widzimy się dopiero wieczorem, kiedy jest zmęczony, albo w niedzielę. W niedzielę idziemy do kościoła, połączeni wspólnym strachem, że zostaniemy wybrani do napiętnowania, potem wracamy i próbujemy się nawzajem przekonywać, że punktociągi, lecące z wywieszonym ozorem za każdą rzuconą przez Fiorego sugestią, nie są najinteligentniejszymi i najbardziej rozsądnymi osobami na świecie. Czasem idzie to mocno pod górę.

Szkoda, że Sam jest mężczyzną, i szkoda, że wewnętrzna dynamika tego skompresowanego światka postawiła między nami tę sztuczną barierę. Mam wrażenie, że gdyby nie zewnętrzna presja, mogłabym go polubić.

No i jest jeszcze Cass, która w ostatnią niedzielę była w kościele.

Żyjemy w naprawdę małym, ściśle ograniczonym i kontrolowanym świecie, a pewne aspekty jego organizacji jeszcze tę sztuczność uwydatniają. Na przykład, nie mamy mody – nie w sensie spontanicznej kreatywności, powodującej falę naśladownictwa i rekompilacji. (Kreatywność to rzadkość nawet w najlepszej sytuacji, a tutaj, przy ledwie setce ludzi, jest jej za mało na coś takiego). Zamiast tego mamy osobliwie frenetyczną namiastkę mody, dyktowaną przez sklepowy asortyment. Gdzieś przetrwał katalog stylów z ciemnych wieków, a może skompilował go jakiś muzealnik i sklepy regularnie podmieniają towary, zmuszając nas do kupowania nowych rzeczy co parę cykli. Inaczej wypada się z obiegu. (Kolejna technika wymuszająca konformizm: zapomnisz o aktualizacji zawartości szafy – narażasz się

na krytykę). W tym miesiącu są modne kapelusze, absurdalne konstrukcje z szerokimi rondami i ocieniającymi twarz woalkami. Kapelusze jeszcze zniosę, ale tych rond i woalek nie cierpię – ciągle o coś nimi zaczepiam, a poza tym przeszkadzają.

Wróćmy jednak do Cass, obiektu moich nadziei i niepokoju...

Stoję jak zwykle obok Sama, ze śpiewnikiem w dłoniach, poruszam ustami, a wzrokiem wodzę po drugiej stronie nawy. W tygodniu pojawiła się nowa kohorta i w kościele jest pełno ludzi – niedługo będą musieli go powiększyć. Próbuje wyłowić nowych, bo nie chcę, żeby zadawali się ze starszymi kohortami. Może udzielił mi się wyrachowany cynizm Jen, ale uczę się domyślać stopnia czyjś wyalienowania na podstawie tego, jak długo tu siedzi. Mam wrażenie, że wśród nowych udałoby mi się znaleźć jakichś sojuszników, o ile wypatrzę ich zaraz na początku cyklu, zanim punktociągi wbiją w nich swoje szpony.

Mick z jakiegoś powodu siedzi – stoi – w tym tygodniu razem z nowymi ludźmi. Automatycznie zerkam na kobietę po jego lewej. Zerkam jeszcze raz, nie wierząc własnym oczom. Ma na sobie niebieską suknię z długimi rękawami i wysokim kołnierzem oraz kapelusz z zakrywającą twarz czarną woalką. Ciało wokół oczu grubo zasmarowane makijażem. Usta to czerwona rana, a policzki są bez koloru. To na pewno Cass, a śpiewnik z hymnami trzyma tak, jakby pierwszy raz widziała go na oczy.

Kay, czy to ty? – zastanawiam się, kuszona jej obecnością. Trzymam się obietnicy, którą na mnie wymogła... „Poszukasz mnie tam w środku?”. A Cass... Cass zna społeczeństwo lodowych ghuli. Gdyby Mick nie był tak opętany zazdrością, że nie wypuszcza jej z domu, gdyby...

Sam szturcha mnie dyskretnie pod żebro. Ludzie zamykają śpiewniki i siadają. Pośpiesznie robię to samo. (Nie chcę, żeby ktoś zauważył, nie chcę zwracać na siebie niepożądaną uwagę).

– Moi kochani – głędzi Fiore – nasz kościół jest pełen miłości i dziś serdecznie witamy w naszym łonie nową kohortę: Eddiego, Pata, Jona... – wymienia kolejno siedem innych nowych ofiar – ...jestem pewien, że weźmiecie ich pod swoje skrzydła i szybko się z nimi zaprzyjaźnicie. Spóźnione powitanie należy się także naszemu śpiochowi Cass, która wreszcie postanowiła zaszczyścić nas swoją pachnącą obecnością...

Paple w tym stylu przez jakiś czas, wygłaszając przesłodzone kazanie o posłuszeństwie, ilustrowane od czasu do czasu anegdotami o różnych grzeszkach. Vern, jak się zdaje, napił się dwa tygodnie temu do nieprzytomności i rzygał na Main Street, natomiast Erica i Kate pobity się, tak poważnie, że Erica trafiła do szpitala, wraz z Gregiem i Brook, którzy próbowali odciągnąć Kate. Siedzi teraz w więzieniu, płacąc za swój wybuch dniami o chlebie i nocami o wodzie, a kiedy Fiore kończy ją potępiać, wśród wiernych rozchodzi się gniewny pomruk dezaprobaty. Zerkam kątem oka na Cass, starając się zrobić to dyskretnie. Nie widzę jej miny – woalka całkiem ją zasłania – ale jestem niemal pewna, że gdybym mogła, ujrzałabym strach. Ramiona ma przygarbione w postawie obronnej i odchyła się w przeciwną stronę od

Micka.

Gdy wychodzimy na świeże powietrze, łapię kieliszek wina i wychylam go duszkiem, trzymając się blisko Sama. Patrzy na mnie zdenerwowany.

– Coś nie tak?

– Tak. Nie. Właściwie nie wiem.

Wierci mnie w żołądku. Cass jest najbardziej wyalienowana ze wszystkich żon Kohorty 6, nie wolno jej nigdzie wychodzić – zresztą, czy Sam może mnie przed czymkolwiek powstrzymać, jeśli tylko zechcę? Mick to trucizna, nie subtelna społeczna toksyna Jen, lecz jad żądłącego owada, brutalny i bezpośredni, z niczym się niekryjący.

– Tylko coś sprawdzę. Wrócę za parę minut, dobra?

– Reeve, uważaj na siebie.

Patrzę mu w oczy. Obawia się o mnie, uświadamiam sobie. Zawstydzona kiwam głową, potem odchodzę w stronę głównego, frontowego wejścia do kościoła.

Mick gada z gromadką srogo wyglądających mężczyzn, same żyły, mięśnie i włosy przycięte przy skórze – to goście, których widuje się przy kopaniu rowów albo kierowaniu niesamowicie głośnymi machinami. Wygryzają one dziury w drogach, a potem z powrotem je zasypują. Zawzięcie gestykuje. Obok stoi paru ministrantów, a w wejściu czeka kilka kobiet. Podkradam się do drzwi, wchodzę do środka. Kościół jest prawie pusty, koło ostatnich ławek stoi tylko jedna osoba.

– Kay? Cass? – pytam.

Zerka na mnie.

– R... reeve?

Jest ciemno i nie jestem pewna, ale coś w tych grubo nałożonych cieniach sugeruje mi siniaki. Jeśli Mick ją pobił, taka suknia skutecznie przykryłaby wszelkie ślady przemocy.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Przeskakuje wzrokiem do wejścia.

– Nie – szepcze. – Posłuchaj, on jest... nie mieszaj się. Dobrze? Nie potrzebuję pomocy. Trzymaj się ode mnie z daleka. – Głos jej wyraźnie drży.

– Obiecałam, że cię tu poszukam – mówię.

– Przestań. – Kręci głową. – On mnie zabije, rozumiesz? Jeśli tylko nabierze podejrzeń, że z kimś rozmawiałam...

– Ale my cię obronimy! Musisz tylko poprosić, zabierzemy cię stamtąd i ukryjemy przed nim.

Szkoda w ogóle z nią gadać: kręci głową i cofa się do drzwi, stukając obcasami na kamiennej posadzce. Jej twarz za woalem nie jest po prostu przestraszona: jest śmiertelnie przerażona. A biały proszek na policzkach nie wystarcza, by zamaskować kremową plamę schodzącego siniaka.

Mick czeka na zewnątrz. Jeśli zobaczy, że wychodzę za Cass, pewnie dostanie szału. A ja

zaczynam mieć wątpliwości, czy moje domysły są słuszne. Kiedy nazwałam ją Kay, nie okazała ożywienia. Ale właściwie dlaczego miałyby je okazać? Kay to przecież także przybrane imię, przecież dopiero co miała operację pamięci; zresztą, ja też w tym wesołym miasteczku jestem Reeve, nie Robinem – gdyby ktoś po tych dziesiątkach dni zawołał za mną „Robin”, czy od razu skojarzyłabym, że to do mnie?

Sfrustrowana rozglądam się za innym wyjściem. Stoję sama w nawie kościoła. Rozumiecie, to nie jest moje ulubione miejsce, ale teraz brakuje tu tej niemal namacalnej aury wrogości, jaką się czuje, kiedy stoimy tu w naszych najlepszych ciuchach, zastanawiając się, kto dziś padnie ofiarą. Czekając, aż Mick znudzi się i pójdzie, spaceruję z przodu wielkiej hali, próbując odświeżyć sobie perspektywę.

Przed ławkami jeszcze nie byłam. Co tam Fiore trzyma na swoim pulpicie? – myślę, idąc w stronę ołtarza. Widziany z tyłu pulpit rozczarowuje – to po prostu wycięta z drewna bryła, z jedną małą wnęką. Leży tam parę papierowych książek, ale próżno szukać robota-kochanka, na którego można by zwalić osobliwe manieryzmy Fiorego. Ołtarz jest równie nieciekawym. Bryła gładko wypolerowanego kamienia, wycięta w elegancki prostopadłoscian. Na wierzchu, pośrodku przykrywającej kamień fioletowej tkaniny, stoją na metalowej podstawie symbole wiary – miecz i kielich. Przyglądam się uważniej, zaintrygowana mieczem. Dziwnie wygląda. Klinga, idealnie prosta, z prostokątną końcówką, ma mniej więcej centymetr grubości. Niezaostrzona, pozbawiona szpica, przypomina raczej stalową listwę niż miecz. Ma rękojeść z koszem i szarym, szorstkim chwytem, sugerującym utylitarność, nie dekoracyjność. Coś mnie uwiera, jakiś uparty kikut fantomowego wspomnienia, swędzący w miejscu, gdzie amputowano prawdziwy zapis. Jestem pewna, że już widziałam taki miecz. Na zewnętrznej części kosza są delikatne prostokątne rowki, jakby coś stamtąd zdemontowano. A płaskie „ostrze” klingi jest jakies nie takie – lśni połyskiem twardej stali, ale i delikatną, tęczową mgiełką, ledwie widoczną dyfrakcją.

Zalewa mnie zimny pot. Gdy się prostuję i pośpiesznie ruszam do małych drzwi widocznych z boku ławki organisty, czuję, że bluzka jest w dotyku jak lód. Niech mnie tu nikt nie przyłapie, nie teraz! Ktoś tu robi nam kawał i serce ściska mi się na myśl, że może to Fiore, albo i jego szef, biskup Yourdon. Bawią się nami, to jest dowód. Komu można by o tym powiedzieć? Większość nic nie zrozumie, a ci, co mogliby... i tak nie mamy stąd wyjścia, jeśli eksperymentatorzy nie zgodzą się nas wypuścić przed terminem. Wyjście prowadzi jednak prosto do kliniki chirurgów-sповідników, a mam okropne przeczucie, że są w to jakoś zamieszani czy chociaż wtajemniczeni.

Muszę się stąd wydostać, stwierdzam z przerażeniem. Chodzi o to, że widywałam już takie miecze. Nazywają się „worpalne”, nie mam pojęcia dlaczego. Ten jest ewidentnie z demobilu, ale jak się tutaj znalazł? Wiem, że ich siła nie polega na ostrości ani szpicu, nie do tego służą. Mieli takie ci... no... Kto takie miał? Łamię sobie głowę, próbując dojść źródła tej okropnej pewności czegoś potwornie złego, czegoś, co jest nie na miejscu w

eksperymentalnym ustroju i na kilometr śmierdzi zniekształceniem rzeczywistości. Niestety, zdradziecka pamięć znów mnie zawodzi i, tłukąc w zatrzaśnięte drzwi własnej przeszłości, wracam na światło dzienne, mrugając i zastanawiając się, czy może i tym razem się mylę. Mylę się, że Cass to Kay. Mylę się, że Mick ją bije. Mylę się co do miecza i kielicha. Mylę się co do tego, kim i czym jestem...

7. Dno

Czas mija w ślimaczym tempie. Nie wspominał Samowi o zdarzeniach w kościele ani o podbitym oku Cass i worpalcym mieczu na ołtarzu. Dobrze się z nim żyje, chętnie wysłuchuje mojej depresyjnej gadki o świecie kobiet, choć z tyłu głowy ciągle żre mnie robak niepokoju. Można mu zaufać? Chciałabym, ale nie mogę być pewna, że nie jest jednym z moich prześladowców. Straszny dylemat, ryzyko za zaufanie. Dlatego nie mówię mu, co robię w garażu ani na machinie do ćwiczeń, a on też sam z siebie nie sypie informacjami o swojej pracy. Kilka z kobiet z obiadowego towarzystwa wspomina coś o organizowaniu przyjęć w domach, ale gdybyśmy choć raz poszli, oczekiwano by rewanzu, a z tym byłby związany stres – chyba żadne z nas nie jest na coś takiego gotowe. Żyjemy więc sobie samotnie we własnych tylnych kieszeniach, ja martwię się o Cass, Sam mnóstwo czyta i ogląda telewizję, próbując zrozumieć starożytnych.

Kiedy wracamy do domu po ukradkowym spotkaniu w kościele, patrzę w netlinka na punkty naszej grupy. Jen prowadzi w kontaktach społecznych, Alice jest w tym druga – chyba przysłużyło się jej pomaganie mi przy wyborze ubrań. Z zaskoczeniem stwierdzam, że jestem ostatnia. W rozbiciu na poszczególne typy aktywności widać, że chyba wszyscy pozostali uprawiają seks ze swoim partnerem: tworzenie stabilnego związku to świetny sposób na podkręcenie sobie wyniku – tanie punkty. Cofam się o tydzień czy dwa i widzę, że także Cass regularnie współżyje z Mickiem.

Wydaje mi się to niewytłumaczalnie przygnębiające. Reszta patrzy, oczekuje, że zajmę się Samem, ale ja nie chcę robić niczego, co dałoby Jen choćby odrobinę satysfakcji. Dziecinne to trochę, ale naprawdę ciąży mi świadomość, że wszyscy cały czas patrzą na mój wynik, czekając, aż się poddam. Aż dam Samowi to, czego według nich powinien chcieć. Szkoda, że tak słabo nas znają.

* * *

Mniej więcej dwa tygodnie później docieram do kresu wytrzymałości. Jest gorące, męczące wtorkowe popołudnie. Rano ćwiczyłam na zewnątrz – nadal nie mamy sąsiadów, chociaż w ciągu paru tygodni, gdy przybędzie kolejna kohorta, ma się tu wprowadzić parę

rodzin – a potem całe popołudnie pracowałam w garażu. Próbuję się od zera nauczyć spawać i jak na razie mam szczęście, że nie upaliłam sobie ręki ani nie poraził mnie prąd.

Niewyraźnie pamiętam, że niegdyś coś takiego robiłam, gigasekundy temu, ale to było tak dawno, że te wspomnienia są z drugiej ręki, a wszystko, co wiedziałam, zapomniałam doszczętnie. Coś jest nie tak z moją techniką – kawałki stali sprężynowej, z których usiłuję zrobić jeden przedmiot, stają się kruche przy spawie. Próbuję zgąć ostatni z nich w imadle, lecz spaw, nad którym spędziłam godzinę, trzaska, pryskając odłamkami. Gdybym stała trochę bardziej na lewo, dostałabym jednym w oko. A tak, tylko się paskudnie denerwuję i idę do domu, żeby coś zrobić na kolację, Sam bowiem niedługo wróci z pracy, a pozostawiony samemu sobie legnie przed telewizorem, zamiast zając się jedzeniem dla nas obojga.

Gdy jestem sama w kuchni i grzebię w zamrażarce, szukając mrożonki, którą oboje lubimy, udaje mi się upuścić na podłogę pudełko z pizzą. Rozwala się, a zawartość rozsypuje się wokół mnie. To jedna z tych chwil, gdy cały wszechświat zwala ci się, wirując, na głowę, uświadamiasz sobie, jaka jesteś samotna i odcięta od świata, a wszystkie problemy śmieją się, wytykając cię palcami. Kogo ja chcę oszukać? – pytam siebie i wybucham płaczem.

Jestem uwięziona w totalnie nieodpowiednim ciele, a fragmentaryczne wspomnienia z poprzedniej tożsamości dźgają mnie bezlitośnie, zmuszając do poszukiwania lepszego życia. Jestem więźniem w rekonstrukcji historycznego społeczeństwa, prosto z wesołego miasteczka – gdzie wszyscy ze standardu są wariatami, doprowadzonymi do obłędu przez irracjonalne prawa i bezsensowne zwyczaje. Myślę, że pamiętam, jak siedziałam na rehabilitacji i czytałam list napisany do siebie przez wcześniejszą wersję. A skąd wiem, że sama napisałam do siebie ten list? Nawet tego nie pamiętam! Równie dobrze może to być konfabulacja – z nudów próbowałam wstrzyknąć trochę ekscytacji we własne nieciekawe życie. A już to głędzenie o typach, którzy chcą mnie zabić, wydaje się coraz bardziej nieprawdopodobne i odległe – i gdyby nie ten człowiek z drutem, byłoby już całkiem niewiarygodne.

Nie przypominam sobie żadnych powodów, dla których ktoś mógłby chcieć mnie zabić. Zresztą, w obecnej chwili nawet średnio kompetentny zabójca-stażysta uznałby to za banalne zadanie. Nie umiem nawet włożyć zamrożonej pizzy do mikrofalówki, żeby nie upuścić jej na podłogę. Czas wolny spędzam w garażu, próbując pospawać sobie kuszę i pośpiesznie planując wykonanie miecza, a tymczasem wrogowie, jeśli są prawdziwi, organizują panoptikon – całkowicie zinwigilowane społeczeństwo – mają broń w rodzaju tej na ołtarzu w kościele, z ostrzem ze skrzętego się laserowo superkondensatu, falowodu dla generatorów tuneli czasoprzestrzennych. Noże, które tną czasoprzestrzeń. Przyjdą po mnie w biały dzień, ze wsparciem całego orszaku edytorów pamięci i egzystencjalnych programatorów. Nie mam dokąd uciec, nie ma stąd wyjścia oprócz kontrolowanych przez eksperymentatorów bramek T, tym samym nie ma także wejścia, nie wiem nawet, czy straciłam Kay, czy Kay to Cass, czy ktoś zupełnie inny, nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle dałam się Piccolo-47 namówić na wejście tutaj. Mam tylko własne wspomnienia a nawet im nie mogę za bardzo wierzyć.

Czuję się bezradna, zagubiona i bardzo, bardzo mała; pizza rozmazuje mi się za woalem łez, a po chwili słyszę szcęknięcie zamka w drzwiach, kroki w korytarzu, i to już jest dla mnie za dużo.

Sam znajduje mnie w kuchni, rozszlochaną, szukającą szufelki.

– Co się stało? – Stoi w drzwiach, patrząc na mnie ze skonsternowaną miną.

– Ja... ja... – Udaje mi się wsadzić pudełko do kosza, potem cisnąć za nim zmiotkę. – Nic.

– Chyba to nie jest nic – upiera się całkiem logicznie.

– Nie chcę o tym gadać. – Pociągam nosem i ocieram oczy wierzchem rękawa, zażenowana i zła na siebie za ten pokaz słabości. – Nic ważnego...

– No chodź. – Obejmuje mnie, uspokaja. – Chodźmy stąd.

– Dobra.

Wyprowadza mnie z kuchni, do salonu, a potem podchodzimy do wielkich szklanych okien. Patrzą, nie rozumiejąc, jak otwiera jedno z nich. Całe okno, od podłogi do sufitu, jest drzwiami wychodzącymi na ogród na tyłach.

– Chodź – mówi, wychodząc na trawę.

Idę za nim. Trawa jest od jakiegoś czasu niestrzyżona. Czego ty chcesz? – zastanawiam się.

– Siadaj – mówi.

Mrugam i zerkam na ławeczkę.

– No dobra.

– Zaczekaj chwilę.

Znika z powrotem w domu, zostawiając mnie z tępym, głupim poczuciem nieudolności. Gapię się na trawę. Jest wilgotna (w porze obiadowej są przewidziane opady, woda delikatnie ciora wtedy z miliona maleńkich dysz w niebie), a koło moich stóp ślimak pracowicie wchodzi na źdźbło. Nieopodal jest drugi. Dobry czas dla mięczaków, które noszą ze sobą cały swój samowystarczalny świat. Czuję ukłucie zawiści. Sama tkwię w największej ślimaczej muszli, jaką można sobie wyobrazić, zrobionej ze szkła, ukazującej wszystko co robimy kamerom i czujnikom eksperymentatorów. W swej pysze myślałam, że uda mi się wypełznąć z tej skorupy, uciec we własną tożsamość...

Sam coś mi podaje.

– Proszę, napij się.

Biorę grubą szklankę. Jest niebieska, w dnie ma zalane szkłem bąbelki, wypełnia ją przejrzysta ciecz. Czuję coś gorzkiego i cytrynę.

– No spróbuj, nie otrujesz się.

Unoszę szklankę, biorę łyk. Gin z tonikiem, podpowiada jakiś siedzący głęboko duch wspomnienia.

– Dzięki. – Pociągam nosem.

Sam sobie też nalewa.

– Przepraszam.

– Za co? – pyta, siadając obok mnie. Zdjął marynarkę i krawat, ruchy ma zmęczone, jakby ciążyły mu moje problemy.

– Jestem do niczego. – Wzruszam ramionami. – Po prostu mam już tego dość.

– Nie jesteś do niczego.

Patrzę na niego uważnie, potem muszę znów pociągnąć nosem. Szkoda, że nie mogę sobie naprawić zatok.

– Jestem. Jestem całkiem od ciebie zależna. Co bym zrobiła, gdyby nie twoja praca? Jestem mała, słaba, mam kiepską koordynację i nie potrafię nawet zrobić pizzy na kolację, żeby nie zrzucić jej na podłogę. I... i...

Sam upija kolejny łyk.

– Posłuchaj – mówi, wskazując na ogród. – Masz to wszystko. Przez cały dzień. – Kręci głową. – A ja muszę siedzieć w biurze pełnym zombiaków i robić korektę jakichś bzdur. I ciągle znajduje się jakaś bezsensowna robota, kolejne teksty, w których trzeba znaleźć błędy. Pęka mi od tego głowa. Ty masz przynajmniej to. – Patrzy na mnie, ostrożnie, dziwnie, tak że zastanawiam się, co widzi. – I jeszcze coś, co tam porabiasz w garażu.

– Ja...

– Nie chcę być wścibski – mówi, odwracając wzrok.

– To żadna tajemnica – mówię. Przelykam odrobinę drinka. – Robię różne rzeczy.

Omam nie dodaję „takie hobby”, ale to byłoby kłamstwo. A Sam jest jak dotąd jedyną osobą, której aktywnie nie okłamywałam. Mam poczucie, że jeśli zacznę, przekroczę jakąś nieodwołalną granicę. Mając za kotwicę tylko siebie i wiedząc, jak zawodna jest moja pamięć, nie będę już w stanie odróżnić prawdy od fantazji.

– Różne rzeczy. – Obraca szklankę w wielkich dłoniach. – A może chciałabyś chodzić do pracy? – pyta.

– Do pracy? – Teraz to mnie dopiero zaskoczył. – Po co?

Wzrusza ramionami.

– Żeby wyjść do ludzi. Wyjść z domu. Spotkać się z kimś innym niż punktociągi, rozumiesz? Grają ci na nerwach, nie?

Kiwam głową.

– I nic dziwnego.

Taktownie milczy, gdy opróżniam szklę. Ze zdziwieniem stwierdzam, że czuję się trochę lepiej. Chodzić do pracy!

– A skąd wziąć pracę? – pytam. – No wiesz, nie jestem mężczyzną...

– Dzwonisz do Izby Handlowej i mówisz, że chcesz dostać pracę. – Odstawia szklankę.

Patrzę na nią, widzę dwa ślimaki wspinające się po przeciwnych stronach na to samo źdźbło trawy, pozostawiające za sobą opalizującą smugę śluzu.

– Nic prostszego. Przysyłają po ciebie samochód i zabierają gdzieś, gdzie jest dla ciebie

miejsce. Nie robiłaś kursu przygotowawczego zaraz po przyjściu, ale to nic trudnego. Nie wiem, co dla ciebie znajdą i ile będą ci płacić – pewnie o wiele mniej niż mężczyznom, zdaje się, że w ciemnych wiekach tak to działało – ale jeśli praca wyda ci się zbyt nudna, zawsze możesz znów zadzwonić do Izby i poprosić o coś innego.

– Pracę – powtarzam, próbując znaleźć sens w tym słowie. Szalony pomysł, ale przecież nie bardziej niż wszystko inne w tym świecie. – Nie wiedziałam, że mogę mieć pracę.

Wzrusza ramionami.

– To nie jest nielegalne, nic z tych rzeczy. – Zerknięcie w bok. – Po prostu standardowo tego nie zapewniają. To kolejna rzecz, którą można nagiąć, jeśli jesteś na tyle bystra, żeby ci to przyszło do głowy.

– I będę spotykać się z ludźmi.

– To zależy od pracy. – Przez moment ma niepewną minę. – Przeważnie są tylko zombiaki... ale starają się, żeby w każdym miejscu pracy było przynajmniej dwóch ludzi. No i są goście, klienci... Ale całość jest bardzo nudna. Nie myślałem, że to cię zainteresuje.

– Na pewno nie będzie tak otepiająca jak to! – Zaciskam pięści.

– Nie wiadomo. – Kręci głową. – Praca w ciemnych wiekach przeważnie była bezsensowna, nieprzyjemna, a czasem i niebezpieczna.

– Na pewno nie będzie tak niebezpieczna dla mojego zdrowia psychicznego jak nicnierobienie.

– Cała Reeve. – Sam uśmiecha się promiennie. Rzadko widzi się taką minę. Sprawia, że naprawdę zazdroszczę tej szczęściarce, którą zostawił na zewnątrz. – Zrobię ci jeszcze drinka, potem skombinuję coś na kolację. A może zjemy coś na mieście? Raz można.

– Ja bardzo chętnie – zgadzam się z zapalem. – Raz można.

* * *

Wcześniej nad ranem budzi mnie jeden z moich stałych koszmarów.

Mam ich kilka. Ten wyróżnia się jakością wizualizacji. Jestem neomorfem, znów mężczyzną, o mniej więcej ortohumanoidalnym planie ciała, chociaż z licznymi usprawnieniami – mechabolicznymi podsystemami działającymi już na poziomie pojedynczych komórek. Zamiast jelit mam miniaturowe nuklearne ogniwo energetyczne. Trzy serca pompujące różne płyny ustrojowe, skórę wzmocnioną siatką z diamentowego włókna i mogę przeżyć w próżni wiele godzin. To wszystko wiąże się z rolą żołnierza w służbie Kotów Linebargera, jestem bowiem czołgiem.

Jednakże ten sen nie dlatego jest koszmarem.

Kampania trwa od jeden koma jeden megasekundy i choć my – moja jednostka – w normalnych warunkach też nie śpimy, obecnie jesteśmy pod silnym wpływem toksyn zmęzeniowych. Nasze manewry, odbywające się z dużą szybkością, trwają już dwanaście dni. Działania wojenne wobec tego ustroju zaczęły się zaraz po tym, jak Najwyższe

Dowództwo wprowadziło statki na orbitę wokół jednego z ich centralnych węzłów komunikacyjnych. Sześciopalczaste Zielone Królestwo szczególnie uparcie trzyma się swoich zakażonych asemblerów, które są wciąż zainfekowane cenzorobotami Osobliwej Żółcieni i zarażają każdego, kto przez nie przejdzie. To jeden z ostatnich bastionów strony przegrywającej; utrzymali się długo po tym, jak inne przyczółki cenzorów padły ofiarą naszych manewrów, dzięki swojej fanatycznie uwstecznionej topologii sieci i cwanej siatce wewnętrznych firewalli. Namierzyliśmy jednak, gdzie w realnej przestrzeni mieści się jeden z ich głównych przekaźników, co oznacza, że jeśli tylko zdołamy dostać się do środka, możemy wykorzystać ogromną liczbę rozchodzących się stamtąd połączeń. A moja jednostka jest ostrzem, które zadaje cios.

Wektor ataku to jeden koniec bramki T o promieniu dziesięciu metrów, rozpędzonej do około trzydziestu procent szybkości światła i spadającej swobodnie przez lodowate peryferia chmury kosmicznego śmiecia orbitującej wokół brązowego karła Epsilon Indi B. EI-B jest niewiele większy od gazowego olbrzyma, a temperatura jego powierzchni nie przekracza tysiąca stopni Kelvina – kiedy dociera się do jego halo, o parę minut świetlnych, gwiazda jest już prawie niewidoczna. Wokół, w mroźnej izolacji orbitują ciała kometarne, zimne jak głębia przestrzeni międzygwiazdnej.

Nasza szturmowa bramka jest wyłączona, a więc niewykrywalna. W ciągu paru sekund wdryfowuje w strefę obrony orbitalu Sześciopalczastego Zielonego Królestwa i przelatuje w odległości niecałych pięćdziesięciu kilometrów od olbrzymiego walca, absurdalnie blisko, a jednak bardzo trudna do zauważenia. A kiedy rozbłyskuje, kilka jednostek, wśród nich moja, wykonuje ekspresowy desant przez drugi koniec tunelu. Z punktu widzenia obrońców, pojawiają się znikąd na ich progu. A z naszego punktu widzenia, to śmiertelna pułapka.

Pokonanie pięćdziesięciu kilometrów do habitatu zajmuje nam pięćdziesiąt sekund. Leżymy rozplaszczeni w klatkach akcelerycyjnych, cały czas wytracając prędkość, a nasze kombinezony robią zwody, uniki, plują głowicami wsparcia penetracyjnego, wabikami i bombami z laserami gamma. W ciągu tych pięćdziesięciu sekund tracimy w ogniu obrony orbitalu osiemdziesiąt procent stanu osobowego. To istna rzeźnia, ale i tak mamy szczęście – przeżywamy tylko dlatego, że pracujemy dla Kotów Linebargera, a oni specjalizują się w szaleństwie stosowanym. Wszyscy wiedzą, że tylko wariat atakowałby od strony otwartego kosmosu, więc Zielonopalczaści skupili dziewięćdziesiąt procent siły ognia wewnątrz orbitalu, wycelowanej w wyloty swoich długodystansowych bramek T, a nie na zewnątrz routera, w stronę kosmicznego pustkowie.

Przez większość podejścia jestem nieprzytomny, moje wrażenia zmysłowe są rejestrowane przez czujniki na kombinezonie i buforowane do natychmiastowego wrzucenia w pamięć, kiedy ciało mi się odeszkl i przejmę nad nim kontrolę. W jednej sekundzie leżę i zamyka się nade mną kombinezon, w kolejnej już stoję w ruinach śluzy na orbitalu Zielonopalczastych, a wspomnienia o obłąkanym szturmie ozywają mi w głowie, kiedy

wyciągam miecz, podłączam sterowanie miotaczy do systemu śledzenia gałek ocznych, wydzielam kolejną porcję ablacyjnej piany i ruszam do kwater mieszkalnych.

Przewijamy do przodu:

Kiedy opanujemy ustrój, ciężko będzie poradzić sobie z cywilami, bo wszyscy są ocenzeni przez Osobliwą Żółcień – jej pierwotną wersję, z ładunkiem cenzorskim, a nie późniejsze, poprzerabiane przez rozmaitych inkwizytorów i myślowych dyktatorów. Ten ładunek nie tylko kasuje zapisy pamięci dotyczące rzeczy zakazanych – czasem zostawia także w umysłach ofiar zarodniki, a w netlinkach swój sektor startowy: później, kiedy transferują się przez podatną bramkę A, potrafi się zbudzić i ją zainfekować. Musimy zatem znaleźć wszystkich ludzi na pokładzie habitatu, na który właśnie wdarliśmy się za pomocą mieczy i miotaczy, a potem przepuścić ich przez nasze prymitywne bramki oczyszczające.

I tu właśnie do akcji wchodzi logika snu: ich bramki to zaawansowane technicznie, eleganckie wytwory dojrzałej technognozy. A nasze są byle jakie, ręcznie poskładane z byle czego w ciągu dziesiątków megasekund, z wykorzystaniem całej ocalałej wiedzy. Zmontowaliśmy je w potwornym pośpiechu, kiedy uświadomiliśmy sobie, jak daleko sięga zakażenie – generalnie objęło wszystkie bramki A całej Republiki Byt – więc są byle jakie, nieefektywne i powolne. Działają, ale niezbyt szybko. Teraz chodzą w trybie jednokierunkowym, dezasemblując i zapisując obywateli, żeby później przebadać ich na wirusy i zreinkarnować. A musimy działać szybko, bo nie zabezpieczyliśmy wszystkich podejść, inne węzły Sześciopalczastego Królestwa kontratakują ze wściekłą desperacją.

Po jakichś pięciu tysiącach sekund zbierania szarpiących się cywili i przepuszczania ich przez bramki major Nordak śle mi nowe rozkazy. „Ciała nas opóźniają” – przesyła. „Zbierajcie tylko głowy. Jak opanujemy sytuację, wszystkich powskrzeszamy”.

Na Pokładzie J, na placu, gdzie ich gromadzimy, stoi teraz, kotłujący się w dezorientacji i przestachu olbrzymi tłum cywili. Dwójka z nas wyciąga ich po jednym przez drzwi, mówiąc, że wysyłamy ich na przetwarzanie. Niektórzy nie chcą iść, nie ma jednak sensu klócić się z czołgiem w pełnym rynsztunku, więc, chcą czy nie chcą, idą z nami, a ich los w rezultacie różni się tylko obrażeniami i złamanymi kończynami. Zabieramy ich za wewnętrzne drzwi, które nie otwierają się, dopóki nie zamknęły się wewnętrzne. Wtedy to już wszyscy się bronią, widzą czekających po drugiej stronie mnie i Loral, z bramką szturmową, mieczami i górą szczątków.

Co jakiś czas się zmieniamy, bo robota jest ciężka i stresująca. Łapię szarpiącą się ofiarę, może to być pulchna ortohumanoidalna kobieta albo cherlawy facecik, któremu naprawdę przydałoby się nowe ciało – niektórzy żyli na dziko, z obawy przed Osobliwą Żółciecią, odmawiając przechodzenia przez bramki A, aż faktycznie się zestarzelili. Obezwładniam ich, kładę na śliskiej od krwi podłodze. Kiedy Loral opuszcza im na kark worpalny miecz, pomiędzy siódmym kręgiem szyjnym i pierwszym piersiowym, zwykle drą się albo i sikają w spodnie. Drgnięcie palca na przycisku, kolejna porcja krwi tryska i rozchlapuje się wszędzie,

gdzie można sobie wyobrazić, wrzask ustaje. Loral unosi miecz, ja puszczam ciało i gonię za głową, która przeważnie jest przemoczona do nitki, a powieki drgają od poamputacyjnego wstrząsu. Nisko i najszybciej jak umiem rzucam głowę do bramki A, która połyka ją, przetwarza oraz, mamy nadzieję, rejestruje, zanim wda się trwała depolaryzacja i osmotycznie spowodowana apoptoza. Wtedy Loral chwytą porzucone ciało i ciska je na stertę w kącie, którą kolega z oddziałów specjalnych wywozi co jakiś czas wózkiem widłowym, a ja miotam się po podłodze ze szczotką, w przegranej bitwie z krwią tworzącą kałuże wokół naszych nóg.

To obrzydliwa i nieprzyjemna robota – choć wczuliśmy się w rytm i pracujemy najszybciej jak się da, średnio i tak wychodzi nam ledwo jeden cywil na pięćdziesiąt sekund. Robimy to już od stu kilosekund, jako jeden z ośmiu zespołów – i w tę dobę przetworzyliśmy może z szesnaście tysięcy ludzi. A mój osobisty pech polega na tym, że kiedy otwierają się drzwi i goście z drugiej strony ciskają nam kolejne ciało, wierzgające i drące się na całe gardło, to następuje moja kolej, by użyć miecza, a Loral, by trzymać; już unosząc klingę, patrzę w przerażoną twarz i zależnie od wariantu koszmaru widzę tam własną, albo, co gorsza...

...Kay...

...i już siedzę na łóżku, tłumiąc wrzask, ktoś tuli mnie w ramionach, jestem pokryta zimnym potem i cała dygocę. Powoli uświadamiam sobie, że jestem w łóżku i że skopałam kołdrę. Na zewnątrz świeci księżyc, jestem w Ustroju YFH i niezależnie, jak źle się sprawy mają w dzień, to i tak nie mają startu do tego, co się dzieje w moich snach. W głębi gardła cichutko kwilę.

– Wszystko dobrze, już nie śpisz, nie mogą nic ci zrobić. – Sam gładzi mnie po ramionach.

Tulę się do niego i udaje mi się zmienić kwilenie w westchnienie. Serce mi wali jak jeden z tych młotów, którymi remontuje się tutaj drogi, a skórę mam całą lepką. Obejmuje mnie mocniej ramieniem.

– Chcesz o tym pogadać? – szepcze.

– To... – coś strasznego... – ...prześladujący mnie sen. Coś ze wspomnień... – pewnie nie do końca wyciętych – ...z poprzedniego życia. Coś, czego chciałam się pozbyć, teraz wróciło i mnie prześladuje. – Mówię z przerwami, bo w ustach czuję zgniliznę i nie jestem jeszcze całkiem przytomna, tylko wypłoszona ze snu przez cienie własnej przeszłości. Co on tu w ogóle robi?

– Rzuciałś się, jęczałaś i gadałaś przez sen – mówi. – Przestraszyłem się, że masz atak padaczki.

To nie jest aż takie rzadkie, nawet w tej epoce. Unoszę się na ręce, ale nie odsuwam od niego. Wysuwam natomiast drugie ramię spod pościeli i obejmuję go mocno.

– Dużo mi wycięli podczas operacji – mówię wolno. – Jeśli to fragment tego, to szkoda, że też nie przepadł.

– Już go nie ma – odpowiada Sam uspokajającym tonem, a ja mocno go obejmuję.

Jest wielki, stateczny, poważny i solidny. Poważny Sam. Wtulam twarz we wgłębienie na jego szyi i zaciągam się mocno, raz, drugi. Obejmujące mnie ramię jest silne, pewne. Pewny Sam. Dygocą mi żebra, gdy powstrzymuję nerwowy śmieszek.

– Co tam? – pyta.

– Nic – odpowiadam jego szyi.

Obudziłam się na tyle, żeby zauważyć, że nie tylko ja w tym domu śpię nago. Nie przejmuję się tym – ufam mu, że nie będzie brać mnie siłą, że nie zrobi nic, czego bym nie chciała. Jakimś sposobem przekroczył próg dzielący niepewnego nieznanego od przyjaciela, a ja nie zauważyłam kiedy. Teraz nie chcę zostać sama, więc to najbardziej naturalna rzecz na świecie: obejmować go, przesuwając mu ręką po grzbiecie, wtulać twarz w jego szyję i wdychać jego naturalny zapach.

– Zostaniesz? Nie chcę być sama.

Spina się lekko, potem jednak czuję, jak przesuwa mi pieszczotliwie dłońmi po plecach, po kręgosłupie. Zapadam się w jego objęcia. Jest taki żywy – żywe przeciwieństwo wszystkiego z mojego krwawego snu. Spałam sama i właściwie nikogo nie dotykałam, nie mówiąc już o pieprzeniu się, od co najmniej miesiąca, nie dziwi mnie zatem w najmniejszym stopniu to, że robię się podniecona, zmysłowa, pragnę więcej dotyku, więcej kontaktu, więcej zapachu. Liżę jego skórę u nasady szyi, wsuwam mu jedną dłoń między nogi, a to, co tam znajduję, nie jest żadnym zaskoczeniem – on od miesiąca też żyje w świecie tych wyrzeczeń.

– Nie... – mruczy, ale ja nie słucham.

Sunę twarzą w dół po jego piersi, całując go i jednocześnie pieszcząc to, co w dole zadaje kłam jego brakowi zainteresowania.

Sam starał się nie angażować, bo pozostawił w prawdziwym świecie ukochaną, a ja przez własną dumę i śledzącą moją punktację pazerne oczy. Rano pewnie będziemy tego żałować, teraz jednak jestem pijana jego dotykiem. Ocieram się policzkiem o jego udo i liżę go łapczywie, czując dłonie we włosach...

– Nie. – Jakby się wahał.

Biorę go do ust jak najgłębiej. Brzmi, jakby się dusił.

– Nie, Reeve, przestań...

Nie przestaję: liżę i pieszczę go dalej. Nabiera powietrza jakby miał coś powiedzieć, ale wydaje tylko delikatny jęk i kończy – kompletna antykulminacja. Za szybko, nie? I już stoi po drugiej stronie łóżka, plecami do mnie, z przygarbionymi ramionami.

– Prosiłem, żebyś przestała – mówi ponuro.

Ja dopiero po chwili odzyskuję mowę.

– Chciałam... – Mam gorzki posmak w ustach. – Chcę, żebyś był zadowolony. – Jeśli mam się poddać i upokorzyć na oczach punktociągów, to chociaż cisnę im to w twarz.

– Nie tak to trzeba było zrobić. – Jest skrzępowany, broni się, jakbym zrobiła mu coś

złego. – Myślałem, że mamy umowę.

Zsuwa się z łóżka i wymyka drzwiami, zanim przyjdzie mi do głowy jakaś odpowiedź. Unika mojego wzroku, a po minucie czy dwóch słyszę, jak odkręca prysznic.

Jestem już całkiem rozbudzona, naciągam więc szlafrok, żeby zejść na dół i zrobić sobie kubek kawy zamiast mycia zębów – nie ma mowy, żebym weszła do łazienki, kiedy Sam trzodzi się nad zmyciem z siebie mojej śliny. Mam jeszcze trochę dumy i zdaje się, że nie mogłabym teraz na niego nie wrzasnąć. A gdzie twoja samokontrola, co? Ciągłe tylko chwali się tą fantastyczną ukochaną, którą poznał na zewnątrz, ale nie jest na tyle dumny, żeby nie dać sobie obciągnąć – dopiero potem nagle staję się nieosobą. Mogłabym go za to znieawidzić. Siedzę jednak w kuchni, ze stygnącą kawą, i czekam, aż prysznic ucichnie, a światło na górze zgaśnie. Wtedy idę na palcach do łóżka. Leżę i rozmyślam prawie do świtu, zachodząc w głowę, co mnie opętało. W końcu postanawiam nie proponować mu więcej żadnych intymności, dopóki nie będę miała okazji napluć przy nim w twarz jego wymyślaną ukochaną. Wtedy wreszcie zasypiam.

* * *

Następnego dnia nie ruszam się z łóżka, dopóki Sam nie wyjdzie do pracy. I zaraz potem dzwonię do Izby Handlowej. Zombiak, który odbiera, wydaje się tylko odrobinę rozumny, ale zgadza się przysłać po mnie taksówkę następnego dnia rano. Wychodzę na dwór i biegam tam i z powrotem ulicą aż do wyczerpania – co teraz trwa o wiele dłużej – a potem idę pod prysznic. Przez resztę dnia siedzę w garażu i próbuję coś zrobić z kuszą. Wcale mi nie idzie. Zastanawiam się, po co się tak męczę: przecież i tak nie będę do nikogo strzelać?

Zostawiam Samowi na wpół rozmrożoną pizzę i karteczkę wyjaśniającą, jak ją odgrzać. Kiedy wracam do domu, jest już ciemno. Zaszył się w salonie przed telewizorem, nie ma więc żadnego problemu, żeby przekraść się na górę i pójść spać, nie oglądając go. Łatwizna, teraz, gdy unikamy się nawzajem.

We śnie męczą mnie koszmary. Tym razem inne, o wiele mniej wyraziste niż tamta rzeźnia, ale w pewnym sensie nawet bardziej niepokojące. Wyobraź sobie, że jesteś detektywem czy jakimś innym śledczym. I szukasz ludzi, złych ludzi, którzy kryją się w cieniu. Popełnili straszne zbrodnie, lecz zmienili wszystkim wspomnienia, żeby nikt nie pamiętał, co zrobili i kim są. Ty także nie wiesz, co zrobili i kim są, ale twoim zadaniem jest ich znaleźć i doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości, tak aby oni sami, i nikt inny, już nigdy nie zapomnieli, co popełnili i jakie były konsekwencje ich uczynków. Jesteś więc detektywem, łazisz po mrocznych zakamarkach ustrojów w poszukiwaniu tropów, nie wiesz jednak, kim jesteś ani dlaczego zlecono ci to zadanie. Równie dobrze mógłbyś być jednym z tych zbrodniarzy. Sprawili, że wszyscy zapomnieli, kim są i co zrobili. Przecież mogli zrobić to także sobie, prawda? Możesz być winny zbrodni tak potwornej, że jest bezimienna i wszyscy o niej zapomnieli, a jednak nieubłagana logika śledztwa zmusza cię do aresztowania

samego siebie i oddania się pod Sąd Najwyższy. Zostaniesz osądzony i otrzymasz wyrok za zbrodnię, której nie rozumiesz, której popełnienia nie pamiętasz, a kara będzie przekraczać ludzkie pojęcie – skazą cię na błądzenie po mrocznych zakamarkach ustrojów jak duch odarty z większości wspomnień, poza niezmywalnym piętnem twojego pierwotnego grzechu. W ramach odkupienia za dawne uczynki każą ci bowiem szukać najważniejszego ze zbrodniarzy. Znajdziesz trop, pewnego dnia trafisz i na niego we własnej osobie, a kiedy wyciągniesz rękę, żeby chwycić go za ramię, okaże się, że patrzysz z tyłu na samego siebie...

Budzę się w środku nocy spocona, czując mdłości. Sama nie ma. Przez chwilę mnie to złości, nie zgadzam się na jego nieobecność, potem jednak myślę: Co ja zrobiłam swojemu jednemu przyjacielowi? Do świtu zalewam poduszkę gorzkimi łzami.

Ale następnego dnia rano zaczynam nową pracę.

8. Kwestia dzieci

Taksówka, która zawozi mnie do Izby Handlowej, przyjeżdża pół godziny po wyjściu Sama. Jestem gotowa i czekam na nią, ale cały pomysł napawa mnie nerwowością. W pewnym sensie to konieczność – utwierdzenie mojej niezależności od Sama, dodatkowe źródło dochodów, spotkania z innymi więźniami, wyłamania się z samotnej koleiny niepracującej żony – choć pod innymi względami decyzja jest wątpliwa. Nie mam pojęcia, co dla mnie znajdą, będzie to mi zajmować sporo czasu, pewnie będzie nudne i bezcelowe i choć poznam nowych ludzi, możliwe także, że znienawidzę ich od pierwszego wejrzenia. Coś, co wydawało się z początku świetnym pomysłem, teraz potwornie mnie stresuje.

Taksówkarz oczywiście nie jest tu przydatny – nic mi nie powie.

– Izba Handlowa – obwieszcza. – Proszę wysiadać.

Wychodzę więc i ruszam do imponującego gmaszyska po prawej, z obrotowymi drzwiami zrobionymi z drewna i mosiądzu, mając nadzieję, że nie widać mojej niepewności. Podchodzę do recepcjonistki.

– Jestem Reeve. Jestem umówiona o, eee... dziesiątej z panem Harshawem.

– Proszę wchodzić – odpowiada zombiaczka, wskazując drzwi z matową szybą i złoconymi literami u góry.

Stukając obcasami na kamiennej posadzce, idę do nich i otwieram.

– Pan Harshaw? – pytam.

W pokoju dominuje szerokie biurko z drewna, na blacie ma prostokąt barwionej, zakonserwowanej skóry z jakiegoś dużego roślinożercy. Ściany także są wyłożone drewnem, na hakach pod sufitem wiszą prymitywne, nieruchome fotografie, certyfikaty i grupowe zdjęcia ściskających sobie dłonie mężczyzn w ciemnych garniturach. Za biurkiem siedzi starzejący się facet w ciemnym garniturze, z głową niemal pozbawioną włosów i rozszerzający się w talii. Unosi się lekko, kiedy wchodzę, wyciąga dłoń. Zombiak? – zastanawiam się z powątpiewaniem.

– Dzień dobry, Reeve. – Głos ma zrelaksowany i pewny siebie. – Siądziesz?

– Jasne. – Siadam na krześle po drugiej stronie biurka i zakładam nogę na nogę, przyglądając mu się.

Odrobina zainteresowania – patrzy na mnie, przypatruje się mojemu ciału – co znaczy, że jest prawdziwy. Zombiaki nie są tak zaprogramowane.

– Jak to możliwe, że nie widziałam pana w kościele?

– Jestem z obsługi – odpowiada gładko. – Papierosa? – Wskazuje jedno z drewnianych pudełeczek na biurku.

– Niestety, nie palę – mówię, odrobinę sztywno. Nie cierpię zapachu, bo szkodliwe to nie jest, prawda?

– To dobrze. – Sam bierze jednego, zapala go i z namysłem zaciąga się dymem. – Pytała pani wczoraj o wolne miejsca pracy. Tak się składa, że mamy jedno, które prawdopodobnie będzie pani odpowiadać – pozwoliłem sobie przejrzeć pani akta – ale akurat wyklucza osoby palące.

– O? – Unoszę brew. Nie spodziewałam się tu pana Harshawa z obsługi, przygotowywałam się na rozmowę z durnym zombiakim, interfejsem do bazy danych z wakacjami.

– W Miejskiej Bibliotece. Będzie pani pracować tylko trzy dni w tygodniu, ale po jedenaście godzin. Zalety: będzie pani praktykantką. Wady: na początku wynagrodzenie nie jest zbyt wysokie.

– A co tam trzeba robić? – pytam.

– Jak to w bibliotece. – Wzrusza ramionami. – Układanie książek. Rejestrowanie wypożyczeń, wysyłanie upomnień, zbieranie kar. Pomoc w znajdowaniu książek i informacji. Organizowanie regałów i opisywanie nowych tytułów, kiedy przychodzą. Będzie pani podlegać Janis z kohorty nr 1, która jest bibliotekarką od samego początku. Będzie musiała wziąć wolne i dlatego trzeba wyszkolić kogoś na jej miejsce.

– Wolne? – Patrzę nań ze zdziwieniem. – Dlaczego?

– Będzie mieć dziecko – odpowiada i puszcza pod sufit idealne kółko z dymu.

Z początku nie rozumiem, co mówi, tak obce jest mi to pojęcie.

– Ale czemu musi brać wolne, żeby...

Teraz z kolei on patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Bo jest w ciąży.

Przez moment jakby świat wirował wokół mnie. Dzwoni mi w uszach, mięknią mi kolana. Na szczęście, siedzę. Potem zaczynam składać to w całość i uświadamiam sobie, o co chodzi. Janis jest w ciąży – płód rośnie w niej jak otorbiony nowotwór, dokładnie tak, jak inkubowano ludzkie młode w dzikich czasach, przed cywilizacją. Pewnie uprawiali z mężem seks, a ona była płodna.

– To musiała być... – mówię, a potem zakrywam usta. Płodna.

– Tak, oboje z Normem bardzo się cieszą – mówi pan Harshaw, kiwając z entuzjazmem głową. Jakby czuł satysfakcję. – Wszyscy bardzo się cieszymy, chociaż to oznacza, że musimy wyszkolić bibliotekarkę na zastępstwo.

– Ja chętnie zobaczę, to znaczy spróbuję – zaczynam w zdenerwowaniu, cały czas myśląc: Powiedziała lekarzom, że chce być płodna?

Albo – do głowy wkrada mi się okropne podejrzenie – może wszystkie od razu jesteśmy płodne? Pamiętam, że menstruacja to był jakiś metaboliczny objaw typowy dla prehistorycznych samic, ale dotąd jeszcze to do mnie nie dotarło. Rodzenie dzieci jest trudne – wymaga intensywnej pomocy lekarskiej – a hodowanie ich we własnym ciele jest jeszcze trudniejsze. Sama idea, że ortohumanoidalne ciała, w które nas tu powtykali, są aż tak orto, że mogą automatycznie generować kolejne, przypadkowe istoty ludzkie, jest wręcz przerażająca. Ciemnowieczni lekarze chyba nie mieli inkubatorów, więc jeśli znajdę w ciąży, to może naprawdę będę musiała przejść poród. A przecież Sam i ja mieliśmy...

– Przepraszam, gdzie jest toaleta? – pytam.

– Drugie drzwi po lewej. – Pan Harshaw uśmiecha się, kiedy tam pędzę.

Gdy wracam po pięciu minutach, nadal się uśmiecha, zmuszając mnie do przybrania maski opanowania, zanegowania skurczy żołądka, które pogoniły mnie do toalety.

– Dobrze się pani czuje? – pyta.

– Teraz tak – odpowiadam. – Przepraszam, chyba zaszkodziło mi jakieś jedzenie.

– Nic nie szkodzi. Może pojedzie pani ze mną? Pokażę pani bibliotekę i zapozna się pani z Janis, zobaczymy, czy się polubicie.

Kiwam głową, wychodzimy i łapiemy taksówkę. Chyba zachowuję się całkiem dobrze, jak na kogoś, komu właśnie wywrócono światopogląd do góry nogami i walnięto go młotkiem. Ile rośnie taki noworodek? Ze trzydzieści mega? Nadaje to eksperymentowi całkiem nowe oblicze. Mam smutne przekonanie, że gdzieś musiałam się na to zgodzić. Gdzieś w umowie, którą podpisałam, była ukryta napisana drobnym drukiem klauzula, którą można zinterpretować jako moją zgodę na płodność, zajście w ciążę w razie konieczności i urodzenie dziecka podczas eksperymentu. Taki syfiasty trik, który Fiore i jego kumple z uśmiechem nam sprzedali, kiedy się go nie spodziewaliśmy.

Po paru minutach uświadamiam sobie, że obiecany nadzór niezależnej komisji etycznej nie jest wart złamanego... czegokolwiek. Ekstremalny scenariusz: wszystkie kobiety zachodzą w ciążę i rodzą dzieci, co sprawia, że eksperymentatorzy są odpowiedzialni za opiekę nad jakąś setką niemowląt, z których żadne nie udzieliło zgody na wychowywanie się w symulacji środowiska ciemnych wieków, bez dostępu do porządnej opieki medycznej, edukacji czy socjalizacji. Każda odpowiedzialna komisja etyczna zesrałaby się na miejscu, gdyby przedłożyć jej propozycję takiego eksperymentu. Podejrzewam więc, że ta tutaj albo nie jest szczególnie etyczna, albo w ogóle nie istnieje.

Rozmyślam o tym, kiedy pan Harshaw poleca zombiakowi zawieźć nas do biblioteki miejskiej. Znajduje się ona w okolicy, w której dotąd nie byłam, w tym samym kwartale co ratusz i coś, co pokazuje mi pan Harshaw i nazywa komisariatem policji.

– Komisariat? – pytam, patrząc tępo.

– Tak. Budynek, gdzie siedzi policja. – Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym nie miała wszystkich klepek.

– Wydawało mi się, że tu jest za mała przestępczość, żeby była potrzebna policja – mówię.

– Na razie tak – odpowiada z nieodgadnionym uśmiechem. – Ale to się zmienia.

Biblioteka to niski murowany budynek ze szklanym frontonem, przez który wchodzi się do recepcji, obrotowe bramki obok prowadzą do kilku wielkich sal z regałami. Na wszystkich półkach stoją książki – arkusze głupiego papieru w okładkach. A półek jest cała masa. Właściwie nigdy w życiu nie widziałam tylu książek naraz. To istny paradoks. Netlink, gdyby działał, mógłby na kiwnięcie palcem ściągnąć milion razy tyle informacji. Ale w tym zubożałym informacyjnie społeczeństwie, do którego nas wtłoczono, te rzędy martwych drzew stanowią całe bogactwo dostępnej ludzkiej wiedzy. Wygląda na to, że wolno nam korzystać tylko z tych statycznych, prymitywnych bazgrołów.

– Kto ma do tego dostęp? – pytam.

– Tłumaczenie procedur zostawię Janis – mówi Harshaw, przesuwając dłonią po lśniącej łysinie – ale każdy, kto chce, może brać, wypożyczać, książki z wypożyczalni. Trochę inaczej jest z czytelnią i jest jeszcze księgozbiór prywatny. – Odchrząkuje. – Te materiały są tajne i nie wolno wam wypożyczać ich nikomu nieuprawnionemu. Brzmi to bardzo dramatycznie, lecz nie ma w tym szczególnej tajemnicy. Po prostu, żeby nie łamać protokołu i nie wprowadzać tu nowoczesnych urządzeń do zarządzania wiedzą, sporo dokumentacji naszego projektu prowadzimy na papierze i kiedy z niego nie korzystamy, trzeba go gdzieś trzymać. A biblioteka jest w sam raz. – Przytrzymuje mi drzwi. – Znajdźmy Janis, dobra? Potem pójdziemy na obiad. Porozmawiamy, czy chcesz tu pracować, a jeśli tak, powiem ci o wynagrodzeniu i warunkach pracy, a potem, jeśli się zgodzisz, ustalimy, kiedy zaczniesz się przyuczać.

* * *

Janis jest chudą blondynką o wymizerowanej twarzy, ze stale zaniepokojoną miną. Ma długie, kościste dłonie, które trzepocą jak uwięzione owady, kiedy coś mi tłumaczy. Po machinacjach Jen jest jak powiew świeżego powietrza. Pierwszego dnia przychodzę do pracy za wcześnie, ale ona już jest. Zabiera mnie do małego, ciemnego pokoiku na zapleczu, za jednym z regałów. Podczas wczorajszego zwiedzania w ogóle nie podejrzewałam, że jest tam coś takiego.

– Tak się cieszę, że przysłaś – mówi, klasnąwszy w dłonie. – Herbaty? Może kawy? Mamy jedno i drugie. – Włącza stojący w rogu elektryczny czajnik. – Ale ktoś musi niebawem przejść się do sklepu po mleko. – Wzdycha. – To jest pokój dla personelu. Można tu sobie odpocząć, kiedy nie ma klientów, albo w przerwie obiadowej, między dwunastą i pierwszą. Wtedy zamykamy. Albo można pójść coś zjeść na mieście. Tu jest też terminal do

bibliotecznego komputera. – Wskazuje pudełkowate urządzenie podobne trochę do zabawkowego telewizora, podłączone spiralnym kablem do panelu z mnóstwem przycisków.

– To biblioteka ma komputer? – pytam zaintrygowana. – Nie można po prostu skorzystać z netlinka?

Janis rumieni się, policzki jej różowieją.

– Obawiam się, że nie. Musimy korzystać z tego tak samo jak starożytni, za pomocą klawiatury i ekranu.

– Ale wydawało mi się, że żadna z tych starożytnych maszyn myślących nie przetrwała, poza emulatorami. Skąd wiadomo, jak one fizycznie wyglądały?

– Nie jestem pewna. – Janis się zamyśla. – Wiesz, że do tej pory nie przyszło mi to do głowy? Nie mam pojęcia, jak to zaprojektowali! Pewnie jest to zakopane gdzieś w protokole eksperymentu – wszystko, co nie jest tajne, jest w komputerze, wystarczy poszukać. Ale wiesz co, teraz nie ma na to czasu.

Woda w czajniku się zagotowuje i Janis przez minutę nalewa ją do dwóch kubków pełnych granulek rozpuszczalnej kawy. Gdy stoi do mnie tyłem, przyglądam się jej dyskretnie. Jeszcze nie bardzo widać ciążę – choć zdaje się, że w okolicach talii widzę lekką wypukłość – ale sukienkę ma tak skrojoną, że trudno powiedzieć.

– Najpierw ci powiem, co się robi za głównym stołem w wypożyczalni. Trzeba rejestrować, kto co pożyczył, kiedy ma zwrócić, i tak dalej. To jest najprostsza rzecz, w sam raz na początek dla ciebie. A w ogóle – podaje mi kubek z kawą – to co wiesz o pracy w bibliotece?

Tego poranka dowiaduję się że „praca w bibliotece” obejmuje tak ogromny obszar zarządzania informacją, że podczas ciemnych wieków, nim biblioteki zaczęły się same organizować, ludzie poświęcali całe swoje (co prawda krótkie) życie na studiowanie teorii ich prowadzenia. Ani Janis, ani ja nie mamy choćby odrobiny kwalifikacji prawdziwego ciemnowiecznego bibliotekarza, wiedzy o ezoterycznych systemach katalogowania, słownictwa dotyczącego różnych stopni tajności informacji, ale damy sobie radę z prowadzeniem małej miejskiej biblioteczki i czytelnicy, potrzeba do tego tylko trochę krzątaniny i bardzo dużo cierpliwości. Wygląda na to, że mam trochę przydatnych w tej pracy umiejętności historyka, których w odróżnieniu od spawania łukowego sobie nie wymazałam. Pamiętam alfabet, od razu rozumiem system klasyfikacji dziesiętnej i że każda książka w kieszonce po wewnętrznej stronie okładki ma kartę, którą się zatrzymuje przy wypożyczeniu – to też ma sens...

Dopiero po południu, kiedy przyjęliśmy pięć zwrotów i miałyśmy jednego gościa, który wypożyczył dwie książki (o kulturze azteckiej i żywieniu drapieżnych roślin), zaczynam się zastanawiać, po co Ustrojowi YFH coś tak egzotycznego jak pełnoetatowy bibliotekarz.

– Nie mam pojęcia – przyznaje Janis nad kolejnym kubkiem kawy w pokoju socjalnym, z nogami wyciągniętymi pod chwiejnym, drewnianym, pomalowanym na biało stołem. –

Czasem jest trochę ruchu, poczekaj do szóstej, kiedy wszyscy wrócą do domu z pracy, wtedy przychodzi najwięcej klientów, ale tak naprawdę w ogóle nie jestem tu potrzebna. Zombiak spokojnie dałby sobie ze wszystkim radę. – Jakby się zamyśliła. – Chyba bardziej chodzi o znajdowanie pracy dla ludzi, którzy o nią poproszą. To jedna z wad całego eksperymentu. Tutejsza gospodarka nie działa w obiegu zamkniętym, więc jeśli nie będą stale zapewniać pracy, wszystko się rozleci. Zatem zrobiła się taka sytuacja: oni udają, że nam płacą, my udajemy, że pracujemy. Przynajmniej do czasu połączenia parafii.

– Połączenia? To ich jest więcej?

– Podobno tak. – Wzrusza ramionami. – Wprowadzają nas tutaj małymi grupami, żebyśmy poznali się z sąsiadami, zanim połączą całą społeczność i wszystko się rozleci.

– Trochę pesymistyczne nastawienie, co? – pytam.

– Może i tak. – Błyska zębami w słabym uśmiechu. – Ale realistyczne.

Chyba polubię Janis, mimo jej ironicznego poczucia humoru. Dobrze się przy niej czuję. Będzie nam się świetnie pracować.

– A inne rzeczy? To tajne archiwum? Komputer?

Macha ręką.

– Musisz wiedzieć tylko tyle: raz na tydzień przychodzi Fiore, trzeba mu otworzyć ten zamknięty pokój i zostawić go tam na godzinę czy dwie. A jeśli chce zabrać jakieś papiery, trzeba zapisać, co bierze, a potem przypominać mu, że ma to zwrócić.

– A ktoś inny?

– Hm. – Zastanawia się. – Jeśli pojawi się biskup, dajesz mu dostęp do wszystkiego. – Krzywi się. – A o komputer nie pytaj, nikt mi za wiele o nim nie powiedział i nie rozumiem, jak to działa. Ale, jeśli chcesz w nim pogrzebać, kiedy nie ma klientów, to proszę bardzo. Pamiętaj tylko, że wszystko jest logowane. – Patrzy mi w oczy. – Wszystko – powtarza z dyskretnym naciskiem.

Puls mi przyśpiesza.

– Na komputerze? Czy w ogóle?

– Wypożyczenia książek – mówi. – A może i na które strony ludzie zagląдают. Zauważyłaś, że wszystkie są w twardej oprawie? Zdziwiłabyś się, jak małe urządzenia szpiegowskie można zrobić nawet przy tutejszym poziomie techniki. Mogą być wbudowane w grzbiety i rozpoznawać, na której stronie otwiera się książkę. Bez naruszania protokołu.

– Ale protokół... – Urywam.

Telewizor nie wydaje się zbyt skomplikowany technicznie, choć czy faktycznie tak jest? Z czego się składa? Muszą być albo kamery, albo bardzo skomplikowany system wizualizacji...

– Wieki ciemne były nie tylko ciemne, ale i szybkie. Mówimy o okresie, kiedy nasi przodkowie przeszli od dodawania dwóch liczb na liczydło, do pierwszych maszyn emocjonalnych. Od znachorów z trującymi substancjami, którzy nawet gładko odciętej

kończyny nie umieli przyczepić z powrotem, do regeneracji tkanek, pełnej kontroli nad genomem i proteomem oraz hodowania narządów na zamówienie. Od latania na orbite raketami do pierwszych wind orbitalnych. I wszystko to w niecałe trzy giga, po staremu dziewięćdziesiąt lat. – Przerywa, żeby upić łyk herbaty. – Bardzo łatwo nam nie doceniać tych starożytnych ortohumanoidów. Ale wystarczy trochę tu posiedzieć, żeby pozbyć się tego nawyku, a trzeba przyznać, że księża – eksperymentatorzy – są tu dłużej niż reszta. Nawet niż Harshaw, a on przecież pracuje dla nich. – Wymawia to imię z niesmakiem i zastanawiam się, co jej zrobił.

– Myślisz, że orientują się w tym wszystkim lepiej niż my? – pytam, zaintrygowana.

– Mowa. – (Tak, mówi „mowa”, wyraźnie wczuwa się w rolę, używając tego archaicznego slangu, jak ktoś z tamtych czasów). – Tu się dzieje znacznie więcej, niż widać na oko. Udało im się świetnie ustabilizować to społeczeństwo, przecież istnieje dopiero od pięciu mega. – Jej wzrok przeskakuje nagle ku narożnikowi pokoju, nad drzwi. Podążam za nią wzrokiem. – Po części dlatego, że wszystko widzą i wszystko słyszą, naszą rozmowę też. Po części.

– Ale to przecież nie wszystko?

Uśmiecha się do mnie enigmatycznie.

– Koniec przerwy. Wracamy do pracy.

W domu jestem późno, fizycznie zmęczona od ustawiania zwrotów i stania całymi godzinami za ladą. Wchodząc do środka, czuję dojmujący niepokój. W salonie pali się światło, słychać telewizor. Idę najpierw do kuchni, żeby coś zjeść, i tam znajduje mnie Sam.

– Gdzie byłaś? – pyta.

– W pracy. – Ze znużeniem atakuję puszkę z zupą i bochenek chleba.

– A. – Pauza. – I co tam robisz?

Schował masło do lodówki, więc jest twarde jak kamień.

– Przyuczam się na nową bibliotekarkę. Na razie będę pracować trzy dni w tygodniu, ale po jedenaście godzin.

– Aha.

Nachyla się, żeby włożyć do zmywarki brudny talerz. powstrzymuję go w ostatniej chwili – w środku są czyste naczynia.

– Nie, najpierw trzeba to wyjąć.

– Hm. – Wygląda na zirytowanego. – Czyli potrzebują nowej bibliotekarki?

– Tak. – Chyba nie muszę mu się tłumaczyć? Chyba, nie?

– Znasz Janis?

– Janis... – Zastanawia się. – Nie. Nawet nie wiedziałem, że tu jest biblioteka.

– Za parę miesięcy odejdzie i musi ją ktoś zastąpić.

Zaczyna wyjmować naczynia z górnego kosza zmywarki i ustawiać je na blacie.

– Nie podoba jej się ta praca? Jeśli jest taka kiepska, to czemu ją wzięłaś?

– To nie o to chodzi. – W końcu udaje mi się przelać zupę z puszki do rondla na żarzącym się czerwono palniku. – Odchodzi, bo jest w ciąży. – Odwracam się, żeby spojrzeć na jego minę.

Skupia się na zmywarce, nie zwraca na mnie uwagi. Podejrzewam, że dalej jest zły.

– W ciąży? Hm. – Jest trochę zaskoczony. – Kto by chciał mieć dziecko w tym...

– Sam, my jesteśmy płodni.

Udaje mi się w samą porę złapać talerze, które wyciągał. Prostuję się, o jakieś pół metra od jego nosa, a on jest zbyt zbity z tropu, żeby pamiętać, że ma unikać mojego spojrzenia.

– Jesteśmy płodni?

– Tak twierdzi Janis, a sądząc po jej stanie, prawdopodobnie wie, co mówi. – Patrzę na Sama spode łba, potem Wracam do rondla. – Podasz miskę? – T-tak... – Biedak chyba jest autentycznie wstrząśnięty. Nie dziwię mu się; ja miałam parę godzin, żeby to przemyśleć, a i tak jeszcze to do mnie nie dotarło

– Tu gdzieś są...

– Pomyśl tylko. Zgodziliśmy się na ten eksperyment, wiedząc, że będzie trwał sto mega, prawda? Taka ciekawostka o bibliotekach: można w nich sprawdzać różne rzeczy. Cięża u ludzi trwa dwadzieścia siedem do dwudziestu ośmiu mega. Wszyscy tu jesteśmy płodni, a jeszcze powiedziano nam, że za pieprzenie się dostajemy punkty do premii końcowej. Historyczne prawdopodobieństwo zapłodnienia u zdrowych ortosów uprawiających seks w płodne dni to około trzydziestu procent na jeden cykl miesięczny.

– Ale wiesz... rozumiesz, gdybyś... – Trzyma miskę przed sobą jak tarczę, jakby próbował się przede mną osłonić.

Wbijam w niego wzrok.

– Nie mów tego.

– Bo... – Przełyka ślinę. – Proszę.

Biorę miskę.

– Chyba wiem, co myślałaś, że powiem. Cofam to, chociaż wcale tego nie powiedziałem. W porządku? – Mówi to bardzo szybko, sklejjając ze zdenerwowania słowa.

– Ale nie powiedziałeś.

Bardzo starannie odstawiam miskę, bo właściwie nie ma powodu, żeby rzucać nią w niego, a także dlatego, że, uspokoiwszy się odrobinę, widzę, że ma rację – nie powiedział, że gdybym go wtedy zerznęła i zaszła w ciążę, byłaby to wyłącznie moja wina. Bystry Sam.

– Do kłótni trzeba dwojga. – Oblizuję usta. – Sam, przepraszam za tamtą noc. – Trudno przychodzi mi te słowa: – Nie powinnam była cię wykorzystywać. Miałam zły okres, ale to żadne usprawiedliwienie. Nie jestem... nigdy nie byłam za dobra w samokontroli, ale to się już nie zdarzy. – A jeśli się zdarzy, to na pewno nie będę cię tak przepraszać. – Bardzo cię lubię, choć wiem że nie za bardzo jesteś poli, a jeszcze to... to gównno... – Dygocą mi ramiona.

– Nie musisz przepraszać. – Robi krok naprzód i przytula mnie.

Naprawdę jest mi dobrze w jego ramionach.

– To również moja wina. Powinienem bardziej się kontrolować, zresztą wiedziałem, że zaczynasz się mną interesować, więc nie powinienem doprowadzać do sytuacji, w której mogłaś pomyśleć...

Czuję coś.

– Cholera! – krzyczę, puszczam go i się odwracam.

Zupa kipi na palnik i paskudnie śmierdzi. Wyłączam prąd, łapię rondel, żeby przenieść go w bezpieczne miejsce, potem rozglądam się za jakąś ścierką. Kiedy to robię, Sam, jak zombiak na priorytetowym programie, metodycznie rozładowuje zmywarkę i wstawia naczynia do szafek. W końcu udaje mi się wlać ocalałą zupę do miski i ułożyć na talerzu kromki chleba. Zachodzę przy tym w głowę, czemu od razu nie wstawiłam jej do mikrofalówki.

– Zanim uda mi się to zjeść, całkiem wystygnie.

– To przeze mnie. – Ma przepraszającą minę. – Gdybym ci nie przeszkodził...

– Uhm. – Co się z nami porobiło? Przepraszamy, że oddychamy? – Posłuchaj, mam pytanie. Wiesz, ta umowa, którą... eee... podpisywałeś... pamiętasz czy był tam maksymalny czas trwania eksperymentu?

– Maksymalny? – Wygląda na zaskoczonego. – Pisali tylko, że minimum sto mega. A bo co?

– To się trzyma kupy. – Biorę talerz, miskę i idę do salonu. – Ludzkie dzieci urodzone na dziko, w prymitywnych warunkach, potrzebują co najmniej pół giga, żeby osiągnąć dojrzałość.

– Czy ty... – idzie za mną – ...masz na myśli to, co mi się wydaje?

Odstawiam miskę i talerz na stolik obok kanapy i przysiadam na bocznym oparciu, bo jeśli siądę wprost na kanapie, zapadnę się w nią na dobre. – To może mi powiedz, co ci się wydaje?

– No, nie wiem. – To oznacza, że nie chce powiedzieć. Siada na drugim końcu, wytrzeszcza na mnie oczy. – Obserwują nas, nie? Przez cały czas. Myślisz, że to dobrze, rozmawiać o czymś takim?

Dmucham na zupę, żeby przyspieszyć jej stygnięcie.

– Nie, ale nie ma też sensu popadać w paranoję. Jest nas tu co najmniej setka. To pewnie ze dwadzieścia razy tyle, co eksperymentatorów. Chcesz mi powiedzieć, że monitorują w czasie rzeczywistym wszystko, co do siebie mówimy, na bieżąco? Masa punktowanych zdarzeń w netlinkach jest wstępnie zaprogramowana – po prostu wyzwalamy je, coś robiąc. Ktoś ma orgazm w pobliżu małżonka, reaguje netlink. Paru zombiaków widzi, jak ktoś niszczy mienie albo zdejmuje publicznie ubranie, reagują netlinki. To nie oznacza, że ktoś siedzi w centrali i przez cały czas gapi się w monitory. Prawda?

(Chociaż jest to możliwe, skoro jesteśmy w panoptikonie prowadzonym nie przez

nieudolnych naukowców, tylko przez szpiegów, ale jeśli istnieją, nie zamierzam im mówić, że to wiem. Nie ma mowy. Zwłaszcza że nie mam pojęcia, skąd to wiem).

– Ale jeśli nas obserwują...

– Posłuchaj. – Odkładam łyżkę. – Jesteśmy tu na minimum trzy lata, maksimum nikt nie podał i jesteśmy płodni. Dla mnie to wygląda, że ich celem jest wyhodowanie sobie populacji prawdziwych ciemnowiecznych osobników. Gdybyś zapomniał: jesteśmy w oddzielnym ustroju, co oznacza, że on ma granicę, której da się bronić – assembler, który wygenerował ciała, które mamy na sobie. Asemblery nie produkują po prostu rzeczy – działają też jak firewalle. Ustroje to de facto niezależne sieci gęsto połączone bramkami T i ograniczone firewallami, broniącymi ich granic przed wszystkim, co chce wejść przez długodystansowe bramki. Właściwie to one są granicami. Ale można mieć ustrój, który nie ma wewnątrz bramek T. W tym wypadku definiuje go nie wnętrze, lecz granica. Podlegamy tutaj regułom YFH. To przecież oznacza, że każda urodzona tutaj osoba będzie podlegać takim samym regułom, tak czy nie?

– A swoboda poruszania się? – Sam się denerwuje. – Przecież nie mogą ich zatrzymać, jeśli zechcą emigrować?

– Chyba że nie będą mieć pojęcia, że na zewnątrz jest jakiś wszechświat – mówię ponuro. Nabieram łyżkę zupy i krzywię się, parząc sobie podniebienie. – Au. Już teraz nie wolno nam gadać o poprzednim życiu. A jeśli przykręcą nam jeszcze śrubę i zaczną zabierać punkty za każde napomknięcie o świecie zewnętrznym przy dzieciach albo publicznie? Jak ci nowi mają to wtedy rozpracować?

– To obłąd. – Sam kręci głową. – Po co komu coś takiego? Pierwotny cel eksperymentu nawet rozumiem, badanie ciemnowiecznych zachowań społecznych przez doświadczalną archeologię. Ale próba tworzenia całej populacji ortosów, zamkniętych w tej cudacznej symulacji, nie mających pojęcia, że to historyczna rekonstrukcja, a nie prawdziwy świat...

– Jeszcze nie mam pewności – odpowiadam ze znużeniem. – Jeszcze nie wiemy na pewno, że chodzi o coś takiego. I w tym sęk. Brakuje nam kluczowych danych.

– Racja, racja. – Ma udręczoną minę. – Myślisz, że ma to coś wspólnego z tym, że zgarniali ludzi bezpośrednio po operacji pamięci?

– Na pewno to też fragment układanki. – Patrzę na niego ponad zimnym rowem tektonicznym kanapy. – Ale tylko fragment.

Chciałam dodać „musimy się stąd wydostać” choć to już za mało. I mimo że powiedziałam już tyle publicznie, są rzeczy, o których nie zamierzam gadać. Na przykład, myślę że w ogóle nas stąd nie wypuszczą. Nie wiem, czy to się w ogóle skończy. Jeśli to prawda z tymi dziećmi, mogą być gotowi, żeby trzymać nas tu w nieskończoność. Albo i na gorsze rzeczy. I to pominałszy najważniejsze z pytań: Po co to wszystko? I dlaczego akurat my?

Następnego dnia idę do pracy i dzień później także, a pod koniec trzeciego jestem

wyczerpana. Wręcz zdruzgotana. Praca w bibliotece niby nie wygląda na ciężką, ale przez jedenaście godzin z godziną przerwą na obiad można się zmęczyć. W ciągu dnia jest niemal pusto, mały szczyt przychodzi co wieczór, koło szóstej – wtedy muszę ganiać tam i z powrotem za kartami, przyjmować zwroty, pobierać kary i dbać o ogólny porządek. Rano natomiast popycham między regałami wyladowany książkami wózek, odkładając zwroty i ustawiając wszystko, czego klienci nie włożyli na miejsce. Jeśli zostanie trochę czasu, ścieram kurz z co brudniejszych półek.

– Skąd wiesz, że książki poznają, co się czyta? – pytam Janis w połowie drugiego poranka. – Weź tę na przykład. – Unoszę wielkie zielone, oprawne w płótno tomiszczcze z tytułem w rodzaju *Domowa uprawa warzyw*.

– Zobacz. – Janis bierze książkę i odgina okładki do tyłu, tak że zgina się plastikowy ochronny grzbiet.

Patrzę.

– Oho. – Widzę coś jakby rozgniecioną muchę, dwa cienkie jak włos czułki biegnące do miejsca, w którym są zszyte kartki. – A to są...?

– Światłowody. Tak mi się wydaje. – Janis mruczy coś pod nosem, zamykając książkę i wsuwając ją z powrotem na wózek. – Raczej cię nie słyszą, ale wiedzą, na której stronie jest otwarte i śledzą ruch gałek ocznych. Eksperymentatorzy postarali się, żeby każdy miał inną twarz i parę działających oczu. To nie przypadek. Nie wszyscy starożytni tak mieli. Jeśli chcesz przeczytać coś w tajemnicy, potrzebne ci lustrzane okulary i stoper, żeby równomiernie przewracać strony.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – pytam z podziwem. – Mówisz jak zawodowy... – Na końcu języka mam słowo „szpieg” ale połykam je z drzeniem.

– Zanim zgłosiłam się do kliniki, byłam detektywem. – Rzuca mi przeciągłe spojrzenie. – Prosiłam, żeby tej wiedzy nie usuwali. Pomyślałam, że może się przydać w nowym życiu.

– To co w takim razie... – Powstrzymuję się w samą porę. – Zapomnij, nieważne.

– Zdecydowanie. – Parska. – Wiesz co, mówią mi tutaj, że to normalne, żeby położyć się do szpitala na tydzień czy dwa przed porodem i zostać tam jeszcze przez parę tygodni po wszystkim. Może... mogłabym cię poprosić o przysługę? – pyta nieśmiało.

– A o co? Pewnie, że tak – odpowiadam obojętnie.

– Wygląda na to, że będę cały czas leżeć w łóżku i zdychać z nudów. Nie da się cały dzień oglądać telewizji, a Norm pracuje, więc nie dotrzyma mi towarzystwa. Mogłabyś mi przynieść co jakiś czas książki z biblioteki? Żeby tam nie zdurniała?

– No pewnie, z przyjemnością! – Mówię to całkowicie szczerze, bo tak myślę. Gdybym to ja wylądowała w jakimś ciemnowiecznym szpitalu na trzy czy cztery cykle, też bym chciała, żeby ktoś do mnie przychodził. – Powiesz mi tylko, co mam przynieść, dobra?

– Dzięki. Teraz przynieś stołek, one są na samej górze, a ja nie mogę sięgać tak wysoko jak ty.

Trzeciego dnia mam umówiony obiad z Jen, Angel i Alice. Dzisiaj Jen wybrała Dominion Cafe, więc idę tam na piechotę z biblioteki, pogwizdując niemelodyjnie. Czuję się niesamowicie zadowolona z siebie. Mam coś nowego do roboty, mam własne źródło dochodów, wiem parę rzeczy, o których panie na lunchu nie będą miały pojęcia, i gdybym tylko nie spędzała połowy czasu na jawie w lęku przed przyszłością, modląc się o wydostanie z tego szklanego więzienia i ponowny kontakt z Kay, pewnie mogłabym być całkiem szczęśliwa.

Cafe Dominion jest o wiele bardziej luksusowa, niż sugeruje nazwa, więc kiedy maître d' prowadzi mnie do łoży, gdzie urzęduje Jen, czuję, że jestem za mało elegancko ubrana. Mam na sobie prostą spódnicę i sweter, a ona jeszcze cudacniejszą konstrukcję z tkaney owadziej płwociny. Na makijaż i włosy musi poświęcać ze trzy-cztery godziny dziennie. Angel zaś nie tyle próbuje ją naśladować, ile jest ciągnięta za nią w orszaku, natomiast Alice chyba czuje się nieswojo w ich towarzystwie. Ale co mnie to obchodzi? Są ludzie, można z nimi pogadać, zresztą jesteśmy połączone jedną punktacją, więc nie mogę ich ignorować. Tak pewnie starożytni myśleli o swoich rodzinach.

– Cześć wszystkim – mówię, odsuwając krzesło. – Co tam słycać?

Jen wskazuje metalowy kubek na stojaku, owinięty jakąś szmatką.

– Na bogato! – obwieszcza. – Dziewczyny, dajcie Reeve kieliszek. Przyłączysz się na łyka Chateau Lafitte rocznik 59?

– Łyka...

Ściąga serwetkę z kubek i widzę, że jest pełen lodu wokół butelki z zielonego szkła.

– Szampan – tłumaczy, trochę nieśmiało, Alice. – Wino z bąbelkami.

– Ja tam nie odmówię. – Angel podstawia smukły kieliszek, a Jen wyciąga butelkę i nalewa.

– A co to, jakaś specjalna okazja? – Jen i Angel normalnie nie piją przed zmrokiem. Czyli musi to być coś niesamowitego.

– No... – W oczach Jen widać wredny błysk. – Można by pomyśleć, że to z okazji, że wreszcie, po takim czasie, naprawiłaś to swoje społeczne niedociągnięcie.

Czuję, jak krew napływa mi do twarzy.

– Ale nie o to chodzi. – Co za menda. – Po prostu, to ostatni drink Alice na jakiś czas.

– Słucham? – Nie rozumiem, o co chodzi.

– Na jakieś osiem miesięcy – dodaje Alice, ocierając usta serwetką. Zerka to na mnie, to na Jen, jakby szukając w naszych oczach pomocy.

– Ja... – Oblizuję usta. – Jesteś w ciąży?

– Tak. – Alice pośpiesznie kiwa głową. Wygląda na nieszczęśliwą.

Za to Jen jest w ekstazie.

– Za Alice i jej dziecko! – Unosi kieliszek.

Powtarzam ten gest, nie chcąc być niekulturalna, ale pijąc łyk słodkiego, musującego

wina, spoglądam Alice w oczy, i to jest jak wyładowanie elektrostatyczne: dokładnie widzę, co myśli.

– Za twoje zdrowie – mówię jej nad krawędzią kieliszka i jestem niemal pewna, że czyta między wierszami, bo garbi się lekko i upija odrobinę wina. Patrzę na Jen. – A ty? – pytam, zanim zdążę wyhamować swój za szybki język.

– Pewnie już niedługo – rzuca spokojnie Jen. – Wtedy mnie też postawicie szampana, co? Udaje mi się przywołać widmo uśmiechu.

– Czyli bardzo chcesz mieć dziecko.

– Oczywiście. I na jednym nie poprzestanę. – Uśmiecha się do mnie współczująco. – Słyszałam o twojej pracy. Na pewno bardzo ci ciężko.

– Nie jest tak źle – wykrztuszam i uciekam do szklanki. Menda. – Ale wiesz, że Janis też jest w ciąży? – Jak ty mogłabyś nie wiedzieć. – Szkolę się, żeby ją zastąpić. – Co to, kurna, jest, Tydzień Przeciążania Systemu Podtrzymywania Życia? – To znaczy, że reszta będzie miała więcej pracy.

– Eee, pewnie będziesz następna – mówi Jen, z nonszalancką, łatwą pewnością, od której krzepnie mi krew. – Jak będziesz miała swoje, optyka ci się zmieni. Halo, kelner? Kelner! Poproszę kartę!

9. Tajemnica

Czas mija szybko, głównie dlatego, że popołudnia spędzam z nosem w encyklopedii, próbując zlikwidować swoją rozpaczliwą niewiedzę o polityce reprodukcyjnej ciemnych wieków. Co, jak wyczuwam, stawia mnie na niebezpiecznie przegranej pozycji.

Następny dzień jest pierwszym z czterech wolnych. Śpię jeszcze długo po tym, jak Sam wychodzi do biura. Potem idę na dół i ćwiczę. Teraz zamieszkanym jest jeszcze jeden z dziewięciu innych domów na naszym kawałku ulicy. Mieszkają tam Nicki i Wolf, Wolf chodzi jednak do pracy, a lenistwo Nicky przekracza wszelkie moje wyobrażenia. Śpi do południa. Odbynam porządną godzinną przebieżkę, po której jestem cała mokra, ale już nic mnie nie boli ani nie brakuje mi tchu. W naszym biomie jest wiosna, więc zaczynają kwitnąć drzewa i krzewy. W powietrzu fruwa mnóstwo zapładniającego pyłu wydzielanego przez obupłciową roślinność. Łaskocze od niego w nosie, zmusza do kichania, lecz niektóre towarzyszące mu zapachy – wabiki na owady – są ładne.

Po ćwiczeniach biorę prysznic, ubieram się w przyzwoite ubranie i ruszam do centrum, żeby wydać trochę pieniędzy w sklepie z narzędziami. Lepiej się czuję, wiedząc, że wydaję własne pieniądze, nie Sama, choć zdaję sobie sprawę, że to głupie: to bezsensowne papierki wyprodukowane dla eksperymentu, a nie prawdziwa waluta. Wychodzę ze sklepu z lampą lutowniczą, cyną, kalafonią, wielką ilością miedzianego drutu i paroma innymi drobiazgami. Potem idę kupić rzeczy do domu.

Najpierw atakuję drogerię, uzbrojona w listę towarów, o których do wczoraj w ogóle nie słyszałam – znalezionych w encyklopedii pod hasłem o zdrowiu seksualnym. Niestety, sama wiedza, o co zapytać, nie przekłada się na możliwość zakupu i stopniowo dochodzę do wniosku, że w tych brakach jest jakaś prawidłowość. Mogę zrozumieć, dlaczego w wolnej sprzedaży nie ma środków opartych na progestagenie. Ale gąbki dopochwowe? Albo te plastikowe osłonki na penisa, o których czytałam? Po jakiejś godzinie poszukiwań stwierdzam, że drogeria zda się na nic. Natrafiłam na dość szokujący artykuł o religijnych poglądach na seks i rozmnażanie – teraz wydaje mi się, że drogerię zaopatrują na podstawie instrukcji od tych eklektycznych hierofantów. Coś mi mówi, że brak środków antykoncepcyjnych to nie przypadek. Aż dziwne, że dotąd nie słyszałam, żeby ktoś się na to

skarżył.

W domu towarowym idzie mi lepiej – kupuję nową mikrofalówkę, kilka reflektorków z klipsem i parę innych drobiazgów. Potem szukam sklepu z towarami dla hobbystów. Znalezienie poszukiwanego towaru chwilę mi zajmuje, w końcu odkrywam go w rogu sklepu, w kartonie z pulpy – małe drewniane krosno tkackie. Razem z nim kupuję dużą ilość wełnianej przędzy, żeby nikt nie unosił brwi. Potem łapię taksówkę, jadę do domu i instaluję wszystkie łupy w garażu, do spółki z nieskończoną kuszą i innymi projektami.

Pora zacząć działać. Pora przestać się łudzić, że uda mi się wywalczyć wyjście, i przestać się oszukiwać, że wypuszczą mnie za (sprawdziłam kalendarz) dziewięćdziesiąt cztery megasekundy. Zapomnieć o kuszy i wszystkich tych zabawkach. Wybór jest trudny. Mogę się podporządkować jak wszyscy inni, zasymilować się w tym kieszonkowym ustroju, osiąść tu i zabrać się za hodowanie pokolenia niewiniątek, niemających pojęcia, że na zewnątrz jest inny świat. Kto wie? Czy po gigasekundzie będę w ogóle pamiętać, że miałam inne życie? Właściwie to moje przedoperacyjne ja nie pozostawiło mi wiele...

Albo mogę spróbować dowiedzieć się, co tu się naprawdę dzieje. Fiore i jego tajemniczy szef, biskup Yourdon, ewidentnie coś kombinują. To nie jest po prostu eksperymentalne archeologiczne społeczeństwo. Zbyt wiele elementów nie pasuje, gdy uważnie im się przyjrzeć. Jeśli odkryję, co oni knują, może uda mi się też znaleźć wyjście.

I dlatego mnóstwo czasu poświęcam na pracowite zdzieranie izolacji z kolejnych szpul miedzianego drucika i tkanie go na krośnie. Pierwszy krok, żeby ustalić o co tu chodzi: zapewnić sobie odrobinę prywatności. Potrzebna mi torebka na ramię wyłożona miedzianą plecionką plus elektryczny wysmażacz pluskiew (przerobiony z mikrofalówki) – bo nie ma mowy, żeby w tych sklepach zamówić sobie klatkę Faradaya, nie wyzwalając przy tym alarmów.

Utkanie metra kwadratowego miedzianego sukna zajmuje mi niemal dwa tygodnie. Pracuję w ciemności, po omacku. Ciężko się to robi. Druciki się łamią, zginają, zdjęcie izolacji trwa całe wieki, a poza tym, mam jeszcze pełnoetatową pracę.

Janis skarży się na pobożowanie w krzyżu, a co rano spędza masę czasu w toalecie, skąd wychodzi bardzo blada. Rzadziej rzuca dobrymi tekstami i żartami, a szkoda. Zaczyna też uwypuklać się w pasie. Robi dobrą minę, ale pod spodem chyba jest przerażona. Perspektywa porodu, jak u zwierzęcia (i całe związane z tym ryzyko i ból) przeraziłaby każdego, nawet bez dodatkowego napawającego lękiem faktu – że przykuwasz się na nieskończony czas do tego ustroju, a do współpracy zmuszą cię, biorąc na zakładnika produkt twojego bólu i łez. Dlatego chciałabym wiedzieć – czemu tu jeszcze nie ma ruchu oporu? Spodziewam się, że w panoptikonie organizatorzy czegoś takiego muszą być bardzo dyskretni – albo bardzo naiwni – ale wciąż zachodzę w głowę, dlaczego jeszcze nie widziałam najmniejszych oznak choćby potajemnego buntu.

Przeczytałam w bibliotece konstytucję YFH (wyłożoną na pulpicie przy samym wejściu,

żeby każdy mógł się zapoznać) i to, czego w niej brakuje, jest równie istotne, jak to, co jest. Jest karta praw, która otwarcie wymienia „prawo do życia” (które, jeśli poczytać ciemnowieczną historię, nie oznacza tego, co przyszłoby do głowy naiwnemu współczesnemu czytelnikowi), a dalej wyraźnie pozbawia nas wszelkich nadziei na prawo do prywatności, co oznacza, że mogą mi to narzucić wbrew mojej woli. Błę. Konstytucja to specyfikacja publicznego protokołu, określająca parametry, w granicach których funkcjonuje tutejszy ustrój. Zanim tu weszłam, wydawała mi się nieistotna, teraz mnie przeraża – zauważam też, że nie mówi dokładnie nic o wolności poruszania się. A to jest aksjomat niemal wszystkich ustrojów, od czasu, gdy zakończenie wojen cenzorskich wymazało z mapy ostatnie gniazda oporu Osobliwej Żółcieni i dyktatur memetycznych. Ale na naszych półkach nie znajdzie się żadnej wiedzy na ten temat – w bibliotece historia kończy się na roku 2050, a w dodatku wszystko po roku 2005 jest dostępne tylko z terminali komputerowych, gdzie trzeba korzystać z zawilego, tekstowego, dialogowego interfejsu, który wciąż z trudem usiłuję zgłębić.

W tym czasie stosunkowo mało widuję się z Samem. Po kłótni, a w sumie także po połowicznym pogodzeniu się, odsunął się ode mnie. Może to szok, po tym, jak się dowiedział o swojej płodności, ale trzyma się bardzo na dystans. Przed tym koszmarem, kiedy to zepsułam wszystko, co było między nami, przytulałam go, gdy wracał z pracy. Śmialiśmy się razem, gadaliśmy i (jestem tego pewna) zbliżaliśmy się do siebie. Natomiast od tamtej nocy i kłótni nawet się nie dotknęliśmy. Czuję się wyalienowana i trochę się boję. Gdybyśmy się dotknęli to... sama nie wiem. Postawmy sprawę uczciwie: popęd seksualny mam, lecz na myśl o zajściu tutaj w ciążę robię w gacie. Wprawdzie moglibyśmy, gdyby przyszła nam ochota na intymność, zaspokoić się na parę innych sposobów, ale cała sytuacja bardzo skutecznie nas od tego odstręcza. Dlatego właściwie nie mogę go winić, że tak mnie unika. Im szybciej się stąd wydostanie, tym szybciej będzie mógł popędzić na poszukiwanie swojej romantycznej miłości – zakładając, że dziwka nie postawiła na nim krzyżyka i w pięć sekund po tym, jak wszedł do eksperymentu, nie rozejrzała się za poliwspólnotą, z którą mogłaby radośnie powymieniać płyny ustrojowe. Sam ciągle to rozpamiętuje, a znając jego szczęście, zafiksował się na kimś, na kogo nawet bym nie spojrzała. Takie życie.

* * *

Po czterech tygodniach w nowej pracy, dwanaście tygodni przed początkiem urlopu macierzyńskiego Janis, znów budzę się z wrzaskiem z nocnego koszmaru.

Tym razem wygląda to inaczej. Obok mnie nie ma Sama, żeby podtrzymał mnie, kiedy się budzę. A po drugie, tym razem mam zimną pewność, że sen jest prawdziwy. To nie jest po prostu straszny sen, to coś, co faktycznie mi się przydarzyło. Coś, czego klinika nie miała mi wymazać.

Siedzę przy biurku w ciasnym prostokątnym pokoiku bez okien i drzwi. Ściany mają barwę starego złota, zmatowiałego ale opalizującego, siejącego dyfrakcyjnymi tęczkami, gdy

tylko odwrócić wzrok od biurka. Jestem w ortohumanoidalnym męskim ciele, a nie wojskowym mechu z poprzedniego koszmaru, i mam na sobie prostą tunikę z wzorem, który niewyraźnie kojarzy mi się z noszonym w klinice chirurgów-sповідników.

Na pulpicie przede mną leży stosik arkuszy grubego papieru, ręcznie czerpanych, o nierównych brzegach. Zrobiłem go dawno temu, więc wszystkie urządzenia szpiegowskie w nim dawno zdechły ze starości. W lewej ręce trzymam prostą stalówkę z rączką wyrzeźbioną z kości – kości udowej mojego ostatniego ciała. Taki drobny kaprys. Po drugiej stronie stoi kałamarz z atramentem. Pamiętam, że skombinowanie go kosztowało mnie zadziwiająco dużo czasu i pieniędzy. Ten atrament nie ma historii. Zawieszony w nim cząsteczki węglowej sadzy mają losowy skład izotopowy. Nie da się nawet określić, z jakiego rejonu galaktyki pochodzi. Anonimowy atrament do zatrutego pióra. W sam raz pasuje...

Piszę list do kogoś, kto jeszcze nie istnieje. Będzie samotny, zdezorientowany, pewnie także bardzo przerażony. Strasznie mi go żal w tej samotności i strachu, bo znam to i wiem, przez co będzie musiał przejść. A ja będę tam razem z nim, będę z nim przeżywać każdą chwilę. (Coś tu nie gra. List, który czytałem na rehabilitacji, miał tylko trzy strony, a ten stos kartek jest o wiele grubszy. O co chodzi?). Garbię się nad blatem, ściskając pióro tak mocno, że przy pierwszym stawie palca środkowego powstaje bolesna bruzda, i mozolnie bazgrzę po włóknistych arkuszach.

Gdy przypominam sobie to uczucie w palcach, pamięć somatyczną pisania, mam potworne wrażenie pewności, głębokie wewnętrzne przekonanie, że naprawdę wysłałem sobie dwudziestostronicowy list z przeszłości, zawierający treść, która była mi rozpaczliwie potrzebna – a pozwolono mi z tego ujrzeć tylko trzy strony.

Drogi ja.

Zastanawiasz się w tej chwili, kim jesteś. Zakładam, że już przezwyciężyłeś gwałtowne wahania nastrojów i umiesz zrozumieć stany emocjonalne innych ludzi. Jeśli nie, sugeruję, żebyś natychmiast przestało czytać i zostawiło ten list na później. Są tu rzeczy, które Cię zbulwersują. Zbyt wczesny dostęp do tych informacji może skończyć się Twoją śmiercią.

Kim jesteś? I kim jestem ja?

Odpowiedź na to pytanie: jesteś mną, a ja jestem Tobą, brakuje Ci jednak pewnych kluczowych wspomnień – co najważniejsze, wszystkiego, co się dla mnie liczyło około dwóch i pół gigasekundy temu. To bardzo dużo czasu. Przed Akceleracją większość ludzi tyle nie żyła. Zapewne zapytujesz się, dlaczego ja – Twoje wcześniejsze ja – chciałem wykasować wszystkie te przeżycia. Naprawdę były aż tak straszne?

Otóż nie były. Szczerze mówiąc, gdybym nie przechodził w życiu poważnych operacji pamięci, byłbym przerażony. Mam w głowie pewne rzeczy, których nie

chciałbym stracić. Zapominanie jest trochę jak śmierć, a zapomnienie siedemdziesięciu ziemskich lat życia za jednym zamachem jest bardzo jak śmierć.

Na szczęście, zapomnienie, podobnie jak śmierć, jest w dzisiejszych czasach odwracalne.

Idź do domu Rishaela Nadzwyczajnego w Bloku 54 Miodowy Wrzesień w Ustroju Nefrytowego Słońca, okaż próbkę tkanki i poproś o rozmowę z Jordaanem. On wyjaśni, jak odzyskać z depozytu mój ostatni imprint i jak skonsolidować go z Twoim umysłem. Proces jest skomplikowany, ale te rzeczy należą do Ciebie i kiedy byłeś mną, dawały Ci dużo szczęścia. W istocie, są to wspomnienia, które mnie definiują – i których brak określa, kim w stosunku do mnie jesteś.

Na marginesie, w imprincie znajdziesz między innymi wiedzę, jak przejąć fundusz powierniczy, w którym jest ćwierć miliona écu.

(Tak, jestem obleśnym manipulantem – chcę, żebyś w przyszłości z powrotem stało się mną. Wcześniej czy później. Nie bój się, samo też jesteś obleśnym manipulantem – musisz być, skoro żyjesz i czytasz ten list).

Zacznijmy od podstaw.

Dochodzisz do siebie po operacji głębokiego kasowania pamięci. Zapewne myślisz, że kiedy wyzdrowiejesz, spędzisz tradycyjny wanderjahr, szukając zajęcia, miejsca zamieszkania, będziesz poznawać znajomych i kochanki i urządzać sobie życie na nowo. Otóż nie. Miałoś tę operację dlatego, że ludzie, dla których pracujesz, wykryli niepokojącą prawidłowość w zdarzeniach koncentrujących się na Klinice Błogosławionej Osobliwości prowadzonej przez zakon chirurgów-spowiedników w Strefie Miejskiej Darke w Niewidzialnej Republice. Ludziom wychodzącym po operacji proponuje się udział w psychologiczno-historycznym projekcie badawczym mającym na celu zbadanie przez grę na żywo funkcjonowania społeczeństwa z pierwszego ciemnego wieku. Niektórzy z tych ludzi mają bardzo podejrzaną przeszłość: w pewnych przypadkach, aż tak podejrzaną, że są ukrywającymi się zbrodniarzami wojennymi.

Twoja misja (i nie, nie masz wyboru, już nas do tego zobowiązałem) będzie polegać na wejściu do Ustroju YFH, zebraniu informacji, co się tam dzieje, a następnie powrocie tutaj z tą informacją. Wygląda prosto, prawda?

Ale jest w tym haczyk. Eksperymentalne społeczeństwo zorganizowano w dawnym więzieniu wojskowym, szklanym domu używanym po wojnie jako ośrodek reprogramowania i rehabilitacji. Wówczas powszechnie sądzono, że nie da się z niego uciec, a na pewno jest bardzo dobrze zabezpieczony. Do środka weszli już inni agenci. Jeden, bardzo doświadczony, zniknął bez śladu i teraz mija dwadzieścia mega od ostatniego terminu wyjścia. Inny wrócił spóźniony o

jedenaste megasekund, zgłosił się do umówionej komórki i zdetonował ukryte na ciele urządzenie z antymaterią, zabijając instancję swojego oficera prowadzącego.

Sądzę, że obaj agenci zostali zdemaskowani, ponieważ przerzucono ich do szklanego domu po intensywnej odprawie i treningu. Nie mamy pojęcia, czego się spodziewać po drugiej stronie długodystansowej bramki prowadzącej do Ustroju YFH, ale zabezpieczenia mają tam dobre. Spodziewamy się dokładnych pogranicznych firewalli i ścisłej ochrony kontrwywiadowczej, wspartej systemami inwigilacyjnymi więzienia dla groźnych przestępców. Twój wektor stanu zostanie prawdopodobnie poddany przed wpuszczeniem głębokiej inspekcji, zostanie także zbadana Twoja przeszłość. Dlatego właśnie zamierzam poddać się głębokiemu kasowaniu pamięci. Mówiąc wprost: to, czego nie wiesz, Cię nie zdemaskuje.

Na marginesie, jeśli masz wyraziste sny dotyczące tych rzeczy, oznacza to, że mija Twój termin. To jest druga emergentna odprawa. Zanim pójdę do kliniki w Strefie Miejskiej Darke, zamierzam to wspomnienie częściowo usunąć – to znaczy, usunąć łącza do niego, ale fizycznie nie niszczyć. Polega to na usunięciu dowiązanych do niego asocjacji, a nie samych danych. W stosownym czasie wykształcą się one ponownie, liczę na to, że nawet po skasowaniu przez chirurgów-sповідników innych wspomnień, tych, o które poproszę. Jeżeli sam nie wiem, że coś zapomniałem, nie będą w stanie mi tego skasować.

A jaka jest geneza Twojej misji?

Niewiele Ci potrafię powiedzieć. Nasze zapisy są przerażająco niekompletne i w znacznym stopniu składają się z wyników wyszukiwania w śmieciach, reagującego na niespodziewane pojawianie się w tych samych miejscach nazwisk: Yourdon, Fiore i Hanta.

Podczas wojen cenzorskich, Osobliwa Żółcień zaraziła dosłownie każdą bramkę A w Republice Byt. Nie wiemy, kto ją wypuścił i dlaczego, ponieważ jej jedynym celem, jak się zdaje, było usuwanie wszelkich wspomnień i informacji dotyczących pewnych spraw. Osobliwa Żółcień instalowała się w assemblerach i dzięki temu miała okazję poddać cenzurze wszystkie osoby potrzebujące opieki medycznej, żywności, materiałów czy praktycznie dowolnych cywilizacyjnych utensyliów. Ma się rozumieć, że niektórzy z nas zaczęli się temu sprzeciwiać, a wynikła z tego wojna domowa – po której Republika Byt rozpadła się na obecny system oddzielonych firewallami ustrojów – spowodowała poważną utratę danych w niektórych kluczowych obszarach. W szczególności, przestały funkcjonować podstawowe zapewniane przez Republikę usługi: wspólna podstawa czasu oraz możliwość uwierzytelniania tożsamości. Sytuację po pokonaniu Osobliwej Żółcień skomplikowało jeszcze pojawienie się oportunistycznych dyktatur,

których przywódcy wykorzystali jej oprogramowanie do rozsiewania własnych szkodliwych ideologii i propagowania swoich struktur władzy. Podczas wynikłego chaosu doszło do utraty kolejnych informacji.

Pośród spraw, o których wiemy bardzo niewiele, jest historia i pochodzenie pewnych wojskowych, których Osobliwa Żółcień zwerbowała na uśpionych agentów, gdy się zorientowała, że jest celem ataku dysydentów uzbrojonych w czyste, zbudowane od zera bramki A. To samo dotyczy niebezpiecznego elementu oportunistycznego, który wykorzystał możliwość przenoszenia ładunku bojowego przez Osobliwą Żółcień do stworzenia własnych kieszonkowych imperiów. Zwróciliśmy uwagę na Yourdona, Fiorego i Hantę, gdyż pojawiali się w kontekście organizacji wojen psychologicznych w nie mniej niż osiemnastu takich lokalnych dyktaturach. Są to ludzie niezwykle niebezpieczni, znajdują się jednak poza naszym zasięgiem, gdyż, mówiąc bez ogródek, świadczą jakieś usługi siłom zbrojnym Niewidzialnej Republiki.

Natomiast o uśpionych agentach wiemy tyle: w ostatnich paru megasekundach, zanim sojuszowi udało się odizolować, a potem wyeliminować ostatnie podsieci Osobliwej Żółcieni, wyżej postawionym osobom z niektórych dyktatur udało się zejść do podziemia. Od końca wojny minęły już prawie dwie gigasekundy, więc większość ludzi uważa istnienie niedobitków Żółcieni za fikcję. Ja jednak nie uważam, że można ignorować zagrożenie tylko dlatego, że brzmi nieprawdopodobnie. Jeśli Osobliwa Żółcień naprawdę utworzyła sobie uśpione komórki, rezerwowe nisze infekcyjne zaprojektowane, by obudzić się długo po Słumieniu pierwszej fali, to nasza zbiorowa niechęć do ich tropienia jest katastrofalnie krótkowzroczna. A niepokoję się zwłaszcza dlatego, że niektóre aspekty protokołu eksperymentalnego Ustroju YFH wyglądają na bardzo podatne na tego typu poprawki.

Mój główny powód do przejścia przez Ciebie głębokiej redakcji pamięci przed wprowadzeniem do Ustroju YFH jest następujący: podejrzewam, że wchodzący tam osobnicy są przed wydaniem nowych ciał przepuszczani przez bramkę A zarażoną aktywną, zmodyfikowaną kopią Osobliwej Żółcieni. Dlatego wyprzedzające usunięcie pamięci to jedyny pewny sposób, aby bramka nie zidentyfikowała Cię jako zagrożenia dla swych właścicieli, które należy wyeliminować.

Przyglądam się, jak piszę ten list do samego siebie. Czytam go tak łatwo, jakby był wyryty na mojej skórze. Na papierze nie widzę jednak żadnego śladu, bo moje dawne ja zapomniało maczać pióro w atramencie, więc od dłuższego czasu tylko wydrapuje w chropowatych arkuszach niewidoczne wgłębienia. Chyba stoję mu za plecami, choć jego

głowy nie widzę. I usiłuję na niego wrzasnąć: „Nie! Nie! Nie tak to się robi!”, ale nic z tego nie wychodzi, bo to sen; kiedy próbuję chwycić pióro, ręka przechodzi mi na wylot przez jego nadgarstek, a on wciąż pisze mi po nagim mózgu atramentem z krwi i neuroprzekaźników.

Zaczynam panikować, bo zamknięcie z nim w tej celi spowodowało falę wspomnień, które sprytnie wytłumił, żeby nie wykryła ich cenzura Osobliwej Żółcieni. To animowana orgia okropności, triumfów i niepohamowanego życia. Nie do zniesienia, zbyt wyrazista – przypominam sobie teraz resztę poprzedniego snu, tego o mieczach, zbrojach i odwracalnej masakrze w wyzwolonym warunkowo walcu pewnego stroju. Pamiętam, że pod koniec, po wrzuceniu paru ostatnich głów, bramka A zawiesiła się, pamiętam, jak Loral odwróciła się do mnie i powiedziała: „No i chuj”, głosem pełnym niesmaku i znużenia światem. Potem odchodzę i zarządzam sobie głębokie kasowanie, bo wiem, że jeśli tego nie zrobię, będę budzić się z wrzaskiem przez całe lata...

...i budzę się, i biegnę do toalety, ledwo zdążając, gdy żołądek kurczy się konwulsyjnie, próbuje wyleźć mi przez gardło i uciec.

Nie wierzę, że robiłam takie rzeczy. Nie wierzę, że mogłam popełniać takie zbrodnie. Pamiętam jednak tę masakrę, jakby była wczoraj. A jeśli ta pamięć jest fałszywa, to co z resztą mojej osoby?

* * *

Niezupełnie przypadkiem, następnego dnia pierwszy raz wychodzę z nową torbą. Rozpoczęła swe życie jako prostokątny przedmiot z zielonego winylu. Teraz ma w środku czarną, nylonową podszewkę, którą wszyłam tam, klnąc i ssąc pokłute palce, żeby ukryć wklejoną pod spód plecionkę ze lśniącej miedzi. Wygląda jak normalna torba na zakupy, dopóki nie zakryje się wnętrza klapą z podszewki. Wtedy wygląda jak normalna torba na zakupy z zawartością przykrytą czarną klapą. Teraz mam w środku karton bardzo mocnej mielonej kawy, papierowy filtr i parę innych drobiazgów, pojedynczo niewinnych, ale w komplecie zgubnych, jeśli tylko ktoś wie, na co patrzy. To dobrze, że ta torba wygląda tak anonimowo, bo jeśli nie wyhalucynowałam sobie tych wspomnień, dziś przyniosę do domu coś o wiele mniej niewinnego niż kawa.

Wchodzę do biblioteki, jak zwykle trochę wcześniej, i zastaję Janis w pokoiku na zapleczu, bladą i marnie wyglądającą.

– Poranne mdłości? – pytam, a ona kiwa głową. – Współczuję. Posłuchaj, a może posiedzisz sobie tutaj, a ja porozkładam zwroty? Unieś nogi. Jeśli nie będę sobie mogła z czymś poradzić, to cię zawołam.

– Dzięki. Tak zrobię. – Opiera się z powrotem o ścianę. – Nie przychodziłabym, ale będzie Fiore...

– Zostaw go mnie – mówię, starając się nie okazać zdziwienia. Nie spodziewałam się go tak szybko, ale torbę już mam, więc...

– Na pewno? – pyta.

– Tak. – Uśmiecham się uspokajająco. – Nic się nie bój, tylko go wpuszczę i zostawię tam z jego sprawami.

– No dobra – odpowiada z wdzięcznością, a ja wychodzę i zabieram się do pracy.

Najpierw ładuję na wózek wczorajsze zwroty i jeżdżę wzdłuż regałów, odstawiając je najszybciej jak potrafię. To trwa tylko parę minut – większość współwzięniów nie zdaje sobie sprawy, że lektura jest w repertuarze rozrywek, a zaledwie garstka regularnie coś wypożycza. Potem jednak pomijam odkurzanie i sprzątanie, które powinnam dziś zarządzić. Biorę natomiast torbę zza kontuaru, wrzucam na dolną półkę wózka i idę do półek w czytelni naukowej, obok pokoju gdzie są przechowywane kościelne dokumenty.

Do torby wędruje słownik seksualnych tabu, dostępny tylko w czytelni, bo jakaś cudaczna interpretacja ciemnowiecznych obyczajów mówi, że bibliotekom nie wolno wypożyczać takich rzeczy. To moja przykrywka na wypadek wpadki, coś brzydkiego, ale ewidentnie banalnego. Potem zostawiam wózek tam, gdzie stał, z torbą upchniętą na dnie, gdzie jej na pierwszy rzut oka nie widać. Wracam za kontuar. Pocą mi się dłonie. Do archiwum ma przyjść Fiore, co oznacza popchnięcie moich planów do przodu. Wcześniej zawsze zajmowała się nim Janis, ale dziś źle się czuje, ja tu rządzę, zresztą nie ma sensu odwlekać tego co nieuniknione. Ewentualne wykrety już i tak mam przygotowane. Ostatnio mało co spałam, ciągle przepowiadając je sobie w myślach.

Wczesnym przedpołudniem przyjeżdża czarny samochód i parkuje pod schodami do biblioteki. Odkładam czytaną książkę, staję za kontuarem i czekam. Zombiak-szofer w liberii wychodzi i, stojąc z boku, otwiera tylne drzwi. Z wozu wysiada pulchny mężczyzna. Czarne, tłuste włosy połyskują w słońcu. Biała kreska koloratki sprawia, że jego twarz odcina się od reszty, jakby nie należała do tego samego świata co tułów. Idzie schodami do drzwi, otwiera je i podchodzi do kontuaru.

– Do zbiorów specjalnych – mówi. Potem zagląda mi w twarz. – O, Reeve. Wcześniej cię tu nie było.

Przywołuje na twarz słaby uśmiech.

– Szkolę się na bibliotekarkę. Janis z rana źle się poczuła, więc na razie zastępuję ją we wszystkim.

– Źle się poczuła? – Patrzy na mnie sowim wzrokiem.

Odwzajemniam spojrzenie. Fiore wybrał sobie ciało fizycznie imponujące, ale niemal zniedołężniałe ze starości, w, jak to nazywali starożytni, „średnim wieku”. Ma nadwagę, żeby nie powiedzieć otyłość, jest szeroki, przysadzisty i niewiele wyższy ode mnie. Kiedy gada, trzęsą mu się podbródki, wyraźnie widać też pory na nosie. Teraz ma rozchylone nozdrza, węszy podejrzliwie. Przypatruje mi się, ściągając krzaczaste brwi. Śmierdzi jakąś organiczną stęchlizną, jakby za długo leżał na pryzmie z kompostem.

– Tak, ma poranne mdłości – mówię po prostu, licząc, że nie zapyta, gdzie ona jest.

– Poranne... a, no tak! – Groźna mina natychmiast znika. – Ach, te przejścia, jakim poddaje nas los. – Ocieka ślimaczym śluzem współczucia. – To musi być bardzo trudne, tak dla niej, jak i dla ciebie. Po prostu zaprowadź mnie do pokoju zbiorów specjalnych i nie będę ci już przeszkadzać, dziecko.

– Oczywiście. – Idę do furki z boku kontuaru. – Zaprowadzę pana.

Stary ropuch dobrze wie, gdzie ma iść, ale uwielbia grę pozorów. Prowadzę go do zamkniętych drzwi w czytelnicy. Fiore wyciąga mały pęk kluczy i, mruczając coś, otwiera zamek.

– Może kawy albo herbaty? – pytam niepewnie.

Przystaje i znów rzuca mi to spojrzenie zdechłej ryby.

– To nie jest aby wbrew regulaminowi? – pyta.

– W zasadzie tak, ale pan nie będzie przecież w samej bibliotece – paplę – tylko w archiwum, a poza tym jest pan odpowiedzialny, więc myślałam...

– Niech będzie kawa. Z mlekiem, bez cukru. – Znika w środku, zostawiając klucze w zamku.

Teraz. Serce bije mi mocniej, idę do pokoju socjalnego. Janis drzemie, kiedy otwieram drzwi. Zrywa się przestraszona, blada.

– Reeve...

– Nic, nic – mówię, podchodząc do czajnika i napełniając go wodą. – Przyszedł Fiore, wpuściłam go tam. Posłuchaj, może byś poszła do domu? Źle się czujesz, nie powinnaś chyba tu siedzieć?

– Myślałam sobie o myśleniu. – Janis kręci głową. Szukam kawy i filtrów, ustawiam zaparacz nad największym kubkiem, jaki udało mi się znaleźć. Wsypuję do filtra kawę, nie żałując jej, przestaję dopiero wtedy, gdy uświadamiam sobie, że za mocna, to tak samo, jakby Fiore w ogóle jej nie wypił.

– Nie powinnaś za dużo myśleć, Reeve. To ci szkodzi.

– Poważnie? – odpowiadam w zamyśleniu, zdzierając folię z kupionej w drogerii małej czekoladki. Rozkruszam połowę i wsypuję do kawy, gdy czajnik zaczyna syczeć. Mnę folię w kulkę i pstrykam nią do kosza.

– Jeśli myślisz o tym, żeby stąd wyjść... – mówi Janis.

– Już mówiłam, mogę ci wezwać taksówkę...

– Nie, co innego, wyjść stąd.

Odwracam się. Janis patrzy na mnie oczyma zwierzęcia w pułapce. To taki moment egzystencjalnego smutku, gdy uwity przez nas wokół samych siebie kokon kłamstw, mający ukryć pęknięcia rzeczywistości, rozpuszcza się w maź i staje nam przed oczyma coś naprawdę paskudnego. Janis dręczy to samo, co mnie, tylko o wiele bardziej.

– Dość mam wszystkiego! Zabiorą mnie do szpitala, będę musiała precyzyjnie nacisnąć przez cipkę czaszkę dziecka, a potem przydarzy się drobny wypadek, wykrwawię się i zabiorą mnie do Hanty, żeby mnie poskładała i puściła mi swojego oswojonego cenzorskiego robala. Wyjdę ze

szpitala cała uśmiechnięta, jak Yvonne i Patrice, ale w środku już nie będzie mnie, będzie to coś, co sobie myśli, że jest mną i...

Łapię ją za ramiona.

– Cicho! – syczę jej do ucha. – Nic z tych rzeczy!

Szlocha, wzbiera w niej straszliwa fala płaczu, a jeśli ją wypuści, mam przerąbane, bo usłyszy nas Fiore.

– Mam plan.

– Masz... co?

Woda się gotuje. Powoli odsuwam jej łapczywe dłonie i sięgam, żeby wyłączyć czajnik.

– Posłuchaj mnie. Idź do domu. Teraz, zaraz, natychmiast. Zostaw Fiorego mnie. I nie panikuj. Im częściej sobie powtarzasz, że jesteś sama, tym bardziej sama jesteś. Nie pozwolę im grzebać ci w głowie. – Uśmiecham się do niej z otuchą. – Zaufaj mi.

– Wiesz co. – Janis głośno smarka, potem puszcza mnie i wyciąga chusteczkę z pudełka na stole. – Masz... zresztą, nic mi nie mów. – Wydmuchuje nos, bierze głęboki wdech i znów na mnie patrzy. Przeciągle, taksujące spojrzenie. – Trzeba było się domyślić. Nie dajesz sobie włączyć na głowę, prawda?

– Jeśli mam coś do gadania, to nie. – Chwytam czajnik i ostrożnie wlewam wrzątek do lejka, gdzie zwilży kawowy proszek, uwalniając z niego ksantynę i rozpuści ukryte w nim pół tabletki laxigenu, unosząc do kubka parującej kawy glikozydy antrachinonowe i silnie moczopędną kofeinę. Przy odrobinie szczęścia, pół godziny po wypiciu tego Fiore posiedzi sobie z dziesięć minut na kiblu. – Nic się nie przejmuj. Za parę dni pewnie ci powiem, czy wszystko idzie zgodnie z planem.

– No jasne. Masz plan. – Znów wysmarkuje nos. – I chcesz, żebym poszła?

– Tak. I to już, żeby Fiore cię tu nie zobaczył. Powiedziałam mu, że jesteś chora, w domu.

– Dobra. – Posyła mi wątły uśmiech.

Nalewam mleka do kubka, unoszę go.

– Idę zanieść wielebnemu kawę – mówię.

– Zanieść... – Wytrzeszcza oczy. – A, rozumiem. – Zdejmuje żakiet z wieszaka na drzwiach. – To faktycznie lepiej nie będę ci przeszkadzać. – Szczerzy zęby. – Powodzenia!

I wychodzi, robiąc mi miejsce, żebym wzięła ze zlewu kubek kawy i inne rzeczy i zaniósła je Fioremu.

* * *

Najprostszy plan często jest najlepszy.

Wszystko, co robię w bibliotecznym komputerze, jest monitorowane i kiedy tylko znajdę coś ciekawego, będą wiedzieli, że o tym wiem. Pewnie jest wystawiony na wabia, żeby skusić nadmiernie ciekawych i za mało paranoicznych. A nawet jeśli nie, pewnie i tak nie znajdę nic przydatnego – te dawne interfejsy dialogowe są nie tylko skomplikowane w obsłudze, ale i

ociężałe umysłowo.

Żeby wygrać z tymi zawodowymi paranoikami, potrzeba talentu, sprytu i myślenia lateralnego. A myślę sobie tak: jeśli Fiore, biskup Yourdon i ich kumple mają jakiś słaby punkt, to jest to przywiązanie do ducha eksperymentu. Nie chcą używać nowoczesnych, ale anachronicznych technik monitoringu tam, gdzie wystarczą nieinwazyjne, dostępne na tutejszym poziomie rozwoju. Nie będą więc korzystać z metastruktur informacyjnych dostępnych przez netlink tam, gdzie wystarczą papierowe dokumenty i podręcznik. (Albo to, albo kwestie, które zapisują na papierze, są naprawdę tajne, tak tajne, że nie powierzą ich systemowi w obawie przed atakiem).

To ultrabezpieczne repozytorium w bibliotece jest po prostu pokoikiem pełnym teczek z papierami na półkach, bez okien i z drzwiami zabezpieczonymi prostym zamkiem. A czego więcej im trzeba? Zamknęli nas w szklanym domu, w sieci sektorów anonimowych orbitalnych habitatów poddanych wszechobecnej inwigilacji, orbitujących w niezbadanych głębiach przestrzeni międzygwiazdnej, połączonych bramkami T, które właściciele mogą dowolnie włączać i wyłączać, dostępnych z zewnątrz jedynie przez jedną, chronioną bramkę długodystansową. I to nie wszystko. Wygląda na to, że szpital prowadzi im zbuntowany chirurg-sповідnik. Alarmy przeciw włamywaczom są już zbyteczne.

Zapukawszy do drzwi i podawszy Fioremu kawę, wracam do czytelnicy naukowej i zabijam czas, kartkując encyklopedię. (Starożytni mieli dziwny pogląd na neuroanatomię, zauważam, a zwłaszcza na plastyczność rozwojową. To chyba tłumaczy te ich pomysły na segregację płci).

Okazuje się, że nie muszę czekać zbyt długo. Fiore wpada do biura i rozgląda się.

– Ej... gdzie jest toaleta dla personelu? – pyta, rozglądając się niespokojnie. Czoło lśni mu w blasku świetlówek.

– Trzeba przejść na zaplecze... o tędy. – Nieśpiesznie ruszam na zaplecze.

Fiore drobi kroczkami, ciężko oddychając.

– Szybciej – gdera.

Odsuwam się i wskazuję drzwi.

– Dziękuję – dodaje, wpadając do środka. Po chwili słyszę, że majstruje przy zasuwie, potem grzechocze deska klozetowa.

Znakomicie. Przy odrobinie szczęścia zabierze się do rzeczy, zanim zerknie na papier. A papieru nie ma, bo go schowałam.

Idę z powrotem do archiwum tajnych dokumentów. Fiore zostawił klucz w zamku i uchylone drzwi. Ojejku. Wyciągam kawałek mydła, ostry nóż i zwitek papieru toaletowego – wszystko to miałam schowane w torbie na dnie wózka. Cóż za fatalne niedopatrzenie!

Wtykam palec u nogi w drzwi, żeby się nie zamknęły, wyciągam klucz i odciskam go na kawałku mydła, z obu stron, uważając, żeby odcisk był dokładny. Trwa to tylko parę sekund, potem wycieram klucz papierem, owijam i chowam je do torby. Klucz to prosty metalowy

przyrząd. Istnieje niewielka szansa, że siedzi w nim jakieś urządzenie śledzące, na wypadek gdyby się zgubił, ale przecież się nie zgubił – w trakcie medytacji Fiorego poruszył się ledwo o jakieś dziesięć centymetrów. I jestem prawie pewna, że nie wbudowano weń żadnych głupich kryptograficznych sztuczek – gdyby tak było, po co miałby udawać klucz do staromodnego wpuszczanego zamka? Mechaniczne zamki to zadziwiająco dobra ochrona przed intruzami przyzwyczajonymi radzić sobie z zabezpieczeniami programowymi. I wreszcie, jeśli jest tu choć jedno miejsce nieobjęte monitoringiem, będzie to właśnie skarbiec z tajnymi dokumentami Fiorego, kiedy proboszcz jest w środku. Na takim łańcuchu założeń wiem właśnie swoje życie.

Sprawdzam, czy torba jest dobrze schowana na dnie wózka, i powoli wracam na zaplecze. Odczekuję pełną minutę, zanim pozwalam sobie usłyszeć płaczliwe wołania Fiorego o papier toaletowy.

Bez Janis, z którą można pożartować, reszta dnia upływa wolno. Fiore wychodzi po godzinie, mrużąc coś pod nosem i narzekając na żołądek. Przenoszę kawałek mydła do sapiącej lodóweczki na zapleczu, gdzie trzymamy mleko. Nie chcę, żeby się stopił czy zdeformował.

Wieczorem zamykam wszystko i idę do domu z duszą na ramieniu, pot przykleja mi bluzkę do krzyża. To głupota z mojej strony. Robiąc to, ryzykuję natychmiastowe zdemaskowanie. Ale jeśli tego nie zrobię, długoterminowe skutki będą gorsze niż cokolwiek, co może mnie spotkać, kiedy złapią mnie z książką wyniesioną z czytelnicy i pokancerowanym kawałkiem mydła. Wtedy nie tylko ja porządnie oberwę. Janis wiedziała o Osobliwej Żółcieni i bała się monitorowania. Nie wiem dlaczego ani skąd, ale to groźny znak. Kim ona jest?

W domu najpierw idę do garażu. Trzeba po raz pierwszy obudzić gniew wysmażacza pluskiew. Przerobiłam go z taniej mikrofalówki, którą kupiłam parę tygodni temu. Odkręciłam pokrywkę i zrobiłam z elektryką parę kreatywnych rzeczy. Mikrofalówka to w zasadzie klatka Faradaya z silnym nadajnikiem mikrofal. Jest ustawiony, żeby emitować energię w paśmie, które jest silnie pochłaniane przez wodę w jedzeniu. To byłoby do niczego, ale parę pomysłowych machlojek i magnetron jest spierdzielony. Sieje teraz szumem na szerokim zakresie, obiadu może nie podgrzeje, zmasakruje jednak każdy włożony do środka układ elektroniczny. Otwieram drzwiczki, wsypuję do środka zawartość mojej wyłożonej miedzią torby, potem wyciągam spomiędzy tego wszystkiego kawałek mydła. Tego wysmażyć nie chcę – Fiore nabrałby podejrzeń, gdyby dostawał sraczkę przy każdej wizycie u nas, gdy ja stoję za kontuarem.

Zamykam kuchenkę i grzeję książkę przez piętnaście sekund. Potem naciskam przycisk na płytce z elektroniką, przyczepionej taśmą do boku kuchenki. Nic się nie zapala. W celi śmierci panuje milczenie, więc chyba wysmażyłam wszystkie mieszkające w grzbiecie książki insekty. Przekonamy się, kiedy zabiorę ją z powrotem do biblioteki, prawda? Jeśli pojutrze Fiore obsmaruje mnie w kościele, będę wiedzieć, że się myliłam, ale wyniesienie z

biblioteki sprośnej książki to w ogóle nie ten kaliber, co kradzież kluczy do...

Gips! W myślach kopię się w tyłek. Prawie zapomniałam. Trzęsącymi się rękoma wsypuję odpowiednią ilość do pustego kubeczka po jogurcie, potem odmierzam dzbankiem wodę i mieszam masę łyżeczką, aż robi się tak gorąca, że muszę nią żonglować z ręki do ręki.

Mija dziesięć minut. Wykładam wilgotną białawą masę (gips, uwodniony siarczan wapnia) na blaszkę do pieczenia. Licząc, że już wystygła, po kilka razy odciskam na niej obie strony mydła. Przez nerwową chwilę niepokoję się, że mydło zmięknie i się nadtopi, pierwszy odcisk robię za szybko, więc gips jest jeszcze za wilgotny i lepi się do mydła. Na koniec chyba uzyskuję coś, co powinno się nadać. Przykrywam blaszkę kawałkiem gazy i idę do domu. Dochodzi dziesiąta, jestem głodna i wyczerpana, jutro mam wolne, ale i tak będę musiała pójść do pracy, żeby zobaczyć, czy Janis dobrze się czuje. Za to następnym razem, kiedy Fiore przyjdzie do archiwum, będę gotowa, żeby wkraść się tam zaraz po nim. I wtedy się okaże, co on tam chowa...

10. Stan faktyczny

Niedzielny świt, chłodny i aksamitny. Stękam i próbuję nie naciągać sobie kołdry na głowę. Jakieś kaprysy mojego planu pracy sprawiły, że wczoraj miałam dzień roboczy, a jutro mam kolejny. Przygniata mnie perspektywa dwóch jedenastogodzinnych dniówek. Myśl o spędzeniu połowy dnia w wymuszonej bliskości punktociągów jak Jen i Angel też nie cieszy, ale udaje mi się zmusić do wstania z łóżka i wygrzebania niedzielного ubrania ze stosu rosnącego na krześle pod ścianą. (Muszę niedługo przejechać się do pralni chemicznej i spędzić trochę czasu w piwnicy, nad rzeczami, które da się uprać w domu. Kolejna harówka w dzień wolny od pracy. Czy to nie ma końca?).

Na dole zastaję Sama, który pracowicie wsypuje łyżką płatki kukurydziane do miski z mlekiem. Wygląda na całkiem tym zaabsorbowanego. W żołądku ściska mnie ze zdenerwowania, ale udaje mi się postawić na palniku ronderek z wodą i ostrożnie włożyć do niego parę jajek. Muszę się zmuszać do jedzenia – jeszcze trochę i zacznę spalać tkankę mięśniową. Zerkam do wewnątrz, na mój przeważnie milczący netlink, i sprawdzam punktację mojej kohorty z tego tygodnia. Jak zwykle jestem prawie ostatnią kobietą. Gorszy wynik ma tylko Cass i czuję znajome ukłucie niepokoju. Jestem prawie pewna, że nie jest Kay, ale nie potrafię przestać jej współczuć. W końcu musi wytrzymać z tym wieprzem Mickiem. Mój żołądek wykonuje kolejne salto, gdy przypominam sobie coś, co muszę zrobić przed wyjściem.

– Sam.

Unosi wzrok znad miski.

– Tak?

– Dzisiaj. Nie zdziw się, jeśli... jeśli... nie potrafię tego powiedzieć.

Odkłada łyżkę i patrzy za okno.

– Piękna pogoda. – Marszczy brwi. – Co cię gryzie? Kościół?

Udaje mi się kiwnąć głową.

Oczy szklą mu się na chwilę. Chyba sprawdza punkty. Potem potakuje.

– Nie dostałaś żadnych kar, prawda?

– Nie. Ale boję się, że... – Kręcę głową, niezdolna dokończyć.

– Że cię wymienią – mówi spokojnie.

– No właśnie. Po prostu mam przeczucie i tyle.

– To niech to zrobią. – Ma gniewną minę i przez moment się boję, uświadamiam sobie jednak z zaskoczeniem, że nie chodzi o mnie: jest zły na myśl, że Fiore będzie mnie obsmarowywał w kościele, oburzony tym, że pewnie pociągnie za sobą całą kongregację. Urażony. – Wyjdziemy stamtąd.

– Nie, Sam. – Woda się gotuje. Patrzę na zegarek i włączam toster. Jajka na miękko i grzanka, tak daleko zaszły już moje zdolności kulinarne. – Jeśli to zrobisz, też wezmą cię na celownik. A jak oboje będziemy na celowniku...

– Mam to gdzieś. – Patrzy mi prosto w oczy, bez tej powściągliwości, którą okazywał przez ostatni miesiąc. – Zdecydowałem się. Nie będę stać z boku i patrzeć, jak zabierają się za nas, jedno po drugim. Oboje popełniliśmy błędy, ale to ty tutaj najwięcej ryzykujesz. Byłem dla ciebie niesprawiedliwy i... i... – przez moment szuka słowa – żałuję, że to się nie rozegrało inaczej. – Spogląda na miskę z mlekiem i mruczy coś, czego nie słyszę.

– Sam? – Siadam. – Sam. Nie poradzisz sobie w pojedynkę z całym ustrojem.

Robi smutną minę. Smutną? Czemu?

– Wiem. – Patrzy na mnie. – Ale czuję się taki bezradny!

Smutny i zły. Wstaję i podchodzę do palnika, wyłączam go. Jajka stukają o dno rondelka. Toster cyka.

– Trzeba było pomyśleć o tym, zanim daliśmy się zamknąć w tym więzieniu – mówię.

Mam ochotę wrzasnąć. Po mojej superciężkiej edycji pamięci – a podejrzewam, że okazała się znacznie szersza, niż spodziewało się moje poprzednie ja, to, które napisało list, a potem o nim zapomniało – to nic dziwnego, że się tu znalazłam. Z pewnością, gdybym wiedziała, że Kay stchórzy i się wycofa, pewnie postanowiłabym z nią zostać w tamtym życiu i nieważne, że ścigali mnie mordercy.

– Więzienie. – Sam chichocze. – Dobre określenie. Szkoda, że nie ma jakiejś drogi ucieczki.

– Zapytaj biskupa, może wypuści cię wcześniej za złe sprawowanie. – Wyjmuję grzankę, smaruję ją masłem, potem wyławiam oba jajka i kładę je na talerzu. – Dobrze by było.

– Może przejdziemy się do kościoła na piechotę? – proponuje z wahaniem, kiedy dojadam śniadanie. – To ze dwa kilometry. Wydaje się, że to dużo, ale...

– Dobry pomysł. Podoba mi się – mówię, zanim on to sobie wyperswaduje. – Założę „pracowe” buty.

– Dobra. Tutaj na dole, za dziesięć minut. – Wychodząc z kuchni, ociera się o mnie.

Wzdrygam się, ale on chyba tego nie zauważa. Coś mu się tam kołocze pod czaszką; to frustrujące, że nie mogę po prostu zapytać.

Dwa kilometry to miły poranny spacer, a Sam pozwala mi się trzymać za rękę, gdy idziemy cichymi alejami pod drzewami, które eksplodowały zielonymi i niebieskoczarnymi

liśćmi. Żeby dotrzeć do kościoła, musimy przejść przez trzy tunele pomiędzy strefami – nigdzie nie sięgnie się wzrokiem dalej niż na pół kilometra, zapewne dlatego, że byłoby widać, że nasze krajobrazy są wycięte z wewnętrznych powierzchni krzywych stożkowych, a nie przyklejone naturalną grawitacją do kuli – ale nie spotykamy w zasadzie nikogo. Większość ludzi jedzie do kościoła taksówkami. Nie wyjdą z domów, dopóki nie będziemy prawie na miejscu.

Początek mszy mnie rozczarowuje – i chyba tylko mnie. Po odśpiewaniu z wiernymi agitacyjnej wersji *First We Take Manhattan*, Fiore uderza w długą perorę o naturze posłuszeństwa, występku, naszym miejscu w społeczeństwie i obowiązkach wobec siebie nawzajem.

– Czyż nie jest prawdą to, że znaleźliśmy się tutaj, by cieszyć się udogodnieniami cywilizacji i tworzyć wspaniałe społeczeństwo, aby nasze dzieci miały lepiej, aby żyły w moralnie czystym państwie? – grzmi znad pulpitu, ze wzrokiem skupionym szkliszcie w nieskończoności, która czai się tuż za ścianą. – I dlatego, czyż nie należy bronić naszego porządku, ziemskiego poprzednika idealnego platońskiego społeczeństwa, żeby miał czas dojrzeć i zrodzić owoce utopii?

Prawdziwy agitator, uświadamiam sobie z niepokojem. Ciekawe, do czego to zmierza? Ludzie za mną zaczynają się wiercić; nie tylko ja tu mam nieczyste sumienie.

– A skoro tak, to czy powinniśmy tolerować w naszym społeczeństwie kogoś, kto narusza jego podstawowe zasady? Czy mamy się powstrzymać przed krytyką grzechów przez wzgląd na wrażliwość grzesznika? – pyta. – Albo tych, którzy, nic nie wiedząc, żyją tuż obok tego wcielonego występku?

Nadchodzi. Czuję śmiertelny strach, żołądek opada mi w przewidywaniu nadchodzącej demaskacji. To musi być coś poważniejszego niż ta wyniesiona potajemnie książka i mam potworne przeczucie, że wykrył mój odcisk w mydle, gips i odlew, z którego chcę dorobić klucz...

– Nie! – Dudni Fiore zza pulpitu. – Tak być nie może! – Wali pięścią w poręcz. – Lecz z przykrością mówię, że tak jest: że Esther i Phil nie tylko skazują swe dusze na potępienie, prowadząc swoje ohydne intymne kontakty za plecami swoich nieszczęsnych, nic nie wiedzących małżonków, ale i tym samym niszczą samą tkankę społeczeństwa!

E? Czyli nie za mnie się zabrał. Jednakże fala ulgi nie trwa długo: po kościele rozchodzi się potężny pomruk gniewu, najpierw od strony kohorty numer trzy, do której należą ludzie oskarżeni przez Fiorego. Reszta się rozgląda, i ja również – w tej chwili niepoddanie się presji tłumu mogłoby być niebezpieczne. Widzę gwałtowne poruszenie parę rzędów za sobą, gdzie elegancko ubrani wierni odwracają się do siebie. Prerażona kobieta i zażenowany mężczyzna z ciemnymi włosami rozglądają się wokół niespokojnie, nie patrząc nikomu w oczy. Fiore kontynuuje przemowę, a oni szukają drogi ucieczki. Coś mi mówi, że jest już za późno.

– Chciałbym przede wszystkim podziękować Jen za zwrócenie uwagi na tę sprawę –

mówi chłodno Fiore.

Brzęknięcie w moim netlinku, sygnalizujące punkty – więcej, niż normalnie zdobywam w miesiąc. Dostałam je dzięki temu, że jestem w tej samej kohorcie, co ta mała, wścibska menda. Nieźle zarobiła na tym oskarżeniu o cudzołóstwo.

– Pytam was więc: co uczynimy z tą chorobą kryjącą się między nami? – Fiore rozgląda się po publiczności. – Co należy zrobić, aby oczyścić nasze społeczeństwo?

Mdlące przerażenie triumfalnie wraca. Będzie o wiele gorzej, niż sobie wyobrażałam. Normalnie Fiore wybiera parę ofiar, które ośmiesza, wyśmiewa, wytyka palcem – drobne upokorzenie za wyniesienie książki z czytelnicy nie byłoby niczym nadzwyczajnym. Ale tu dzieją się poważne i złe rzeczy, dwoje ludzi podkopyje społeczne fundamenty eksperymentu. Fiore nakręca się w świętym oburzeniu i atmosfera robi się naprawdę bardzo nieprzyjemna. Z tyłu narasta ryk, nieartykułowana wściekłość i furia, łapię Sama za rękę. Potem zaglądam do netlinka i zamieram. On te wszystkie punkty, które dał Jen, zabrał trzeciej kohorcie!

– Lepiej chodźmy, zanim coś się tu stanie – mruczę Samowi do ucha, a on kiwa głową i mocno ściska moją dłoń.

Ludzie wstają i zaczynają krzyczeć, więc jak najszybciej przeciskam się do końca ławki, z pomocą łokci, gdy trzeba. Widzę po drugiej stronie Micka, jak wrzeszczy, ścięgną na jego szyi napinają się jak liny. Cass nie ma. Idę dalej. Znosi się na burzę, więc to nie czas i miejsce, żeby się rozpytywać.

Za mną Fiore krzyczy coś o prawach naturalnych, ale w tłumie ledwo go słyszę. Drzwi są otwarte, ludzie wysypują się na parking. Tracę dech z bólu, gdy ktoś nadeptuje mi na lewą stopę, zachowuję jednak pion i raczej czuję, niż widzę, że Sam idzie za mną. Przepycham się przez ścisk w drzwiach i idę dalej, omijając małe grupki ludzi i jakąś szamotaninę. Sam mnie dogania.

– Chodźmy stąd – mówię, łapiąc go za rękę.

Przed nami stoją ludzie, zebrani wokół Jen.

– Reeve! – woła ona.

Nie mogę jej zignorować.

– Co tam? – pytam.

– Pomóż nam. – Szczerzy zęby, oczy skrzę się ekscytacją, kiedy rozkłada ramiona. Ma na sobie krótki ciuszek z czarnego jedwabiu, eksponujący jej drugorzędowe cechy płciowe, przez to, że zapewnia odrobinę kontrastu: pierś jej faluje, jakby miała zaraz mieć orgazm. – No chodźcie! – Macha na ciżbę w wejściu do kościoła. – Zabawimy się!

– To znaczy? – pytam, patrząc poza nią.

Rzuca się w oczy nieobecność jej męża, Chrisa. Ma natomiast całą własną kohortę, swoje zwolenniczki, wielbicielki czy coś takiego. Grace z dwunastki, Mina z dziewiątki i Tina z siódemki – wszystkie z późniejszych kohort – i patrzą na nią, obserwują ją, jakby była przywódczynią...

– Oczyszczymy to miasto! – mówi, niemal radośnie. – Do roboty! Razem utrzymamy porządek i wszystko w kupie – i zarobimy tonę punktów – jeśli już na początku podejmiemy zdecydowane kroki. Damy sygnał dewiantom i zbrodniom. – Patrzy na mnie z entuzjazmem. – Prawda?

– Eee, prawda? – bełkoczę, cofając się, aż wpadam na Sama, który podszedł do mnie. – Dasz im nauczkę, co?

Czuję, jak dłoń Sama zaciska mi się na ramieniu, ostrzegając, żebym nie posunęła się za daleko, ale Jen w obecnym nastroju nie zwraca uwagi na takie niuanse jak sarkazm.

– Dokładnie! – Jest niemal w ekstazie. – Będzie niezła zabawa. Chris i Mick już są gotowi...

Gdzieś za nami rozlega się piskliwy wrzask.

– Przepraszam – mamroczę – jakoś źle się czuję.

Sam popycha mnie naprzód i przechodzę obok niej, cały czas paplając jakieś usprawiedliwienia, ale sytuacja nie jest krytyczna. Jen nie może teraz tracić czasu na mięczaków i moralnych imbecyli, zresztą i tak już dryfuje ku grupce stojącej w drzwiach kościoła, krzycząc coś o wartościach społecznych.

Docieramy na skraj parkingu, kiedy znów potykam się i łapię Sama za ramię.

– Trzeba ich powstrzymać – słyszę własne słowa.

Zastanawiam się, co ten ropuch Fiore sobie myślał, przesuwając między kohortami tyle punktów. Zrobić coś takiego punktociągom, to mogło mieć tylko jeden skutek. W najlepszym razie, ludzie z trójki rozerwą Phila i Esther na strzępy – a teraz jeszcze Jen, która chce to wszystko rozegrać jako oczyszczenie, żeby samej stanąć na czele tłumu. Widzę, jak kształtuje się tu ohydna nowa rzeczywistość, i nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

– Nie da rady. – Kręci głową, ale zwalnia kroku.

– Ale trzeba! – upieram się. Przetykam ślinę, zasycha mi w gardle. – Przecież pobiją Phila i Esther...

– Nie, to już zaszło o wiele dalej. – Głos mu drży.

Staję jak wryta. Sam też staje, z konieczności – inaczej musiałyby mnie odepchnąć. Ciężko oddycha.

– Trzeba coś zrobić – mówię.

– Ale co? – Oddycha głęboko. – Jest ich ze dwudziestu. Trójka i do tego ci kretyni, którzy pomyśleli, że pokażą swoją cnotę, przyłączając się. Nie mamy szans. – Zerka przez ramię, chyba się wzdryga, potem przyciąga mnie bliżej do siebie i przyśpiesza kroku. – Nie stawaj, nie oglądaj się – syczy.

Więc oczywiście natychmiast staję i się odwracam, żeby zobaczyć co się dzieje.

O kurwa, faktycznie. Chwieję się na nogach, Sam łapie mnie za łokieć. Już nie ma żadnych wrzasków, ale to nie znaczy, że nic się nie dzieje. Wrzask rozlega się dalej, teraz w zaciszu mojej głowy.

– Oni to planowali – słyszę własny głos, jakby dobiegał z końca bardzo ciemnego tunelu.
– Przygotowywali to. To nie jest spontaniczne.

– Tak. – Sam kiwa głową, blady jak kreda. To obłąd, ale nie ma innego wytłumaczenia. – W przedtechnicznych kulturach rytualna ofiara z ludzi była popularną techniką budowania więzi społecznej – mruczy. – Zastanawiam się, jak długo Fiore planował, że to wprowadzi?

Zarzucili dwa sznury na gałęzie topoli obok kościoła, dwie grupy ludzi właśnie unoszą szamocące się tobołki w zielone listowie. Mrugam. Wydaje mi się, że sznury się lekko zakrzywiają. To może być siła dośrodkowa, bardziej prawdopodobne jednak jest to, że oczy zachodzą mi łzami.

– Wszystko mi jedno. Gdybym miała pistolet, to zastrzeliłabym Jen na miejscu. Mówię poważnie. – Nagle uświadamiam sobie, że nie jest mi słabo ze strachu, lecz z wściekłości. – Ją naprawdę należy zabić.

– To nic by nie dało – mówi Sam, prawie z roztargnieniem. – Kolejny akt przemocy tylko znormalizowałby tamto zabójstwo, ale by go nie przerwał: oni chcą się zabawić, a ty tylko zapewniasz kolejną rozrywkę...

– No... tak, ale czułabym się lepiej.

Jen powinna zamontować sobie kraty w oknach i spać dzisiaj z kijem baseballowym pod poduszką, inaczej będzie miała kłopoty. I zasługuje na to jak mało kto, ta kłamliwa suka.

– Ja chyba też.

– Możemy coś zrobić?

– Dla nich? – Sam wzrusza ramionami. Nie słysząc już krzyków, fałszujący chór zabrał się za śpiewanie jakiegoś hymnu. – Nie.

Wzdrygam się.

– Chodźmy do domu. Już.

– Dobra – odpowiada Sam i ruszamy razem.

Śpiew goni nas po drodze. Boję się, że jeśli obejrzę się jeszcze raz, to się załamie: nie mogę nic z tym zrobić, ale mam okropne poczucie, że z nimi współdziałałam. A co do Fiorego... on się jeszcze doczeka. Dopadnę go wcześniej czy później. Na razie jednak ugryzę się w język i nie powiem ani słowa, bo przeczuwam, że zainscenizował ten mały pokaz, żeby dać nam lekcję o powstawaniu totalitarnej władzy, i akurat w tej chwili wszyscy szpiedzy i obserwatorzy będą mieli oczy szeroko otwarte na wszelkie oznaki protestu.

Kilometr wzdłuż drogi i dziesięć minut od potwornej krwawej żądy szarpie Sama za rękaw.

– Idźmy trochę wolniej – proponuję. – Złapmy oddech. Nie trzeba już tak lecieć.

– Złapmy...? – Sam wytrzeszcza na mnie oczy. – Myślałem, że jesteś na mnie wściekła.

– Nie, nie na ciebie. – Zwalniam kroku.

Kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Nie przyłączyliśmy się.

Kiwam głową.

– Trzy czwarte ludzi było tak przerażone jak my. Ale jak się to już zaczęło, nie dałoby się tego zatrzymać – dodaje Sam, kręcąc głową.

Robię głęboki wdech.

– Zła jestem na siebie, że nie zaprotestowałam, kiedy był jeszcze na to czas. Można zmanipulować tłum, jeśli się wie, co się robi. Ale kiedy ludzie zaczną rozpadać się na takie grupki, trudno je opanować. Fiore nie musiał do tego podzegać. Zrobił to jednak. Jakby polał grill benzyną. – Dopiero niedawno zapoznałam się z tymi dwiema rzeczami. – A po tym kazaniu i przepisaniu punktów, już by tego nie powstrzymał, choćby chciał.

– Brzmi, jakbyś myślała, że to kwestia wyboru.

Zerkam na niego z ukosa. Sam głupi nie jest, ale normalnie nie mówi o abstrakcjach. Ciągnie:

– Naprawdę myślisz, że byś to powstrzymała? To jest w samej konstrukcji tego społeczeństwa. Wszystko tak tu poustawiali, żeby było łatwo skłonić ludzi do zabijania dla idei. Widziałaś Jen. Naprawdę myślisz, że powstrzymałabyś ją, kiedy już się rozkręciła?

– Trzeba jej było wsadzić nóż pod zebro. Prawdopodobnie i tak by mi się nie udało. Masz rację, ale nie czuję się od tego lepiej.

Idziemy wolno drogą, gotując się w naszych niedzielnych garniturach. Jest południe, sztuczna późna wiosna, praży słońce. W wysokiej żółknącej trawie trzeszczą bezkręgowce, a nad głowami szeleszczą liście drzew. W ciepłym powietrzu czuję zapach szaławii i magnolii. Przed nami droga nurkuje w wykop prowadzący do jednego z tuneli z wbudowaną bramką T, ukrywającą przed nami prawdziwą geometrię tego świata na opak. Sam wyciąga z kieszeni latarkę, zawiesza ją na pasku na przegubie.

– Widywałam już takie lincze – mówię. Gdybym tylko mogła zapomnieć. – Mają osobliwą bezwładność.

Czuję się słaba i rozdygotana, gdy myślę o tym, o wyrazie twarzy Phila – prawie go nie znałam – i czającej się w cieniu tłumy żarłoczności. Złośliwej ekstazie Jen.

– Kiedy przekroczy pewien punkt, można tylko szybko uciekać i starać się nie mieć nic wspólnego z tym, co się później dzieje. Gdyby wszyscy tak robili, nie byłoby żadnych tego typu zajść.

– Pewnie tak. – Sam brzmi markotnie, gdy wchodzimy w półmrok tunelu. Zapala latarkę. Stożek światła skacze wariacko po ścianach. Droga skręca w lewo.

– Nawet jakiś bohater-przygłup z mieczem nie potrafiłby pokierować takim tłumem, kiedy już się nakręci – mówię. – Nie bez bojowego pancerza i ciężkiej broni, bo oni będą nadchodzić i nadchodzić. Ci z tyłu nie widzą, co się dzieje z przodu, a przygłup, który bez wsparcia staje im na drodze, szybko jest martwym przygłupem, nawet jeśli uda mu się zatłuc sporą liczbę ludzi. A zresztą, taki gość z mieczem wcale nie jest bystrzejszy niż reszta tego tłumy. Tłum trzeba powstrzymać, zanim powstanie. Stanąc przed nim i powiedzieć „nie”.

Wchodzimy w zakręt, niewidoczni teraz z obu wejść. Sam wzdycha.

– Znałem kogoś, kto by to zrobił – rzuca tęsknie. – Facet, w którym się zakochałem. Nie był przygłupem, ale wiedziałby, co zrobić w takiej sytuacji.

Facet? Sam nie wygląda mi na ten typ człowieka... dopóki nie przypominam sobie, że patrzę na niego oczyma przypisanymi na stałe do jednej płci, i on tak samo, a przecież nie wiadomo, kim i czym był, zanim zgłosił się do eksperymentu.

– Nikt by nie wiedział – powtarzam łagodnie.

– Może i tak. Ale opinii Robina uwierzyłbym szybciej niż...

Staję jak wryta, jakbym zderzyła się ze ścianą. Jeżą mi się wszystkie włosy na karku, a żołądek zwija się w supeł, jakbym znowu miała mieć mdłości.

– Co jest nie tak? – pyta Sam.

– Ta osoba na zewnątrz, za którą tęsknisz – mówię ostrożnie. – Nazywa się Robin, tak?

– Tak. – Kiwa głową. – Źle, że powiedziałem, dostaniemy karę...

Chwytam jego dłoń jak tonący koło ratunkowe.

– Sam, Sam! Ty bałwanie! Tak, ty! – Właściwie nie jestem pewna, o które z nas naprawdę mi chodzi. – Przyszło ci może kiedyś do głowy zapytać, czy ja znam Robina?

– A po co? Co by to dało? – W półmroku jego źrenice są wielkie i ciemne.

– Jesteś największym... – Nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę nie wiem. Zszokowana to najłagodniejsze ze słów opisujących mój obecny stan. – Robinowi przedstawiłeś się jako Kay, prawda?

– Ty...

– Kay. Tak czy nie?

Spina się i próbuje zabrać rękę.

– Tak – przyznaje.

– Okay. – Dalej brakuje mi powietrza. – Posłuchaj, Sam, dokończymy po drodze do domu, dobrze? Bo to, kim byliśmy wcześniej, nie ma wpływu na to, kim jesteśmy teraz, prawda?

W ciemności nie widzę wyrazu jego twarzy.

– Czyli ty musisz być Vhora...

Omam nie daję mu w twarz. Wyciągam natomiast drugą rękę i kładę mu palec wskazujący na ustach.

– Do domu. Potem pogadamy – mówię.

Żołądek ciągle mi się wywraca, jestem zdumiona własną głupotą i umyślną ślepotą. No proszę, wlałam prosto na niego. Czuję się tak, jakbym nadwężyła sobie mózg. I co teraz?

Sam wzdycha.

– No dobra. – Ciągle nie wymawia mojego imienia. Ale odwraca się i świeci latarką przed siebie.

I wtedy właśnie dostrzegam na przeciwległej ścianie kontur drzwi.

* * *

To zabawne, że im więcej się podróżuje, tym mniej się widzi. Podróżując przez bramki T, omijamy punkty pośrednie między węzłami, bo bramka jest tak naprawdę dziurą w strukturze przestrzeni – i tych punktów właściwie nie ma. W samochodzie jest trochę podobnie. Wsiadasz, mówisz zombiakowi, gdzie ma cię zawieźć, a on wciska gaz. Co prawda, pod maską nie ma maszyny detonującej z hukiem ciecz wydestylowaną z przedwiecznej skamieniałej biomasy (tylko nieduży generator z bramką oraz efekt dźwiękowy), ale poziom interakcji z otoczeniem jest mniej więcej taki sam.

Tymczasem, poza samochodami, korytarzami, bramkami i manipulacjami, do których się nawzajem sobie nie przyznajemy, jest prawdziwy wszechświat. Który czasem walnie cię prosto w nos.

Jak teraz. Od początku wiedziałam, że mieszkamy w szeregu z grubsza prostokątnych kawałków terenu, rozłożonych na zakrzywionej wewnętrznej powierzchni paru ogromnych walców-kolonii, wirujących, aby przyśpieszenie kątowe zastąpiło grawitację, na orbicie cholera-wie-jakiego brązowego karła. Niebo to ekran, wiatr to klimatyzacja, tunele drogowe to konieczny element złudzenia, a jeśli pójdziesz na spacer w te gęste zarośla, zaraz trafisz na strome zbocze czy urwisko, po którym nie da się wspiąć, gdyż po paru metrach robi się pionowe. Nie zastanawiałam się za bardzo nad tym, jak jest to wszystko poskładane, poza tym, że założyłam, że w każdym tunelu jest bramka T. A co, jeśli jest jeszcze inne wyjście?

Ściskam rękę Sama.

– Czekaj! Daj tu tę latarkę. O tutaj, tutaj.

– Co tam jest? – pyta.

– Popatrzmy. – Ciągnę go w tamtą stronę. – No chodź. Poświecisz mi.

Ściany tunelu są zrobione z płynnie zakrzywionych brył betonu, prawie bez szczelin. Tworzą pustą rurę mającą z osiem metrów średnicy. Droga to płaska taśma asfaltu, jej krawędzie dochodzą do ścian rury nieco poniżej średnicy. (Teraz zaczynam się zastanawiać, co jest pod spodem. Może jakiś wypełniacz, ale w sumie może tam być cokolwiek). Zauważyłam natomiast prostokątne wgłębienie w przeciwległej ścianie. Z bliska widzę, że ma około metra szerokości i dwa metry wysokości, jest to płaska metalowa płyta wpuszczona w bok tunelu. Nie widać żadnego uchwytu ani klamki, poza kilkumilimetrowym otworem wywierconym w połowie wysokości, tuż przy jednym brzegu.

– Daj latarkę.

– Proszę.

Podaje ją bez słowa protestu. Przysuwam się do ściany i świecę w szczelinę. Nic, ani śladu zawiasów czy czegoś podobnego. Kucam i świecę w dziurkę. Tam też nic.

– Hm.

– Co to jest? – pyta niespokojnie Sam.

– Drzwi. Tyle da się powiedzieć. – Prostuję się. – Teraz nic z tym nie zrobimy. Idziemy

do domu, tam się zastanowimy.

– Ale w domu nie będziemy mogli rozmawiać! – W słabym blasku latarki jego oczy wydają się bardzo białe. – Wszystko usłyszą.

– Oni nie widzą wszystkiego – zapewniam go. – Chodźmy do domu. Chciałabym, żebyś po południu skosił trawę.

– Ale ja...

– W garażu jest kosiarka – ciągnę niezrażona. – I inne rzeczy.

– Ale...

– Jeśli nie będą na nas czekać w domu, to znaczy, że nie monitorują tuneli, prawda? Patrzyłeś teraz w netlink? Nie? No właśnie, jakoś nie zabrali nam żadnych punktów. Ten monitoring ma luki. Chyba znam jeszcze jedno miejsce, gdzie go nie ma, zresztą powinieneś wiedzieć, że nie tylko ty chcesz się stąd wydostać.

Czuję się bezpieczna, mówiąc mu aż tak dużo, chociaż gdyby teraz wleźli mi do głowy i rzucili na pożarcie Osobliwej Żółcieni, pociągnęłabym za sobą jeszcze dwie osoby: Sama i Janis. Kay może akurat przeżywać wyparcie, ale ona raczej... – musisz myśleć o nim per „Sam”, powtarzam sobie – ...on raczej nie sprzeda mnie wrogom. Chyba już znam go na tyle, żeby wiedzieć, co kiedy go gnębi. To zabawne, Kay pożałowała, ale nie umiałam powiedzieć, czy jej ufam. Teraz zaś ufam Samowi, ale wątpię, czy jeszcze kiedyś się z nim prześpię. Pokręcone to życie.

– Bo ty chcesz się wydostać, prawda? – pytam.

– Tak. – Głos mu drży.

– To będziesz musiał mi zawierzyć jeszcze na jakiś czas, bo na razie nie mam planu ucieczki. – Ściskam jego dłoń. – Ale pracuję nad tym.

Razem idziemy ku światłu.

* * *

Po południu Sam przebiera się w dzinsy, koszulkę i idzie kosić trawę. Ja siedzę w garażu, w kombinezonie i ochronnych okularach, bo zrobiłam sobie gipsową formę i leję do niej lut, wykonując ołowianą kopię klucza do gabinetu osobliwości naszego Fiorego. Ołowiany klucz nie da się przekręcić w zamku, ale nada się na wzorzec dla szlifierki grawerskiej i czekającej już na podporządkowaniu mosiężnej sztabki.

Żeby zmylić ewentualnych obserwatorów, rozłożyłam wokół parę rekwizytów – kupioną w sklepie wędkarskim drewnianą tabliczkę na ścianę, na której można wyryć jakąś dedykację, wszystko jedno jaką. Kiedy pokazałam Samowi, co kombinuję, zamrugał, po czym kiwnął głową.

– To dla klubu haftu krzyżkowego – rzuciłam wyciągnięte z dupy wytłumaczenie.

Takiego klubu nie ma, ale to brzmi prawdopodobnie i spowoduje automatyczną reakcję u każdego obserwatora, który monitoruje nas pod kątem anomalii w zachowaniu.

Może i żyjemy w szklanym słoju, jasno oświetlonym i pełnym nieustannie wycelowanych w nas kamer, ale to nieprawdopodobne, żeby wszystko, co robimy, oglądał żywy człowiek w czasie rzeczywistym. Mamy nad eksperymentatorami potężną przewagę liczebną, zresztą oni interesują się głównie naszą publiczną socjalizacją. (Przynajmniej tak oficjalnie twierdzą). Aby skutecznie monitorować inteligentny organizm, potrzebny jest obserwator posiadający co najmniej tak dobrą teorię umysłu, jak obiekt obserwowany. Obiektów jest o kilka rzędów wielkości więcej niż obserwatorów, a nie zauważyłam, żeby w tę operację były zaangażowane mocne nadludzkie metainteligencje, więc mam pewne szanse. Jeśli naprawdę stawiamy czoła słaboboskim umysłom, równie dobrze mogę już rzucać ręcznik na ring. Jeśli jednak nie... Możesz scedować co tylko zechcesz na nieświadome mechanizmy, choć ryzykuje się wtedy, że pewne rzeczy poprzegapiąją. *Sic transit gloria panopticon.*

Nabożeństwa w kościele są z pewnością monitorowane na wszelkie możliwe sposoby. Ale po kościele Fiore i jego kumple będą zbyt zajęci puszczaniem sobie sceny linczu ze wszystkich kamer i rozpracowywaniem, jak działa dynamika społeczna autentycznego ciemnowiecznego tłumu. Dopiero dużo później ewentualnie spojrzą, co robię w garażu, pewnie będzie to tylko znudzone zerknięcie na nagranie, żeby sprawdzić, czy nie pieprzę się z sąsiadem albo nie ryczę histerycznie w kącie. Są przyzwyczajeni do tworzenia dowolnych potrzebnych artefaktów w bramkach A, więc pewnie patrzą na moje zajęcie jak na jakieś ciemnowieczne hobby i widzą we mnie trochę nudną, ale generalnie przystosowaną gospodynię domową. W zeszłym tygodniu nawet dostałam parę punktów za to tkactwo. Pod samym ich nosem utkałam sobie klatkę Faradaya do torby, a oni potraktowali to tak, jakbym uprawiała tradycyjne babskie rzemiosło. Mają luki w tym monitorowaniu, a jeszcze większe w interpretacji, i te luki będą ich zgubą.

Skupienie na kopiowaniu klucza i myśleniu o tym, jak bardzo zaczynam ich nienawidzić, to znakomity sposób, żeby nie trzeba było mierzyć się z tym, co zaszło rano pod kościołem. Świetnie także odwraca moją uwagę od mentalnej ściany, do której dotarłam, drzwi w tunelu i paru innych problematycznych kwestii, jakie pojawiły się, odkąd wstałam z łóżka i pomyślałam, że będzie to tylko kolejna nudna niedziela.

Po jakimś czasie, na oko czterech minutach nieskończonego napięcia – choć kłamliwy zegar upiera się, że to były bite cztery godziny – wychodzę z garażu. Gorące poranne słońce zmieniło się w różowawy popołudniowy poblask, owady potrzaskują pod turkusowym niebem. Wygląda na to, że przegapiłam idylliczne letnie popołudnie. Czuję się rozdygotana, zmęczona i do tego bardzo głodna. A także spocona jak świnia i prawdopodobnie śmierdząca. Ani śladu Sama, więc wchodzę do domu i idę do łazienki, zrzucam ciuchy i nastawiam prysznic na chłodną powódź, która trwa, dopóki wszystkiego z siebie nie zmyję.

Wychodzę spod prysznica i grzebię w szafie. Znalazłszy letnią sukienkę, schodzę na dół z mętym pomysłem sprokurowania czegoś do jedzenia. Może gotowego obiadu z mikrofali, żeby go zjeść na tarasie, patrząc na iluzję zachodu słońca. Wpadam jednak na wchodzącego

przez drzwi Sama. Marnie wygląda.

– Gdzie byłeś? – pytam. – Już miałam robić jakieś jedzenie.

– Byłem pod kościołem, z Martinem, Gregiem i Alfem.

Przypatruję mu się uważniej. Na koszuli ma plamy od potu i ziemię pod paznokciami.

– Chowaliśmy ich.

– Chowaliśmy? – Przez chwilę nie rozumiem, co mówi, potem układanka składa się w całość i kręci mi się w głowie, jakby wirował wokół niej cały świat. – To... trzeba było mi powiedzieć.

– Byłaś zajęta. – Wzrusza ramionami.

Patrzę na niego z obawą.

– Zmęczony jesteś. Może idź weź prysznic? Zrobię coś do jedzenia.

– Nie jestem głodny.

– Jesteś, jesteś. – Chwytam go pod prawe ramię i prowadzę do kuchni. – Nie jadłeś obiadu, chyba że coś na szybko, kiedy mnie nie było, a jest już późno. – Biorę głęboki wdech.

– Bardzo ciężko było?

– Było... – Urywa i też robi wdech. – Było... – Znów urywa. Potem wybucha płaczem.

Jestem pewna, że Sam już wcześniej widywał śmierć, z bliska, bliskich. Ma ze trzy giga wieku, przechodził operację pamięci, przeżył w jej następstwie psychopatyczną dysocjację, a także mieszkał wśród przedtechnicznych obcych, dla których gwałtowna śmierć i choroby zaliczały się do nieapetycznego menu serwowanego przez życie. Ale jest ogromna różnica pomiędzy półoficjalnymi pojedynkami dwojga dorosłych zgadzających się na to osób, z backupami w bramkach A, tak że wskrzeszenie to drobna niedogodność, a sprzątnięciem po spontanicznym akcie bezsensownej brutalności na parkingu przed kościołem.

Zresztą, nieważne backupy, brak drugiej szansy i to, że nie przychodzisz do domu, drapiąc się w głowę i zastanawiając, gdzie poszły ostatnie dwie kilosekundy twojego życia. Różnica jest taka: to mogłeś być ty. Ponieważ, kiedy się nad tym zastanowić, jedno, co wiadomo na pewno, to to, że gdyby ropuchowi za pulpitem pomyliły się imiona, to ty zadyndałbyś, szamocąc się i dławiąc, na końcu tego sznura. To mogłeś być ty. Tak się nie stało, ale to tylko zrządzenie losu. Sam właśnie wrócił z frontu i to zrozumiał.

Może dlatego łądujemy na ławeczce na tarasie od tyłu, ja siedzę prosto, a on trzyma głowę na moich kolanach i nie płacze jak niemowlę, ale od czasu do czasu szlocha. Gładzę go po włosach i staram się, żeby to na mnie nie przeszło – ani ostre, zębate ostrze współczucia, ani chęć powiedzenia mu, że ma się wziąć w garść i stanąć na nogi. Takie sądy są bolesne, a przecież, jak tylko go wysłucham, sam to wszystko sobie poukłada. A jeśli nie...

No cóż, tamtej nocy też by mi się przydał słuchacz, lecz nie będę mieć do niego o to pretensji.

– Greg zadzwonił, kiedy byłaś w szopie – mówi w końcu. – Zapytał, czy pomogę posprzątać. A że rano mówiłem, że nie można dać im się zmusić do niczego złego... To

pomyślałem, że skoro wtedy nie mogłem nic zrobić, może powinienem zrobić coś dobrego... potem. – Znów się rozkleja i szlocha przez jakąś minutę.

A kiedy przestaje, udaje mu się mówić cicho i równomiernie, z namysłem w głosie. Brzmi to, jakby sam sobie coś wyjaśniał, próbując to zrozumieć.

– Pojechałem taksówką do kościoła. Greg powiedział, że mam wziąć łopatę, to wziąłem. Przyjechałem, Alf i Martin już byli i Liz, Phila... była żona. Mal jest w szpitalu. Próbował ich powstrzymać. Przyłożyli mu. Znaczy, wiesz, ten tłum. Jest tu jeszcze trochę przyzwoitych ludzi, ale przeważnie za bardzo się boją, żeby choćby pomóc ich pochować albo pocieszyć wdowę.

– Wdowę. – Nowe słowo w naszym małym więzieniu, jak „ciąża” i „lincz”. I równie niechciane. (A także „śmierć”, jeśli będziemy tu wystarczająco długo).

– Greg przyniósł z kościoła drabinę, Martin wszedł i ich odciął. Liz była bardzo spokojna, kiedy zdejmowaliśmy Phila, ale kiedy odciął Esther, nie wytrzymała. Na szczęście przyszła Xara z butelką żytniej i z nią siadła. Wtedy z Gregiem i Alfem zaczęliśmy kopać. Zaczęliśmy tam, ale Alf powiedział, że to przez Fiorego, więc możemy pochować ich na cmentarzu. No to poszliśmy, a Alf skombinował jakieś deski. Mam nadzieję, że zakopaliśmy ich wystarczająco głęboko. Pierwszy raz to robiłem.

Milknie na dłuższą chwilę. Odgarniam mu włosy z boku twarzy.

– Dwadzieścia cykli – mówi po jakimś czasie.

– Siedem miesięcy?

– Bez backupów – potwierdza.

Jedno jest pewne: to straszne mnóstwo czasu do stracenia. A co jeszcze straszniejsze: ostatnie ich backupy są zamknięte w asemblerze izolującym Ustrój YFH od świata zewnętrznego – choć nie mam pewności, że jest zainfekowany Osobliwą Żółcią, coś mogę podejrzewać. (OŻ przenosi się między bramkami A przez netlinki zainfekowanych ofiar, prawda? A mnie niepokoi podejrzenie ograniczona funkcjonalność naszych netlinków w Ustroju YFH). Możliwe, że nigdzie nie ma zapisanych starszych kopii Phila ani Esther. W takim wypadku, jeżeli nie uda się oczyścić fagami zainfekowanych węzłów, możemy stracić ich na zawsze.

Sam długo milczy. Siedzimy na ławce, a światło czerwienieje i przygasa. Po jakimś czasie po prostu kładę mu ręce na ramieniu i patrzę na drzewa w drugim końcu ogrodu. Wtem on mówi znienacka:

– Prawie od samego początku wiedziałem, kim jesteś.

Gładzę go raz jeszcze po policzku, ale nic nie mówię.

– Zorientowałem się w niecały tydzień. Co rusz mówiłaś o tym kimś, kogo miałaś poszukać w środku. Myślałaś, że to Cass.

Głaszczę go, nie przestaję, także by uspokoić samą siebie.

– Z początku byłem w szoku. Wcześniej wydawałaś mi się taka dynamiczna, pewna

siebie i opanowana – już i tak nieźle mnie trafiło, kiedy obudziłem się w tym ogromnym, niezdarnym cielsku, ale jak zobaczyłem ciebie, naprawdę się przestraszyłem. Najpierw myślałem, że się pomyliłem, ale nie. Dlatego siedziałem cicho.

Przestaję poruszać dłońmi, zostawiam jedną na jego ramieniu, a drugą obok jego głowy.

– Drugiego dnia o mało co się nie zabiłem, a ty nic nie zauważyłaś.

Cholera. Mrugam.

– Ledwo sobie radziłam z własnymi problemami – udaje mi się wykrztusić.

– Tak, teraz to rozumiem. – Głos ma łagodny, niemal ospały. – Ale przez jakiś czas nie umiałem ci tego wybaczyć. Bo wiesz, ja już tu byłem. Znaczy, nie tu konkretnie, ale w czymś podobnym.

– U lodowych ghuli? – pytam, zanim zdążę ugryźć się w język.

– Tak. – Tężeje, potem się unosi. – Cała planeta przedakceleracyjnych istot rozumnych, które pewnie nie przetrwają bez pomocy z zewnątrz, bo rozwijanie technologii od zera zajęło im tyle czasu, że prawie wyczerpali łatwo dostępne paliwa kopalne. – Opuszcza nogi i siada prosto, obok mnie, choć na tyle daleko, że nie sięgam do niego. – Żyjących, mnożących się, umierających ze starości, czasem toczących wojny, a czasem ginących z głodu, w katastrofach i epidemiach.

– To ile ty tam byłeś? – pytam.

– Dwa giga. – Odwraca głowę i patrzy mi w oczy. – Należałem do, eee... jednostki reprodukcyjnej, można by powiedzieć. Rodziny. Byłem lodowym ghulem, rozumiesz. Od późnej młodości aż po starość, ale nie chciałem, żeby musieli się mną opiekować – uciekłem w tundrę i przez netlink poprosiłem o transfer. W ostatniej chwili. Byłem śmiertelnie chory i niemal przykuty do gniazda. – Wydaje się teraz nieobecny. – Wszystkie znane nam rasy rozumne i korzystające z narzędzi, przed Akceleracją mają strategię reprodukcyjną typu K*. Przeżyłem swoich partnerów, ale miałem troje dzieci, ich zestaw cis-partnerów i trans-partnerów oraz więcej wnuków niż... Wzdycha.

– Czy chcesz, żebym to wszystko wiedziała? – pytam. – Jesteś pewien?

– Sam nie wiem. – Patrzy na mnie. – Chciałem tylko, żebyś wiedziała, kim jestem i skąd przychodzę. – Wbija wzrok w kamienie pod stopami. – A nie, kim jestem teraz, bo to żenada. Czuję się brudny.

Wstaję. Myślę, że dość już się nagadał.

– Posłuchaj, powiem wprost. Jesteś byłym ksenoornitologiem, który za bardzo zbliżył się do swoich badanych i stracił stabilność emocjonalną. Jesteś ciężkim przypadkiem dysforii wizerunku własnego ciała, której nie wykryło YFH w tej swojej pretekstowej ankiecie wejściowej, dobry jesteś w wyparciu, samozaparciu i tak dalej, i żałośnie nieudolny w samobójstwach. – Wbijam wzrok w niego. – Coś jeszcze? – Chwytam go za rękę. – Coś

* Typ K – rozmnażanie późne, mała liczba potomstwa o dużym prawdopodobieństwie przeżycia (duże ssaki, ptaki); typ R – rozmnażanie szybkie i bardzo duża liczba potomstwa o niskim prawdopodobieństwie przeżycia (bakterie, ryby, gryzonie) (przyp. tłum.).

jeszcze?!

W tym momencie dociera do mnie parę rzeczy jednocześnie. Jestem na niego naprawdę, naprawdę wściekła, choć to zupełnie nie to – to nie złość, jaką czułoby się wobec obcego lub wroga. I choć ćwiczyłam jak zwariowana i jestem w o wiele lepszej kondycji, niż kiedy tu wchodziłam, Sam też stoi, ma nade mną ze trzydzieści centymetrów i trzydzieści kilo przewagi, bo jest mężczyzną i do tego zbudowanym jak czołg. Może to nie najmądrzejsza rzecz, wrzeszczeć w twarz komuś o tyle większemu i rozchwianemu emocjonalnie na skutek złych doświadczeń, ale mam to gdzieś.

– __ – cos mruczy.

– Co? – gapię się na niego. – Możesz powtórzyć?

– __ – mówi tak cicho, że nie słyszę tego przez szum krwi w uszach. – Dlatego się nie zabiłem.

Kręcę głową.

– W ogóle cię nie słyszę.

Wytrzeszcza oczy.

– Kim ty jesteś dla siebie? – pyta.

– Zależy. Byłam historykiem, dawno temu. Potem przyszły wojny i byłam żołnierzem. A potem żołnierzem, który potrzebuje wiedzy historycznej, a potem straciłam pamięć. Teraz jestem rozkojarzoną, byle jaką gospodynią domową i bibliotekarką. Ale wiesz co ci powiem? Któregoś dnia znowu będę żołnierzem.

– Ale to wszystko jest na zewnątrz. To nie ty. Nic nie chcesz mi powiedzieć! Skąd pochodzisz? Miałaś kiedyś rodzinę? Co się z nią stało?

Jest podenerwowany i nagle zdaję sobie sprawę, że się mnie boi. Boi? Mnie? Cofam się o krok. I wtedy dociera do mnie, jak zapewne wygląda teraz moja twarz. Jakby ktoś mi w jednej chwili zastąpił całą krew lodowatą wodą: jego pytanie przywołało moje wspomnienie, które wcześniejsze ja umyślnie zapomniało jeszcze przed operacją – bo wiedziało, że znów się wynurzy. Zapomnienie bolało, lecz świadomość, że zostanie wykasowane prostacką chirurgiczną interwencją, była jeszcze gorsza. Prostuję się na ławce i odwracam od niego wzrok, bo nie mam ochoty patrzeć, jak mi współczuje.

– Wszyscy zginęli w czasie wojny – słyszę własny drewniany głos. – I nie chcę o tym gadać.

* * *

Kiedy śpię, z czeluści stłumionych wspomnień wyłania się jeszcze jedno okropieństwo i przychodzi z wizytą. Tym razem wiem, że jest autentyczne, wierne i naprawdę mi się przydarzyło – w żaden sposób nie jestem w stanie zmienić choćby najdrobniejszego szczegółu – i właśnie to jest w nim najkoszmarniejsze.

Zakończenie już zostało napisane i nie jest to happy end.

W tym śnie jestem smukłym mężczyzną, ortohumanoidem z długimi, rozpuszczonymi zielonymi włosami i, jak mówią moi partnerzy, zachwycającym śmiechem. Jestem o wiele młodszy (mam zaledwie trzy giga) i szczęśliwy, przynajmniej na początku. Żyję w stabilnym rodzinnym związku z trzema innymi głównymi partnerami, i miewam rozmaite okazjonalne kontakty z pięciorgiem czy sześciorgiem przyjaciół do seksu. Jesteśmy w pełni biseksualni, albo z natury, albo dzięki pożyczonym od szympanśów bonobo modyfikacjom układu limbicznego. Mamy dwoje dzieci i myślimy o uruchomieniu kolejnej dwójki za jakieś pół giga. Mam pracę – zajmuję się badaniem historii teorii umysłu, aspektu ideologii kultury, który nabrał ważności dopiero po Akceleracji i który to wchodzi, to wychodzi z mody, ale dla mnie osobiście jest niezmiernie istotny. Ta dziedzina mówi nam, na przykład, że przez prawie gigasekundę podczas dawnego XXIII wieku większość ludzkości na uchodźstwie stała się zimbo – półświadomymi automatami funkcjonującymi pod egidą wyższego umysłu. Badam z wielkim zainteresowaniem, jak to się stało i jak rozpadła się ta poznawcza dyktatura. Wymaga to też sporo wypraw w teren, do dawnych świątyn pamięci.

Wskutek jednego z takich wyjazdów nie ma mnie w domu z rodziną, kiedy znikąd atakuje Osobliwa Żółcień i wymazuje spore połacie historii, zabierając ze sobą całą międzygwiazdną cywilizację oraz (dla osobistego rysu) moją rodzinę.

Kiedy pojawia się po raz pierwszy, goszczę akurat, we własnej fizycznej osobie, na Ruchomym Archiwizatorze i Dezassemblerze Układów Gwiazdnych. RADUG to powolny, ociążały statek kosmiczny, w zasadzie ruchomy walcowaty habitat, napędzany plazmą przesyłaną przez bramkę T z wnętrza odległego nadolbrzyma typu Ao. Pełza z niską relatywistyczną prędkością pomiędzy układami brązowych karłów, które w tej części galaktyki są rozłożone co niecały parsek. Podczas wielogigasekundowych przerw między tymi spotkaniami załoga chroni się w statycznych backupach, ucieleśniając się w okrętowych asemblerach, kiedy tylko znajdzie się coś ciekawego. Statek jest w dużej mierze samowystarczalny i sam się konserwuje (z wyjątkiem podłączenia do gwiazdy oraz obstawionej mocnymi firewallami bramki T prowadzącej na teren instytutu badawczego, który stworzył go wieki temu). Jego wewnętrzne systemy są całkiem odłączone od zewnętrznego ustroju, zaprojektowano go bowiem na misje trwające do terasekundy i od samego początku przewidywano, że w trakcie jego technicznego życia cywilizacja upadnie co najmniej raz. Dlatego przyjechałam osobiście na rozmowę z Veckenem, kapitanem statku, który miał okazję żyć chwilę po poznawczej dyktaturze i może pamiętać jakieś osoby, które ją przetrwały.

I tu ciekawa rzecz: nie mogę sobie przypomnieć ich twarzy. Pamiętam, że Lauro, Iambic-18 i Neual nie byli dla mnie po prostu ważni, byli nie tylko kochankami, ale i w bardzo rzeczywisty sposób definiowali moją tożsamość. Spora jej część była skonfigurowana wokół idei, że nie jestem sam, jestem częścią grupy, w której wspólnie zmieniliśmy sobie neuroendokrynologię, tak aby samo przebywanie razem dawało nam łagodny endorfinowy haj

– coś, co niegdyś było nieprzewidywalnym procesem zwanym „zakochaniem” – oraz staraliśmy się, aby nasze zainteresowania, umiejętności i zawody się uzupełniały. Była to nie tyle rodzina, ile nadorganizm i byliśmy w tym szczęśliwi i spełnieni. Zdaje się, że wcześniej byłem samotny, jednak za bardzo tego nie pamiętam, bo w porównaniu błędnie to jako kompletnie nieważne.

Niestety, nie mogę przypomnieć sobie ich twarzy i dręczy mnie to nawet teraz – całe życie, odkąd ból przycichł.

Neual miał zręczne ręce i stopy i odczuwał przebiegłą, sarkastyczną radość z podniecania mnie. Lauro był niezmiernie dystygowany, choć kiedy się z nami kochał, wyzbywał się tego. Iambic-18 było radykalnym ksenomorfem, czasem dla zabawy objawiającym się w więcej niż jednym ciele jednocześnie. A nasze dzieci...

Żadne nie żyje – i niewątpliwie przeze mnie. Osobliwa Żółcień z natury przenosi się potajemnie między bramkami A, tworząc sieć *peer-to-peer* wymieniającą zakodowane steganograficznie polecenia przy użyciu ludzi jako pakietów danych. Jeśli pechowo trafi na ciebie, zainstaluje swoje jądro w twoim netlinku, a kiedy przyjdiesz do bramki A, żeby zrobić backup, albo gdzieś się przenieść – co odbywa się za pośrednictwem netlinka – OŻ będzie pierwszą rzeczą, jaka trafi do bufora bramki. Węzły sterujące bramek A są podobno tak skonstruowane, żeby nie mogły wykonywać danych jako kodu, ale wynalazcy OŻ wyraźnie udało się znaleźć jakąś lukę w ich architekturze. Ludzie zdezasemblowani i zasemblowani z powrotem przez zainfekowane bramki zarażają, podróżując, kolejne bramki. Dla OŻ ludzie są wektorem epidemii.

Pierwotna epidemia OŻ, która zaatakowała Republikę Byt, miała jako ładunek bojowy kod, który cenzurował informacje dotyczące jakiegoś historycznego zdarzenia – nie do końca wiadomo jakiego, ale podejrzewam, że chodzi o wstrząs po upadku jednej z dawnych dyktatur poznawczych – edytując pamięci ludzi przechodzących przez zarażone bramki, lecz aktywowało się to dopiero, kiedy infekcja rozsiała się po całej sieci. Tak więc Osobliwa Żółcień pojawiła się wszędzie naraz ze zdumiewającą gwałtownością, a wcześniej tylko się przez setki megasekund dyskretnie rozprzestrzeniała.

W moim śnie-wspomnieniu piję herbatę na mostku *Wdzięcznego za ciągłość*, który przeistoczył się wtedy w świątynię bogini jeziora ze starożytnego Nipponu. Siedzę po turecku naprzeciwko Septimy (kuratorki statku) i czekam, aż przyjdzie kapitan Vecken. Gdy przewijam sobie zapisane wcześniej pytania, zacina mi się netlink. Wygląda na to, że wystąpił jakiś błąd spójności pamięci podręcznej – bramka T statku właśnie się wyłączyła.

– Coś się dzieje? – pytam Septimę. – Odłączyło mnie.

– Możliwe. – Robi zirytowaną minę. – Poproszę, żeby ktoś zerknął. – Patrzy przeze mnie, na wylot, przypominając, że po koncentrycznych walcach habitatów wędrują jeszcze trzy lub cztery inne kopie tej zdziwaczałej, starej archiwistki. Raptownie mruga. – To alarm bezpieczeństwa. Jakiś intruz pojawił się w naszej służbie transkrypcyjnej. Jeśli chwilę

zaczekasz, pójdę i sprawdzę, co się dzieje.

Rusza do drzwi herbaciarni. Na ile udało mi się to później zrekonstruować, dokładnie w tym momencie z asemblera w moim rodzinnym domu wyfruwa rój osiemnastu tysięcy trzystu dwudziestu dziewięciu robocików szturmowych wielkości os. Żyjemy w starożytnym domostwie zbudowanym na wzór nieistniejącej budowli ze starej Zjemi, zwanej Fallingwater – taki powściągliwy projekt z przedakceleracyjnych czasów. Dom ma drzwi, schody i okna, ale żadnych wewnętrznych bramek T, które można by pozamykać. Roboty w okamgnieniu obezwładniają Iambica-18, który stoi w kuchni przy asemblerze.

Dekonstruuje go tak szybko, że nie ma czasu choćby na okrzyk bólu czy przesłany netlinkiem impuls cierpienia. Potem rozpraszają się po domu złowrogą brzęczącą mgłą, niosąc szybką śmierć. Bryzg krwi tutaj, gdzie indziej okrzyk ucięty jak nożem. Domowy asembler został opanowany przez Osobliwą Żółcień, nasze backupy celowo skasowano, żeby zrobić miejsce dla tyranicznych os, a jednocześnie – choć jeszcze tego nie wiem – moje życie zostało brutalnie odcięte od wszystkiego, co nadawało mu sens.

Po egzekucjach osy zjadają fizyczne ciała i wydzielają elementy kolejnych robotów, gotowych, by samodzielnie stworzyć kolejne roje szturmowe, które ruszą na polowanie na dalszych wrogów Osobliwej Żółcieni.

Wiem o tym wszystkim teraz, bo Osobliwa Żółcień prowadziła log wszystkich fizycznych zabójstw, jakie popełniła. Nikt nie wie dlaczego – jedna z teorii mówi, że to raport dla jej twórców – ja jednak tyle razy patrzyłam na tę mapę z terahercowego radaru przedstawiającą pożeranie przez osy mojej rodziny i dzieci, że mam ją wypaloną w pamięci. Należę do nielicznych osób, które ocalały, choć były zakwalifikowane jako somatyczni wrogowie, do zniszczenia, a nie ocenzurowania. Teraz czuję się tak, jakbym widziała to po raz pierwszy, ponownie przeżywając te okropności, przez które poszłam do Kotów Linebargera i błagałam, żeby mnie przyjęli i zrobili ze mnie czołg. (Ale to było pół gigasekundy później, gdy *Wdzięczny za ciągłość* nawiązał kontakt z jednym z izolowanych bastionów ruchu oporu).

Uświadamiam sobie, że się obudziłam, choć jest jeszcze noc. Policzki swędzą od słonych strużek przelanych we śnie łez, jestem zwinięta w niewygodny kłębek, na samym skraju łóżka. W talii obejmuje mnie czyjeś ramię, na karku czuję powiew oddechu. Przez moment nie wiem, o co chodzi, potem zaczynam rozumieć.

– Już nie śpię – mruczę.

– O. To dobrze. – Głos ma senny. Dawno tu jest? Poszłam spać sama. Czuję nagle ukłucie paniki na myśl, że przyszedł tu nieproszony, ale nie chcę już być sama. Nie teraz.

– Spałeś? – pytam.

Ziewa.

– Pewnie tak. Przysnąłem. – Napina ramię, ja też się unoszę i przysuwam do jego piersi i nóg. – Źle ci było.

– To coś, czego ci wcześniej nie powiedziałam. – I nie do końca wiem, czy powinnam

teraz. – Moja rodzina. Zabiła ją Osobliwa Żółcień.

– Co? Ona nie zabijała, cenzurowała...

– Nie wszystkich. – Tulę się do niego. – Większość ludzi tak. Ale niektórych tropiła i mordowała. Chyba tych, którzy potrafiliby ustalić, kto ją zrobił.

– Nie wiedziałem.

– Mało kto wie. Albo zaatakowało cię bezpośrednio i zapewne zginąłeś, albo przydarzyło się to komuś innemu, a w takim wypadku pewnie byłeś zajęty odbudowywaniem własnego życia i walczyłeś, aby twój ledwo co działający, odgradzony firewallami mikroustrój dał radę bez dostaw z zewnątrz, z reszty Republiki Byt. Ale jedno giga po zakończeniu wojny to już nie było nic nowego.

– Nie dla ciebie.

Wyczuwam jego napięcie.

– Wiesz co, jestem zmęczona i nie chce mi się jeszcze raz tego wszystkiego przeżywać. Stare bóle, okay? – Próbuję się rozluźnić, wtulona w niego. – Stałam się wtedy prawdziwym samotnikiem. Przez całą wojnę nie miałam nikogo bliskiego, a od tego czasu nie miałam okazji.

Oddycha miarowo i głęboko. Może już śpi? Zamykam oczy i próbuję się do niego przyłączyć, ale zajmuje mi to dużo czasu. Cały czas myślę, że naprawdę strasznie musiał potrzebować kontaktu z drugim człowiekiem, skoro po tym wszystkim znowu przyszedł do mnie do łóżka.

11. Pogrzebani

Poniedziałek to dzień roboczy, zwykle umawiamy się też na lunch, ale po wczorajszych zdarzeniach nie zamierzam łamać się chlebem z Jen. Idę do pracy z mosiężnym kluczem schowanym w bezpiecznej torbie. Wchodzę do biblioteki i od razu rzucam się do odkładania książek i sprzątanía. Jest środek ranka, kiedy uświadamiam sobie, że Janis jeszcze nie przyszła.

Mam nadzieję, że wszystko z nią w porządku. Wczoraj, zdaje się, jej nie widziałam, lecz jeśli słyszała, co się stało – no cóż, nie wiem, jak dobrze znała się z ofiarami, ale wyobrażam sobie, przez co musiała przejść, jeśli dobrze się znali. Już parę dni temu czuła się źle. Jak się ma teraz?

Idę za recepcję. Ruchu nie ma dziś żadnego, nie przyszedł jeszcze nikt, więc nie mam obiekcji przed odwróceniem na moment tabliczki na drzwiach: ZAMKNIĘTE. Na zapleczu jest teczka z dokumentami administracyjnymi; pogrzebawszy w niej trochę, znajduję domowy numer Janis. Wykręcam go i po niepokojąco długim czasie ktoś odbiera.

– Janis?

Głos ma znużony, mimo zniekształceń dorzucanych przez łącze telefoniczne.

– Reeve, to ty?

– Tak. Martwiłam się o ciebie. Wszystko dobrze?

– Źle się poczułam. I szczerze mówiąc, nie mam ochoty dziś przychodzić. Masz coś przeciwko?

Rozglądam się.

– Nie, nawet drzwi tu nie skrzypną. – Gryzę się w język ponieważ. – Wiesz co, lepiej weź sobie kilka dni wolnego. Za parę miesięcy i tak idziesz na zwolnienie, nie ma sensu się napinać. Jeśli chcesz, w dzień wolny podjadę do ciebie, przywiozę parę książek. Pojutrze. Co ty na to?

– Super – mówi z wdzięcznością. Po krótkiej pogawędce odkładam słuchawkę.

Właśnie przekładam tabliczkę z powrotem na OTWARTE, gdy do krawężnika przed wejściem podjeżdża długa limuzyna. Zaczerpuję tchu – co tu dziś robi Fiore? – widząc wysiadającego z niej księdza. Potem, co niezwykle, przytrzymuje drzwi drugiej osobie.

Komuś w purpurowej sukni i piusce. Uświadamiam sobie, kto to musi być: biskup. Yourdon.

Biskup jest równie kościsty, chudy i wysoki, jak Fiore przysadzisty i pękaty. Bocian i ropuch. Ma osobliwie ziemisty odcień skóry, a kości policzkowe sterczą mu jak ostrza. Nosi okulary w grubej, jakby rogowej, prostokątnej oprawie, a włosy przylegają do czaszki rzadkimi pasmami barwy zgniłej kości słoniowej. Idzie naprzód, wymachując dłońmi jak u kościotrupa, a Fiore truchta za nim, sapiąc i dysząc, żeby dotrzymać mu kroku.

– Proszę posłuchać, proszę! – woła. – Proszę...

Biskup pcha drzwi biblioteki, otwiera je i przystaje. Oczy ma bardzo blade, błękitne, z lekko żółtawymi białkami, a wzrok lodowato pogardliwy.

– Fiore, już spierdoliłeś parę rzeczy – syczy. – Bardzo proszę, w przyszłości zachowaj swoje masturbacyjne fantazyjki dla siebie. – Odwraca się do mnie.

– Dzień dobry. – Zmuszam się do uśmiechu.

Patrzy na mnie, jakbym była maszyną.

– Biskup Yourdon. Proszę zaprowadzić mnie do archiwum dokumentów.

– Tak, oczywiście. – Wybiegam z za kontuaru i kiwam na niego.

Fiore stęka i ciężko dyszy, człapiąc za nami, Yourdon natomiast porusza się z kościstą gracją, jakby wszystkie stawy wymieniono mu na dobrze naoliwione łożyska. Ma w sobie coś, od czego chodzą ciarki. Spojrzenie, jakie rzucił Fioremu – nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam na ludzkiej twarzy taką pogardę. Prowadzę ich do pokoju; Kostucha sunie za mną w gniewnej ciszy, a za nią tłusta, przypochebna ropucha.

Gdy wchodzimy do czytelnicy, odsuwam się na bok, a Fiore manipuluje przy zamkach, wyraźnie wędnąc pod wściekłym spojrzeniem Yourdona. Otwiera drzwi i smyrga do środka. Yourdon przystaje i mierzy mnie lodowatym spojrzeniem.

– Nie wolno nam przeszkadzać – informuje – pod jakimkolwiek pozorem. Zrozumiano?

Kiwam energicznie głową.

– Jeśli czegoś będzie trzeba, jestem za biurkiem. – Prawie dzwonię zębami. Co jest z tym gościem? Widziałam w życiu paru mizantropów, ale Yourdon jest jedyny w swoim rodzaju.

Fiore i biskup siedzą w archiwum przez prawie trzy godziny. Parę razy słyszę podniesione głosy, obłudne błagania Fiorego, a potem biskupa syczącego na niego jak rozzłoszczony wąż. Siedzę za biurkiem, powstrzymując się przed oglądaniem przez ramię co dziesięć sekund i usiłując czytać książkę o historii polowań na czarownice w przedindustrialnej Europie i Meryce. Są w niej niepokojące echa tego, co dzieje się tutaj, społeczeństwa rozbite na nieufne wobec siebie odłamy, donoszące na siebie nawzajem do chciwej władzy duchownej, tymczasem wąż i ropuch w pokoju z tyłu wydają odgłosy jakby chcieli się nawzajem zażądlić na śmierć.

Kiedy się wynurzają, już dawno minęła godzina mojej przerwy obiadowej. Fiore jest markotny i pełen urazy. Yourdon jest jakby w lepszym nastroju, ale jeśli tak wygląda u niego dobry humor, to nie chciałabym go widzieć, gdy jest zły. Gdy się uśmiecha, wygląda to, jakby

ktoś naciągnął na czaszkę arkusz skóry, bezkrwiste wargi odsłaniają żółknące zęby w pozbawionym radości grymasie.

– No to zabieraj się do pracy! – woła do Fiorego, mijając mój kontuar bez choćby kiwnięcia głową. – Masz kupę zaległości do nadrobienia. – Szturmuje drzwi, gdy zza rogu nadjeżdża czarna limuzyna, gotowa zawieźć swego pana tam, gdzie zwykle bawi.

Parę minut później Fiore, człapiąc do wyjścia, mierzy mnie ponurym spojrzeniem.

– Będę jutro – rzuca i wychodzi. Nie ma dla niego limuzyny, w południe, w tym upale, musi leżeć pieszo. Jakże upadają wielcy!

Odczekuję, aż zniknie mi z oczu, po czym podchodzę do drzwi i odwracam tabliczkę na ZAMKNIĘTE. Zamykam na zamek i biorę oddech. Nie spodziewałam się, że to nastąpi dziś, ale okazja jest zbyt dobra, by ją przegapić. Przynoszę swoją torbę z pokoju socjalnego i ruszam do zbiorów specjalnych.

Nadchodzi chwila prawdy. W niecałe sto sekund po wyjściu Fiorego z biblioteki wsuwam do zamka pieczołowicie dorobiony klucz. Gdy go przekręcam, wali mi serce. Przez moment ani drgnie, ale poruszam nim trochę – zęby nie do końca pasują do bolców – i nagle coś trafia na miejsce, zamek lekko poskrzypuje i ustępuje. Otwieram drzwi szeroko, sięgam do włącznika światła.

Stoję w małym pomieszczeniu pozbawionym okien, krzeseł, stołów, ze zwisającą z sufitu jedną gołą żarówką na drucie. Trzy ściany są zastawione regałami. Pośrodku podłogi znajduje się kłapa do piwnicy.

– Co to, kurna, jest? – pytam na głos, rozglądając się.

Na wszystkich regałach stoją pudła na akta. Jest ich mnóstwo. Na grzbietach nie ma żadnych tytułów, tylko numery seryjne. Wszystko jest zakurzone, poza kłapą, którą ktoś niedawno otwierał. Nabieram powietrza i niemal dostaję zeza, powstrzymując się od kichnięcia. Skoro Fiore ma tu taki porządek, nic dziwnego, że Yourdon się na niego wkurzył.

Zerkam na najbliższą półkę i otwieram jedno z pudeł na chybił trafił. Jest zapięte na gumkę, otwieram, w środku jest pełno papierów, żółknących kartek, maszynowych, gładkich, pokrytych kolumnami szesnastkowych cyfr wydrukowanych głupim atramentem. Na górze każdego arkusza jest numer strony; chwilę trwa, zanim pojmuję, na co właściwie patrzę. To zserializowany zapis pamięci, starożytni mówili na to „wydruk szesnastkowy”. Mnóstwo stron. W tym pudle pewnie jest ich z pięćset. Jeśli w innych jest to samo, mam przed sobą ze sto tysięcy kartek, na każdej z dziesięć tysięcy znaków. Cokolwiek jest zapisane na tym potwornie niewydajnym nośniku, nie jest zbyt duże – mniej więcej wielkości genomu małego ssaka, czy coś takiego, po odfiltrowaniu nadmiarowych egzonów. Trzy-cztery rzędy wielkości za mały na genom człowieka.

Kręcę głową i odstawiam pudło. Sądząc po ilości kurzu na wierzchu, od dłuższego czasu nikt go nie ruszał. Nie wiem, co w nim siedzi, ale Yourdon i Fiore nie po to tu przyszli. Czyli zostaje kłapa.

Pochyłam się, łapię za mosiężny pierścień i ciągnę. Drewniana płyta unosi się na zawiasach, widzę prowadzące w dół schody. Są pokryte dywanem, po obu stronach mają drewniane poręcze. No dobra, czyli pod biblioteką jest tajne podziemie – mówię sobie, starając się nie chichotać ze strachu. Co tam mają, pod moimi nogami?

Oczywiście, że tam schodzę. Po tym, co zrobił Fiore Philowi i Esther, zapewne już nie żyję, jeśli zdybią mnie w archiwum. Piwnica to tylko kolejny logiczny krok, nic więcej.

Stopnie prowadzą w półmrok, ale nie ma ich zbyt dużo. Podłoga jest jakieś trzy metry pod klapą, a u dołu schodów, na poręczy znajduję wyłącznik światła. Pstrykam i rozglądam się wokół.

I wiecie co? Nie jestem już w ciemnych wiekach.

Bo gdybym była, ujrzałabym zatęchłą piwnicę o ceglanych ścianach i stropie z drewnianych łąt, ewentualnie z lanego betonu i stalowych belek. Wtedy nie obowiązywał konstrukcyjny diament, podłogi nie porastały futrem w zebrze paski i wykorzystywano nietrwałe żarówki elektryczne, a nie malowano sufity fluorescencyjną farbą. Stoi tu szezlong, bardzo retro, w stylu, który wyszedł z mody, jak się zdaje, gdzieś pomiędzy końcem epoki kolonizacji Obłoku Oorta a pierwszą republiką konserwacjonistów, oraz cudaczne fotele z czarnej żywicy, przypominające szkielety owadów, gdyby tylko owady dorastały do czterech metrów wzrostu i miały wewnętrzne szkielety. Hm. Oglądam się przez ramię. Stwierdzam, że gdyby Yourdon i Fiore darli się tutaj na siebie do upadłego, przy otwartej klapie mogłabym to usłyszeć w recepcji.

Pozostałe przedmioty w piwnicy są o wiele bardziej niepokojące.

Na dobry początek, stoi tu coś, co prawie na pewno jest wojskową bramką A. Pękaty walec, dwa metry wysokości i dwa średnicy, powłoka to gładka, biała, półprzezroczysta, nitrylowa skorupa. Obok, na postumencie z nieheblowanego drewna stoi pancerna stacja sterująca – z takich korzysta się w warunkach polowych, kiedy obowiązuje kontrola emisji, by wytworzyć materiały i uzbrojenie niezbędne do ratowania własnej dupy. Masz pluton? To masz i atomówkę. Nie mam oczywiście kodów uwierzytelniających, żeby to włączyć – tylko to tknę, a pewnie włączy się milion alarmów – ale jej obecność tutaj jest równie anachroniczna jak dwupłatowiec w epoce brązu.

Poza tym, pod ścianami stoją półki pełne rozmaitego sprzętu. Leży tam coś, co prawie na pewno jest baterią generatorów do worpalnego miecza, takiego jak ten na ołtarzu w kościele. Przywołuje nieprzyjemne wspomnienia, bo pamiętam takie miecze i wiem, co da się nimi zrobić – krew rozbryzgująca się po pomieszczeniu, gdzie bezgłowe zwłoki leżą obok bramki ewakuacyjnej, jak przyzma porąbanego drewna – i robi mi się niedobrze. Szybki wdech, zerkam na półki po drugiej stronie. Dużo ich tutaj, na niektórych dziwne, prostokątne cegielki pamięci dużej gęstości, ale przeważnie po prostu segregatory pełne papieru. Tym razem nie mają na grzbietach numerów seryjnych, lecz staroświeckie, czytelne dla ludzi tytuły, choć mnie one za wiele nie mówią. Rzeczy w rodzaju: *Skorygowany protokół eksperymentu*

Zimbardo 4.0, Zarządzanie deltami współczynników moralnych na poziomie parafii albo Rozszerzone kryteria wyboru nosicieli...

Kryteria wyboru nosicieli? Wyciągam to z półki i zaczynam czytać. Po jakimś czasie otrząsam się i odstawiam segregator z powrotem. Czuję się brudna, jakby skażona. Naprawdę żałuję, że zrozumiałam, co było tam napisane, ale stało się – teraz będę musiała wymyślić, co z tą wiedzą zrobić.

Wpatruję się w bramkę A, spekulując. Spora szansa, że nie jest zarażona Osobliwą Żółcią, bo nie ryzykowałiby zainfekowania siebie. Niestety, w ucieczce mi nie pomoże, zresztą pewnie nawet mnie nie obsłuży, chyba że przyłożę Fioremu do głowy metaforyczny pistolet – zagrożę mu czymś bardziej przerażającym niż perspektywa zemsty Yourdona, a jeśli nie myślę się co do niego, to zemsta, w którą chciałoby mu się bawić, byłaby naprawdę losem gorszym od śmierci.

Cholera. Muszę się jeszcze nad tym zastanowić. Dobrze, że chociaż mam czas do jutra, kiedy znów przyjdzie Fiore.

* * *

Ruch jest zerowy, dosłownie zerowy. Zamknąwszy archiwum i wróciwszy na górę, przekładam tabliczkę na OTWARTE i siadam na parę godzin za kontuarem, czekając w napięciu, czy przyjdą zombiaki i zawloką mnie do więzienia. Nic się nie dzieje. Wybierając sobie lektury na przerwę obiadową, najwyraźniej nie włączyłam żadnych alarmów. Jak się dobrze zastanowić, nic w tym dziwnego. Jeśli jest jakieś miejsce, którego Fiore, Yourdon i ta tajemnicza Hanta nie chcieliby objąć monitoringiem, to będzie to właśnie magazynek, w którym trzymają swoje narzędzia do prowadzenia eksperymentu. Ludzie tacy jak oni nie czują się za dobrze pod nadzorem panoptikonu. Co, tak się składa, nasuwa mi pewien pomysł.

Wczesnym popołudniem zamykam bibliotekę na pół godziny i wyskakuję do najbliższego sklepu z elektroniką po przydatny gadżet. Potem spędzam nerwową godzinę na instalowaniu go w piwnicy. Po wszystkim jestem z siebie całkiem zadowolona. Jeśli zadziała, Fiore i Yourdon dostaną za swoją nadmierną pewność siebie – oraz za to, że ta ich porażona symulacja jest zbyt realistyczna.

Ruch jest tak zerowy, że wychodzę do domu pół godziny wcześniej. Jest ciepły letni wieczór, mam do przejścia około dwóch kilometrów. Prawie nikogo nie spotykam. W parku paru ogrodników kosi trawę, ale zwykłych ludzi właściwie nie ma. Przegapiłam jakieś święto czy coś? Nie wiem. Stawiam jedną stopę przed drugą, aż trafiam na drogę wychodzącą z centrum miasta, potem do krótkiego tunelu i z powrotem na światło dzienne, na cichą uliczkę z domkami, obsadzoną drzewami, z leniwym, niemal stojącym strumyczkiem po jednej stronie.

Z jednego z mijanych domów dolatują głosy i delikatny zapach gotowanego jedzenia. Ludzie siedzą w domach – nie zniknęli tajemniczo, zostawiając mnie samą. Co za szkoda.

Przez moment fantazjuję, że naukowcy Scholastium zorientowali się, że w Ustroju YFH źle się dzieje, i, kiedy siedziałam za bibliotecznym kontuarem, przybyli, żeby wszystkich ewakuować. Miły sen na jawie.

Niebawem trafiam do kolejnego tunelu łączącego segmenty. Tym razem, gdy jestem niewidoczna z wejścia, wyciągam latarkę. Tak jak się domyślałam, na jednej ze ścian jest wpuszczona podobna do drzwi płyta. Sięgam po notes i dopisuję ją do listy. Powoli buduję sobie mapę połączeń między segmentami. Przypomina cykliczny graf skierowany, bo jest właśnie czymś takim – siecią węzłów połączonych liniami dróg z bramkami T w połowie długości. Teraz uzupełniam ją o te włazy konserwacyjne.

Bramki T właściwie nie da się zobaczyć – w jednej chwili jesteś w jednym sektorze, w następnej przechodzisz przez niewidzialną bramę do kolejnego sektora – ale ustawienie tych włazów może coś mi podpowiedzieć, jeśli będę na tyle bystra, żeby to rozpracować. To samo dotyczy uporządkowania sieci: czy jest lewo, czy prawoskrętne, czy jest hamiltonowska. W przypadku zdegenerowanym może w ogóle nie być bramek T – wtedy mamy do czynienia z jednym walcowym habitatem, podzielonym grodziami, które dają się zamykać w razie dekompresji. Albo każdy z sektorów jest w innym miejscu, o całe parseki od siebie. Staram się unikać założeń. Jeśli nie szuka się z otwartymi oczyma, można coś przegapić.

Wracam do domu mniej więcej o zwykłej porze, spięta, ale także z osobliwą ulgą. Co się stało, to się nie odstanie. Jutro Fiore albo zauważy moje kombinacje, albo nie. (Albo, przy odrobinie szczęścia, pomyśli, że to sprawka Yourdona, co jest chyba równie prawdopodobne. Niespecjalnie się kochają i jeśli odpowiednio rozegram swoje karty, mogę to wykorzystać). Tak czy owak, czegoś powinnam się dowiedzieć. Jeśli nie... no cóż, wiem już zbyt dużo, żeby się wycofać. Gdyby wiedzieli, ile zdołałam się dowiedzieć o ich grze, zabiliby mnie natychmiast. Bez zabaw, bez rytualnego upokorzenia na oczach punktociągów w kościele – po prostu odessanie mózgu i wyłączenie. Fiore igra z ogniem.

Sam siedzi w salonie i ogląda telewizję. Przekradam się na paluszkach i idę na górę, spragniona prysznic. Wpadam do pokoju, zrzucam ubranie, biegnę do łazienki i odkręcam wodę, chcąc zmyć z siebie dzisiejsze stresy.

Po paru sekundach słyszę kroki, a potem otwierają się drzwi łazienki.

– Reeve?

– Tak, to ja! – wołam.

– Muszę pogadać. Już.

– Tylko skończę – rzucam rozdrażniona. – Nie możesz poczekać?

– Chyba nie.

Drobne udręki się kumulują – jestem teraz w stuprocentowo złym nastroju. Co to za życie, że nawet nie można w spokoju wziąć prysznic? Namydlam się metodycznie, potem myję włosy, starannie wcierając słabo działający, powierzchniowo czynny żel w skórę głowy. Po paru minutach splukiwania zakręcam wodę, otwieram kabinę, żeby sięgnąć po ręcznik, i

stają oko w oko z zaskoczonym Samem.

– Podaj mi ręcznik – mówię mu, robiąc dobrą minę do złej gry.

Pośpiesznie wykonuje polecenie. Po miesiącach życia w tym akwarium dla rybek coś dziwnego porobiło się z moją świadomością ciała i czuję się zaskakująco nieswojo, stojąc przed nim nago. On chyba też to czuje.

– Co jest aż takie ważne? – Wychodzę spod prysznic, a on wyciąga ku mnie ręcznik.

– Telefon – mruczy, próbując odwracać wzrok, który wciąż wędruje ku mnie.

– Oho. Od kogo?

Sam otula mnie ręcznikiem, jakbym była kruchym, drogocennym przedmiotem, którego stara się nie dotknąć. Wzdrygam się i próbuję nie zwracać na to uwagi.

– Dzwonił Fer. Razem z Elem usłyszeli coś złego od Micka i radzą, co zrobić.

– Złego. – Próbuję się skupić. Woda na skórze nagle robi się lodowata. – Jak bardzo złego?

– Chyba chodzi o Cass.

Spinam się w środku.

– Mick sprzedał im jakąś porąbaną historię, że coś usłyszał od Fiorego. Podobno wielebny powiedział mu, że jedna z reguł to: „bądźcie płodni i wymnażajcie się”. Że za posiadanie dzieci dostaje się gigantyczną liczbę punktów.

– Fakt, niefajnie – mówię ostrożnie – ale takie gadki są w stylu Micka.

– Niby tak, Fer tak właśnie powiedział, ale potem Mick opowiedział Elowi, że zgarnie te punkty, obojętne, czy Cass chce, czy nie. – Sam ma podenerwowany głos. – El nie do końca wiedział, o co mu chodzi.

Mam gonitwę myśli.

– Sam, Cass nie było wczoraj w kościele. Kiedy ostatni raz ją widziałam, nie chciała gadać, jakby się bała. – Mam obrzydliwe przeczucie, że wiem, co się będzie działo. Nie chciałabym, żeby to była prawda.

– No więc, Fer zadzwonił do mnie, kiedy El mu powiedział, że Mick rzucił mu jakiś żarcik, coś w stylu, że ma sposób, żeby Cass już nigdy nie mogła uciec. Nie był pewien, o co chodzi, ale nie brzmiało to dobrze. Reeve, co z tym? Co mamy zrobić, jeśli się okaże, że on ją wiąże, kiedy wychodzi do pracy, albo używa siły fizycznej, albo...?

Jak na kogoś żyjącego w ciemnowiecznej symulacji, Sam potrafi być rozzierająco naiwny.

– Sam, czy ty wiesz, co znaczy słowo „gwałt”?

– Słyszałem – odpowiada ostrożnie. – Myślałem, że to chodzi o obcych i zwykle kończy się zabójstwem. Myślisz...

Odwracam się.

– Musimy się dowiedzieć, co się tam dzieje, i jeśli to prawda, zabierzemy ją stamtąd. Chyba nie możemy liczyć na policyjne zombiaki ani na Fiorego. Fiore ma nasrane w głowie,

nawet Yourdon tak uważa... Bardzo źle to wygląda.

Przeraża mnie sama myśl, przez co musi przechodzić Cass, zwłaszcza że domyślam się, jak zareaguje część naszej kohorty, kiedy spróbujemy ją uratować. Przed ostatnią niedzielą mogłam być większą optymistką, teraz wiem, że od sąsiadów, kiedy pomyślą, że coś zagraża ich drogocennym punktom, nie można się spodziewać niczego poza makabrycznym okrucieństwem.

– Janis chyba mogłaby pomóc, ale źle się czuje. Może Alice? Angel się boi, ale jakby odpowiednio do niej podejść, pewnie by poszła. Jen... Jen niech się trzyma z daleka. A faceci?

– Fer się zgadza – mówi Sam. – Jemu też się to nie podoba. El chyba nie. Gdybym poprosił, to może zgodziliby się Greg, Martin i Alf. Grupa specjalna. – Patrzy na mnie dziwnie.

– Ale żadnego mordowania – mówię ostrzegawczym tonem.

Wzdryga się.

– No nie! W życiu! Ale...

– Ktoś musi iść i przekonać się, czy to prawda, czy Mick tylko pozwala sobie na niesmaczne żarty. Jasne?

– Jasne. A kto?

– Ja pójdę – mówię beznamiętnie. – Wieczorem. Zaraz się ubiorę. Ty obdzwon ludzi. Niech tu przyjadą. Zanim wejdem, chcę obgadać, co mają robić, żeby potem nie było żadnych nieprzyjemnych niespodzianek. Dobra?

Kiwa głową, a potem patrzy na mnie z dziwną miną.

– Coś jeszcze? – pyta.

– Tak. – Pochylam się ku niemu i szybko całuję go w usta. – Rusz się.

* * *

Trzy godziny później melinujemy się w pustym domu na cichej mieszkalnej uliczce, naprzeciwko domu, gdzie mieszka Cass i Mick – wiemy to dzięki uprzejmemu taksówkarzowi. Ulica jest nadal w trzech czwartych niezamieszкана. Wsiadamy z trzech taksówek w pięciominutowych odstępach i się chowamy. Fer przyjechał jako jeden z pierwszych. Za pomocą łomu otworzył pusty dom. Nie ma w nim za wiele mebli, wszystko jest zakurzone – do tego jest ciemno, bo nie chcemy zapalać świateł, żeby przypadkiem nie zaalarmować Micka – ale to i tak lepsze niż przez parę godzin chować się w ogródku od frontu.

Jest nas tylko pięcioro – ja, Sam, Fer, Greg i żona Grega, Tammy. Jest zdeterminowana i w głębi duszy wściekła – zdaje się dlatego, że nie domyśliła się, jak źle jest z Cass, dopóki Sam nie zadzwonił do Grega. Dochodzi północ, wszyscy jesteśmy zmęczeni, omawiam jednak plan jeszcze raz.

– To od początku. Przechodzę przez ulicę, dzwonię do drzwi. Chcę się widzieć z Cass. W

zależności od tego, jak Mick zareaguje, Sam i Fer atakują, albo trzymają się z tyłu. Mam gwizdek. Jeden gwizdek: wchodźcie, potrzebuję pomocy. Dwa: łapcie Micka. Greg, Tammy, weźcie te pończochy, załóżcie je na głowę. Nie powinien was rozpoznać, jeśli się okaże, że musicie zabrać Cass i się nią zaopiekować.

– Mam nadzieję, że tu się mylisz – mówi ponuro Tammy.

– Ja też, wierzcie mi. Ja też. – Zerkam z ukosa na Fera.

– Mick od samego początku miał nie po kolei w głowie – mruczy Fer.

– Coś jeszcze czy idziemy? – pytam, wstając.

– Idziemy – rzuca Fer. – Jeśli nie zagwizdziesz i nie wyjdiesz w ciągu dziesięciu minut, to ja i tak wchodzę. – Ściska łom.

– Liczę na to. – Kiwam głową, wstaję i idę na drugą stronę ulicy.

Ogród Micka jest zarośnięty chwastami i wysoką trawą. W oknach nie palą się światła, ale to nic nie znaczy. Tak jak u nas, od frontu jest weranda. Drzwi są otwarte.

Wchodzę, zerkam na frontowe drzwi. Zamontowano w nich nowy zamek, wielki i masywny. Naciskam dzwonek. Nic się nie dzieje. Dzwonię znów, w hallu zapala się światło. Spinam się, gdy słyszę przekręcany klucz. Wreszcie otwierają się drzwi.

– To ty. – W drzwiach stoi Mick. Odbija mu się, czuję kwaśne wino. Ma na sobie brudną koszulkę i bokserki, w ręku ścisca metalowy baniak bez korka. – Czego? – Gapi się na mnie. – Nie mówi-em, żebyś mi da-a spokój?

– Chcę się widzieć z Cass – mówię spokojnie. Przedpokój jest cały zagracony. Jakby puste pudełka po jedzeniu, śmieci. Mdlący, słodki smród. – Nie przyszła w niedzielę do kościoła.

– Taaa? – Unosi baniak, pije z niego, potem zerka na mnie chytrze. – To wchodź.

Przestępuję próg, a on cofa się w głąb domu. Na początku musiał wyglądać jak lustrzane odbicie tego, w którym mieszkamy z Samem, ale został zdewastowany. W hallu piętrzą się pod sufit porozdzierane kartony po gotowych posiłkach, walają się kawałki psującego się jedzenia. Na górze coś pociekło, po ścianie rozlewa się śmierdzący zaciek.

– Jest na górze, odpoczywa. – Pokazuje schody. – Wejdz do niej.

Wbijam w niego wzrok.

– Myślisz, że nie będzie miała nic przeciwko?

– Na pewno nie.

Gdy tylko stawiam stopę na schodach, Mick rzuca się do drzwi, zamyka je i przekręca klucze w obu zamkach.

– No, dawaj – mówi. – Nie ma się co bać. – Chichocze.

To mi wystarcza. Gwizdek mam na szyi, na sznurku, wsunięty pod blezer. Wyciągam go i dmucham w niego dwa razy, pędząc w górę po dwa stopnie naraz. Mick krzywi się, potem odwraca do mnie, na twarzy ma zmieszanie, powoli przechodzące w złość.

– Sso to ma być?! – krzyczy.

Za jego plecami rozlega się potężny łomot – ktoś wyważa drzwi.

Wchodzę na samą górę i rozglądam się w pośpiechu. Główna sypialnia jest po lewej, tak jak u nas. Pod ścianą leży kupa brudnych ubrań, czuję słodko-mdlący odór zatkaanej kanalizacji przytłaczający inne, mniej oczywiste zapachy. Wpadam do sypialni, ręką wędruję do włącznika światła. Słyszę pojękiwanie.

Na dole rozlega się głośny trzask i wrzask nieartykułowanej złości, ale łóżko pochłania mnie za bardzo, żebym zwróciła na to uwagę. Większość mebli w pokoju jest porozwalana, jakby ktoś nimi rzucał albo rąbał je siekierą. Łóżko to wyjątek, choć jest pozbawione pościeli, ma goły materac. Cuchnie odchodami i starym moczem, wokół brzęczą muchy i jest zajęte: leży na nim naga Cass. Ręce ma przywiązane do wezglowia, nogi do przednich nóg łóżka. Jest cała brudna, na udach ma siniaki, a twarz wygląda tak, jakby Cass regularnie dostawała pięścią. Stamtąd wydobywa się to kwilenie. Chyba złamał jej szczękę.

– Na górę! – krzyczę do drzwi. Odwracam się z powrotem do Cass. – Wyciągniemy cię stąd, skarbie. – Pochyliam się, sięgam po scyzoryk, który wzięłam na wszelki wypadek. – Trochę zaboli. – Zaczynam piłować sznur wokół jej ramion.

Jęczy. Kiedy się porusza, zaskorupiały materac potwornie śmierdzi i uświadamiam sobie, że nie jest po prostu chuda, jest na wpół zagłodzona, a na ramionach ma rany, żywoczerwone ślady od sznura.

Słyszę kolejny rumor, dudnienie na dole, a potem gniewny krzyk. Cass kwili, potem jęczy głośniej, gdy spada ostatni sznur; ramiona opadają bezwładnie, znów jęczy. Dłonie ma opuchnięte i posiniaczone, mam złe przeczucia co do nich, ale nie ma czasu do stracenia. Idę w nogi łóżka i zaczynam przecinać sznur wiążący prawą kostkę. Wtedy wrzeszczy i już widzę, co zrobił, żeby mu nie uciekła. Na sznurze jest krew, bo Mick przeciął jej ścięgno Achillesa, stopa dynda bezwładnie, a za każdym razem, gdy się poruszy, Cass usiłuje wrzasnąć, gulgocąc przez złamaną zuchwę.

– Powiedział, że za urodzenie dziecka dostaje się masę punktów! – wrzeszczę z wściekłością.

Ktoś pojawia się w drzwiach. Unoszę wzrok. To Sam. Ma przecięty, krwawiący policzek, jedno oko na wpół zamknięte. To mnie otrzeźwia, opanowuję się.

– Chodź tu – mówię. – Musisz przytrzymać jej nogę...

Kiedy schodzimy na dół, Greg wykręca jakiś nieznany mi numer i woła karetkę. Wszyscy z wyjątkiem Grega i Tammy są w kiepskim stanie. Sam będzie jutro mieć przesłiczną śliwę pod okiem, a Fer dostał kopniak w żebra, kiedy we trzech obezwładniali Micka. Położyli go na podłodze werandy. Teraz debatujemy, co z nim zrobić. Właściwie żałuję mojej wcześniejszej stanowczości w kwestii linczu, ale najważniejsze jest teraz zabranie Cass w bezpieczne miejsce. Mick może poczekać, o ile nie zadławi się wymiocinami, leżąc nieprzytomny. To byłoby najłatwiejsze rozwiązanie.

– Jak ona się czuje? – pyta Tammy. – Może ja...

– Nie. – Powstrzymuję ją, stając jej na drodze. – Wierz mi. Musimy ją zawieźć do szpitala. Tego się w domu nie wyleczy.

– Bardzo źle? – dopytuje się Tammy.

– Do szpitala. – Nie chcę, żeby zobaczyła, co Mick zrobił z jej nogami. Nie chcę być odpowiedzialna za jej nocne koszmary.

Karetka przyjeżdża po niecałych pięciu minutach, pudełkowaty, biały samochód ze stylizowanymi czerwonymi półksiężycami. Dwa uprzejme zombiaki w białych mundurach podchodzą do drzwi.

– Tędy – mówię i prowadzę ich na górę.

Choć raz to dobrze, że wszędzie są te zombiaki – nie będą zadawać niewygodnych pytań, jakie cisnęłyby się na usta każdemu, kto ma autonomię poznawczą. Sam zostaje na górze przy Cass, a minutę później zombiaki wracają na dół po składaną platformę na kółkach.

– Kto jest najbliższą rodziną? – pyta jeden z zombiaków, kiedy schodzą po schodach z Cass na noszach.

Fer zaczyna wskazywać na Micka, Tammy wali go w rękę.

– Ja! – mówi. – Pojadę z nią.

– Wniosek przyjęty – mówi zombiak. – Proszę wsiąść z przodu. – Wtaczają Cass na tył samochodu, Tammy wsiada razem z nimi.

Greg przygląda się jej przez moment, potem odwraca się i zerka na Micka.

– A z nim co zrobimy? – pyta.

Fer ma zaciętą minę.

– Nic – rzucam pośpiesznie, zanim Fer otworzy usta i wszystko zepsuje. – Pamiętacie, jak się umawialiśmy? Żadnego linczu. – Urywam. – A co zrobimy jutro, to całkiem inna sprawa.

– Może policja coś pomoże? – pyta po chwili Fer.

– Nie wydaje mi się – odpowiada Sam ze schodów. Trzyma przy oku wilgotny ręcznik. – Raczej nie są zaprogramowani na coś takiego. Jeśli będziemy mieć pecha, zgarną nas za podeptanie kwiatów i wyłamanie drzwi, ale chyba nie można oczekiwać od zombiaka, że będzie umiał sobie poradzić z... czymś takim. – Wpatruje się w leżącego twarzą do ziemi Micka.

– Chodźmy do domu – proponuję. – Może spotkamy się jutro wieczorem i to przegadamy?

– Może być – mówi Greg.

Sam kiwa głową.

Przyglądam się leżącemu Mickowi.

– Ale jeśli spróbuje coś zrobić komuś z nas, to chyba trzeba go będzie zabić.

– Mówisz, jakbyś nie była pewna – rzuca Fer.

– Pewna? – Wytrzeszczam na niego oczy. – Jasna cholera, najchętniej bym poderżnęła mu gardło na miejscu! Tylko że... po niedzieli... – przetykam ślinę – ...trochę mi się

odechciało. – Dalej wbijam w niego wzrok. – Nieźle mu wpierdzieliliście. Myślisz, że przyjdzie po jeszcze?

Greg kręci głową.

– Mam nadzieję, że spróbuję – mówi, z osobliwym uśmiechem na ustach.

Wzdrygam się. Przez chwilę kojarzy mi się z Jen.

– Dobra, idziemy. – Biorę Sama za rękę. – Fer, zwołasz dwie taksówki?

Kiedy docieramy do domu, brudni, zmęczeni i poobijani, jest prawie pierwsza.

– Wchodź – mówię do niego, zatrzymując się na werandzie. – A koszulę wywal do śmieci.

Sam kiwa głową i wchodzi do środka, zostawiając mnie, żebym się rozebrała w chłodnym blasku księżyca. Czuję się odrętwiała i zmęczona, ale także usatysfakcjonowana nocną akcją. Poprawiam się: w zasadzie usatysfakcjonowana. Ściągam spodnie, na wypadek gdyby przyczepiło się do nich jakieś gówno z tego łóżka, i idę za nim do środka.

Sam stoi w wejściu do salonu, z butelką wódki i dwiema szklankami o grubym dnie. Nie zapalił światła, ale zdjął koszulę. Światło księżyca wpadające przez wysokie okna obrysowuje mu nagie ramiona srebrnym konturem.

– Nie chcę, żeby mi się coś śniło – mówi, podając mi butelkę.

– Ja tak samo. – Biorę jedną szklankę, potem przeciskam się obok niego do salonu.

Zdaję sobie sprawę, że jestem zmęczona, lecz także nakręcona ekscytacją, napięciem, niepokojem o jutro i furią za Cass – Czemu wcześniej nie poszłam się z nią zobaczyć? – oraz świeżą nienawiścią wobec Fiorego, Yourdona i tego łotra bez twarzy, który stworzył ten koszmar i każe nam w nim żyć.

– Na co czekasz? – zwałam się na sofę i nadstawiam szklankę. Sam leje do niej bezbarwny płyn. – Chodź.

Siada obok i napelnia swoją szklankę, potem zakręca butelkę.

– Trzeba było cię wcześniej usłuchać – mówi, upijając łyk alkoholu.

– No i? – Unoszę szkło. – Mam nadzieję, że w szpitalu coś poradzą. Bo z nią...

Długie milczenie. Trwa pewnie parę sekund, ale mamy wrażenie, że to godziny.

– Nie wiedziałem.

– Nikt nie wiedział. – Teraz brzmi to jak słaba wymówka, więc biorę kolejny łyk wódki, żeby zająć usta czymś innym.

– R... Reeve. Chciałbym, żebyś wiedziała coś jeszcze. – Patrzę nań ostro. On patrzy na mnie i nagle uświadamiam sobie, że jestem prawie naga. Zresztą on, teraz, gdy pozwalam sobie to zauważyć, też nie jest za bardzo ubrany.

– No, dawaj – mówię, starając się zachować neutralny ton.

– Ja... Uhm... – Odwraca wzrok ze zbolałą miną. Nie wie, jak to wyrazić. – Wczoraj powiedziałem parę rzeczy, których tak naprawdę nie myślę. Przykrych rzeczy. Chciałbym cię przeprosić.

– Nie trzeba – odpowiadam, a serce wali mi boleśnie szybko.

– Trzeba, trzeba. Bo widzisz, ja tak naprawdę nie myślę. Tylko kiedy powiedziałem _ _, mówiłem pra...

– Czekaj. – Podnoszę rękę. – Te słowa. Te, eee... no, niech to szlag. – W głowie mi się kręci. Jest późno, jestem po przejściach, napiłam się wódki, a Sam mówi do mnie coś, czego moje uszy nie chcą słyszeć. – Nie słyszałam, co mówisz, a jestem prawie pewna, że już przedtem to mówiłeś. Wtedy też nie słyszałam.

Robi zdziwioną, potem urażoną minę.

– Rozumiesz? Słyszałam, że mówisz, ale nie rozumiałam. – Zaczynam się denerwować. – To były te same słowa, prawda? Dokładnie te same? Może ja mam coś nie tak z tym...

Sam wstaje, podchodzi do bocznego stolika po tablet, który zbiera tam kurz od jakiegoś czasu.

– Co ty robisz?

Mówi coś do tabletu, potem podtyka mi go pod nos. Na ekranie delikatnie świecą litery: KOCHAM CIĘ.

– Że co?! – wykrzykuję. – Chcesz powiedzieć, że _ _... – I teraz wiem, że wypowiadam te słowa, ale ich nie słyszę. – Cholera. – Kręcę głową. – Sam, to coś ze mną. Sam, strasznie mi przykro. – Wstaję i przytulam go. – Ja też. Coś mam powalone w module językowym. To chciałeś mi powiedzieć? – Odchylam się, żeby widzieć jego twarz. – Tak?

– Tak – przyznaje. Na jego twarzy maluje się niepokój. – Niełatwo mi to powiedzieć. I ja też tego nie słyszę. Myślałem, że ześwirowałem.

– Chyba nie. – Jestem dość blisko, by poczuć w dotyku jego krocze. – To się mówi, tylko kiedy myślisz o kimś poważnie.

Potakuje.

– A może jesteś mi na tyle bliski, że mogę ci powiedzieć, że cieszy mnie to, że jestem szczęśliwa i... i... – Przerывam. Czuję, że powinnam wiedzieć, co oznacza ta cudaczna niezdolność do zrozumienia tych dwóch miłych słów, ale nie potrafię sobie tego przypomnieć. – Musimy się stąd wydostać.

Kiwa głową.

– Naprawdę jest mi tu źle – mówi żalonym tonem, gestem ręki obejmując wszystko, co ma na zewnątrz swojego ciała. – Ja... powinni to wtedy wyłapać. Nie czuję się dobrze, kiedy jestem taki wielki, powolny i niezmienny. No wiesz, na chwilę da się to poprawić, ale po prostu nie lubię tego, łatwiej byłoby po prostu dać mi inne ciało. Tylko że oni nawet nie pozwolili mi...

Czuję ukłucie złości, nie na Sama, lecz na Fiorego i resztę kretynów.

– Masz dysfurię dużego ciała, tak?

Kiwa głową.

– No jasne. – Kay spędziła całe życie pod postacią obcego, prawda? I ciągle zmieniała

ciała, jakby nie mogła znaleźć kształtu, w którym będzie jej wygodnie. To na pewno dałoby się naprawić terapią, ale ten ustrój nie służy rozwiązywaniu problemów ludzi.

– Sam. – Całuję go w policzek. – Musimy stąd uciec. Gdzie ten twój tablet?

– Tu.

– Muszę ci coś pokazać. – Puszczam go, przynoszę tablet, chcąc pokazać mu w konstytucji ustroju milion sposobów na uczynienie z nas ofiar tyranii biologicznego determinizmu. – Zobacz... – Przewijam pośpiesznie. – O, a tego wcześniej nie widziałam!

– A co to? – Zagląda mi przez ramię.

– Ujawnili punktację behawioralną. W zależności od płci. Hm. – Wytrzeszczam oczy. – Seks z partnerem daje pięć punktów za pierwszy raz, a po jakimś czasie spada do jednego punktu. Innymi słowy, malejąco. „Cudzołóstwo”, to brzydkie słowo, daje minus sto. I parę jeszcze niezdrowych rzeczy. Zajście w ciążę, pięćdziesiąt, urodzenie dziecka, kolejne pięćdziesiąt. A co to aborcja? Cokolwiek to jest, walą w to tak samo, jak w cudzołóstwo, przez które Esther i Phil... a, mniejsza. Za jakieś nieprawdopodobne rzeczy są jeszcze wyższe kary. Ale gwałtu nie ma. Za morderstwo traci się ledwo siedemdziesiąt. To się nie trzyma kupy! To absurd! Albo próbują wychować sobie ustrój psychotyków, albo to społeczeństwo, na którym wzorowali swoje punkty, było zdrowo walnięte.

– Albo jedno i drugie. – Sam ziewa. – Późno już. Trzeba iść spać. Przegadamy to jutro, dobra? Z resztą ludzi.

– Dobrze. – Odkładam tablet, nie wspominając, że mam na jutro inne plany, bo Fiore znowu przyjdzie do biblioteki. – Jutro zapowiada się bardzo interesująco.

12. Torebka

Dłuższy czas leżę w łóżku, nie śpię i wyobrażam sobie, co bym zrobiła Mickowi, na co zasługuje – ale co się nigdy nie zdarzy. W końcu, po pewnej wyjątkowo brutalnej fantazji odpływam w sen i znów śnię, tym razem to jednak nie koszmar. Raczej retrospekcja – jak zaczęłam swoje życie w roli czołgu. Pewnie mógłby to być koszmar, gdyby był jeszcze naładowany emocjami; jest co prawda makabryczny i kipiący od znaczeń, lecz czuje się dystans wywołany upływem czasu.

Przez prawie gigasekundę tkwię na pokładzie pełznącego powoli przez przestrzeń międzygwiazdną RADUG-a *Wdzięcznego za ciągłość*. Nie mogę właściwie nic zrobić: jesteśmy odłączeni od sieci przez Osobliwą Żółcień, która chyba wyróżniła statek specjalnym traktowaniem ze względu na jego samowystarczalność. Na wpół oszalały, zamartwiam się o los rodziny, do tego niepewny również własnej sytuacji, wchodzę w końcu do jednego z okrętowych asemblerów, gdy staje się jasne, że to odłączenie nie jest chwilowe, że nad Republiką Byt zawisło coś wielkiego, paskudnego i niedającego się obejść. Nie dowiemy się co to takiego, dopóki *Wdzięczny za ciągłość* nie dotrze do celu – mało znanego religijnego azylu orbitującego wokół małego i bardzo zimnego gazowego olbrzyma, krążącego z kolei wokół odległego o trzydzieści bilionów kilometrów brązowego karła. Wymuszam na kapitanie Veckenie obietnicę, że ucieleśni mnie, gdy tylko wydarzy się coś ciekawego, i na razie archiwizuję się do backupu.

Kiedy, mrugając, budzę się w bramce A, widzę, że wokół mnie zmienił się wszechświat. Spałem przez całą gigasekundę, statek tymczasem czołgał się przez staroziemskie trzy „lata świetlne”, a potem poświęcił megasekundę na hamowanie przy dużym opóźnieniu, do kontaktu z Azylem Delta. Ten kontemplacyjny klasztor został skasowany i zapisany w przechowalni danych, a jego bity i atomy zrekonfigurowano w złowrogie, ostre konstrukcje kompleksu militarno-przemysłowego. Kapitan Vecken nie chce użyczać statku jakiemuś odłamowi ruchu oporu, ale z przyjemnością robi kopię swojej autonomicznej bramki A, żeby przyspieszyć ich nieudolne, partyzanckie próby budowy sterylne, niezakażonego ekosystemu nanoassemblerów. I równie chętnie mnie tam wysadza. Tak spotykam się z ruchem oporu.

W owym czasie – gdy do nich dołączam – Koty Linebargera są nieformalną grupą uchodźców, dysydentów i generalnie niechętnych do kolaboracji izolacjonistów przeciwnych wszelkim próbom wchodzenia z butami w przestrzeń ich świadomości. Mieszkają w paru ciasnych habitatach, nawet nie próbując maskować sztuczności otoczenia. Kiedy wyłażę z kapsuły transferowej, milkliwi członkowie tej paramilitarnej formacji nalegają, żeby mnie zrewidować, a potem przez parę kilosekund tłumaczą, co przegapiłem. Infekcja to robak manipulujący historią. Przenika do bramek A. Kiedy wejdiesz do zakażonej bramki, ona w prymitywny sposób kasuje ci fragmenty pamięci (na ogół losowo, ale jeśli pamiętasz cokolwiek sprzed Republiki Byt, przeważnie to tracisz). Potem robak kopiuje swoje jądro do twojego netlinka. Zostawia kilka instrukcji zapewniających kolejne uruchomienie. Wchodząc do niezarażonej bramki, czujesz przymus przełączenia jej w tryb diagnostyczny, wprowadzenia paru poleceń przez interfejs dialogowy – dopiero wtedy się transferujesz. W tym momencie bramka A wykonuje zainfekowany kod startowy z twojego netlinka, kopiuje go do swojego zbioru roboczego i – bum! – mamy kolejną zarażoną bramkę.

Asemblery są już starą, dojrzałą technologią i od wielu gigasekund panuje monokultura najlepszych modeli, wszystkich opartych na tych samych podsystemach – jeśli chcesz nową bramkę A, po prostu mówisz najbliższej, że ma się sklonować. Nie wiadomo, kiedy powstała Osobliwa Żółcień, ale gdy znalazła się na wolności, rozszerzyła się jak gaz doskonały, przenikając całą sieć, aż znalazła się wszędzie.

W tym pierwotnym, niewidzialnym trybie opanowanie sieci bramek A trwało dłuższy czas, bo wektorem infekcji były tylko ludzkie mózgi, ale kiedy tylko Żółcień przekroczyła pewną masę krytyczną, niemal niemożliwe stało się powstrzymanie jej przed rozsianiem się po całym ustroju.

A po wysłaniu sygnału aktywacyjnego wszystko nabiera tempa. Nagle pojawiają się priorytetowe kanały do odbioru poleceń. Zakażone bramki A wypączkowują systemy obronne, szyfrowane połączenia sieciowe prowadzące do najbliższych bramek T i zaczynają gadać ze sobą bezpośrednio, wymieniając polecenia i informacje. I to właśnie jest najciekawsze w Osobliwej Żółcieni – zainfekowane bramki mogą bezpośrednio przysyłać sobie pakiety. Mając odpowiednie klucze uwierzytelniające, możesz powiedzieć jakiejś odległej bramce, żeby coś wyprodukowała. Albo coś zmodyfikowała. Albo edytowała przechodzących przez nią ludzi. Taka maszyna do robienia wszystkiego.

Znikąd pojawiają się groźne bronie, poszukujące i niszczące niewiadome cele. Te makra ktoś gdzieś pisze, skądś przychodzą: jedynym sposobem jest odcięcie wszystkich połączeń swoich bramek T, dzięki czemu do zbuntowanych asemblerów przestają docierać rozkazy. Nadal jednak są zarażone – wciąż chodzi w nich Osobliwa Żółcień. A jeśli z ich pomocą wyprodukujesz nowe bramki, też będą zarażone, nawet jeśli dostarczysz nowy szablon konstrukcyjny – Osobliwa Żółcień potrafi rozpoznać nanoreplikatory i przemycić się do każdej choćby trochę podobnej maszynierii. Jedyne wyjście to cofnąć się do technologii

przedreplikacyjnej, kazać zarażonym bramkom wytworzyć nieinteligentne narzędzia i spróbować zbudować sterylne nanoasembler od zera, ze szczątków postakceleracyjnych systemów.

Można też poddać się Osobliwej Żółcieni i starać się żyć z konsekwencjami, jak tłumaczami monosylabami Koty Linebargera. Potem pytają mnie, co zamierzam zrobić, a ja pytam, czy mogę się zapisać.

I to tłumaczy, jak stałem się czołgiem, ale nie – dlaczego.

Budzę się, gdy ostry promień porannego słońca wchodzi mi na poduszkę. Przeciagam się, ziewam, patrzę na śpiącego obok Sama i przez jedną czułą do obrzydliwości chwilę tęsknię za światem zewnętrznym, gdzie ja jestem Robinem, a on Kay, i oboje jesteśmy dobrze przystosowanymi ludźmi, mogącymi stać się kimkolwiek chcą, i robić, co tylko zechcą. Przez moment ubolewam, że w ogóle dowiedziałam się, kim on jest.

A potem zmuszam się do wstania z łóżka. Dziś mam bibliotekę i muszę tam być, bo będzie przynajmniej jeden klient do obsłużenia: Fiore. Jestem zmęczona i podenerwowana, zachodzę w głowę, czy aby się nie zdekonspirowałam. Po tym, co wydarzyło się w nocy, sama perspektywa pełnego roboczego dnia wydaje się dziwaczna, jak coś godnego zombiaka – jakbym była istotą sterowaną nieświadomymi nawykami, posłuszną rozkazom nieznanego marionetkarza. Ale nie tylko o pracę w tym chodzi, napominam się. Chcę osiągnąć parę innych celów, praca na etacie to tylko przykrywka. Dalej nie jestem do końca pewna, co tu się właściwie dzieje, czemu mnie tu przysłano oraz kim są Yourdon i Fiore, lecz wypłynęło już tyle rzeczy, że mogę się w zasadzie domyślać, a obraz, który się wyłania, wcale nie jest ładny.

Na pewno z zewnątrz Ustrój YFH musi wyglądać na udany eksperyment socjopsychologiczny. Społeczeństwo tworzące własny, zamknięty mikrokosmos, z własnymi, samoistnie powstającymi regułami i dynamiką wewnętrzną osobliwie podobną do niektórych książek, jakie czytałam w czasie wolnym w bibliotece. Musi generować świetne materiały o ciemnowiecznym społeczeństwie, którymi Yourdon i Fiore mogą pomachać przed nosem akademickiej komisji kontrolnej powołanej przez Scholastium. Ale wewnątrz szklanego domu wszystko zmienia się bardzo szybko. Gdy Yourdon i Fiore oraz tajemnicza Hanta ogłoszą kontynuację eksperymentu i powiedzą, że wszyscy uczestnicy wyrazili zgodę, nikt nie będzie się za mocno przyglądał. Wtedy eksperymentalna populacja będzie już niemal dwukrotnie liczniejsza. Połowa uczestników będzie urodzonymi tu obywatelami, o których istnieniu komisja nie ma pojęcia. A może będzie i gorzej – powinnam odwiedzić Cass w szpitalu i trochę się rozejrzeć, zobaczyć jak wygląda wyposażenie oddziału położniczego. Sądzę, że dość nowocześnie, jak na poziom ciemnych wieków. I na to, że spodziewają się wielu cięż mnogich.

Aha, jest jeszcze kwestia pudeł z dokumentami w archiwum. Szacuję, że zawierają jakiś miliard bajtów, zapisanych na nośniku stabilnym przez dziesiątki, może i setki gigasekund. Przetrawnik. Do tego potrzebują tych dzieci, prawda? Nie pamiętam, dlaczego nie zdarzają

się już nowe wybuchy Osobliwej Żółcieni, to jedno z tych wspomnień, które tkwią zbyt głęboko, żeby dały się wyciągnąć. Ale jakiś związek musi być, prawda? Pierwsza epidemia roznosiła się poprzez ludzi, brutalnie ich edytując, wstawiając kod swojego jądra i każąc wydawać komendy diagnostyczne, żeby się załadować i uruchomić na każdej napotkanej przez nich bramce. Przenosiła się netlinkami. A nasze netlinki nie działają jak trzeba, nieprawdaż? Hm. Nowe bramki A są inne niż kiedyś, ale to też monokultura, po prostu tym razem odporna na strategię infekcyjną Osobliwej Żółcieni. Nie mogę nie przypomnieć sobie o wojskowym asemblerze w piwnicy biblioteki. Czegoś mi tu jeszcze brakuje, jakichś kluczowych danych...

Ubrana jak do pracy stoję w kuchence z kubkiem kawy i nie pamiętam, jak się tu znalazłam. Wzdrygam się, owładnięta abstrakcyjnym, pozbawionym twarzy lękiem. Czyżbym się ubrała, zeszła na dół i zrobiła kawę, w jakiejś introspekcyjnej pomrocności, głęboko zamyślona nad prawdziwym celem tego eksperymentu? A może dzieje się ze mną coś gorszego? To, że umiem przeczytać słowa KOCHAM CIĘ, ale słyszę je jako „_ _” sugeruje, że coś jest nie tak z moim ośrodkiem mowy. A skoro mam zaniki pamięci, może jestem chora. Poważnie chora. Kark pokrywa mi zimny pot, gdy uświadamiam sobie, że mogę się rozpruć jak zaciągnięty gwoździem sweter. Wiem, że mam w pamięci pełno luk w miejscach, gdzie przecięto asocjacje między pojęciami i przeżyciami, co jednak, jeśli usunięto zbyt dużo? Czy cała reszta mnie może po prostu ulec samoistnemu zanikowi, gdy ośrodki mowy, pamięci i postrzegania padną ofiarą zbyt daleko idącej edycji?

– Nie wiedzieć, kim się jest, to jeszcze gorzej niż nie wiedzieć, kim się było.

Wychodzę z domu (zostawiając na górze śpiącego Sama) i idę do pracy. Jest jak zwykle gorąco – zdaje się, że według harmonogramu wchodzimy w „lato” – i dobrze mi się idzie, choć ruszyłam w przeciwną stronę niż zwykle, bo zamierzam okrążyć całość od tyłu i wejść do centrum z przeciwnej strony.

Otwieram bibliotekę. Czysto, porządnie – kiedy nie ma ani mnie, ani Janis, pewnie pracuje tu jakiś zombiak-sprzątac. Idę na zaplecze, żeby wzmocnić się kolejną kawą przed przybyciem Fiorego, a gdy czekam na zagotowanie się wody, zostaję zaskoczona.

– Janis! Co ty tu robisz? Myślałam, że źle się czujesz.

– Dzisiaj dużo lepiej – mówi, uśmiechając się blado. – W zeszłym tygodniu strasznie rzygałam i bolał mnie krzyż, ale teraz mdłości przeszły i jeśli nie muszę się za dużo schylać ani nosić, to czuję się całkiem dobrze. Więc pomyślałam, że przyjdę i posiedzę trochę w recepcji.

Cholera.

– No, ostatnio prawie nikt nie przychodzi – mówię. – Nie musisz zostawać. – Przychodzi mi do głowy pomysł. – Słyszałaś o niedzieli.

– Tak. – Garbi się. – Wiedziałam, że coś złego się stanie, Esther i Phil byli strasznie niedyskretni, ale nie spodziewałam się, że coś takiego...

– Chcesz kawy? – improwizuję, próbując wymyślić, jak się jej stąd pozbyć, kiedy zajmę się czymś, co w przypadku fiaska właduje mnie w gówno po uszy.

– Tak, poproszę. – Znow robi zamyśloną minę. – Chętnie bym udusiła to małe, tłuste gówno.

– Fiore przyjdzie przed południem – mówię, starając się zabrzmieć nonszalancko, żeby zwrócić jej uwagę.

– Przyjdzie, tak? – Patrzy na mnie uważnie.

Oblizuję usta.

– Wczoraj w nocy stało się coś jeszcze. Eeee... byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś mogła coś dla mnie zrobić...

– Co zrobić? Jeśli chodzi o niedzielę...

– Nie. – Nabieram powietrza. – Chodzi o kogoś z mojej kohorty, Cass. Jej mąż ją... no... wczoraj poszliśmy tam do nich i zabraliśmy ją do szpitala. Pilnujemy, żeby się do niej nie zbliżał, a tymczasem...

– Mick. Niski, wielki nos i wzrok dziki jak coś bardzo dzikiego. Ten?

– Ten.

Janis klnie pod nosem.

– Bardzo źle z nią było?

Zastanawiam się, ile jej powiedzieć.

– Bardzo źle. Jeśli ją znajdzie, obawiam się, że ją zabije. – Wbijam w nią wzrok. – Janis, Fiore wiedział. Musiał wiedzieć! I nic nie zrobił. Spodziewam się nawet, że w niedzielę przywali nam tonę punktów karnych za to, że się wtrąciliśmy.

Janis kiwa z namysłem głową.

– To co chcesz, żebym zrobiła?

Wyłączam czajnik.

– Dziś też idź na zwolnienie, jak przez ostatnie kilka dni. Przejdź się do szpitala, odwiedź Cass. Jeśli zdrutowali jej szczękę, może będzie mogła mówić. Nie możemy być z nią przez cały czas, więc przyda się, jeśli ktoś się pojawi. Ktoś, kto będzie w stanie wezwać policję, gdyby pokazał się tam Mick. Nie wiem, czy szpitalne zombiaki by to zrobiły.

– Mniejsza o kawę, już mnie nie ma. – Wstając, patrzy na mnie dziwnie. – Powodzenia w tym, co planujesz dla Fiorego – mówi. – Mam nadzieję, że będzie bolało. – I rusza do drzwi.

* * *

Po wyjściu Janis idę i czekam za kontuarem. Fiore pojawia się trochę przed południem i wyraźnie mnie ignoruje. Proponuję mu kawę, ale on reaguje rybem spojrzeniem – wydaje się podejrzliwy. Ciekawe, czy przez to, co się wydarzyło w nocy? Ale jest tu sam, nie ma ze sobą policji ani wsparcia tłumu tresowanych punktociągów, dlatego udaje, że w ogóle mnie nie widzi, a ja udaję, że nic nie wiem. Idzie do zamkniętych drzwi w czytelnicy, a mnie udaje się

powstrzymać gwałtowny wdech, jakiego domagają się moje płuca, dopóki nie zniknie za drzwiami.

Dłonie cały czas napinają mi się i ugniatają uszy torebki, jakby należały do kogoś innego. W torbie mam naostrzony nóż do mięsa. Żaden z niego sztylet, ale też założę się, że z Fiorego żaden nożownik. Przy odrobinie szczęścia nic nie zauważy, albo pomyśli, że autorem moich drobnych zmian w piwnicy jest Yourdon, i niczego nie ruszy. Nóż jest na wszelki wypadek – jeśli Fiore domyśli się, co kombinuję. Gówno warta broń w porównaniu z zestawem, jakim posługiwałam się kiedyś, ale lepsze to niż nic. Siedzę więc za kontuarem jak porządna, prawdziwa bibliotekarka, snując szalone fantazje o odcinaniu księdzu głowy nożem do mięsa, i czekam, aż wyjdzie z archiwum.

Strużki potu płyną mi po karku, gdy patrzę na plac przed biblioteką, przyglądając się wzorkom ze światła i cienia kreślonym przez liście drzew wiśniowych, plamom, które przesuwają się i zlewają na betonowej kostce. Głowa mnie boli od ciągłego przeglądania fragmentarycznych informacji, jakimi dysponuję. Czy moje luki w świadomości nie ukrywają przede mną czegoś, co jest mi potrzebne?

Rozwiążcie mi te zagadki: dlaczego trzech zaginionych zdrajców, speców od wojny psychologicznej z czasów chaosu, który nastąpił po upadku Republiki Byt, wynurza się nagle w środku eksperymentu polegającego na odtworzeniu okresu historii, o którym nie wiemy niemal nic? I dlaczego w archiwum biblioteki trzymają coś, co wygląda jak wydrukowany na papierze binarny kod Osobliwej Żółcieni? Czemu nie słyszę wypowiedzianych słów „kocham cię” i czemu cierpię na chwilowe utraty pamięci? Dlaczego w piwnicy jest autonomiczna bramka A i co Fiore z nią robi? I dlaczego Yourdon chce, żebyśmy tu mieli masę dzieci?

Nie mam pojęcia. Ale jedno jest dla mnie absolutnie jasne: te męty kolaborowały kiedyś z Osobliwą Żółcienią albo którąś z dyktatur poznawczych, a wszystko to ma coś wspólnego ze skutkami wojen cenzorskich. Jestem tutaj, ponieważ moje poprzednie ja, to makiaweliczne stworzenie z piórem wyrzeźbionym z własnej kości udowej, żywiło wobec nich takie właśnie, poważne podejrzenia. Ale, żeby przemycić mnie przez firewalle Ustroju YFH, musiał wymazać z pamięci wszystkie zapisy, które mogłyby go zdemaskować – a właśnie one są mi potrzebne, żebym mogła zrozumieć sytuację!

Frustrujące. A także bardzo niepokojące, bo stawką jest tu coś więcej niż osobiste zagrożenie – czy to ze strony eksperymentatorów, czy innych ofiar. Mam niejasną świadomość, jakie cierpienie i ból zadał ludzkości pierwszy wybuch Osobliwej Żółcieni, a także, jak potwornie trzeba było się zмагаć, by poprzerywać jej sieć, opartą na rozproszonej tablicy mieszającej, i wysterylizować wszystkie asemblery, co do jednego. W strzępy poszła niegdysiejsza zintegrowana międzygwiazdowa cywilizacja, rozpadła się na drobne ustroje jak odłamki diamentu. Jak my to powstrzymaliśmy?

Kroki. Fiore idzie do drzwi, z dziwnym zadowoleniem na twarzy.

– Czy ksiądz skończył?! – wołam.

– Tak, na dziś to wszystko. – Kiwa głową w geście, który ma być uprzejmy, ale wychodzi mu pompatyczny skłon. Potem marszczy brwi. – A, właśnie, Reeve. Ty byłaś zamieszana w to nocne zajście, prawda?

Moja lewa dłoń zaciska się na rękojeści noża w torebce.

– Tak. – Wytrzymuję jego spojrzenie. – Ksiądz wiedział, co Mick robi Cass?

– Wiem, że... – przychodzi mu coś do głowy i zmienia kurs w połowie zdania – ...to zaiste bardzo ciężki występki, wtrącać się w święty związek między mężem i żoną. Ale w pewnych okolicznościach może to być uzasadnione. – Gapi się na mnie sowim wzrokiem. – Rozumiesz, ona była w ciąży.

– No i?

– Gdybyście nie interweniowali, mogłaby stracić dziecko. – Zerka na zegarek. – A teraz wybacz, ale mam spotkanie. Do widzenia. – I wypada przez drzwi jak strzała, a ja gapię się na jego plecy z ustami rozdziawionymi w niedowierzaniu.

Czemu Fiore przejmuję się zdrowiem płodu, a nie matki, która była bita, wielokrotnie gwałcona, więziona całymi tygodniami i została tak okaleczona, że może nigdy nie będzie mogła chodzić? Dlaczego? Empatii ma tyle, co, nie przymierzając, zombiak. Co z nim jest? I czemu nagle zmienił płytę? Przysięgłabym, że za moment mnie potępi, ale złagodził ton. Boi się, co powie biskup, jeśliby podzegał ludzi do kolejnego linczu na tych, którzy uratowali Cass, czy chodzi o coś innego?

Chcą, żebyśmy im urodziły masę dzieci. Ale dlaczego tak im na tym zależy? To ma coś wspólnego z Żółcienią?

Zgrzytam zębami, dopóki Fiore nie zniknie mi z oczu, potem zeskakuję ze stołka, odwracam tabliczkę na ZAMKNIĘTE i idę do archiwum. W tajnej piwnicy wszystko jest tak, jak zostawiłam, z wyjątkiem asemblera, który posapuje do siebie i bulgoce, ciągnąc rurami spod podłogi surowiec, chłodziwo, czy co tam jeszcze. Wygląda na to, że Fiore ustawił go na jakieś długotrwałe zadanie. Ale nie przyszłam tu po to, żeby się rozglądać – przyszłam wyjąć kasetę z kamery, którą nastawiłam na nagrywanie, na półce ze sprzętem.

Kamera to małe metalowe pudełeczko z obiektywem po jednej stronie i ekranikiem po drugiej. Nie wiem, co ma w środku. Na pewno nie jest to oryginalny ciemnowieczny artefakt – widziałam rysunki w książkach – ale robi to samo. Tak samo jak w przypadku reszty urządzeń w stroju, jakiś rekwizytor pewnie trudił się godzinami, mozolnie wymyślając, jak dać im odpowiednią funkcjonalność, ale żeby nie było jej za dużo. I w miarę się to udało, choć nie do końca. Oryginalne urządzenia korzystały z jakichś „taśm” albo „dysków”, a to po prostu zapisuje wszystko na diament pamięciowy wielkości ziarenka piasku, mieszczący z gigasekundę nagrania.

Siadam na kanapie i bawię się tym ustrojstwem. Kładę torebkę obok siebie i stukam w wyświetlacz, aż udaje mi się cofnąć nagranie o godzinę albo trzy. Potem przewijam przez ciemność, aż zapala się światło i wchodzi Fiore. Na potrójnej szybkości patrzę, jak podchodzi

do półek i przegląda parę teczek. Pauzuję, powiększam, żeby zobaczyć tytuły: POLITYKA WOBEK PRZESTĘPSTW SEKSUALNYCH, a potem zerknięcie w INDEKS STABILNOŚCI RODZIN, cokolwiek to oznacza. Potem podbiega do bramki A i coś do niej gada, gestykulując przy terminalu. Nie widzę żadnego uwierzytelniania biometrycznego ani skanu siatkówki, ani niczego podobnego, ale może po prostu podał jej hasło. Walec bramki obraca się wokół dłuższej osi, Fiore wchodzi do środka. Przewijanie w przód – około kilosekundy później wychodzi, mrugając. Czyli po prostu się zbackupował, tak?

Staje przy terminalu sterującym, wydaje kolejne polecenia i bramka zaczyna posapywać. Oglądam się przez ramię. Tak, ona ciągle to robi – jakąś długotrwałą syntezę. Fiore idzie do schodów i...

Cholera! Odwracam się pędem i sięgam po torebkę. Walec bramki A się otwiera.

Nóż w lewą rękę, torba w prawą. Jasne jak słońce: Fiore coś podejrzewał. Zbackupował się, potem zastawił pułapkę, w którą wpadłam. Walec się obraca, widać wewnątrz. Białe światło, zapach fiołków i jakichś dziwnych, lotnych organicznych substancji, trochę pary. Ktoś tam siedzi i się porusza.

Rzucam się naprzód z uniesioną torebką i nożem gotowym do osłony. Ten ktoś nadal tam siedzi, kręci głową. Mam tylko jedną szansę. Z bijącym sercem nasadzam mu pustą torebkę na głowę, na zwisające czarne włosy – tłuste fałdy falują w złości, ręce się unoszą – a potem wtykam mu nóż pod brodę i krzyczę:

– Nie ruszaj się!

Kopia Fiorego przestaje się ruszać.

– To nóż. Tylko się ruszysz, krzykniesz albo spróbujesz zdjąć tę torbę, to poderżnę ci gardło. Jeśli zrozumiałeś, powiedz „tak”.

Głos ma stłumiony, ale jakby rozbawiony.

– A jak powiem nie?

– To też poderżnę ci gardło. – Poruszam lekko nożem.

– Tak – mówi pośpiesznie.

– Świetnie. – Poprawiam uchwyt. – Teraz słuchaj. Wydaje ci się, że masz działający netlink i możesz wezwać pomoc. Nie da rady, bo netlinki komunikują się szerokim pasmem, a ty masz na głowie klatkę Faradaya. Od dołu jest otwarta, ale nie szkodzi, bo jesteś w piwnicy. Sygnał jest wytlumiony. Rozumiesz?

Pauza.

– Nie działa! – Głos ma lekko spanikowany. Bystry koleś.

– Cieszę się, że to powiedziałaś, bo inaczej poderżnęłabym ci gardło – mówię mu. – Jak już mówiłam: spróbuj tylko zdjąć tę torbę, a zabiję cię natychmiast.

Trzęsie się. Oj, nie powinnam się tym tak rozkoszować, ale nic nie poradzę. Za wszystko, co nam zrobiłaś, powinnam cię zabić ze sto razy. Co się ze mną porobiło? Prawie dygocę z intensywności tego... pragnienia, które jest jak głód.

– Słuchaj uważnie moich poleceń. Powiem ci, żebyś powoli wstał. Kiedy to zrobię, masz powoli wstać, trzymając ręce przy sobie. Jeśli w jakimś momencie przestaniesz czuć nóż, przestajesz się ruszać. Jak się poruszysz, zabiję cię. Kiedy wstaniesz, przejdziesz pół metra do przodu i powoli wysuniesz ręce do tyłu. Potem spleciesz palce. Teraz powoli wstań.

Fiore, trzeba mu przyznać, ma na tyle zimnej krwi, żeby zrobić, co mu każę, bez wahania i bez histeryzowania. A może po prostu wie dokładnie, co go czeka, jeśli nie usłucha. Chyba nie może mieć złudzeń, jak bardzo jest tu znieawidzony, prawda?

– Krok do przodu, ręce za siebie – mówię.

Postępuje naprzód. Muszę się wyciągnąć, żeby dalej trzymać mu nóż przy szyi, a wolną ręką prowadzę jego prawe ramię. Teraz jest niebezpieczny moment – gdyby kopnął nogą w tył, jednocześnie zasłaniając się lewym barkiem, mógłby mnie nieźle uszkodzić i pewnie uciec. Ale założę się, że Fiore wie bardzo niewiele o poważnej walce wręcz jeden na jednego, a dzięki torbie na głowie powinien być wystarczająco zdezorientowany, żebym zdążyła to zrobić. Podchodzę z boku, prawą ręką grzebię w kieszeni, aż znajduję to czego szukam, potem wyciskam zawartość tuby na jego dłonie i palce. Klej cyjanoakrylowy – podręczne kajdanki bibliotekarza.

– Nie ruszaj rękami.

– Co to... – Oczywiście nie może się powstrzymać od ruszania rękami, więc klej wpływa we wszystkie zakamarki. Jest mniej lepki od wody i polimeryzuje się w parę sekund. Przesuwam nóż na bok jego szyi i przyglądam się swojemu dziełu. Może uda mu się rozłączyć ręce, jeśli postanowi poświęcić trochę skóry, ale na pewno nie zrobi tego z zaskoczenia.

– No dobra, teraz pójdziemy trzy kroki naprzód. Możesz szurać nogami. Zatrzymasz się, kiedy powiem – raz, dwa, już!

Zatrzymuję go na kawałku gołej podłogi. Muszę pomyśleć. Oddycha chrapliwie pod zaimprovizowanym kapturem i cuchnie potem ze strachu. W każdej chwili może sobie uświadomić, że przecież nie pozwolę mu przeżyć. Wtedy będzie nie do opanowania. Mam jakieś dwadzieścia sekund...

– Kiedy mój mąż mówi „_ _”, nie słyszę go – rzucam nonszalancko. – Co to znaczy?

– To znaczy, że jesteś zarażona Osobliwą Żółcią. – Głos ma dziwnie spokojny.

– Kazałeś zrobić duplikat samego siebie, żeby sprawdzić, co się tu dzieje – mówię. – Cwany ruch. Obawiałeś się, że używam tej bramki?

– Tak – odpowiada zwięźle.

– Jest odporna na odmianę, którą jestem zarażona, prawda? – pytam.

Czuję, jak napina mięśnie.

– Tak – cedzi z wahaniem.

– A Yourdon nie kazał przypisać jej tylko do waszych netlinków? – pytam, spinając się, bo stawiam wszystko na tę właściwą odpowiedź.

Nie udziela jej słownie, lecz stęka, zaczyna rozrywać dłonie, więc wiem, że mam rację, ale wiem także, że zostały mi jakieś trzy sekundy. Podchodzę bliżej do jego pleców i pieśczołtliwie przesuwam mu dłonią w dół po piersi. Gdy docieram do krocza, martwieje. Chwila ulgi – anatomicznie jest orto i mężczyzną. Chwytam go za jaja i brutalnie ściskam. Zgina się wpół, zaczerpując tchu, tracąc mowę, niemal przewracając mnie przy okazji. Torba frunie w powietrze. To jednak nie problem, bo chwilę później łapię go za włosy i kiedy jest zaabsorbowany bolesnym nabieraniem powietrza, unoszę mu łeb do góry i wbijam nóż. Gładko przebija tętnicę szyjną i chrząstkę tarczycową, tuż poniżej kości gnykowej.

Wiecie, różnica między mną a Fiorem jest taka, że ja nie lubię zabijać, za to wiem, jak się to robi. Fiorego kręca fantazje o władzy i oglądanie, jak jego punktociągi linczują kochanków, ale nie przyszło mu do głowy powiedzieć asemblerowi, żeby zregenerował go z bronią w ręku, i potrzebował prawie dwudziestu sekund, by dojść, że przecież muszę go zabić, obojętnie co zrobi i powie. Generalnie jest to morderca typu biurokratycznego, który prowadzi eksperymenty, naciskając guziki na pilocie, a ja...

Ja znów tracę przytomność.

* * *

Wojna domowa trwa dwie gigasekundy, niemal sześćdziesiąt cztery lata w staroziemskiej rachubie czasu. W jakichś odległych zakamarkach ludzkiego kosmosu pewnie jeszcze szaleje. Kiedy rozerwano sieć długodystansowych bramek, żeby odizolować uszkodzenia, międzygwiazdny ustrój rozpadł się na samodzielne domeny, oddzielone opóźnieniem komunikacyjnym wynikającym z prędkości światła. Pewnie nadal gdzieś funkcjonują izolowane nisze Osobliwej Żółcieni, poza wyzwolonym stożkiem światła, gdzieś w wiecznym mroku i zimnie – równie dobrze mogą tam istnieć przyczółki wolnej postludzkości, odcepione od sieci, kiedy rozpadała się Republika Byt. Edycja, kasowanie pamięci to najgroźniejsza broń Osobliwej Żółcieni – niewykлучzone, że niektóre z tych ustrojów zostały umyślnie zapomniane, ich najbliższe bramki T spuszczone na gwiazdy, a pamięć o ich istnieniu wymazano ze wszystkich umysłów, które przeszły przez zakażone asemblery. Prawdziwa groza Osobliwej Żółcieni polega na tym, że nie ma sposobu, by się dowiedzieć, jak wiele przepadło. Mogła wymazać z naszej pamięci całe ludobójcze wojny, jakby nigdy się nie wydarzyły. Może to tłumaczy szczególnie zajadłą wendetę robaka wobec aktywnych historyków i archeologów. On albo jego twórcy obawiali się, że coś jednak zapamiętamy...

Przez pierwszą gigasekundę jestem u Kotów i robię za czołg. Gdy tylko zorientuję się dobrze, co się dzieje, zostaje we mnie bardzo niewiele z człowieka. Z relacji o najróżniejszych okrucieństwach popełnionych na ludziach, którzy specjalizują się w przeszłości, nietrudno wyciągnąć ogólny wniosek; poza tym, gigasekunda nieistnienia spędzona na pokładzie *Wdzięcznego za ciągłość* jest właściwie jak mała śmierć – dość czasu, żeby dzieci dorosły, małżonkowie porzypaczali, ponosili żałobę i żyli dalej. Nawet gdyby

jakimś cudem moja rodzina nie była celem do zlikwidowania, przez mój zawód, i tak dla mnie są już straceni. A przez takie przeżycia człowiek gorzknieje. Wystarczająco, żeby położyć kreskę na człowieczeństwo jako nieudane, i wystarczająco, żeby zacząć eksperymentować z innymi, bardziej złowrogimi tożsamościami.

Moje ciało ma masę około dwóch ton i barki na wysokości trzech metrów. System nerwowy nie jest biologiczny – chodzę jako symulacja w czasie rzeczywistym, mając kontakt zmysłowy ze światem przez nerwy bólowe mojego pancernego korpusu. (Niebezpieczeństwa długotrwałej migracji do wirtuala są dobrze rozpoznane i do pewnego stopnia można ich uniknąć, zachowując somatotyp i kontakt z realnym światem. A zresztą jest parę pilniejszych spraw do załatwienia). Jeśli muszę, mogę przyśpieszyć swój umysł dziesięciokrotnie. Moja skóra to egzotyczny pancerz, usiany monokrystalicznymi diamentami osadzonymi w pochłaniającej energię macierzy kwantowych kropek, które mogą błyskawicznie przybrać kolor dowolnego tła, w paśmie od częstotliwości radiowych po miękkie rentgenowskie. Zamiast paznokci mam chowane diamentowe szpony, a zamiast pięści miotacze – wystarczy zacisnąć i wycelować. Nie jem, nie oddycham, nie sram, a energię czerpię z ogniwa owiniętego wokół nieskończonego strumienia plazmy płynącego z fotosfery tajnej gwiazdy.

Przybieram sobie kryptonim *liddellhart**. Reszta Kotów nie ma pojęcia, co to oznacza. Może to tłumaczy, dlaczego w ciągu krwawych czterystu megasekund i szesnastu akcji osiągam awans na starszego sierżanta-szablona oraz powieliła się mnie stukrotnie. W odróżnieniu od Loral i niektórych innych, nie zawieszam się, kiedy jest problem. Nie przeżywam szoku ani dysocjacji, gdy zdaję sobie sprawę, że właśnie ścięliśmy głowy dwunastu tysiącom cywili i wrzuciliśmy je do taktycznego asemblera, który zepsuł się po cichu i ich nie zbackupował. Robię to co konieczne. Nie waham się, jeśli trzeba poświęcić sześciu mnie w ataku samobójczym, żeby kupić czas na odwrót reszty grupy szturmowej. Nie czuję niemal niczego poza lodowatą nienawiścią i choć w ogólności uświadamiam sobie fakt, że jestem chory, nie zamierzam prosić o pomoc medyczną, która mogłaby zaszkodzić moim bojowym umiejętnościom. Nasi kryjący się w cieniu mocodawcy, obserwujący wszystko, również nie uważają, żeby trzeba mnie było brać na smycz.

Przez pierwszą gigasekundę prowadzimy wojnę tradycyjnymi metodami. Znajdujemy na wpół zapomniane bramki T prowadzące do opanowanych przez Żółcień ustrojów. Wchodzimy, rozstrzelujemy asemblery, których używają jako firewalli imigracyjnych, opanowujemy przyczółek, przebijamy się dalej, instalujemy własne, zdrowe bramki A i przymusowo przepuszczamy przez nie ludzi, żeby usunąć im z głów Osobliwą Żółcień. Ci, którzy przeżyją, przeważnie nam potem dziękują.

Na początku jest to stosunkowo łatwe, potem jednak stwierdzamy, że atakujemy ustroje dysponujące silniejszą obroną. Jeszcze później Osobliwa Żółcień zaczyna programować

* Basil Henry Liddell Hart – brytyjski historyk i teoretyk wojskowości; utrzymywał, że na podstawie jego teorii Niemcy opracowały strategię Blitzkriegu; napisał też książkę o brytyjskich czołgach (przyp. tłum.).

mieszkańców, żeby walczyli do końca i bez litości. Widywałem nagie dzieci, rozdygotane od załamania egzystencjalnego, idące na czołgi z niezdarnie ściskanymi w obu rękach worpalnymi mieczami. Widziałem i gorsze rzeczy. Dla pewnego podzbioru ludzi pociągająca jest sama idea Osobliwej Żółcieni – podporządkowania wyższej sprawie. Manipulują robakiem, przystosowują jego ładunek bojowy do własnych potrzeb, tworzą w dyskretnych zakątkach quislingowskie dyktatury. Potworności, jakich dopuszczają się przy ich umacnianiu, są o wiele gorsze od prymitywnych, ale bezpośrednich taktyk oryginalnego robaka.

Dociera to do mnie dopiero w trakcie kampanii i – przeżywając nerwowe retrospekcje, przebłęski poprzedniej jaźni – zaczynam w wolnym czasie zastanawiać się, co z tego wynika. Moje studium psychologii kolaboracji staje się jednym z najczęściej wykorzystywanych tekstów w wewnętrznej bazie wiedzy Kotów. Właściwie więc nie powinienem się dziwić, że wzywają mnie do Kwatery Głównej, wraz z rozkazem skonsolidowania przed transferem wszystkich delt i powrotu do ortoludzkiej postaci.

Z początku jestem niechętny. Przyzwyczałem się być pancernym batalionem, spędzającym większość sekund pomiędzy akcjami na lodowatej orbicie wokół będącej pod ręką zepsutej gwiazdy albo egzoplanety. Oddychanie, jedzenie, spanie i przeżywanie emocji to dla mnie groźne, bezsensowne ułomności. Rozumiem, że należy się nimi interesować, bo pomagają zrozumieć struktury motywacyjne u nieprzyjaciela, że trzeba czynić na ich rzecz ustępstwa, kiedy się ludzi wyzwala, ale poddać się samemu tym cielesnym słabościom? W końcu jednak uświadamiam sobie, że to nie o mnie chodzi. Muszę móc współpracować z personelem kwatery głównej. Konsoliduję więc wszystkie swoje jaźnie, wymazuję swoją tożsamość z tysięcy ton pancernego metalu, który stanowił do niedawna moje kończyny, i gotowy do transferu melduję się w najbliższym połowym węźle dowodzenia.

* * *

Kiedy dochodzę do siebie, stwierdzam, że nachyliłam się nad panelem sterowania bramki A. W lewej dłoni ściskam ociekający krwią nóż, tak mocno, że prawie drętwieją mi palce. Pół pokoju jest zabryzgane krwią, która utworzyła na środku obrzydliwą kałużę.

Jeśli zrobiłam to jak trzeba, nie zdążył skorzystać z netlinka. Kiedy głowa wyskoczyła mu z torby, poczuł ogromny fizyczny ból, a potem zemdlął od utraty krwi. Utrata przytomności w dziesięć sekund. Zasługiwał na coś gorszego.

Tyle że to ja mam teraz potężny problem – mianowicie, sto dziesięć kilo zdechłego mięsa leżące w dziesięciu litrach juchy pośrodku trawiastego dywanu, który już zaczął zdychać. Trochę obciążające, prawda? Dodatkowo mój sweter, spódnica i robocze buty są całe we krwi. Nie wygląda to dobrze.

Parskam śmiechem, który brzmi jak histeryczny, trochę obłąkany chichot. Źle to wygląda, myślę. Ale na pewno da się coś...

Przez moment cofam się w retrospekcję do czasów źle działającej bramki, kałuż krwi i gór martwego mięcha. To w pewnym sensie pomaga mi się ustabilizować: już wiem, co mam robić. Łapię Fiorego za rękę i kontrolnie szarpię. Ziemiste cielsko faluje, a kiedy przykładam się naprawdę, unosi się z dywanu i przesuwam o dziesięć centymetrów w moją stronę. Stękam i ciągnę jeszcze raz, ale nie tak łatwo go ruszyć, więc przestaję i się rozglądam. Na półce leżą jakieś kable. Idę, łapię parę metrów drutu, owijam nim jego tułów, przekładam pod pachami i w ten sposób ciągnę, gdzie trzeba. W końcu udaje mi się wsadzić go z powrotem do bramki. Nie chce się zmieścić – jedna noga ciągle się wysuwa – wreszcie jednak znajduję sposób, by go przytrzymać, wiążąc resztą kabla.

– No dobra, pięć minut przerwy – mówię do siebie zadyszana, nachylając się nad terminalem.

Co, Reeve, gadasz sama do siebie? – zapytuję się ironicznie. Co, już wariujemy? Palce zostawiają czerwone smugi na przyciskach terminalu, lecz w końcu udaje mi się wywołać interfejs dialogowy. Bramka ma zaplanowane jakieś zadania syntezy w tle, ale jest wielowątkowa, a ja działam w trybie przerwania.

– Bramka: przyjąć surowiec do dezasemblacji. OK.

– OK – mówi bramka. Drzwi zamykają się z poświstem, kryjąc dowody rzeczowe.

– Bramka: wybór szablonu, system do czyszczenia dywanów, najmocniejszy, pierwszy z listy. Zrób jedną sztukę. OK.

– OK. Fabrykacja w toku – odpowiada bramka. – Czas zakończenia: trzysta pięćdziesiąt sekund po zakończeniu obecnego zadania.

Ach, te wygody nowoczesnego życia.

Idę na górę do pokoju socjalnego i robię sobie herbatę.

Kiedy się parzy, zdejmuję wierzchnie ubranie i ciskam je do zlewu. Mamy tu parę środków czyszczących, te detergenty całkiem nieźle wywabiają plamy, pewnie lepiej niż cokolwiek z prawdziwych ciemnych wieków. Po paru płukaniach moja spódnica i sweter są po prostu przemoczone, więc je wykręcam, rozwieszam na wylocie ogrzewania i podkręcam temperaturę.

Z powrotem na dół. Bramka stoi otworem, w środku czeka sprzęt. Fiore przeobraził się w maszynę do czyszczenia dywanów i parę chłonnych ścierek. Napełnienie zbiornika wodą to kolejna wycieczka na górę. Kręci mi się w głowie od smrodu rozpuszczalników, ale w pół godziny zmywam widoczne plamy krwi z dywanu, ścian i półek. Nie za bardzo mogę coś zrobić z kafelkami na suficie, myślę jednak, że jeśli się nie wie, że tu kogoś zabito, weźmie się te plamy po prostu za zacieki. Odstawiam więc maszynę z powrotem do bramki i gadam do siebie.

– To wszystko przykrywka – mówię i ziewam. Chyba opada mi fala adrenaliny. – Fiore, Yourdon i ta jeszcze jedna. Spece od wojny psychologicznej pracujący nad emergentną kontrolą zachowań grupowych. – Zaniki przytomności uwolniły mi jakiś kolejny fragment

pamięci, dossier dotyczące... – Zbrodniarze wojenni. Prowadzili aparat bezpieczeństwa dla Trzeciej Ludowej Sfery Światlanej Przyszłości. Kiedy wypuszczono antidotum na robaka, uciekli. Przez ostatnie gigasekundy pracowali nad antyantidotum, a potem nad uodpornieniem Osobliwej Żółcieni.

Mrugam. To ja mówię to wszystko? Czy to jakaś inna jaźń korzysta z mojego ośrodka mowy, żeby porozumieć się z resztą... tego, czym jestem?

– Priorytet: ewakuacja. Priorytet: ewakuacja. – Moje ręce poruszają się po pulpicie bramki, choć nie steruję nimi. – Cholera! – jęczę. Ale nie mogę ich powstrzymać, wiedzą, co robią. Wygląda, że konfigurują program do wyjścia.

– System niedostępny – mówi bramka płaskim, pozbawionym skruchy tonem. – Brak dostępu do sieci bramek długodystansowych.

Cokolwiek robią moje ręce, to nie działa. Coś znowu wytrząsnęło mi się z pamięci, coś wielkiego i paskudnego.

– Reeve, musisz uciekać – słyszę własny głos. – Ten program usunie się automatycznie za sześćdziesiąt sekund. Z tej lokalizacji brak dostępu do zewnętrznej sieci. Musisz uciekać. Automatyczne usunięcie za pięćdziesiąt pięć sekund.

Choć mam na sobie tylko bieliznę, zimny pot zalewa mi cały kręgosłup.

– Kto mówi? – szepczę.

– Ten program usunie się automatycznie za pięćdziesiąt sekund – odpowiada coś wewnątrz mnie.

– No dobra, słyszę! Idę, już idę!

Jestem przerażona, że mówiąc „program”, ma na myśli mnie – to musi być jakiś pasożytniczy robak, coś jak jądro startowe Osobliwej Żółcieni. Ale dokąd mam uciekać? Zerkam w górę, na sufit i wszystko składa się w całość. Muszę wejść do góry, przejściem w ścianie tego świata. Może, być może, ten ustrój jest przepleciony z innymi – jeśli tak, mogę po prostu włamać się na pokład niżej lub wyżej, a tam może dostanę się do bramki T i do sieci Niewidzialnej Republiki.

– Do góry, tak?

– Ten program usunie się automatycznie za trzydzieści sekund. Wektor ucieczki zatwierdzony. Wyłączam interfejs dialogowy.

W głowie robi mi się bardzo cicho; stoję rozedrgana nad assemblerem, oddychając szybko i płytko. Ciężar zniknął mi z umysłu, zostawiając po sobie nieufny spokój. Przerażenie, które teraz czuję, jest puste, jakby egzystencjalne – Wsadzili we mnie jakiś kod-zombie? Kto to w ogóle był? – ale jestem z powrotem sobą. Nie przestanę nagle istnieć, nie zastąpi mnie uśmiechnięta kukielka nosząca moje ciało. To był tylko pakiet ewakuacyjny, skonfigurowany, żeby się uruchomić po jakimś czasie, albo zareagować na predefiniowany poziom stresu, jeśli nie będę wiedziała, co zrobić. Kiedy nie udało mu się połączyć, przekazał sterowanie mnie, swojej świadomej powłoce i powiedział, czego chce. No i w porządku. Jeśli zrobię, czego

oczekuje, i ucieknę, może uda mi się pousuwać z głowy pozostałych pasażerów i będzie świetnie. Zresztą, przecież i tak chcę uciec, prawda? Prawda? Myślmy pozytywnie.

– Kurwa, dopiero co zabiłam Fiorego – szepczę. – Muszę stąd uciekać. Co ja tu jeszcze robię?

Na górze, w pokoju socjalnym jest parno jak w saunie. Kaszląc, dusząc się, zmniejszam grzanie, łapię wilgotne ciuchy, naciągam je na siebie i ruszam do drzwi. Potem – i to jest najtrudniejsze – poprawiam ręką włosy, łapię torbę i spokojnie idę przez placyk ku jezdni, żeby złapać przejeżdżającą taksówkę.

– Do domu – mówię do kierowcy, niemal dzwoniąc zębami ze strachu.

Dom, budynek, w którym mieszkam z Samem wystarczająco długo, żeby stał się dla mnie dobrze znanym miejscem, jest stąd zaledwie o pięć minut jazdy taksówką. A mam wrażenie, że leży w połowie drogi do sąsiedniego układu.

– Zaczekaj tutaj – mówię do kierowcy.

Wysiadam, idę do garażu. Nie chcę widzieć Sama. Naprawdę liczę, że jest w pracy – jeśli mnie zobaczy, może mi się to wszystko nie udać. Albo, co gorsza, mogę go w to wplątać. Na szczęście, nie zastaję go. Udaje mi się wejść do garażu, wziąć akumulatorową wiertarkę, kilka zapasowych wiertel i parę innych przydatnych gadżetów, odłożonych na czarną godzinę. Wracam do taksówki, która rusza, zanim zdążę poprawić sobie pas z tym sprzętem.

Jedziemy przez osiedle mieszkalne, niskie domki oddzielone od ulicy białymi drewnianymi płótkami i przedzielone drzewami. Jest gorąco, głośno skrzeczą stawonogi. Wjeżdżamy do tunelu. Biorę głęboki wdech.

– Nowe polecenie. Zatrzymaj się tutaj. Oczekaj sześćdziesiąt sekund. Potem jedź dalej, wyjedź z tunelu. Wyłącz radio. Na każdym skrzyżowaniu losowo wybierz kierunek i jedź dalej. Nie zatrzymuj się, jeśli nie ma przeszkód. Jedź dalej, aż skończy ci się tysiąc jednostek kredytu. Potwierdź. – Zagryzam wargę.

– Cześć sześćdziesiąt sekund. Jechać, skręcać losowo na każdym skrzyżowaniu, do wyczerpania kredytu. Unikać przeszkód. Potwierdza pani?

– Tak! – mówię, potem otwieram drzwi i gramolę się z narzędziami do tunelu. Czekam w napięciu, aż zombiak odjedzie, po czym ruszam z powrotem w ciemność.

Tunel ciemnieje, skręcając. Wyciągam wielką, metalową latarkę. Pewnie jest nieautentyczna, jak wszystko tutaj – nie ma elektrochemicznych baterii, ta sama międzygwiazdna bramka T, która napędza samochody i statki kosmiczne wystarczy, by zapewnić odrobinę prądu do zasilania płytki z białą diodą. Akurat teraz to dobrze się składa. Błyskam nią na obie strony tunelu, aż znajduję drzwi we wnęce. Tym razem jednak jestem przygotowana. Wyciągam wiertarkę udarową, a założenie wiertła do betonu zajmuje mi tylko parę sekund – cały ten czas spędzony w garażu chyba wreszcie się na coś przydał. Hałas zgryzania betonu przy drzwiach jest ogłuszający, ale syntetyczna skała sypie się we wszystkie strony, a powietrze wypełnia gryzący pył, drażniący płuca przy oddychaniu. Trzeba było

wziąć maskę, stwierdzam, trochę za późno, a poza tym, wiertarka zmienia odgłos i inaczej wibruje – wiertło ślizga się po jasnym metalu.

– Ha! – mruczę, nie poddając się wściekłemu swędzeniu, które każe mi co chwila oglądać się przez ramię.

Odsłonięcie futryny na tyle, by się przekonać, z czym mam do czynienia, zajmuje mi parę minut, ale im lepiej ją widzę, tym lepszy mam humor. Betonowy tunel to pusta rura, a drzwi to coś w rodzaju wjazdu serwisowego w pobliżu złącza. Jeśli się nie mylę, to złącze nie jest bramką T, lecz fizyczną grodzią mającą izolować od siebie segmenty i odcinać je w przypadku dekompresji – oznacza to, że jest częścią większej konstrukcji. Drzwi będą prowadzić do mechanizmu grodzi, może będzie tam też śluza do sąsiednich segmentów – w górę, w dół oraz w kierunku rufy i dziobu. Mam taką nadzieję. Jest tylko jeden problem: drzwi są zamknięte.

Szukam w kieszeniach jednej z zabranych z garażu zabawek. Rozdrobniony magnez ze sztabki kupionej w sklepie turystycznym, celowo skorodowane żelazne opiłki, wszystko zatopione w wosku ze świecy – partyzancki ładunek termitowy. Przyklepam kawałek tego nad mechanizmem zamka (irydującym osadzonym w betonie), podtykam pod niego zapalniczkę, pośpiesznie cofam rękę i się odwracam. Nawet przez zamknięte powieki rozbłysk jest tak oślepiająco mocny, że zostaje mi w oczach fioletowy powidok z konturem ręki. Głośny syk, skwierczenie, odliczam niespiesznie do trzydziestu, po czym odwracam się i szarpnięciem otwieram drzwi. Przez moment nie chcą się ruszyć, potem po cichu ustępują. Zamek to ziejąca dziura w częściowo odsłoniętej futrynie – mam nadzieję, że w najbliższym czasie nie przydarzy się nam jakaś dekompresja.

Wchodzę i się rozglądam. Stoję w małym pomieszczeniu, zajęтым w większości przez jakąś prymitywną maszynę. Butle z gazem, jakieś wały, jakieś mechaniczne zawory. Jakby zrobiono to w epoce kamienia łupanego i przystosowano do konserwacji narzędziami dostępnymi w tutejszym sklepie. Może i tak było? Drapię się po głowie. Jeśli ten habitat pierwotnie skonfigurowano dla jakiejś paleolitycznej sekty, symulującej ustrój z dawnej Zjemi, Yourdonowi i Fioremu dość łatwo przyszedłoby przystosować go do swoich potrzeb, prawda? Może właśnie o to chodziło mojemu dawnemu ja, gdy stwierdziło, że odpowiadały im pewne specyficzne cechy tego miejsca. Przede wszystkim jednak jest tu przykręcona do ściany drabina i kłapa w podłodze. Podchodzę do niej, jest zakręcana kołem. Nie chodzi zbyt ciężko, już po chwili czuję delikatny powiew, gdy wąż się obraca, odsłaniając wejście.

Hm. Różnica ciśnień, choć nieduża. To oznacza jakieś otwarte przejścia, a może i cały pokład – tam pod spodem. Ale przecież mówiłam, że pójdę w górę, prawda? Wspinam się. Kłapa na suficie ma takie samo koło, trochę trudniej je przekręcić, lecz okazuje się, że w kłapie jest jakiś mechanizm sprężynowy, który unosi ją bez wysiłku. To dopiero sprytnie zaprojektowane – ktoś założył, że przebicia zdarzają się tylko po zewnętrznej stronie, co w takim walcowym, wirującym habitacie oznacza u dołu, dlatego trzeba użyć siły, by otworzyć

właz prowadzący w dół. Natomiast kłapa wiodąca w górę ma mechaniczne wspomaganie, żeby ułatwić ucieczkę z obszaru dekompresji. Podoba mi się taka filozofia: bardzo ułatwi mi życie.

Wchodzę w tunel, potem przystaję, żeby nałożyć na głowę lampkę czołową. Zapalam ją i pnę się wyżej. Jestem na spodzie ciemnego tunelu, kryjącego tylko drabinę, punktowanego wysoko w górze pasmami cienia. Ślad, który zostawiłam, prowadzi w dół, a nie w górę. Mam nadzieję, że tam w górze są jakieś drzwi. To byłoby gówniane szczęście – dojść tak daleko i przekonać się, że są zablokowane, zdekompresowane, albo coś.

13. Wspinaczka

Kwatera główna nie wysłała mnie bezpośrednio do sztabu. Przepuszczają mnie najpierw przez bramkę A, z której wychodzę w moim poprzednim ortocie. Czuję się mały, niesamowicie kruchy i żywy. Okropne przeżycie, które później kojarzy mi się z przebudzeniem w Ustroju YFH. Po ożywieniu dezasemblują mnie, dzielą na około 2^{24} segmentów danych i wypuszczają je kwantowo szyfrowanymi łączami przez różne bramki T. Tego oczywiście nie czuję. Po prostu wchodzę do bramki A i budzę się w innej. Po drodze jednak przepuszczono mnie przez kryptograficzne układy remiksujące, połączono z innymi strumieniami danych ze spiłowanymi numerami seryjnymi, tak że nawet w przypadku opanowania paru węzłów przez nieprzyjaciela, nie byłby on w stanie ustalić, skąd i dokąd idę ani kim jestem.

Mrugam i odzyskuję przytomność, otwieram drzwi kabiny. Chwila napięcia – zaraz wejść do mitycznego sztabu generalnego Kotów Linebargera. Czeka na mnie krępa ksenokobieta o kocich rysach, postukując zbrojnymi w pazury palcami.

– Robin, prawda? – pyta. – Kocham cię.

– Przepraszam, chyba pomyliła mnie pani z kimś – odpowiadam.

Obnaża ostre jak igły kły w grymasie podobnym do uśmiechu.

– Możesz sobie pomarzyć. To tylko test diagnostyczny wbudowany w twój nowy netlink – jeśli słyszysz te słowa, znaczy, że nie jesteś nosicielem Osobliwej Żółcieni. Witamy w obozie dla świrów, panie sierżancie-szablonie. Jestem doktor kapitan Sanni. Chodźmy, znajdziemy sobie jakiś gabinet, wszystko wytłumaczę.

Sanni to dziwna mieszanka cwanej elokwencji i nieśmiałej skrytości, ale czytała moją pracę – domyślam się, że już nie trafię do działań liniowych, a ona ma uprawnienia, żeby to zarządzić. Kiedy wyjaśnia mi dlaczego, jestem skłonny się z nią zgodzić. Problem jest o wiele ciekawszy niż wysadzanie dziur w strefach obrony przeciwnika i na dłuższą metę dużo ważniejszy.

– Osobliwa Żółcień da się pokonać – tłumaczy. – Trzeba tylko poprzerzywać tyle łącz sieciowych, żeby koszt zachowania wewnętrznej spójności przez hodowle robaków przekroczył pasmo transmisyjne, jakim dysponują. Kiedy to się stanie, robak straci zdolność

koordynowania ataków i da się go stopniowo zniszczyć. Problemem jest to co potem.

– Potem. – Kręcę głową. – Już myślicie o sytuacji po wojnie?

– Tak. Widzisz, Osobliwa Żółcień nie zniknie sobie tak po prostu. Możemy wymienić wszystkie bramki A w ludzkim kosmosie na kolejną monokulturę – i one będą tak samo podatne na skoordynowany atak robakiem, jak te ostatnie. A utrzymanie polikultury jest na tyle kosztowne, że lokalne monokultury będą miały przewagę konkurencyjną... W dłuższej perspektywie, znowu wyewoluujemy w stan podatny na tego typu zakażenia. Potrzebne nam rozwiązanie architektoniczne, coś, gdzie sama konstrukcja wyklucza pojawienie się Osobliwej Żółcieni. Najlepsze wyjście to nie likwidować robaka, ale go zaadaptować.

– Zaadaptować?

– Na układ immunologiczny.

Rozpracowanie szczegółów tego zwięzłego zdania i przekucie go w broń zajmuje naszemu zespołowi – jednemu z pięćdziesięciu podległych generałowi-dziekanowi Atonowi – prawie gigasekundę. Systematycznie analizujemy kolejne z setek możliwości, badając skutki na oddzielonej firewallami eksperymentalnej podsieci zakażonych robakiem bramek, aż dochodzimy do działającego rozwiązania. Wypracowanie ostatecznej postaci i dystrybucja także trwają setki megasekund, ale kiedy główna grupa uderzeniowa jest gotowa do brutalnych fizycznych ataków na tysiąc sieciowych skrzyżowań, mających ostatecznie położyć na łopatki Osobliwą Żółcień, dysponują już gotową szczepionką.

Osobliwa Żółcień jest bowiem robakiem skoordynowanym. Przyjmuje polecenia ze zdalnych węzłów, porównuje je z sąsiadami, i jeśli wyglądają dobrze, wykonuje je – to nie pozwala na łatwe „odwrócenie” pojedynczej zakażonej bramki. Przez jednoczesny atak na tysiące sztuk udaje nam się je przekonać, że podstawione przez nas nowe rozkazy są poprawne i należy je wykonać – wtedy zaczynają szerzyć się w sieci. Środek na robaki to zmodyfikowana wersja Osobliwej Żółcieni, wyposażona w nowy ładunek. Ma kilka zadań, które do spółki powinny zapobiec rozsianiu się nowej zarazy. Kiedy ludzie przechodzą przez odrobaczoną bramkę A, instaluje im ona w ośrodku językowym łatkę diagnostyczną, jednocześnie usuwając infekcję, jeśli istniała. Poprawka diagnostyczna to proste dyslektyczne zapętlenie – jeśli jesteś jednocześnie zarażony Osobliwą Żółcienią, nie słyszysz słów „kocham cię”. Ostatni etap operacji: antyrobak umieszczony w zakażonej bramce odmawia przyjmowania rozkazów rozsyłanych przez twórców Osobliwej Żółcieni.

Opracowanie i wdrożenie tego wszystkiego trwa gigasekundę. Tysiące unikatowych instancji żołnierzy giną w atakach na umocnienia, abyśmy mogli wgrać kopie antyrobaka do pierwszych opanowanych bramek. Straty wśród cywili też są potworne, miliony giną, kiedy atakowane i coraz bardziej oderwane od sieci bramki podejmują chaotyczne działania obronne, a kieszonkowi dyktatorzy rzucają się z pazurami na niewidzialnych prześladowców. Na koniec jednak obrona pada w ciągu dosłownie dziesięciu dni. Wszędzie panują chaos, okrucieństwo, panika, toczą się jakieś porachunki. Zdarza się nawet głód i awarie systemów

podtrzymywania życia, gdy w jakimś ustroju padają naraz wszystkie asemblery. Mimo to wygrywamy, a rozmaite stronnictwa w ramach naszego sojuszu albo rozwiązują się, albo przekształcają we władze pomniejszych ustrojów i rozpoczynają długi proces odbudowy umocnień obronnych wokół swojego zakątka – niegdysiejszego kawałka megaustroju.

Koty Linebargera przeważnie wracają do swoich przedwojennych zajęć, jako grupa artystów od rekonstrukcji historycznej, pod mecenatem dyskretnej metaludzkiej siły, która przez ostatnie gigasekundy przesypiała wojenny chaos. Jednakże nie wszyscy potrafią pójść sobie i zapomnieć...

* * *

Pewnego razu, kiedy byłem młody i nieśmiertelny, skoczyłem z dwukilometrowego urwiska na częściowo sterraformowanym księżycu gorącego Jupitera. Panował wtedy szal na samoregulujące się biosfery i głębokie studnie grawitacyjne, więc ten księżyc sprzedawał się jako coś w rodzaju kurortu – to mam na swoje usprawiedliwienie. Skoczyłem bez spadochronu. Ciężenie było tam słabe, jakieś trzy metry na sekundę kwadrat, ale dwa kilometry spadku swoje robi: leciałem ku wodospadowi, przesłaniającemu korony drzew dzungli opalizującą mgiełką. Wypróbowywałem projekt ciała wzięty z mitologii – spadając po raz pierwszy, rozpostarłem skrzydła, czując, jak napinają się ogromne, cienkie błony między palcami moich środkowych rąk. Szczerze polecam każdemu takie przeżycie – aż do chwili, kiedy prąd wznoszący złapał mnie za lewe skrzydło i cisnął na skalny grzbiet, od którego odbiłem się ze złamanym i paskudnie wygiętym palcem, przez co owinięty w błonę własnych skrzydeł zacząłem koziołkować w dół na spotkanie ze śmiercią.

Kiedy wróciłem na szczyt urwiska, uparli się, że mam w kółko oglądać nagranie ostatnich trzydziestu sekund swojego życia. Pokręciłem głową i wszedłem do bramki A w kawiarni na skalistej plaży, nad tym jeziorem u stóp wodospadu, żeby wrócić do ortociała. Siedziałem tam bardzo długo. Nie mogłem przestać się zastanawiać, jak to musiało być: tępy ogień bólu w środkowych ramionach, korkociąg, siekący chłód wiatru, pewność, że umrę...

Ciekaw byłem, czy kiedykolwiek się dowiem.

To było dawno temu. Później, jeżące włosy na głowie topologiczne wyczyny Kotów Linebargera – nie mówiąc już o wieku i cynizmie – unaocniły mi, że możliwości wyginania i wykręcania czasoprzestrzeni upośledziły naszą zdolność rozumienia konstrukcji, w których mieszkamy. Architektura zawsze wpływała na organizację społeczną albo i ją kontrolowała, w ustrojach pospinanych bramkami T stała się jednak bardziej niż wpływowa – architekci zostali naszymi dyktatorami.

Większość ludzi mieszka teraz w zimnych czeluściach wszechświata, w wirujących walcach według archaicznego projektu, orbitujących wokół brązowych karłów albo zewnętrznych olbrzymów gazowych w układach, gdzie nie mogłaby utworzyć się planeta przypominająca dawno zdemontowaną Ziemię. Przez większość czasu nie obchodzi nas

konstrukcja przestrzeni mieszkalnej, chyba że dzieje się z nią coś nie tak i trzeba ją naprawiać albo wymieniać. Są dla nas pustą sceną, po której obnosimy się z elegancją naszych wielopokojowych rezydencji, sprawiających, że wiele lat świetlnych odległości między pokojami wydaje się nieważne...

...dopóki nie musisz włączyć jednym z szybów serwisowych. Wtedy czujesz to wszystko na własnej skórze.

Szczeble drabiny są przytwierdzone do przeciwnej do kierunku obrotu ściany szybu, wznoszącego się w nieskończoną ciemność, połykającą promień latarki, kiedy zadzieram głowę. Pod sobą mam przepaść z dnem równie bezlitosnym, jak skały u podnóża tamtego wodospadu. Wchodzę miarowo, dawkując tempo. Zakrzywienie habitatów w Ustroju YFH jest na tyle nieznaczne, że jeśli to jest jeden walec, musi mieć parę kilometrów średnicy. Strop habitatu jest na tyle wysoko, że nie sięgnie się do niego z dachu trzypiętrowego budynku – najwyższego w centrum – ja jednak jestem już o wiele wyżej i nie widzę ani śladu przegrody.

Po dwustu szczeblach zatrzymuję się i odpoczywam. Ramiona już mnie bołą, mięśnie się skarżą. Gdybym nie ćwiczyła od wielu tygodni, już byłabym półżywa. Nie można się znikąd dowiedzieć, jak wysoko muszę jeszcze wleźć, i żołądek gniecie mi tępa obawa. A jeśli się mylę? Założyłam, że Ustrój YFH jest tym, na co wygląda – spiętymi bramkami sektorami walcowatego habitatu, przeplecionymi z innymi zamkniętymi ustrojami i rozszanymi po całym kosmosie. Ale gdyby posunęli się dalej, nie tylko blokując dostęp do reszty sieci? W końcu kiedyś to był szklany dom. Co, jeśli mój pasażer z głowy coś fatalnie pomylił i naprawdę jesteśmy zamknięci w jednej lokalizacji? Wtedy może stąd nie być wyjścia. Wrócić jednak nie mogę. Yourdon mógł już wykrzyć, że uciekłam. Zmobilizuje zombiaki, które wytropią mnie jak armia czerwonych mrówek szczura. Sam zostanie sam, będzie zachodzić w głowę, co się stało, coraz bardziej samotny, szalony i pogrążony w depresji. Mick wcześniej czy później znów dobierze się do Cass. Jen dalej będzie złośliwie pieprzyć w głowach Alice i Angel. Fiore powoli zamieni całą społeczność w rozjuszone, pełne nienawiści marionetki, tańczące, jak zagra im ciemnowieczna kultura oparta na zagrożeniu i strachu. Jestem prawie pewna, że wiem, co kombinują. To nie eksperyment archeologiczny, lecz laboratorium wojny psychologicznej. Testują tu projekt emergentnego społeczeństwa o kontrolowanym zachowaniu. Ustrój YFH jest prototypem następnej generacji dyktatur poznawczych. Albowiem, kiedy wyjdą na powierzchnię, żeby wpuścić do niczego niepodjęzawającej sieci nową, lepszą wersję Osobliwej Żółcieni, tym razem ona nie będzie instalować prymitywnego programu cenzorskiego. Tym razem jej ładunek subtelnie narzuci ofiarom nowe reguły behawioralne, dzięki którym samorzutnie wytworzy się społeczeństwo, które będą mogli eksploatować. Przyszłość z kościołem co niedziela, mieczem i kielichem na ołtarzu oraz propagującym donosicielstwo i podejrzliwość zbrojeńcem za każdym pulpitem. Punktociągi w każdej dzielnicy, zerkające zza zasłon panoptikonu, chcące narzucić wszystkim egzystencjalny faszyzm – i to dopiero początek. Jeśli populacja nieszczepionych, lojalnych

nosicieli, którą hodują tu Yourdon z Fiorem ma roznosić kolejną generację Osobliwej Żółcieni, cała zamieszкана przez ludzi przestrzeń zmieni się w jedną wielką klinikę chirurgów-sповідników, pełną ciężkich pooperacyjnych przypadków.

Nie mogę sobie pozwolić na porażkę.

Mijają minuty, zanim ruszę się dalej, przekładając jedną rękę za drugą, potem jedną stopę, potem rękę, potem drugą stopę. Powtórzyć pięć razy, odpocząć pięć uderzeń serca. Powtórzyć pięć razy, potem odpocząć – razem dziesięć. Powtórzyć całość jeszcze dziewięć razy i jestem o sto szczebli wyżej w tej rurze tortur. Dręczą mnie okropne myśli. Mogę trafić na plamę smaru i spaść. Albo po prostu... nie dojść na górę. Szczeble są co jakieś dwadzieścia centymetrów. Pokonałam już prawie pięćset – sto metrów. Gdybym spadła, rozbryztałabym się na dnie. (Oczywiście, objając się po drodze o szczeble, delikatnie dryfując w szponach siły Coriolisa. Gdybym pamiętała, żeby wziąć ze sobą ciężarek i odpowiednio długi sznurek, mogłabym zgrubnie oszacować, jak duży jest walec habitatu, ale tak daleko nie planowałam). Barki i łokcie bołą mnie jak ściskane w imadle. Wieki całe pchałam i ciągnęłam wajchy tej durnej maszyny do ćwiczeń w piwnicy, ale jest różnica między półgodzinnym ćwiczeniem, a wysiłkiem, od którego zależy życie. Jeśli znów zdarzy mi się fuga, mam przerąbane. Jak wysoko dam radę wejść? Jakie są odległości między pokładami? Jeśli mam pecha, to mogą być całe kilometry...

Nie mogę zawieść; muszę udaremnić ten spiszek – jestem to winna pamięci ważnych niegdyś dla mnie Lauro, Iambica-18 i Neuala. Jeśli zapomnę, to będzie tak, jakby tamte wypadki nigdy się nie wydarzyły. Pamięć to wolność.

Sześćset szczebli. Ręce błagają o litość. Mięśnie udowe też nie są za szczęśliwe. Widząc nad sobą kawałek cienia, zaciskam zęby i liczę na zmiłowanie. Zatrzymuję się, dyszę przez chwilę, przypatrując się temu konturowi. Prostokątny, wpuszczony w ścianę. Czy to będzie...? Wspinam się dalej, zawzięcie przekładając jedną dłoń za drugą, aż tam dotrę – w sumie prawie dziewięćset szczebli.

Cień okazuje się wejściem do odchodzącego od drabiny krótkiego korytarzyku o wysokości człowieka. Wchodzi na dwa metry w ścianę i kończy się grubymi, zakrzywionymi, hermetycznymi drzwiami z kołem dociskowym. Dotarłam! Zatańczyłabym z radości, ale ramiona chyba zaraz mi odpadną. Wchodzę do tunelu, przełączam latarkę w tryb lampki, siadam, opieram się o ścianę, zamykam oczy i liczę do stu. Chyba zasłużyłam na to. Poza tym nie wiadomo, co czeka po drugiej stronie drzwi.

Ręce mam jak z gumy, lecz boję się zwlekać. Po paru minutach zmuszam się do wstania i obejrzenia koła. Wygląda na to, że jest w porządku, ale gdy próbuję je przekręcić, ani drgnie.

– Cholera – mruczę.

Niezły kanał. Może gdybym miała jakąś dźwignię... Przypominam sobie o latarce. Wielka aluminiowa rura ze światelkiem na jednym końcu. Wtykam ją między szprychy i napieram całym ciężarem, odpychając się od ściany, wkładając wszystkie siły w próbę przekręcenia

koła. Po paru minutach muszę przyznać się sama przed sobą, że nie dam rady. Przychodzi mi do głowy, że konstruktorzy tego habitatu mieli świra na punkcie zabezpieczeń – może nie rusza się dlatego, że z drugiej strony jest próżnia? Albo blokuje się, jeśli jest zbyt duża różnica ciśnień po obu stronach, albo po prostu zbyt długo siedziało w próżni i się zatarło.

– Cholera – mamroczę raz jeszcze.

To może być kolejne z prymitywnych zabezpieczeń Yourdona i Fiorego. Co mi da włamanie do szybu serwisowego, jeśli pozostałe pokłady są otwarte na próżnię? O ile oczywiście w ogóle o tych szymbach wiedzą.

Ocieram pot z czoła i opieram się o ścianę.

– W górę czy w dół? – pytam na głos; nikt nie odpowiada.

W dole jest chociaż poziom z powietrzem. W górze... może nie być niczego. Albo cały pieprzony habitat, o którym źli nie mają pojęcia. Mogę wyjść na bulwar miejski Starego Raju albo zaplecze knajpki na Zhang Li. Przy odrobinie szczęścia. O ile te miejsca nie są tylko wytworem mojej wyobraźni.

Wtykam wielką latarkę w pętlę na pasku i ruszam w górę. Jeśli za tysiąc szczebli nigdzie nie dojdę, muszę ponownie przemyśleć swój plan ucieczki. Dwa tysiące szczebli – to będzie prawie pół kilometra. Gdybym wiedziała, że wpakuję się w coś takiego, kupiłabym sobie sprzęt do wspinaczki, kołowrót, chociaż linę, którą mogłabym się obwiązać i odpocząć. Przez moment fantazjuję o raketowych plecakach i windach. Potem chwytam kolejny szczebel i wspinam się dalej.

Po kolejnych dziewięciuset szczeblach jestem już prawie pewna, że umrę. Ramiona drą się na mnie, a prawe udo zaczyna grozić skurczami. Przystaję, nabieram tchu, serce wali mi jak młotem. Jakbym znowu stała na tamtym urwisku. Ten habitat musi mieć wiele kilometrów promienia – ciężenie wydaje się tutaj takie samo jak na początku. Jestem w rurze z ciężeniem jak na Zjemi i powietrzem: prędkość graniczna wyniesie z osiem metrów na sekundę. Gdybym się puściła, siła Coriolisa startłaby mnie na szczeblach jak na tarce, z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Zostałaby tylko tłusta czerwona smuga. Jasne, jeszcze dam radę się wspiąć, lecz jeśli będę leżać w górę do wyczerpania, to jak potem zejść? Chociaż, gdy się zastanowić, schodzenie wcale nie jest lepszym wyjściem. Ciężaru nie trzeba dźwigać, ale i tak będę zginać i prostować ten łokieć, który już jest na oko dwa razy taki, jaki powinien być, gorący i pulsujący...

Nad sobą mam kolejną platformę. Dwadzieścia szczebli wyżej. Jakies czterysta metrów od ziemi.

– Co? – zaczynam gadać do siebie. To niedobrze. Unoszę prawą rękę. Tak. To jest platforma.

Następna rzecz, jaką pamiętam: siedzę na platformie z nogami zwisającymi w przepaść i nie za bardzo pamiętam, jak się tu dostałam. Musiałam mieć kolejną fugę. Wzdrygam się na tę myśl.

Rozglądam się. Taka sama platforma jak poprzednio, łącznie z drzwiami z dociskiem na końcu dwumetrowego tunelu. Co oznacza, że albo mam pieprzonego pecha, albo... no cóż, może chociaż spróbuję otworzyć te drzwi. Jeśli nie zadziałają, odpocznę sobie i potem – albo w górę, albo w dół, orzeł albo reszka. Nie wygląda na to, że bym mogła się jeszcze wspinać, jeśli nie dam zmaltretowanym mięśniom trochę czasu na odpoczynek. A wody ani jedzenia nie wzięłam. Zatem chyba w dół, w dół i w dół, z powrotem w czeluście totalitarnej fantazyjki Yourdona.

Chyba że puszcze się drabiny.

Albo drzwi dadzą się otworzyć.

Zanim do nich podejść, przeznaczam kilosekundę na odpoczynek. Potem jedną ręką kręcę kołem. Powoli nabiera impetu, po czym wzdychają zastępe uszczelki, a drzwi oddzielają się od futryny i odchylają na bok. Patrząc przez otwór i widzę świat, który moim oczom wydaje się kompletnie niezrozumiały.

Podłoga za drzwiami jest płaska, lekko szorstka, z regularnymi szarawymi przeciwpoślizgowymi wypustkami. Jest pokryta parkietem Penrose'a, zapewne ułożonym przez kroczącego asembler, który pełził po wewnętrznej powierzchni tego gigantycznego walca, nigdy nie przechodząc dwa razy przez to samo miejsce, i rzygał podłogą. Nad sobą mam szarawy sufit, zakrzywiający się w dużej odległości, tworzący odwróconą nieckę horyzontu. Cienkie diamentowe igły łączą podłogę z sufitem, separując niebo i ziemię. Drzwi, przez które wyszłam, tkwią w podstawie jednej z takich igieł – są olbrzymie i dzielą je olbrzymie odległości.

Zapewne jestem na międzypokładzie, w przestrzeni technicznej pomiędzy zamieszkanymi piętrami, lub jest to pokład, którego jeszcze nie podłączono do bramek T i nie terraformowano, nie oswojono i nie zasiedlono. Wygląda na to, że przeszłam powyżej kordonu bezpieczeństwa Yourdona, czyli jednego piętra otwartego na próżnię. A gdybym zeszła w dół, znalazłabym... co? Może piętro, gdzie mieszkają eksperymetatorzy, gdzie pracują nad lepszą wersją Osobliwej Żółcieni. Albo, co równie prawdopodobne, jeszcze jeden poziom z próżnią.

Kolana mam jak z gumy. Opieram się o zewnętrzną ścianę rury, którą dopiero co się wspierałam, i czuję się kompletnie wyczerpana. Patrząc na strop, odległy o niemal pół kilometra, i dostrzegam, jak się zakrzywia i jaki rozległy jest ten fragment rzeczywistości. Są tu nawet chmury, zbierają się wokół wierzchołków niektórych igieł. Powietrze jest lekko wilgotne i pachnie suszonymi drożdżami. Dziwne, monochromatyczne wypukłości podłoga, jak wzgórza i groble, są pewnie zapasami masy, czekającymi, aż zabiorą się za nie wielkie habitatowe asemblery. Próbuję dostrzec koniec walca, ale giną we mgle, dziesiątki kilometrów stąd. Światło wydobywa się z tysięcy jaskrawych punkcików na stropie.

Umarłabym tu z głodu, zanimbym gdziekolwiek doszła.

Próbuję przez chwilę odpoczywać, ale niepokój zmusza do działania, więc ruszam.

Wiem, że powinnam zatroszczyć się o to zmęczenie, lecz za każdym razem, gdy pomyślę o Kay, albo o konsekwencjach tego, co czai mi się w głowie i (jestem prawie pewna), powoduje te moje zaniki, niewiele mogę zrobić. Mogę tylko trzymać się drabiny i liczyć na to, że na następnym pokładzie będzie coś bardziej obiecującego – prawie kilometr wyżej. Tyle że pewnie nie dam rady tam dojść.

Kuśtykam, oddalając się od drabiny ku najbliższemu wzniesieniu. Może będzie tam jakaś maszyna emocjonalna, z którą da się porozumieć, coś pochodzącego spoza Ustroju YFH, coś, co umożliwi mi kontakt z rzeczywistością. Sprawdzam netlink, ale jest martwy i głuchy, nie wyświetla nic poza nie działającą, zawieszoną listą punktów członków mojej kohorty. Osobliwa Żółcień, myślę tępo. To dlatego nie słyszę Sama, kiedy mówi „_ _”; system zliczania punktów jest oparty na Osobliwej Żółcieni.

Kilkaset metrów od wzniesienia zauważam oznaki życia. Coś mniej więcej wielkości taksówki, składającego się z luźno połączonych kul i prętów, kuli się na szczycie złoza. Wysuwa w moją stronę rurkowate czujniki, potem zjeżdża z górki, czujniki rozmazują się w opalizujące dyski, na grzbiecie zawirują konstrukcje z prętów i kul. Kule rosną i cienieją, rozwijając się w kalafiorowate główki, tęczujące dyfrakcyjnie. Przystaję i czekam, aż przyjedzie. Podejrzewam, że to jakiś wyspecjalizowany konstruktor biomów, taki inteligentny ogrodnik. Jeśli będzie wrogi i będzie chciał mnie zabić, nic nie poradzę – równie dobrze mogłabym atakować czołg tępym nożem kuchennym – to jednak jest stosunkowo mało prawdopodobne. Tylko że ta wiedza nie ułatwia mi czekania.

Zbliża się do mnie niebezpiecznie szybko, ale w odległości trzech metrów wyhamowuje.

– Dzień dobry – mówię. – Masz moduł językowy?

Ogrodnik podsuwa się jeszcze bliżej, tak że nade mną góruje. Płatki rozwierają się i zwierają z cichutkim bzyczeniem.

– Kim jesteś i co tu robisz?

Odrobinę się rozluźniam.

– Jestem Robin. – Imię brzmi dziwnie, nieznajomo. – Co to za ustrój?

Brzęczy i cyka do siebie, rozplaszczając się trochę u góry, jak zaskoczona kobra.

– Dzień dobry, Robin. To nie jest żaden ustrój. To sektor balastowy 89 RADUG-a *Żniwiarz nauk*. To nie jest biom mieszkalny. Co tu robisz?

Pozaustrój. Jestem na RADUG-u. Co oznacza, że na całym statku jest pewnie tylko jedna bramka długodystansowa, chroniona potężnymi firewallami... Zamykam oczy i staram się nie chwiać na nogach.

– Chcę się skontaktować z władzami, żeby zgłosić poważne przestępstwo. Masową kradzież tożsamości. Jeśli to nie ustrój, to co tu jest?

– Nie jestem uprawniony do przekazywania tej informacji. Jesteś Robin. Muszę cię zapytać: jak się tu dostałaś? Masz objawy fizycznego wyczerpania. Czy potrzebujesz pomocy medycznej?

Próbuję otworzyć oczy, ale powieki nie reagują.

– Pomocy – próbuję wykrztusić.

Potem otwieram oczy i jestem z powrotem na drabinie, zwisam z niej na jednej ręce, stopy dyndają nad otchłanią nieskończonego cylindra, nie ma w nim jednak szczelbi, za to w środku jest kolejna rura, upstrzona tysiącami świetlnych punkcików. Coś wyłazi ze ściany i nachyla się nade mną.

– Pomocy – mówię do tego czegoś.

– Powiadomię kwaterę kapitana.

Ciemność.

* * *

Zwycięstwo w ramach lokalnej różnorodności obwieściliśmy dziesięć mega temu i właśnie dociera do nas ogrom trudu odbudowy. Zapędziliśmy Osobliwą Żółcień z powrotem do pudełka i obaliliśmy oportunistyczne dyktatury, które pod nią wykwitły. Niestety, wojna się nie skończy, dopóki restart nie stanie się niemożliwy. A to już zupełnie inna kwestia.

– Problem polega na tym, że prawie połowa Rządu Tymczasowego gdzieś się rozplynęła – mówi mi Sanni, teraz bardzo ważny pułkownik. (Jesteśmy na naradzie sztabowej w MilSpace, zatłoczonym, beżowym i bezpiecznie anonimowym). – Aresztowania grubych ryb poszły bardzo dobrze, ale gdzie podziała się reszta? – Jej głos pobrzmiwa niezadowoleniem.

– Nie mogli tak po prostu zniknąć, nie pozostawiając śladów, prawda? – To AI, anielsko cierpliwy posłaniec, który zapewnia naszemu zespołowi badawczemu kontakt z grupą wymagań operacyjnych i działem Interpretacji Otrzymanych Instrukcji w Kwaterze Głównej, którego zadaniem jest interpretacja pytyjskich stwierdzeń rzuconych od czasu przez naszego triumfującego mocodawcę. – Jest masa rachunków do wyrównania.

– Teraz o wiele łatwiej niż kiedyś prześliznąć się między palcami – tłumaczy cierpliwie Sanni. – Kiedy Republika była jednością, można było skutecznie śledzić poszczególne istoty. Kiedy Byt padł, zostało nam milion pozamykanych ustrojów, część nawet nie chce ze sobą gadać. Ich wewnętrzne modele danych nie są zgodne. Może tam tkwić masa niespójności, których nie uda się nam znormalizować.

Chodzi jej o to, że Republika Byt zapewniała dwie zestandaryzowane usługi fundamentalne dla każdej poakceleracyjnej cywilizacji: czas i uwierzytelnianie. Bez czasu nie można mieć pewności, że jeden instrument finansowy nie jest użyty jednocześnie w dwóch różnych miejscach. A bez uwierzytelniania nie można być pewnym, że osoba w ciele A jest właścicielem tożsamości A, a nie uzurpatorem, który ukradł kopię ciała A. Przed erą lotów kosmicznych czas nie był problemem, bo był funkcją geografii, a nie połączeń sieciowych, a śledzenie ludzi było proste, gdyż nie potrafili zmieniać sobie do woli gatunku, płci i wieku. Natomiast od czasów Akceleracji zapobieganie kradzieży tożsamości stało się jedną z podstawowych funkcji władz, jakichkolwiek władz. Nie chodzi tylko o zapobieganie

najpoważniejszej zbrodni przeciwko człowiekowi – bez czasu i uwierzytelniania przestają działać takie drobiazgi jak pieniądze i egzekucja prawa.

Teraz, gdy Republika Byt jest w rozpadzie, nie wszystkie ustroje sukcesyjne posługują się tą samą podstawą czasu. Można wśliznąć się w niespójność i zniknąć. Nieszczęsny emigrant może opuścić Ustrój A i wylądować w Ustroju B z innym umysłem sterującym jego ciałem, podczas gdy podróżujące wraz z nim certyfikaty uwierzytelniające dalej będą wskazywać na tę pierwotną tożsamość. Jeśli firewalle bramek A nie ufają sobie nawzajem, masz ogromny problem. Dlatego właśnie zaszyliśmy się w tym ciemnym kubiku w MilSpace i dyskutujemy nad tym, zamiast wrócić do normalnego życia na zewnątrz.

– Z tymi pogrobowcami będzie paskudny problem – dodaje Sanni. – Ci pojedynczy, którzy chcą się poukrywać, to jeszcze pół biedy. Gdzieś się zaszyją, spreparują nową tożsamość, pokasują wspomnienia z wojny, zbudują sobie nowe życie. Cała banda pierdolonych zbrodniarzy pomyśli sobie: kurna, jutro mogę być kim tylko zechcę! Wtedy mamy dylemat, czy jest w ogóle sens ścigać dawnego kolaboranta, jeśli on już nawet nie pamięta, co wtedy robił? Myślę, że tym dezerterom trzeba po prostu dać spokój. Prawdziwa upierdliwość to będą grupy zorganizowane. Jeśli się nie rozproszą i zachowają pamięć, mogą próbować rozpętać to samo jeszcze raz. Paru może wyłapiemy na analizie ruchu sieciowego, ale co, jeśli gdzieś postawią sobie remikser tożsamości? Jeśli będą w stanie namówić dużo czystych istot do wejścia do izolowanego ustroju, gdzie miesza się ze zbrodniarzami – ciała wchodzą, ciała wychodzą, a my skąd mamy wiedzieć, co się dzieje w środku? Jeśli mają pod kontrolą firewall, mogą robić na nim różne numery. Taka gra w trzy karty.

– Czyli trzeba się za czymś takim rozglądać – proponuje Al.

Wbijam w niego wzrok, ale zanim się odezwę, zmuszam się do odczekania paru sekund. On czasami wolno kojarzy.

– Ten opis pasuje do dowolnego nowoczesnego ustroju – zauważam. – A nie mamy jeszcze wszędzie skonsolidowanej władzy, rozbiliśmy tylko sieć koordynacyjną OŻ w podsieciach, z którymi mamy bezpośrednią łączność. Jeśli mamy posprzątać, musimy posunąć się dalej.

– No i co z tego? – Al sygnalizuje symbolem rozbawienie, choć ma twarz, na którą mógłby przywołać uśmiech. – To jest długotrwały proces. Może trzeba by się zastanowić, co zrobicie z tymi zbrodniarzami, jak już ich złapiecie?

14. Szpital

Słyszę suchość, w ustach czuję niebieski posmak i mam erekcję. Oblizuję usta i stwierdzam, że mam w nich sucho. Jakby coś tam zdechło. I nie mam erekcji, bo nie mam nawet penisa. Mam natomiast ciężki przypadek tego... no... zaniku pamięci... uświadamiam sobie i raptownie otwieram oczy.

Leżę pomiędzy sztywnymi, wykrochmalonymi białymi prześcieradłami, twarzą do białej ściany z dziwnymi gniazdkami. Wokół łóżka zwisają bladozielone zasłony. Ktoś ubrał mnie w dziwną koszulę z rozcięciem na plecach. Też jest zielona. To na pewno szpital, myślę, zamykając oczy i starając się nie panikować. Skąd ja się tu wzięłam? Ciężko w tej sytuacji nie panikować. Robię wdech i próbuję usiąść.

Parę sekund później zawroty głowy ustępują i próbuję jeszcze raz. Serce mi wali, jest mi niedobrze i boli mnie przód głowy; czuję się słaba jak meduza. Tymczasem paniczny strach znów domaga się uwagi. Kto mnie tu przywiózł? Jeśli znajdzie mnie Yourdon, to mnie zabije! Na ramie łóżka wisi na haczyku jakieś pudełko z przyciskami. Biorę je do ręki i losowo dźgam guziki palcami. Unoszą mi się stopy. W drugą stronę! Dziesięć sekund później już niewygodnie pólsiedzę, łóżko podniosło mi się za plecami. Uciska mi to nieprzyjemnie żołądek, ale z pionizacją przychodzi odrobina pociechy – mam jakąś tam kontrolę nad otoczeniem – dopóki w myśli znów nie wkradnie się poważniejszy niepokój.

No dobra, czyli ten ogrodnik... Nie kończę, narracja utyka w mgłę niezrozumienia. Przyniósł mnie tutaj? A co to w ogóle znaczy, „tutaj”? Łóżko – jedno z wielu z w rzędzie, ustawionych wzdłuż ściany w ogromnej, wysokiej białej sali. Naprzeciwko, pod sufitem jest rząd okien – można przez nie dostrzec niebiesko-białe niebo. Wokół stoją różne sprzęty niewiadomego przeznaczenia. Obok niektórych łóżek stoją też szafki – i widzę, że niektóre łóżka na drugim końcu sali są zajęte.

Zamykam oczy, czując brzemię strachu. Ciągle jestem w szklanym domu, uświadamiam sobie z obrzydzeniem.

Nie mam siły, żeby cokolwiek zrobić, a poza tym nie jestem sama. Słyszę zbliżający się stukot obcasów i głosy.

– Odwiedziny kończą się o czwartej. – Damski głos, beznamiętny, tak jak się można

spodziewać po zombiaku. – Lekarz przyjdzie wieczorem. Pacjentka jest osłabiona i nie należy jej zbyt denerwować. – Kurtyna opada z powrotem, widzę zombiaczkę w białej sukience z dziwną ozdobą we włosach. Patrzy na mnie. – Ma pani gościa. Proszę się nie męczyć.

– Eee... – Próbuję przekreślić głowę, żeby zobaczyć, kto to, lecz wciąż jest ukryty za zasłoną. Jak w koszmarze, kiedy wiesz, że podkrada się do ciebie jakiś potwór...

– No, no, no, przecież to nasza mała bibliotekarka!

A ja myślę: kurwa, znam ten głos! I jednocześnie, prawie z urazą: ale ty nie możesz tutaj być.

W tym w momencie Fiore obchodzi zasłonę i nachyla się nad poręczą mojego łóżka, z wyrazem zakłopotanej protekcjonalności na twarzy.

– Czy mogłabyś mi powiedzieć, dokąd to się wybierałaś?

– Nie. – Udaję mi się powstrzymać zgrzytnięcie zębami. – Nigdzie konkretnie.

Dopał mnie koszmar, studnia pełna rozpaczki grozi pochłonięciem. Złapali mnie i ściągnęli z powrotem, żeby się mną pobawić. Czuję mdłości i uderzenia gorąca.

– No, no, Reeve. – Obluda, to jest to słowo. Fiore kładzie mi pulchną dłoń na czole. Jest w dotyku lepka i zimna. – O rany. Naprawdę z tobą niedobrze. – Zabiera rękę, nim zdążam ją strząsnąć.

Wzdrygam się.

– Teraz rozumiem, czemu przywieźli cię od razu tutaj – dodaje.

Zaciskam zęby, czekając na ostateczny cios, lecz Fiore ma coś innego na myśli.

– Jako duszpasterz muszę dbać o dobro wszystkich moich owieczek, więc nie mogę zbyt długo z tobą zostać. Jesteś wyraźnie chora – osobliwie podkreśla to słowo – i to z pewnością tłumaczy twoje nieobliczalne zachowanie. Następnym razem, jeśli postanowisz wspinać się w ścianach, powinnaś najpierw przyjść i porozmawiać ze mną – twarz mu na moment tężeje – bo nie chciałabyś zrobić czegoś, czego będziesz potem żałować.

Pomiędzy dreszczami udaje mi się przewrócić oczyma.

– Niczego nie żałuję.

W co on ze mną gra?

– No jak to! – Fiore cmoka z dezaprobatą. – Oczywiście, że żałujesz. Być człowiekiem to mieć wyrzuty sumienia. Wszyscy jednak musimy się nauczyć, jak czerpać jak najwięcej z tego, co jest nam dane, prawda? Adaptowałaś się bardzo powoli, Reeve, bardzo powoli odnajdowałaś swoje miejsce w naszej parafii, co budziło wśród nas, obserwatorów, pewne obawy. Ja, na przykład, jeśli mam być szczery, niepokoiłem się, że będziesz niepoprawnym wichrzycielem. Z drugiej strony jest dla mnie oczywiste, że chcesz dobrze i troszczysz się o bliźnich... – Na jego puciołowatą twarz wypełza nieodgadniona mina. – Na razie rozstrzygam wątpliwości na twoją korzyść. Odpocznij sobie i porozmawiamy, jak poczujesz się lepiej.

Prostuje swoje otyłe ciało i zaczyna się odwracać. Znów się wzdrygam, dreszcz przechodzi mi po plecach. Całkiem jakby nie wiedział, że go zabiłam! Wyobrażam sobie, że

Fiore może uruchomić parę instancji samego siebie, ale przecież powinny wiedzieć jedna o drugiej, komunikować się netlinkiem? Co, czyżby on...

– Ej – udaje mi się wydusić.

– Tak?

– Ej. – Trudno mi artykułować słowa. Przygniata mnie gorączka. – Co się stało z tym... z tym...

– Nie mam czasu! – Jego głos, kiedy jest rozdrażniony, wznosi się do denerwującego pisku. – Siostrzo? Siostrzo! – Potem ciszej, do mnie: – Poproszę, żeby zawołali twójgo męża. Na pewno będziecie sobie mieli wiele do powiedzenia. – Obraca się na pięcie i człapie przez salę do pacjentów na innych łózkach.

Stwierdzam, że dzwonię zębami: nie wiem, z gorączki, czy z czarnej, bezradnej furii. Zabiłam cię! A ty nawet nie zauważyłeś! Potem pielęgniarka tupie w swoich roboczych pantoflach, podchodząc do mnie z jakimś prymitywnym instrumentem diagnostycznym w rękach, i dociera do mnie, że czuję się bardzo źle.

* * *

Siostra zombiaczka bada mnie. Badanie polega na wsunięciu do ucha zimnej rurki, zajrzeniu z bliska w oczy. Potem wyjmuję słoje i daje mi coś, co w pierwszej chwili biorę za cukierek, tylko obrzydliwy w smaku. Szpital jest urządzony na wzór autentycznego ciemnowiecznego przybytku, choć na szczęście darowali sobie chyba pijawki, przeszczepy serca i tym podobne barbarzyństwo. To chyba jakieś lekarstwo, pieczołowicie zsyntetyzowane i podawane, żeby wywołać w moim metabolizmie jakieś dziwne ogólne reakcje.

– Spróbuj zasnąć – mówi siostra. – Jesteś chora.

– Z-z-zimno – szepczę.

– Spróbuj zasnąć, jesteś chora. – Nachyla się jednak i wyciąga rzadko tkany koc. – Pić dużo płynów. – Szklanka na stoliku jest pusta, zresztą za bardzo mną trzęsie, żebym wyciągnęła rękę spod koca. – Jesteś chora.

Mów mi jeszcze. Teraz już nie tylko ręce i nogi – wszystkie stawy drą się na mnie chórem, razem z całą bandą mięśni, których wolałabym teraz nie mieć – a w głowie pulsuje. Czuję się tak, jakbym zamarzała na śmierć. W brzuchu też jest coś nie tak. I nadal mam swoje utraty świadomości i fugi.

– Co się ze mną dzieje? – pytam, a wykrztuszenie tych słów jest potwornym wysiłkiem.

– Jesteś chora – powtarza zombiaczka. Dyskusja z nią nie ma sensu, tam nikogo nie ma, żadnego modelu umysłu, tylko parę odruchów i nagranych dialogów.

– Kogo mogę zapytać?

Już się odwraca, ale chyba wyzwoliłam jakiś nowy odruch.

– Lekarz będzie na obchodzie o ósmej wieczorem, wszystkie pytania proszę kierować do

niego. Pacjentka jest słaba i nie powinna się męczyć. Pić dużo płynów. – Bierze pusty dzbanek, którego dotąd nie widziałam, i odnosi go na koniec sali. Po chwili wraca z nim. – Pić dużo płynów.

– Dobrze... – Dygocę i próbuję się zwinąć pod kocem w mniejszy kłębek.

Mętnie uświadamiam sobie, że powinnam zadawać teraz mnóstwo pytań – a najlepiej zmusić się do wstania z łóżka i uciec gdzie pieprz rośnie – lecz w tym momencie nawet nalanie sobie szklanki wody wydaje się heroicznym wyczynem.

Kładę się z powrotem i gapię w sufit, oszołomiona ze złości i zażenowania. Czy ja sobie wyobraziłam, że zabijam Fiorego w bibliotece? Chyba nie, wspomnienie jest bardzo żywe. Ale tak samo wszystkie inne, te masakry i niekończące się lata wojny. Przecież nie wszystkie moje wspomnienia są prawdziwe. Tamten startowy zapis pamięciowy, gadający ze mną moją własną krtanią – jeśli to nie jest fałszywe wspomnienie o fałszywym wspomnieniu, to z pewnością nie byłam to ja, lecz specjalnie napisany robak uruchomiony na mojej wszczepce. To coraz trudniejsze – już w ogóle nie mogę sobie ufać, zwłaszcza że co chwila uciekam w fugi.

– A może mogę? – mówię i znów otwieram oczy.

Sam się wzdryga.

Nachyla się nade mną w tym samym miejscu co Fiore i natychmiast zdaję sobie sprawę, że musiałam być w fudze. Jest mi zimno, ale nie mam już gorączki; pościel jest wilgotna od potu, a światło za oknami ciemnieje. Zapada zmrok.

– Reeve? – pyta z niepokojem.

– Sam. – Unoszę rękę i wyciągam do niego.

Chwyta ją palcami.

– Jestem chora.

– Przyszedłem, jak tylko się dowiedziałem. Fiore zadzwonił do pracy. – Głos ma lekko zszokowany, spojrzenie znękanе. – Co się stało?

Znów dygocę. To przez te wilgotne prześcieradła.

– Później. – To oznacza: „Nie tu, gdzie ściany mają uszy”. – Daj mi wody. – Mam potwornie sucho w ustach. – Ciągle mam te fugi.

– Pielęgniarka wspominała, że przyjdzie lekarz – mówi Sam. – Doktor Hanta. Ma później przyjść i cię zbadać. Wyzdrowiejesz? Czemu w ogóle jesteś chora?

Ściskam jego dłoń najmocniej jak potrafię.

– Nie wiem.

Podaje mi wodę, przetykam ją.

– Podejrzewam... zresztą... nie wiem. Ile... spałam?

– Jak przyszedłem, nie poznałaś mnie. – Sam trzyma się mojej ręki, jakby się bał, że któreś z nas utonie. – Nie poznałaś mnie.

– Fugi są coraz gorsze – odpowiadam. Oblizuję usta. – Dzisiaj były... trzy... nie, cztery.

Nie do końca rozumiem dlaczego. Coś sobie przypominam, ale nie jestem pewna, ile z tego jest prawdziwe. Myślałam, że... – powstrzymuję się od powiedzenia, że zabiłam Fiorego, na wypadek gdybym naprawdę to zrobiła, a ksiądz z jakiegoś powodu o tym nie wiedział. – ...uciekłam. Ale obudziłam się tutaj. – Zamykam oczy. – Fiore twierdzi, że jestem chora.

– Co mam zrobić? – pyta żałośnie Sam. – Żebyś wyzdrowiała? Nie mają tu bramek A...

– Ciemnowieczna technologia. – Boli mnie już ręka od ściskania go. Zmuszam się do rozluźnienia chwytu. – Tutaj się nie dezasembkuje i nie odbudowuje ludzi, tu się używa leków, chemii i chirurgii. Próbuje się na miejscu reperować uszkodzone tkanki.

– To wariactwo!

Chichoć słabo.

– Poważnie? Tym właśnie jest ta doktor, lekarzem.

„Doktor”: jedno z tych dziwnych, przestarzałych słów, które nie znaczą już tego, co kiedyś – w prawdziwym świecie poza tym więzieniem doktor to uczony, ktoś, kto zajmuje się badaniami, a nie mechanik od białkowych ciał. Przypuszczam, że w prawdziwych ciemnych wiekach mogło znaczyć to samo – nikt naprawdę nie miał pojęcia, jak działają samopowielające się organizmy, więc był w tym element badań naukowych.

– Ona ma ustalić, co ze mną jest nie tak, i spróbuje to naprawić. O ile nie mają tu gdzieś w piwnicy medycznego asemblera... – Ściskam jego dłoń, bo przychodzi mi do głowy okropna myśl: jeśli mają tu medyczną bramkę A, ona będzie zakażona Osobliwą Żółcią, prawda? – Nie pozwól, żeby mnie do niej wsadzili!

– Wsadzili... do czego? Reeve, o co chodzi? Reeve, czy ty znowu masz fugę?

Wszystko wokół szarzeje. Sam nachyla się bliżej, a ja szepczę mu do ucha:

– „_ _”

A potem...

* * *

Desperacja jest motorem konieczności.

Od czasu tego komisijnego spotkania z Alem i Sanni minęło dwieście mega i sporo się zmieniło. Na przykład, ja: nie siedzę już w wojskowym fenotypie. Ani Sanni. Jesteśmy teraz cywilami, krwinkami wojskowości wypuszczonymi w pełen zamieszania obieg odbudowy, który stał się przyszłością Bytu.

Nie mogę się przyzwyczaić, że jestem znowu człowiekiem, orto, czy nieorto – gdzieś pogubiły mi się fragmenty własnej tożsamości. Kiedy wybuchła wojna, więząc mnie na RADUG-u na ponad pokolenie, zredukowałem się do tego, co miałem przy sobie i w głowie. Potem, gdy się zmilitaryzowałem, musiałem też darować sobie pewne aspekty tożsamości. W niektórych przypadkach nie do końca rozumiem dlaczego. Czasami to jasne (na wojnie należy tłumić chociażby skrupuły dotyczące zadawania bólu i obrażeń żołnierzom wroga), pewne luki nie przystają jednak do tej prawidłowości. Jeśli wierzyć moim zapiskom z czasu

spędzonego na pokładzie *Wdzięcznego za ciągłość*, poważnie i intensywnie interesowałem się wówczas muzyką barokową z epoki przedindustrialnej, teraz jednak nie pamiętam ani kawałka melodii. Zresztą byłem w stałym związku, miałem dzieci, chociaż zdumiewa mnie, że nie mam z tego okresu żadnych wspomnień ani uczuć. Może to taka reakcja na ból, a może nie – ale teraz, po demobilizacji, wydaje mi się, że brakuje mi kompletnie masy reakcyjnej i dryfuję po wektorze oddalającym się od wszystkiego, do czego byłem przywiązany. Trzyma mnie już tylko moja nowa praca.

Koty Linebargera wyszły z koalicji, zyskawszy potężne nowe aktywa. Mnie to zaskoczyło: otrzymałem taką liczbę kredytów, że przy starannym zarządzaniu mógłbym już nigdy nie pracować – no, przynajmniej przez parę giga. Wygląda na to, że wojna się opłaca, jeśli jesteś po stronie zwycięzców i uda ci się nie zgubić po drodze większej części umysłu.

Kiedy wyszedłem z MilSpace (zawiły proces wykorzystujący wiele anonimowych sieci remiksujących i jednokierunkowych bramek cenzorskich, które pozbawiły mnie wszystkich wojskowych modułów przed ponowną integracją w cywilnym społeczeństwie), kazałem się zreasemblować jako młody człowiek o podejrzanym reputacji w Poznawczej Republice Lichtenstein. Podejrzana reputacja to naprawdę coś, zwłaszcza kiedy przez ostatnie kilkaset mega nie miało się genitaliów.

Lichtenstein to ożywiona i cyniczna kolonia artystów-satyryków, tak wyrafinowanych, że prawie zatoczyli koło i wrócili do prymitywizmu. Konwencja nakazuje tu korzystać z filtrów wzrokowych pokrywających wszystko ciemnymi smugami i wypełniających ciała ludzkie jaskrawym kolorem. Życie upodabnia się więc do machinimy*. Osobliwy to styl, ale znajomy i uspokajający po bezsennej hiperspektralnej świadomości czołgu. Wałęsam się więc po galeriach i salonach Lichtensteinu, wymieniając się z innymi mieszkańcami ciętymi ripostami i nieprawdopodobnymi historiami, a w obfitym wolnym czasie często bywam w łaźniach i na kąpieliskach. Za punkt honoru biorę sobie, by nie przespać się dwa razy z tą samą osobą w tym samym cieple, choć po jakimś czasie odkrywam, że nawet taka anonimowa zmysłowość nie chroni mnie przed łzami kochanków: wygląda na to, że z połowa tutejszej ludności kogoś straciła i szuka go, wędrując po całym świecie.

Przez pierwsze cztery czy pięć mega z pozoru prowadzę życie pozbawione kierunku. Prywatnie natomiast pracuję nad czymś, co może się okazać wspomnieniami z wojny – staroświeckim, szeregowym tekstem prowokacyjnie promującym jeden punkt widzenia, bez żadnych pretensji do obiektywizmu – podczas gdy publicznie twierdzę, że żyję z oszczędności. Demob dał mi stosunkowo bezpieczną tożsamość-przykrywkę – tego playboya-rentiera, dziedzica majątku z innego ustroju, wysłanego, żeby spędził młodość w mniej ciasnym (i mniej upolitycznionym) środowisku. Nietrudno mi prowadzić tę grę pozorów. W głębi duszy jednak uwiera mnie brak sensu i znaczenia w takim życiu; chciałbym coś robić:

* Machinima – technika animacji wykorzystująca mechanizmy graficzne gry komputerowej, sceny „odgrywane” przez postaci wewnątrz gry (przyp. tłum.).

projekt prowadzony pod auspicjami Sanni przez parę ostatnich lat, choć pasuje do tej definicji, jest, siłą rzeczy, anonimowy. Jeśli coś z niego zapisze się w historii, będą to moje dokonania, lecz nie nazwisko. I tym sposobem, w miarę jak pogrążam się w coraz większej dekadencji, zaczyna mnie spowijać mgiełka melancholii.

Wtem pewnego ranka budzi mnie blaszany dźwięk trąbek ze stojącego przy łóżku tellurium, co oznacza, że mam gościa.

Dochodzę do siebie, uzmysławiam sobie kim jestem – i że jestem poważnie chora – dokładnie w momencie, gdy doktor Hanta dotyka mnie między piersiami małym, lodowato zimnym mosiężnym dyskiem.

– Au!

– Oddychać powoli – poleca, całkiem miłym tonem, po czym mruga jak senna sowa za grubymi szklami okularów: – No, to wróciliśmy do krainy przytomności, tak?

Dopada mnie gwałtowny atak kaszlu, mięśnie kurczą się w spazmach, od których bolą mnie żebra. Hanta odsuwa się nieco, zabiera stetoskop.

– Rozumiem – mówi. – Poczekam... Może szklankę wody?

Kiedy kaszel ustępuje, zauważam, że podniosła tył mojego łóżka.

– Tak. Poproszę. – Cała dygocę, jestem słaba, ale już nie marznę.

Podaje mi szklankę, udaje mi się ją chwycić, niczego nie rozlewając, choć ręka potwornie się trzęsie.

– Co się ze mną stało?

– Przyszłam, żeby to właśnie ustalić.

Jest drobną kobietą, niższą ode mnie, o trochę ciemniejszej cerze, choć nie takiej bakłażanowo-brązowej jak u Fiorego. Krótkie włosy są przyprószone srebrnymi oznakami zbliżającej się starości, a wokół oczu ma kurze łapki. Jest ubrana w dziwaczny biały kitel zapinany z przodu na guziki i trzyma zawile totemy swojego klanu, kaduceusz i stetoskop. Końcówką tego drugiego suwa mi po piersi. Wydaje się życzliwa, otwarta i godna zaufania – przeciwieństwo jej dwóch duchownych kolegów – ale wygląd może mylić, więc jakiś instynkt każe mi dalej pilnować się w jej obecności.

– Dawno jesteś w malignie?

– W malignie?

– W gorączce. Dreszcze, zimno, na przemian z gorącem. Nocne poty, tego typu rzeczy.

– Aha, od jakichś... – Czuję, jak marszczy mi się czoło. – A jaki dziś mamy dzień? Długo tu jestem?

– Od sześciu godzin – odpowiada cierpliwie doktor Hanta. – Przywieźli cię trochę po południu.

Dygocę konwulsyjnie. Skórę mam lodowatą.

– To jakąś godzinę czy dwie wcześniej.

– Wielebny doktor Fiore powiedział mi, że się wspinałaś. – Ton ma neutralny,

profesjonalny, bez odrobiny wyrzutu.

Przełykam ślinę.

– Wtedy się zaczęło.

– Masz szczęście. – Hanta uśmiecha się zagadkowo i przesuwając stetoskop na mój lewy bark, odsuwając szpitalną koszulę, żeby go odsłonić. – Przepraszam, postaram się szybko. Hm. – Gapi się na kryształ stetoskopu i marszczy brwi. – Dawno już nie widziałam... oj, przepraszam. – Prostuje się. – Wspinanie się w ścianach jest niebezpieczne, bo niektóre sąsiednie biomy nie są biomorficznie zintegrowane. Na poziomach stanowiących rezerwę masy są replikatory, które zjedzą wszystko, co jest oparte na szkielecie nukleotydowym, jeśli nie nadaje specjalnego sygnału powstrzymującego. A ty nie nadajesz.

Przełykam raz jeszcze. W ustach mam nienaturalną suchość.

– Co takiego?

– Jakimś sposobem udało ci się złapać odmianę *pestis mechaniculorum*. Gorączkujesz, bo twój system immunologiczny ciągle usiłuje z nią walczyć. Masz szczęście, że cię znaleźliśmy, zanim wdała się cytoliza... W każdym razie, naprawię ci to, jak tylko ją do końca zsekwencjonuję.

– Uhm. – Znow się wzdrygam. – Aha, no dobrze.

– Co „no dobrze”? Czy muszę ci jeszcze raz powtórzyć, żebyś nie wspinała się w ścianach?

Kręcę głową, niemal zażenowana, że tak bałam się, że mnie znajdą.

– No to świetnie. – Poklepuje mnie po ramieniu. – A przynajmniej, jeśli znów ci się zachce tam leżeć, przyjdź najpierw do mnie, dobrze? Proszę. Żeby już nie było żadnych nieszczęśliwych wypadków. – Ostrożnie odłącza stetoskop i owija go wokół kaduceusza. Delikatnie pyka i stapia się z laską. – Teraz po prostu dostaniesz antyrobotyk i szybko dojdiesz do siebie.

Podciąga kitel i siada na stołku obok łóżka.

– Nie wypadła pani trochę z roli? – pytam, rezygnując z ostrożności. Podejrzewam, że gdybym zadała to pytanie Yourdonowi albo Fioremu, odgryźliby mi głowę, Hanta natomiast wydaje się łatwiejsza w kontakcie, a może i bardziej godna zaufania.

– Wszyscy popełniamy błędy. – Znow ten uśmiech: trochę nie z tego świata, bardzo szczerzy, jakby śmiała się z żartu, z którego śmiałabym się i ja, gdybym tylko wiedziała, o czym jest. – Skarbie, pozwól, że to ja będę się martwić spójnością eksperymentu. – Macha lekceważąco ręką. – Oczywiście przejmujemy się tym, co się dzieje, kiedy księża nie patrzą. Oczywiście, że ludzie próbują naciągać system – tego musimy się spodziewać. Możliwe, że niektórzy nie chcą tutaj być. Może zmienili zdanie po podpisaniu zgody. Ja powiem tylko tyle: robimy co możemy, żeby nie byli tutaj nieszczęśliwi. – Unosi brew. – Niełatwo jest prowadzić eksperyment o takiej skali, wszyscy popełniamy błędy. Co jeszcze mogę powiedzieć? Niektórzy częściej niż inni. – Teraz jej twarz wyraża łagodny niesmak,

dopowiadając wszystko co trzeba. Chce uzyskać moją zgodę, ja zaś stwierdzam, że wbrew zdrowemu rozsądkowi kiwam głową.

– Ale te błędy... – Urywam, niepewna, czy mam kontynuować.

– No? – Nachyla się ku mnie.

– Jak się czuje Cass? – Zmuszam się do zadania tego pytania.

Twarz doktor Hanty, dotąd otwarta i życzliwa, zamyka się jak zapadnia.

– A czemu pytasz?

Znów oblizuję usta.

– Muszę się czegoś napić.

Zsuwa się ze stołka, obchodzi łóżko, nalewa resztę wody z dzbanka do szklanki i podaje mi ją bez słowa. Łykam.

– Zdaje się, że to drobny błąd Fiorego. – Chcę wypowiedzieć to lekkim tonem, ale wychodzi tak, że ocieka sarkazmem.

– Ano tak. – Doktor Hanta rozgląda się, zerka na drugi koniec sali, patrzy na coś oddzielnego ode mnie zasłonką.

Wzdrygam się, i tym razem nie z powodu gorączki.

– Nie powiedziałabym, że drobny. – Głos ma suchy, choć coś w jego tonie sprawia, że cieszę się, nie widząc jej twarzy. Lecz kiedy odwraca się z powrotem do mnie, ma ją z powrotem doskonale opanowaną. – Z Cass wszystko będzie dobrze, skarbie.

– A z Mickiem? – podsuwam.

– To jest jeszcze do ustalenia.

– Do ustalenia. A to, co stało się z Esther i Philem, też zostało wcześniej ustalone?

– Reeve... – naprawdę ma czelność robić urażoną minę – ...nie, nie było. Ktoś bardzo kiepsko ocenił sytuację. Sięgnęli z powrotem do źródeł historycznych i odkryli, że to, co robili Esther i Phil, nie było aż tak niezwykle. I masz rację, waga przypisana temu... ehem, co zrobili... major Fiore nie docenił nastroju tłumu. To się już nie zdarzy, nauczyliśmy się na tym doświadczeniu i na... – Przetyka ślinę, potem kiwa nieznacznie głową w stronę kurtyny. – Jeśli jakieś małżeństwo nie będzie się dogadywać, zostanie zastosowana taka procedura, dzięki której można uzyskać oficjalną zgodę na rozstanie. My nie jesteśmy źli. My patrzymy na to w szerszej perspektywie: jeśli będziecie nieszczęśliwi, jeśli wszyscy będziecie tutaj nieszczęśliwi, ustrój się nie wykrystalizuje i eksperyment nie zadziała.

Eksperyment nie zadziała. Patrząc na nią i zastanawiam się: ona to mówi poważnie? Fiore i Yourdon są takimi cynikami, że aż jestem zdumiona, widząc kogoś z ich zespołu, kto najwyraźniej wierzy w to, co robi. Jej szczerość zbija mnie z tropu, konfunduje, jak policyjne zombiaki widok rozbierającej się kobiety.

– Hm, chyba rozumiem. – Kręcę głową i krzywię się z bólu. Boli mnie szyja. – Ale tak, jak długo zostanie tu Mick, niektórzy z nas dalej będą nieszczęśliwi.

– No cóż, kwestię Micka się załatwi, tak czy inaczej. – Kaduceusz podzwania, zwracając

jej uwagę, więc mówiąc, zaczyna coś przy nim majstrować. – Nie wydaje mi się, żeby uszkodzenia psychologiczne były nienaprawialne i chyba nie trzeba go będzie odzyskiwać z backupu. To dobrze. Ale parametry motywacyjne będę musiała zaprojektować mu od zera. – Marszczy czoło, patrząc na węzową główkę, lecz nie tłumaczy dalej. – A Cass będzie... no, na razie zajmuję się obrażeniami fizycznymi. Kiedy poczuje się lepiej, zapytam ją, kim chciałaby być. – Milknie na parę sekund. – Większość towarzystw medycznych, w obliczu tak ciężko uszkodzonego pacjenta, zaordynowałaby poważną operację pamięci albo po prostu likwidację instancji i przywrócenie z backupu. Ja natomiast nie dam zgody na tak poważną interwencję, nie biorąc pod uwagę jej woli.

Milknie znowu. Po chwili uświadamiam sobie, że wpatruje się we mnie.

– O co chodzi?

– Musimy porozmawiać o tych twoich zanikach.

– Moim czym? – gryzę się w język, ale już trochę za późno udawać durną.

Hanta unosi brew i krzyżuje ręce na piersi.

– Wiesz co, nie jestem głupia. – Odwraca wzrok, jakby mówiła do kogoś innego. – Wszyscy tutaj przeszli edycyjną modyfikację wag i redukcję doświadczeń, zanim zostali zrekrutowani. Między innymi dlatego ten ustrój potrzebuje medycznego nadzoru. Żeby być przygotowanym na kryzysy tożsamości. Większość ludzi ma niewyraźną świadomość, kim kiedyś byli i dlaczego zdecydowali się na operację pamięci. Od czasu do czasu trafi się ktoś, kto nie pamięta – bo chciał coś schować tak głęboko, żeby w normalnych warunkach nie mieć o tym pojęcia. Coś bolesnego. Ale na ogół nie obserwujemy... no właśnie! Odkąd cię tu przyjęto, dwa razy miałaś fugę, wiesz o tym? Podczas ostatniej rozmawiałam z twoim mężem i powiedział, że masz je coraz częściej. – Nachyla się ku mnie, dalej trzymając dłonie pod pachami. – Nie chcę ci wchodzić z butami, jeśli nie chcesz, ale sądząc po objawach, pomoc jest ci bardzo potrzebna. Wygląda na to, że źle reagujesz na supresanty, które dała ci klinika; jest ryzyko, że zmierzasz do jakiegoś kryzysu. Nie chcę dramatyzować, ale w najgorszym przypadku możesz stracić... no właśnie: wszystko, co sprawia, że jesteś sobą. Na przykład, jeśli to reakcja autoimmunologiczna – w karcie masz napisane, że wszczepiono ci heurystyczne ulepszenia układu dopełniacza, a te bayesowskie moduły czasem zaczynają strzelać do czego popadnie – może się skończyć amnezją następczą, kompletną niezdolnością do tworzenia nowych struktur pamięciowych. Albo po prostu gdzieś spod spodu przebijają się poprzednia, nieudolna operacja, co powoduje zaniki na skutek braku integracji wspomnień, w tym przypadku to powinno po jakimś czasie przejść, chociaż po drodze wcale nie będzie przyjemnie. Nie mogę ci jednak powiedzieć, czego możesz się spodziewać, ani tym bardziej zaczynać cię leczyć, jeśli nie chcesz nawet przyznać, że masz problem.

– Hm. – Chwilę trwa, zanim to wszystko do mnie dotrze, Hanta jest jednak niesamowicie cierpliwa i czeka, aż sobie to przemyślę. Gdybym nie wiedziała, kim jest, mogłabym przysiąc, że naprawę mnie lubi. – Problem – powtarzam, nie wiedząc ile mogę wyjawic, a potem

zimny pot znów płynie mi po kręgosłupie i wpadam w niekontrolowane dreszcze.

– A propos problemów... – Unosi kaduceusz. – Trochę zaboli, ale tylko przez chwilę i znacznie mniej niż mechanoplaga, która zjada cię żywcem. – Uśmiecha się blado, celując nim w moje ramię.

Krzywię się, gdy kęsażą mnie zmije. Zębki trochę kłują, kiedy pompują mi do krwi środki wspomagające odporność, ulepszające mój protetyczny system immunologiczny, żeby poradził sobie z *pestis*. Próbuję się nie krzywić.

– Trochę potrwa, zanim infekcja się uspokoi. Jest pewne ryzyko, że będzie ewoluować szybciej niż robofagi, więc poleżysz tu jeszcze przez noc. Na obserwacji. Mam nadzieję, że jutro poczujesz się na tyle dobrze, żeby cię wypisać. I dam ci jeszcze tydzień zwolnienia. W międzyczasie zastanów się nad tym, co mówiłam o twoim problemie z pamięcią. Rano, kiedy przyjdę cię zbadać, pogadamy.

Żmijowe główki puszczają mnie i owijają się z powrotem wokół laski. Hanta wstaje.

– Śpij dobrze!

* * *

Oczywiście wcale dobrze nie śpię.

Najpierw przez nieokreślony czas trzęsę się od zimnych potów, od czasu do czasu zapominając oddychać, dopóki jakiś prymitywny odruch nie zmusi mnie do potężnego, chrapliwego wdechu. Kiedy się boisz, że przestaniesz oddychać, sen w ogóle nie wchodzi w grę, więc podkręcam się aż do skrajnego podenerwowania, odtwarzając w myślach wypadki ostatniego dnia. Potężne strugi tętniczej krwi rzucające jak duchy na ściany, cienie moich wyrzutów sumienia, że zabiłam Fiorego... Fiorego? On nie ma pojęcia, że go zabiłam! Czy ja sobie to wszystko wyhalucynowałam? Tę wariacką wspinaczkę szybem? Na pewno nie, nadwerężone mięśnie jeszcze mnie pieką. I ksiądz, i lekarka wiedzieli o niej. Zakładając, że nie wyobraziłam sobie ich odwiedzin, upominam sama siebie. Walczę z robocią infekcją i nieznanym kryzysem neurologicznym jednocześnie. Można chyba w tej sytuacji podejrzewać, że mi odbija?

Światła na oddziale przygasły, a skrawek nieba widoczny przez okna ciemnieje, przybierając fioletową barwę, usiany świetlnymi punkcikami, które dziwnie migocą, jak przepuszczone przez grubą warstwę wody. Może nie zorientowali się, że wiem o Osobliwej Żółcieni i asemblerze w piwnicy biblioteki, mówię sobie. Po prostu myślę, że dopadło mnie załamanie nerwowe i poszłam się powspinać. Fuga dysocjacyjna, nie tak to nazywali starożytni? Zakazałam się kompostowym nano, Fiore zawołał Hantę, żeby mnie poskładała, ale nie piśnie o tym słowa w kościele, bo to podważa spójność eksperymentu. Może mają rację i po prostu sobie wyobraziłam, że go zabiłam. Może nie przypominam sobie fragmentów byle jak usuniętych wspomnień, lecz konfabuluję na podstawie urywków, syntetyzuję fałszywe wspomnienia z odłamków pozostałych po nieudanej operacji pamięci.

Pamiętam pobyt u Kotów, może to po prostu wspomnienia z jakiejś gry, w którą kiedyś grałam? Realistycznej, dla wielu graczy, z intrygą i modelem tożsamości – nie przypominam sobie, żebym grała, ale gdybym była uzależniona od gier, może próbowałabym się tego pozbyć lekkim zabiegiem na pamięci?

Dociera do mnie, że nikogo nie mogę spytać. Jeśli zapytam Sama, a on stwierdzi, że nie słyszał o Kotach Linebargera, to nie oznacza, że nie istnieli naprawdę – przecież wszyscy tutaj są po kasowaniu pamięci! Zachichotałabym, gdybym nie miała tak sucho w gardle. Jestem Reeve! Patrzcie, teraz wymyślę sobie kupę wspomnień, żeby mnie zdręczały! A ten gość, który śledził mnie w korytarzach Niewidzialnej Republiki, był prawdziwy czy nie? A ta walnięta dziwka z mieczem, która mnie wyzwała? Uciekałam przed wrogami, których w zasadzie nigdy nie widziałam – tylko migali mi na skraju pola widzenia. Całkiem jakbym cierpiała na ślepowidzenie, tę osobliwą neurologiczną przypadłość, której ofiary nic nie widzą, ale potrafią zgadywać, co się dzieje w ich polu widzenia. Może jestem agentką wywiadu, usiłującą wytropić kryjówkę niebezpiecznych wrogów...? A może po prostu żalną, chorą kobietą, której gra zastąpiła prawdziwe życie i teraz za to płaci.

Leżę pośród zmroku, nie mogę zasnąć. W końcu zauważam, że dreszcze ustąpiły. Wszystko mnie boli, jestem osłabiona, ale to nic dziwnego po tej wspinaczce. Kiedy tak leżę, zaczynają docierać do mnie ciche odgłosy z sali, dyskretny biały szum klimatyzatora, tykanie zegara, ciche szlochanie...

Szlochanie?

Siadam prosto, zsuwa się ze mnie prześcieradło i koc. W głowie kłębią mi się równocześnie różne myśli, lęk i nieuchwytna ulga. „Ratowanie Cass” i „Skoro ona tu leży, to wspomnienie jest prawdziwe” i „To nie oznacza, że wszystko inne było prawdziwe”, a wreszcie: „Ale jeśli było, to Cass też...”.

– Cholera – słyszę własny szept. Podciągam koc i ściskam go jak przerażone dziecko. – Z tym sobie nie poradzę. – Mam ochotę ssać własny kciuk. – Na to nie jestem gotowa. – Subwokalizuję, tak cicho, że w ogóle nie wydaję dźwięku. Kiedy mówię prawdę, muszę mówić cicho, bo prawda jest niewygodna i bolesna.

Wracam myślą do tego, co powiedziała Hanta: „kiedy się poprawi, zapytam ją, kim chce być”. To mnie uspokaja. Ja na pewno nie mam Cass niczego lepszego do zaoferowania. Czy Hanta umie porządnie zrobić operację pamięci? – zastanawiam się. Zdziwiłabym się, gdyby nie zabrali tu ze sobą pełnoprawnego chirurga-spowiednika – to najlepsze możliwe zabezpieczenie w tych drobnych etycznych incydentach, jakie mogą przytrafić się w eksperymentalnym ustroju. (Albo tych drobnych incydentach z infiltracją, jakie mogą przytrafić się w tajnym wojskowym ośrodku – przypomina mi kłamliwa, cyniczna część mojej jaźni, której już chyba w ogóle nie mogę wierzyć).

Kładę się z powrotem. Szloch trwa jeszcze przez chwilę, potem słyszę stukot obcasów pielęgniarki. Podchodzi do łóżka. Ciche głosy, westchnienie, potem chrapanie. Biały duch

zombiaczki przystaje u nóg mojego łóżka. Twarz jest ciemnym owalem.

– Coś pani podać? – pyta mnie.

Kiwam głową. To nieprawda, ale tego, czego potrzebuję, mi nie podadzą.

Wreszcie zapadam w drzemkę.

15. Rekonwalescencja

Następny poranek zaczyna się kiepsko, porozbijany na odłamki jak przewrócony wazon:

– Znowu fugi. Reeve, coraz z tobą gorzej.

Jego wielka dłoń obejmuje moją, małą. Błądą i słabą. Gładzi mnie kciukiem po wierzchu nadgarstka. Patrzę mu w oczy, widzę w nich smutek i zastanawiam się, dlaczego...

Dwie żmijowe główki z ciekłego metalu gryzą mnie w przegub, krzyczę, odsuwając się, gdy wstrzykują mi łagodzące odrętwienie. Trzymająca je kobieta to złotoskóra bogini o płonących oczach.

Znowu jestem czołgiem, batalionem czołgów, spadam przez lodowatą noc ku habitatowi wroga – czy to przyszło później? Odłączam się od interfejsu wirtuala i kręcę głową, patrzę na innych graczy w salonie gier i słyszę własny szept:

– Ale to nie było tak...

Skrobanie zaostzonego gęsiego pióra o szorstki papier, obsadka zrobiona z ludzkiej kości. Na początku nie będziesz pamiętać nic. Gdyby ci to zostawić, mogliby zanalizować twój wektor przeżyciowy i rozpoznać w tobie zagrożenie.

– Dzisiaj naprawdę z nią kiepsko. Środki wspomagające zadziałały – infekcja wyraźnie się leczy – ale w tym stanie to na nic.

– Czego pan ode mnie oczekuje? Jest niebezpieczeństwo, że popadnie w pełną następczą...

Duszący smród wnętrzości, gdy wyciągam szpadę z jego brzucha. Leży między krzewami róż w strefie pojedynkowej, w cieniu marmurowego posągu przedstawiającego wymarły gatunek latającego ssaka. Nagłe ukłucie przerażenia, bowiem jest to człowiek, którego mogłam pokochać.

– Proszę ją naprawić.

– Nie mogę. Bez jej zgody, nie mogę.

Dłoń zaciska się na czyimś przegubie, niemal boleśnie.

– Ona w tym stanie nie da zgody. Proszę tylko popatrzeć. Co pani zrobi, jeśli zacznie mieć konwulsje?

Znowu jestem czołgiem, brodę w okropnej kałuży, krew przesącza mi się pomiędzy

antypoślizgowymi palcami stóp, zamierzam się mieczem na szyję kolejnej rozwrzeszczanej kobiety, przytrzymywanej przez dwie inne moje instancje.

Lecę, koziołkując, to skrzydłami, to tyłkiem do góry, a złamany kciuk lamentuje. Czuję zapach słodkiej wody wodospadu w dole.

– Proszę to zatrzymać – mamrocze ktoś.

Mam krew na ustach, omal nie przegryzłam warg. To mnie trzymają te czołgi, naprzeciw kobiety o płonących oczach, obok niej stoi zaś mężczyzna, który mnie kocha; gdybym tylko pamiętała, jak on się nazywa.

Węże znów kęsają i piją obficie. Słońce ciemnieje.

* * *

Restart:

Dociera do mnie, że ktoś trzyma mnie za prawą rękę.

Potem, niezmierny czas później, uświadamiam sobie, że robi to dalej. To znaczy, że jest bardzo ciepły, bo ja wciąż leżę w łóżku, a wokół jest bardzo jasno.

– Która godzina? – pytam, odrobinę spanikowana, że muszę wstawać do pracy.

– Ciii. Mniej więcej pora obiadowa. Wszystko w porządku.

– Wszystko w porządku?

Sam ściska mnie za rękę.

– To ile ty tu siedzisz?

– Niedługo.

Otwieram oczy i patrzę na niego. Siedzi na stołku obok łóżka. Robię minę, uśmiecham się, czy coś takiego.

– Oszukujesz.

Nie uśmiecha się, nie kiwa głową, ale napięcie ulatuje z niego jak woda.

– Reeve? Pamiętasz to?

Mrugam pośpiesznie, próbując usunąć jakiś pyłek z kącika lewego oka. Czy pamiętam...

– Dużo rzeczy pamiętam – mówię. Natomiast, ile z tego jest prawdą, to zupełnie inna kwestia.

Głowa boli od samej próby uporządkowania tego! Jestem czołgiem; jestem rozwiązłym młodym biolotnikiem, który chce się zabić, a może żalosnym przypadkiem uzależnienia od gier, albo głęboko zakonspirowanym agentem. Ale wszystkie te możliwości są o wiele głupsze i mniej prawdopodobne niż to, co podpowiada całe moje otoczenie – że jestem małomiasteczkową bibliotekarką, która miała załamanie nerwowe. Mocno trzymam go za rękę, jakbym tonęła:

– Bardzo źle ze mną było?

– Oj, Reeve, naprawdę źle. – Pochyliła się nade mną, przytula, ja też obejmuję go najmocniej, jak potrafię. – Tak źle, że gorzej już chyba być nie mogło.

Cały się trzęsie, uświadamiam sobie z rosnącym zdumieniem. To jemu tak bardzo na mnie zależy?

– Bałem się, że cię stracę.

Wtulam twarz w jego szyję.

– To byłoby bardzo źle. – Teraz moja kolej zadygotać z egzystencjalnego lęku na myśl, że ja mogłabym stracić jego. W zeszłym tygodniu, w pewnym momencie, stał się moją kotwicą, azyłem na wzburzonych wodach mojej tożsamości. – Mam... zresztą. Trochę mi się teraz wszystko miesza. Co się stało. Kiedy się dowiedziałeś...?

– Przyjechałem najszybciej jak mogłem – mruczy mi do ucha. – Dzwonili wczoraj w nocy, ale powiedzieli, że nie mogę przyjść, bo jest za późno. – Spina się.

– I? – ciągnę go za język. Mam przeczucie, że coś jeszcze chce powiedzieć.

– Miałaś ataki. – Ciągłe jest spięty. – Doktor Hanta powiedziała, że to ostry kryzys, że trzeba ci dać utrwalacz, ale nie może tego zrobić bez twojej zgody. Powiedziałem, że ma go dać i tak, ale odmówiła.

– Utrwalacz? Czego?

– Pamięci. – Jest jeszcze bardziej spięty.

Puszczam go, czując chłód.

– A co on robi?

Doktor Hanta odpowiada mi zza moich pleców. Odwracam się twarzą do niej.

– Zapisy pamięciowe są rejestrowane na kilka sposobów, jako różnice wag na połączeniach synaptycznych oraz jako połączenia między nerwami. Ostatnia edycja i kasowanie, jakie przeszłaś, było nieudane. Zaczęłaś mieć przesłuchy. One z kolei alarmowały twój ulepszony układ immunologiczny, a potem jeszcze miałaś kontakt z infekcją mechanocytów, co bardzo pogorszyło sprawę. Gdy nowe asocjacje zaczynały się integrować, twoje własne robofagi uznawały to za sygnał mechanocytów i zabijały komórki nerwowe. Niewiele brakowało, żebyś całkiem utraciła zdolność tworzenia nowych długoterminowych zapisów asocjacyjnych – postępowało już uszkodzenie mózgu. Utrwalacz normalnie stosuje się w ostatniej fazie edycji pamięci. Użyłam go, by zrenormalizować, wykasować stare wspomnienia, które się przebijały. Przykro mi, lecz nie będziesz już mieć do nich dostępu – zachowasz te, które się zintegrowały, natomiast reszta przepadła na zawsze.

Sam puszcza mnie, a ja opieram się o niego, wbijając wzrok w lekarzkę.

– Pozwoliłam pani grzebać sobie w głowie?

Hanta patrzy na mnie.

– Pozwoliłam? – powtarzam. Jestem przerażona. Jeśli zrobiła to wbrew mojej woli, to znaczy...

– Tak – mówi Sam.

– Co takiego?

– Ona... ty byłaś już bardzo daleko. – Znow się nade mną pochyla. – Ona ci opisywała,

jaka jest sytuacja, i mnie też... Prosiłem ją, żeby to zrobiła, mówiła, że nie może... a potem już byłaś w delirium. Zaczęłaś bełkotać, ona cię zapytała, powiedziałaś „tak”.

– Ale nie pamiętam... – Urywam, bo jakbym coś pamiętała. Pewności jednak nie ma, prawda? – Ach.

Wbijam wzrok w Hantę. Jej oczy mają znajomy wyraz. Gapię się na nią przez długi czas. Potem zmuszam się do kiwnięcia głową, właściwie szarpnięcia, co wystarcza, żeby przerwać kontakt. Chyba wszyscy jednocześnie z ulgą wypuszczamy powietrze. Tymczasem myślę sobie: Jasna cholera, teraz już nigdy nie dojdę do ładu z własną przeszłością, tak? Tyle że alternatywa byłaby znacznie gorsza. Niespecjalnie pamiętam te ataki, wiem natomiast, co działo się pomiędzy nimi, znam skutki – ta historia się klei. To chyba będzie nowa historia mojego życia.

– Czuję się teraz o wiele lepiej – mówię ostrożnie.

Sam parska śmiechem, przeraźliwym, pobrzmiewającym histerią.

– Lepiej się czujesz? – Znów mnie przytula, a ja odwzajemniam uścisk.

Hanta się uśmiecha, chyba z ulgi, że trudna sytuacja się rozładowała. Podejrzliwy, paranoiczny zakątek mojego umysłu zapamiętuje to sobie na przyszłość, teraz jednak nawet moja jaźń tajnego agenta chciałaby przyznać, że Hanta jest tym, na kogo wygląda – ortodoksyjnie etycznym lekarzem, któremu na sercu leży wyłącznie dobro pacjenta. To znaczny postęp w porównaniu z Fiorem czy biskupem – przynajmniej jeden eksperymentator na trzech nie jest zły.

– To kiedy mogę iść do domu? – pytam z nadzieją.

* * *

Jak się okazuje, tkwię w szpitalu przez resztę dnia i zostaję na noc. Życie tutaj jest męczące, taktowane odzianymi w biel duchami wtaczającymi wózki z jedzeniem i różnym sprzętem, instrumentami i ciemnowiecznymi medykamentami.

Po tej gorączce ciągle mnie boli i jestem osłabiona, ale mam już dość sił, żeby wstać i samodzielnie pójść do łazienki. Wracając, zauważam, że zasłona wokół drugiego zajętego łóżka na oddziale jest odsunięta. Rozglądam się, lecz nie widzę żadnej pielęgniarki. Biorę się w garść i podchodzę.

To Cass. Fatalnie wygląda. Nogi, od stóp po uda, ma zamknięte w jaskrawoniebieskich plastikowych rurach i uniesione drutami, tak że pościel zwisa z nich, tworząc coś w rodzaju doliny. Siniaki na twarzy zbladły do paskudnej zieleni i żółcieni, z wyjątkiem tych wokół oczu, które są jednocześnie opuchnięte i zapadnięte, zakryte obwisłymi powiekami. Nadal jest chuda, a płyn w przezroczystej torebce powoli wsącza się przez rurkę w nadgarstek.

– Cass? – pytam cicho.

Otwiera oczy i odwraca się do mnie.

– Guuu – mówi.

– Co? – Wzdrygam się. Słyszę za sobą kroki. – Dobrze się czujesz?

Podchodzi zombie-pielęgniarka.

– Proszę odsunąć się od pacjentki. Proszę odsunąć się od pacjentki.

– Co z nią? – pytam. – Co żeście z nią zrobili?

– Proszę odsunąć się od pacjentki – mówi pielęgniarka, a po chwili odpala się inny odruch: – Wszystkie pytania należy kierować do kierownictwa placówki. Dziękuję za przestrzeżenie zaleceń. Proszę wrócić do łóżka.

– Cass... – próbuję po raz ostatni. Głęboka operacja pamięci sunie mi przez mózg jak płatek śniegu, zamrażając wszystko, czego dotknie. Czuję się strasznie. – Cass, jesteś tam?

– Proszę wrócić do łóżka – mówi pielęgniarka, odrobinę groźniej.

– Już idę, już idę – mówię i człapię z powrotem, od biednej, rannej Cass. Cass, którą wzięłam za Kay, na której punkcie miałam obsesję, gdy w sąsiednim pokoju przez cały czas spała prawdziwa Kay, a życie Cass było koszmarem.

Coś mi tu się nie klei w etyce. Myślę, że Hanta nie jest zła. Ale współpracuje z Fiorem i Yourdonem. Kim trzeba być, żeby robić coś takiego? Kręcę głową, krzywiąc się od dysonansu poznawczego. Kimś, kto wykonałby nielegalną operację pamięci, a potem wszczepił ofierze fałszywe wspomnienie, że dawał na to zgodę? Jeszcze raz kręcę głową. Nie wydaje mi się, żeby Hanta zrobiła coś takiego, pewności jednak mieć nie mogę. Czy jeśli po wszystkim pacjent zgadza się z lekarzem, mamy do czynienia z nadużyciem?

* * *

Jest słoneczny czwartkowy ranek, gdy Hanta przychodzi i siada koło mojego łóżka z clipboardem.

– No! – Uśmiecha się ze szczerą aprobatą. – Reeve, naprawdę świetnie się spisałaś. Szybko dochodzisz do siebie. Myślę, że już będę mogła cię wypisać. – Długopisem notuje coś na tabliczce. – Rekonwalescencja jeszcze potrwa, więc przez parę dni radzę się nie przemęczać, a już na pewno nie wracać do pracy, przynajmniej przez tydzień, a najlepiej dopiero w następny poniedziałek. Weź tę kartkę i daj ją Janis, jak wrócisz do biblioteki, to jest zaświadczenie, że jesteś na chorobowym. Jeśli ci się pogorszy albo będziesz mieć atak dezorientacji, masz natychmiast zadzwonić do szpitala, przyślę po ciebie karetkę.

– A na co mi się zda karetkę, jeśli będę nieprzytomna albo będę mieć halucynacje? – pytam z powątpiewaniem. Hanta odgarnia niesforny kosmyk włosów.

– Ustrój cały czas jest zaludniany – mówi. – Sanitariusze pojawiają się dopiero w przyszłym tygodniu. Będą mieć na wszczepkach dodatkowy zestaw umiejętności. W każdym razie, za dwa tygodnie, jeśli zawołasz karetkę, zobaczysz pielęgniarkę albo policjanta, już nie będziesz mieć do czynienia z zombiakiem. – Rozgląda się po sali. – Jak dla mnie, najwyższy czas.

– Chciałam zapytać... – Waham się, niepewna, jak poruszyć ten temat, Hanta wie jednak,

o co mi chodzi.

– Dobrze zrobiłaś, wzywając karetkę – mówi stanowczo. – Nie ma żadnych wątpliwości.
– Dotyka mojego ramienia dla podkreślenia tych słów. – Ale w nietypowych okolicznościach zombiaki są na nic. – Ciche westchnienie. – O wiele łatwiej będzie, kiedy będę mieć żywych asystentów, którzy mogą się uczyć, praktykując.

– Ile tu będzie docelowo ludzi? – pytam. – Materiały na początku mówiły coś o dziesięciu kohortach po dziesięć osób, ale skoro chcecie mieć policjantów i pogotowie, to na pewno dużo więcej?

Robi zdziwioną minę.

– No tak, stu uczestników to po prostu liczność zbioru porównawczego do renormalizacji punktacji. Czyli pojedyncza parafia, Reeve. Uczestników wpuszczamy do kolejnych parafii w kontrolowany sposób, po dziesięć kohort, lecz już prawie wszyscy są na miejscu. W przyszłym tygodniu otwieramy bramki i łączymy wszystkie parafie ze sobą. Dopiero wtedy Ustrój YFH naprawdę zaczyna istnieć. Będzie fajnie, będziesz spotykać nieznaną osobę i o wiele mniej zombiaków.

– Wow – mówię płaskim głosem. Kręci mi się w głowie. – Ile tych, eee... parafii chcecie połączyć?

– Hm, jakieś trzydzieści parę. Wystarczy, żeby powstało małe miasto. Według naszych modeli to minimum dla powstania stabilnego społeczeństwa.

– Na pewno ciężko jest panować nad tym wszystkim.

– Jeszcze jak. – Doktor Hanta wstaje i poprawia biały kitel. – Trzeba co najmniej trzech mnie, żeby wszystkiego dopilnować! – Kolejny niesforny lok zostaje zatknięty za kołnierz. – Teraz, jeśli pozwolisz, pójdę już. Masz wypis, możesz iść do domu, kiedy zechcesz, po prostu powiedz pielęgniarce, że chcesz iść. Coś jeszcze?

– Tak – odpowiadam pośpiesznie. Waham się. – Kiedy miałam ten kryzys, czy nie kusilo pani, żeby... no wie pani, coś zmienić? Poza podaniem tego utrwalacza?

Hanta wytrzeszcza wielkie, piwne oczy. Patrzy na mnie z namysłem.

– Wiesz co, gdybym próbowała zmieniać umysły każdemu, kto według mnie tego wymaga, nie zostałoby mi czasu na nic innego. – Uśmiecha się do mnie i jej twarz lodowacieje. – A poza tym, to, o co pani pyta, pani Brown, to bardzo naganny czyn i wątpliwy etycznie. Na to mam dwie odpowiedzi. Po pierwsze, cokolwiek bym sądziła o pacjencie, nigdy nie zrobiłabym czegoś, co nie jest dla jego dobra. A po drugie, nie spodziewałam się tego po pani. Do widzenia.

Odwraca się i odchodzi. No, to się teraz popisałam, jest mi aż niedobrze z zażenowania. Ja i moja niewyparzona gęba... Chciałabym pobiec za nią i przeprosić, ale to tylko pogorszyłoby nieporozumienie, prawda? Kretynka, mówię sobie. Ma rację, nie daliby rady prowadzić ustroju bez medycznego nadzorca, który działa w najlepszym interesie uczestników; a poza tym, właśnie obraziłam jedyne go eksperymentatora będącego

potencjalnie po mojej stronie. Mogłaby mi pomóc w lepszej adaptacji, a tak... Cholera. Cholera. Cholera.

Właściwie nie mam już tu nic do roboty. Wstaję i grzebię w torbie, którą przyniósł Sam wczoraj wieczorem. Jest w niej bielizna, sukienka drukowana w kwiaty, para sandałów z cienkich pasków, ale zapomniał torebki. No dobra, i tak nieźle się postarał. Doprowadzam się więc do porządku, odczekawszy dłuższą chwilę, żeby Hanta wyszła z oddziału, i schodzę do izby przyjęć. Po drodze mijam wejście na inny oddział, z tabliczką POŁOŻNICTWO. Domyślam się, że za parę tygodni będzie tam niezły tłok – na razie jest przynębiająco pusto. Kiedy wchodzę do izby, mój krok nabiera sprężystości.

– Wymeldowuję się – mówię.

Zombiaczka za biurkiem kiwa głową.

– Pani Reeve Brown opuszcza szpital na własną prośbę – brzeczy. – Miłego dnia.

Szpital stoi przy głównej ulicy, wciśnięty między szereg sklepów a ciąg biur. Jest ciepły słoneczny dzień i kiedy wychodzę, poprawia mi się humor. Czuję się lekka jak piórko, wolna od troski o świat! Przynajmniej na razie, mruży ponuro jakaś uparta część umysłu. Potem, mam wrażenie, nawet ten nieustannie czujny fragment jaźni wzrusza ramionami i wzdycha: A, może i ja sobie wezmę dzień wolnego, żeby dojść do siebie. Fiore już nie ma mnie na widelcu, za co mogę podziękować doktor Hancie; a więc mam wybór – mogę szarpać się i walczyć z nieuniknionym albo pójść do domu, parę dni odpocząć i zacząć grać w tę grę, adaptować się. (Przynajmniej uniknę zainteresowania Fiorego i punktociągów, a mogę też udawać, że świetnie się przy tym bawię; potraktuję to jak grę. Poza tym przychodzi mi do głowy, że aby zrewanżować się Jen, najlepiej pobić ją jej własną bronią. Do poszukiwań drogi ucieczki zawsze zdążę wrócić). A na razie trzeba uporządkować sprawy z Samem, bo nie podoba mi się to, że oddaliliśmy się od siebie przez paranoję i strach.

Łapanie taksówki do domu zajmuje mi trzy godziny, głównie dlatego, że mijam Salon Piękności dla Dam, wstępuję, żeby zrobić coś z włosami, a potem zaglądam jeszcze do domu towarowego. Obsługa w obu miejscach to jeszcze zombiaki, co jest irytujące, ale przynajmniej nie przeszkadzają. I tak potrzebuję nowych ciuchów – nie mam pojęcia, co się stało z tymi, które miałam wtedy na sobie, zresztą, ubieranie się *à la mode* to łatwy, prosty sposób podkręcenia sobie punktów, które przydadzą mi się w obecnej sytuacji. Sklep jest pusty, przychodzi mi do głowy, by zrobić Samowi niespodziankę, więc czekam, aż zombiemakijażystka umaluje mnie z nieludzką szybkością. Może i ci ciemnowieczni goście byli słabi w rekonstrukcyjnym nano, za to na pewno dobrze umieli wykorzystywać do zmiany wyglądu naturalne produkty: kiedy kończy, ledwo poznaję się w lustrze.

Nadal nie czuję się za dobrze i opadam z sił o wiele szybciej, niż się spodziewałam. Kończę więc ze sklepem, proszę o dowieszenie zakupów do domu i łapię taksówkę. W domu jest, tak jak myślałam, katastrofalny bałagan. Sprzątaczką, którą zamówiłam, kiedy dostałam pracę w bibliotece, przychodziła, ale tylko raz na tydzień, a Sam gromadził w zlewie brudne

naczynia i zostawiał szklanki w salonie. Próbuję nie zwracać na to uwagi, sięść sobie i odpocząć, lecz po półgodzinie się poddaję. Jeśli mam się przystosowywać, muszę się tym zająć – to element mojej roli – więc zanoszę wszystko do kuchni i po kolei ładuję do zmywarki. Potem idę się na trochę położyć. Niestety, do głowy już zakradł mi się podstępny demon niezadowolenia, zatem znowu wstaję i zaczynam od salonu. Uświadamiam sobie, że właściwie nigdy nie podobało mi się ustawienie tych mebli, a już szczególnie niewytłumaczalnie irytuje mnie kanapa. Trzeba ją będzie wywalić. Na razie wszystko przestawiam, po czym stwierdzam, że jest prawie szósta. Zaraz wróci Sam.

W ogóle nie umiem gotować, ale udaje mi się zrozumieć instrukcję na opakowaniu. Kiedy słyszę szczęknięcie drzwi, właśnie rozkładam sztuce na stole w jadalni.

– Sam? – wołam. – Wróciłam!

– Reeve? – odpowiada.

Wychodzę do hallu, a on ma taką minę, jakby mnie nie poznał.

– Reeve? – Rozdziawia usta. Bezcenna chwila.

– Miałam drobny wypadek na stoisku kosmetycznym – mówię. – Podoba ci się?

Robi zeza, a potem udaje mu się kiwnąć głową. Bowiem oprócz makijażu, ubrałam się w najbardziej seksowną i najbardziej skąpą sukienkę, jaką udało mi się znaleźć. Komplement sama muszę z niego wycisnąć – nigdy nie był za dobry w wyrażaniu emocji, a dziś to jest dla niego za dużo naraz. Właściwie, jak tak na niego patrzę, wygląda na zmęczonego, garbi się w garniturze.

– Ciężki dzień? – pytam.

Znów kiwa głową.

– Ja... eee... – bierze wdech – myślałem, że jesteś chora.

– Bo jestem. – Jestem bardziej zmęczona, niż chciałabym się mu przyznać. – Ale cieszę się, że wróciłam do domu, a doktor Hanta dała mi tydzień zwolnienia, więc pomyślałam, że zrobię ci drobną niespodziankę. Jesteś głodny?

– Nie byłem na obiedzie. Niespecjalnie miałem przez te dni apetyt. – Patrzy z namysłem. – To nie był za dobry pomysł, prawda?

– Chodź. – Prowadzę go do jadalni, każę usiąść, potem wracam do kuchni, włączam mikrofalówkę, biorę napełnione wcześniej dwa kieliszki wina i stawiam je na stole. Nic nie mówi, ale jest przejęty, śledzi mnie wzrokiem jak nadlatującą raketę. – Proszę. Wypijmy... za naszą przyszłość?

– Naszą... przyszłość? – Przez moment jest niepewny, potem jakby coś mu się rozjaśnia w głowie, unosi kieliszek i w końcu uśmiecha się do mnie. – Dobra.

Biegnę, żeby podać kolację. Jemy. Nie udaje mi się za wiele spróbować, bo, szczerze mówiąc, przez cały czas obserwuję Sama. Tak niewiele brakło, żebym go straciła, że teraz każda chwila wydaje mi się krucha jak szkło. Krystalizuje się we mnie ogromna i skomplikowana czułość.

– Powiedz, jak minął ci dzień? – pytam, by zyskać na czasie, a on mamrocze nieskładną historię o tym, że zginęły papiery dotyczące jakiejś konfiskaty majątku, czy czegoś tam, przez cały czas wpatrując mi się w oczy. Muszę mu przypominać, że ma jeść.

Kiedy kończy, obchodzę stół, żeby zabrać mu talerz. Czuję na sobie żar jego spojrzenia.

– Musimy pogadać – mówię.

– Musimy. – Głos ma aż gęsty od emocji. – Reeve.

– Chodź.

Wstaje.

– Gdzie? Co ty kombinujesz?

– No chodź. – Wyciągam rękę, łapię go za krawat i delikatnie ciągnę. Idzie za mną do hallu. – Tędy. – Powoli wchodzę po schodach, nasłuchując, jak jego chrapliwy oddech przyśpiesza. Nie stara się uwolnić, dopóki nie dojdę do drzwi sypialni.

– Nie powinniśmy – chrypi. – Nie wiem, czemu to robisz, ale nie powinniśmy.

– No chodź. – Pociągam go lekko, wchodzi za mną do sypialni. W końcu puszczam go i odwracam się twarzą do niego. Patrząc nań, czuję ciepło w kroczu. – Kay. Sam. Wszystko jedno. Kocham cię.

Zamieram z wytrzeszczonymi oczyma, widząc jak rozszerzają mu się źrenice i robi zdziwioną minę: uświadamiam sobie, że mnie nie słyszy!

– Sam, magiczne słowa. – Dociera do mnie, że mówię to poważnie. Tym razem to nie jest efekt złośliwej ampułki Jen, to coś głębszego. – To, co mi powiedziałeś wtedy. Teraz ja ci mówię.

Twarz mu się rozjaśnia.

– No chodź.

Robi zmieszaną minę.

– Ale jeśli...

– Żadnych „ale”.

Wyciągam rękę, szarpię węzeł krawata. Odczepia się od kołnierzyka, manipuluję przy guziku koszuli. Zagryza górną wargę, czuję, jak drży mi pod palcami, ciepły, niesamowicie solidny i pewny. Podchodzę bliżej, napieram na niego. Czuję przez ubranie, że jest równie podniecony jak ja.

– Sam, Kay... pragnę cię. Nie chcę między nami żadnych barier, to za bardzo boli. Już dwa razy prawie cię straciłam, nie chcę, żeby to się stało naprawdę.

Dłonie na moich ramionach, ogromne i silne. Oddech na policzku.

– Reeve, to się chyba nie uda.

– Życie jest straszne. – Rozpinam kolejny guzik, patrzę na jego twarz nade mną i przestaję. Już miałam się podnieść i go pocałować, ale nie odpowiada mi coś w jego minie. – Co jest?

– Co się z tobą porobiło? – syczy. – Reeve, to do ciebie niepodobne, co się dzieje?

– Robię to, co powinnam zrobić tydzień temu. – Obejmuję go, przytykam czoło do jego barku. Wywołał jednak gonitwę myśli, które teraz pędzą po szynach przez sam środek mojego zwierzęcego pożądania: – Miałam ciężkie przejścia, Sam. To zmieniło mi perspektywę. Zrobiłeś kiedyś coś takiego? Coś głupiego, zwariowanego, może nawet złego, i dopiero po wszystkim uświadomiłeś sobie, że naraziłeś na szwank wszystko co dla ciebie ważne? Właśnie to zrobiłam – i to parę razy – ostatnio przedwczoraj, i nie chcę pamiętać samych błędów. Oddzielam je grubą kreską. Chcę, żeby nam się udało, żeby nie...

– Reeve, przestań. Przestań, proszę cię. Boję się ciebie.

Że co? Odsuwam się i urażona wytrzeszczam oczy. Jak kubek lodowatej wody na twarz.

– To nie ty mówisz, prawda? – pyta niepewnym tonem.

– Tak, to ja! – upieram się.

– Naprawdę? – Krzywi się. – Tydzień temu byś się na mnie tak nie rzuciła.

– A właśnie, że tak! W każdej chwili, gdybym nie była tak wewnętrznie skłócona! – I wtedy dociera do mnie, co chciał mi powiedzieć w tych oszczędnych słowach. Zakrywam usta, żeby nie wrzasnąć z frustracji.

– Czyli teraz już nie jesteś skłócona – mówi, delikatnie prowadząc mnie do łóżka i popychając, żebym usiadła na brzegu. Sam też siada, obok mnie, ramię w ramię. – A kiedy trafiłaś do szpitala, byłaś. Odkąd pamiętam, byłaś. Wybacz więc, ale mogę być przez chwilę podejrzliwy, kiedy wracasz do domu i od razu się na mnie rzucasz? Choć tydzień temu całkiem skreśliłaś seks?

I proszę: mam przed sobą ziejącą przepaść, którą sama stworzyłam – po utrwalaczu Hanty już nie da się udawać, że jej nie ma. Utkwiłam w nowej jaźni, nie wrócę już do tego, czego brakuje.

– Nie jestem taka jak tydzień temu – tłumaczę nerwowo. – Ona, po pierwsze, wyleczyła mnie z tych przecieków pamięci. I mam, dzięki czemuś, o czym nie chcę wspominać, nową świadomość, że jestem śmiertelna. Ale to nie jest coś, co „oni mi zrobili”. Chyba. – Lecz cyniczny zakamarek umysłu podpowiada: Powiedziałaś „kocham cię”, tak? Poprzednim razem zareagowała łatka na Osobliwej Żółcieni. Dzisiaj nie. Czyli ktoś majstrował przy twoim netlinku, prawda?

Zimne przerażenie, które podkrada się do ciebie, gdy budzisz się niepewna, czy aby nie umarłaś, właśnie pogładziło mnie kościstą dłonią po grzbiecie. Gdzieś pomiędzy stygnącą kałużą krwi w piwnicy biblioteki i podstępną pobłażliwością Hanty coś mi się zatraciło. Sam ma rację, moje poprzednie ja nie zrobiłoby czegoś takiego. Bałoby się różnych rzeczy i miałoby rację – dalej boję się Fiorego i Yourdona, dalej chcę się wydostać z ich perwersyjnie zarządzanego społeczeństwa, ale jesteśmy na pokładzie RADUG-a i wiem, co to oznacza.

– Cały czas cię pragnę – mówię. Choć robak wątpliwości dodaje: – Nie mam tylko pewności, czy z tego samego powodu, co w zeszłym tygodniu.

– Dobrali się do ciebie.

Śmieję się nerwowo.

– Dobrali się do mnie dawno temu. Po prostu dotąd tego nie zauważyłam. – Ściskam go, chociaż teraz raczej ze strachu niż z żądy. – Kay, czemu ty tu jesteś, czemu zgłosiłeś się do eksperymentu?

– Poszedłem za tobą.

– Gówno prawda! – Teraz to widzę. – To by nie wystarczyło. I nie mów, że chciałeś uciec od pamięci o lodowych ghulach. Czemu tu przyszedłeś, przed czym uciekałeś?

Sam przez moment milczy i nie reaguje.

– Jak ci powiem, pewnie mnie znienawidzisz.

– No i co? – Widzę otwarcie. Wiercę się na łóżku, podciągam nogi i siadam po turecku z rękoma na podołku. – A jeśli wysłucham twojej historii i wcale cię nie znienawidzę, to dasz mi się zerznąć?

– A co to ma...

– Pozwól, że sama ocenię własne motyw. – Choćby były zmanipulowane. – Cały czas patrzysz na mnie nieufnie. Wchodzi ci to w nawyk. Tydzień temu nie chciałam spać z tobą, bo był sensowny powód. Sensowny wtedy. A teraz, gdy już go nie ma, wyrzucasz mi, że wypadam z roli. Nie wierzysz w to, że mogłabym się zmienić sama z siebie.

Sam kręci głową.

– Nie czujesz, że to obraźliwe?

– Nie chodziło mi o...

– Potrafię się zmieniać, dlatego tu jestem! – Biorę głęboki wdech. – Nie jestem tą samą osobą, co podczas wojny, Sam, albo przed wojną, albo i nawet po wojnie. Jestem, jaka jestem – to produkt tych wszystkich ludzi zmieniających się kolejno jeden w drugiego. Mogą cię wepchnąć do ciemnych wieków, ale nie wepchną ci ciemnych wieków do głowy, chyba że obetną ci oczekiwaną długość życia do trzech giga, albo wykasują taką ilość pamięci, że równie dobrze... – Nie kończę. Mam dziwne przeczucie, że właśnie uświadomiłam sobie coś niezwykle ważnego, tylko że nie wiem co to takiego.

Patrzy na mnie dziwnie.

– Znienawidzisz mnie – mówi. – Robiłem straszne rzeczy.

– I co z tego? – Wzruszam ramionami. – Ja też. Sam, tam na zewnątrz chcieli mnie zabić. Myślałam, że chodzi o jakąś moją misję, którą przypadkiem sobie wykasowałam, ale teraz nie jestem pewna. Może mnie ścigali, bo byłam... eee... bo moje poprzednie ja było kimś tam. Walczyło na wojnie.

Sam kiwa się w zamyśleniu.

– Tutaj są sami zbrodniarze wojenni, co do jednego – mówi.

To bardzo interesujące, odkryć, że wyrażenie „zmroziło mi krew w żyłach” może naprawdę opisywać fizyczne odczucie. Jednakże o wiele mniej przyjemne jest odkrycie tego w towarzystwie kogoś, kogo kocha się bezwarunkowo i przy kim ma się mokro w majtkach

od samego przebywania z nim w jednym pomieszczeniu. I jeszcze właśnie ten ktoś wywołał to odczucie. Ale jeszcze gorzej jest stwierdzić, że wspomniane wyrażenie dotyczy także ciebie.

– Same potwory – próbuję obrócić to w żart. – Albo cierpiący na amnezję, prześladowani przez duchy z poprzedniego życia.

– Nie przyszło ci do głowy, że Ustrój YFH może być bardzo wygodny dla pewnego typu ludzi? – pyta powoli Sam.

Tracę cierpliwość.

– To jak, położysz mnie na łóżku i będziesz się ze mną kochał, czy najpierw zanudzisz mnie na śmierć wykładami?

– Jeśli obojgu nam będzie się jeszcze chciało.

Jeśli obojgu będzie się jeszcze chciało. No dobra, chyba trzeba się zadowolić tym co jest.

– To zamieniam się w słuch – mówię.

Wzdryga się.

– Nie mów tak.

– No cóż, to prawda, chociaż nie dosłownie.

– Gdzie byłaś, kiedy wybuchła wojna? – pyta.

Ups, tego się nie spodziewałam. W normalnych okolicznościach absolutnie nie wolno ujawniać takich informacji – to złamanie operacyjnego regulaminu bezpieczeństwa, które może umożliwić wrogowi ustalenie twojej tożsamości, a tym samym znalezienie wszelkich użytecznych informacji o tobie, na tyle, by móc zagrozić ci operacyjnie – gdyż niemal wszystko, co robisz publicznie, jest gdzieś zapisane w jakiejś bazie. Znajdujemy się jednak w czeluściach RADUG-a; jeśli się nie mylę, na zewnątrz prowadzi stąd tylko jeden kanał, Sam nie należy do spisku, a ryzyko, że akurat w tej chwili nas podsłuchują, jest niewielkie. Okoliczności też nie są normalne.

– Byłam na pokładzie RADUG-a, prowadziłam wywiad z załogą – przyznaję. – Kiedy padła sieć, przez ponad giga byliśmy odcięci.

Sam wzdycha z namysłem.

– Twoja kolej – podsuwam, próbując zmienić temat.

– Ja byłem audytorem... Dlatego mnie wciągnęli.

– Kto?

– Państwo Solipsystyczne, a dokładniej, Trzeci Batalion Niewybaczalnych Myślóbrodni. Właśnie patrolowali segment, w którym mnie dopadło. Szukali niezabezpieczonych pałaców pamięci, niecałe sto kilosekund po wybuchu Osobliwej Żółcieni. Byłem już zakazany i ocenzurowany, po prostu mnie złapali i podłączyli do swojej rozproszonej macierzy negacji świadomości. Przez następne parę mega zamazywałem informacje na cmentarzyskach, a potem zdecydowali się mnie wcielić głębiej i oddelegowali do kasowania śladów archiwalnych.

Błę. A myślałam, że robię straszne rzeczy u Kotów Linebargera. Chyba się wzdrygam albo zdradzam w inny sposób, bo Sam nieznacznie się odsuwa.

– Z kim się sprzymierzało Państwo Solipsystyczne? – pytam, chcąc odwrócić uwagę.

– Z kim? – Kręci głową. – Reeve, my przeciwko wszystkim, tak było. Myślisz, że ktoś zdrowy na umyśle dogadywałby się z agresywnie solipsystycznym borganizmem?

– Ale ty... – Przysuwam się do niego; jest spięty i nieszczęśliwy. – Byłeś tylko elementem, prawda?

Kręci głową.

– Miałem pewną dozę autonomii, Państwo pod koniec wojny zaczęło nam nawet dawać odrobinę wolnej woli. Byłem... hm. Przed wojną wyglądałem mniej więcej tak jak ty teraz. Państwo mnie ulepszyło, zmieniło w bojowego ogra i wysłało do służby na terenach okupowanych. Wiesz, jak nas nazywali? Gwałtomaty. Kiedy chcesz komuś złamać wolę stawiania oporu, możesz pójść przez mózg, ale jeśli netlink jest sfajczony impulsem EM, trzeba działać fizycznie. Dali nam penisy z zakrzywionymi do tyłu kolcami, wiesz? Robiliśmy... potworne rzeczy. Konsorcjum wrogów w końcu nas opanowało – opanowali mój segment, wszystkich poodłączali i kiedy się zbudziłem, byłem z powrotem sobą, ale takim sobą ze wspomnieniami i sporym kawałem Państwa wbitym w głowę. Przez pół mega siedziałem w celi, nie wierząc w ściany i podłogę, dopóki nie doszedłem, że muszą istnieć, z tego samego powodu, z jakiego muszę istnieć ja. I że kiedy ja byłem częścią Państwa, robiłem straszne rzeczy. – Głęboki wdech. – Rzeczy, po których wstyd mi było, że jestem człowiekiem. I mężczyzną.

– Tak, ale... Nie byłeś sobą. Prawda?

– Chciałbym w to wierzyć. – Głos ma zrozpaczony. – Teraz bym czegoś takiego nie zrobił, ale wtedy... nawet w to wierzyłem. Dlatego poszedłem do tych ghuli lodowych, bo nie chciałem należeć do gatunku, który jest w stanie wymyślić coś takiego jak Państwo Solipsystyczne. Które chciało... chcieliśmy mieć naraz wszystkie myśli, jakie istnieją w ludzkiej przestrzeni fazowej. Wiesz jak to jest, być głodnym, cały czas jeść i nigdy nie móc się najeść? Państwo Solipsystyczne niszczyło pałace pamięci na złość, bo były w nich myśli, które nie pochodziły od nas. I przyłożyłem do tego rękę. Z zapalem optymalizowałem te procesy. Robiłem to, bo chciałem. – Nabiera powietrza. – Reeve, zabijałem ludzi. Na zawsze.

– To się znowu tak nie różnimy.

– Co? Ty? – Wytrzeszcza oczy. – Ale powiedziałaś, że...

– Kiedy zaczęła się wojna, byłam na RADUG-u, ale wcale tam nie zostałam. – Biorę głęboki wdech, bo chyba tego nie uniknę. – Zgłosiłam się na ochotnika. Do Kotów Linebargera, do operacji bojowych. Przez prawie gigasekundę byłam batalionem pancernym. A na koniec w Wojnie Psychologicznej.

– No... – Głos mu drży. – Tego to się nie spodziewałem.

– Jak myślisz, ilu spośród ludzi tutaj walczyło na wojnie?

– Nie zastanawiałem się.

– Ci, którzy tam byli, nie chcą tego pamiętać. U nas, jak tylko doprowadzaliśmy do lokalnego zawieszenia broni, ludzie od razu wymykali się do chirurgów-spowiedników.

– Tak... Ale wiesz, Reeve, ja jestem potworem. Nawet po operacji mam w głowie takie rzeczy, których nienawidzę sobie przypominać. Nie powinnaś się za bardzo do mnie zbliżać.

– Sam. – Przysuwam się do niego. – Ja... też mam takie sprawy, które chciałam pouśmiewać. Mogłabym powiedzieć to samo. I co, odstręcza cię to?

– To, co robiłaś kiedyś?

– Tak.

– Nie.

– No widzisz. – Moja kolej na drżący głos. – Więc nie odwołuję tego, co powiedziałam wcześniej. Dobiliśmy targu, zgodziłeś się, co?

Odsuwa się.

– No, nie wiem.

Przełykam ślinę, próbując zwilżyć zaschnięte gardło. – Nie mówię, że teraz, zaraz, od razu. – Z zaskoczeniem stwierdzam, że jednak tak, tak bym chciała. – Ale dalej chcę być z tobą, jak tylko się przyzwyczaisz, że ja to nadal ja i nadal tego chcę. Nie chcę, żebyś przerzucił na mnie swoją nienawiść wobec tego, co robiłeś. A poza tym, wtedy w nocy wcale nie widziałam na twoim fiucie żadnych kolców.

– Ale zmieniłaś się za bardzo! – wypala, jak zamrożony zawór powietrza, który w końcu ustępuje. – Odkąd doglądała cię doktor Hanta. Przedtem byłaś sobą: byłaś humorzasta, zamyślałaś się, byłaś cyniczna, zabawna i... brakuje mi słów. Wszystko jedno, co zrobiła: zmieniła cię. Wcześniej odmawiałaś czegoś tylko dlatego, że ktoś tego żąda, a teraz chcesz, żebym cię zerznął! Naprawdę chcesz tkwić w YFH przez całą przyszłość? Siedzieć w więzieniu, w ciąży?

Zastanawiam się nad tym przez moment.

– A w czym problem? – Hanta jest naprawdę porządną lekarką, a ciąża też jest do przeżycia. W końcu przede mną przetrwała ją każda samica ssaka w moim drzewie genealogicznym, prawda? To nie może być nic strasznego.

– Reeve. – Teraz on patrzy na mnie, jakbym zamieniła się w bojowego potwora, jakby na jego oczach wyrosły mi kolce, lufy działek i pancerz. Chichoczę. Jakby zobaczył ducha! – Co oni z tobą zrobili?

– Znaleźli sposób, żebym przestała być potworem. – Nachylam się ku niemu wyczekująco. – Dasz mi buzi?

* * *

Wszystko tak świetnie zaplanowałam, a w końcu i tak się nie kochamy.

Kiedy kończę zbierać rzeczy i idę do łóżka, Sam wstaje i z senną godnością oświadcza, że

będzie spać oddzielnie.

Jestem tak wściekła i sfrustrowana, że niewiele brakuje, bym się rozpląkała. Mój problem łatwo określić – to jego rozwiązanie mi umyka. Nie chodzi o to, że bardzo się zmieniłam, ale – pod wpływem Hanty lub nie – postanowiłam zrobić sobie trochę wolnego od walki, co z zewnątrz musi wydawać się ogromną przemianą. Sam po prostu jeszcze się do tego nie przyzwyczyłam. To musi niepokoić: być z kimś, kto na pozór wywrócił do góry nogami wszystkie swoje wartości i poglądy; wiem, że gdyby to on leżał w szpitalu, a potem wrócił cały odmieniony i ze szklanym wzrokiem, potwornie bym się zdenerwowała. Wolałabym jednak, żeby nie rzutował na mnie swojego niepokoju – wszystko ze mną w porządku, właściwie, czuję się lepiej niż kiedykolwiek, odkąd obudziłam się pod opieką chirurgów-spowiedników.

Tak, jest tu pewien problem: Fiore i Yourdon knują coś bardzo podejrzanego ze swoją zserializowaną kopią Osobliwej Żółcieni, znaleźli sposób na obejście poprawki zabezpieczającej, którą wszyscy mają w swoich wszczepkach; wygląda też na to, że szukają sposobu na wykorzystanie reguł samokontroli społecznej instalowanych przez OZ do tworzenia samorzutnych dyktatur. Ale... podstawowe pytanie brzmi: co mnie to obchodzi? Nie dość już przeszłam? Nie pozwolę się torturować własnym wspomnieniom, już i tak prawie się zabiłam, próbując zrobić to, czego domagali się ode mnie Sanni i reszta Komórki Bezpieczeństwa Błękit. Zadanie wykonałam, nie udało się. I teraz...

Mój grzeszny sekret: leżąc w szpitalu, uświadomiłam sobie, że mogę trochę wyluzować. Mam Sama. Mam pracę, która może być tak ciekawa, jak tylko zechcę. Mogę się uspokoić i przez moment być tu szczęśliwa, choć warunki są prymitywne, a niektórzy sąsiedzi mi nie odpowiadają. Nawet dyktatury muszą zapewnić wygodne życie codzienne przeważającej większości swoich obywateli. Nie muszę ciągle walczyć, jeśli na chwilę sobie daruję, oni też dadzą mi spokój. Zawsze mogę zacząć od nowa. Nikt nie będzie na mnie krzyczał, może poza Samem, a i on w końcu przyzwyczył się do mojej nowej osobowości.

Wszystko to brzmi świetnie w teorii, ale wcale mi nie pomaga, kiedy zasypiam z płaczem, sama.

16. Suspens

Następny dzień to piątek. Wstaję późno, a kiedy schodzę na dół, stwierdzam, że Sam już poszedł do pracy. Czuję się wycieńczona, osłabiona skutkami infekcji i głupiej próby wspinaczki, więc za wiele nie robię. Przez większość dnia kursuję między sypialnią a kuchnią, nadrabiając zaległości w lekturze i popijając jedna po drugiej filiżanki słabej kawy. Gdy Sam wraca do domu, naprawdę późno, okazuje się, że już był gdzieś na steku i wypił parę lampek czerwonego wina – dopytuję się, z kim, a on zamyka się w sobie. Żadne z nas nie chce ustąpić, więc w końcu nie rozmawiamy.

W sobotę schodzę na dół i widzę, jak odstawia kosiarkę do trawy.

– Musisz zrobić porządek w garażu – mówi mi na powitanie.

– Bo co? – pytam.

– Muszę tam schować parę rzeczy.

– O. Jakich rzeczy?

– Idę. Cześć.

I rzeczywiście, dziesięć minut później już go nie ma, pojechał taksówką nie wiadomo gdzie. A to i tak nasza najdłuższa wymiana zdań od dwóch dni. Pluję sobie w brodę, że jestem głupia. Głupia to słowo dnia. Idę więc do garażu i rozglądam się, co można by wyrzucić. Jest tu istne złomowisko niedokończonych przedsięwzięć, ale myślę, że spawarka może polecieć na śmietnik i na wpół skończona kusza i większość innego złomu, przy którym majstrowałam, kiedy miałam mylne przekonanie, że muszę uciec z miejsca, gdzie jestem, a nie od tego, kim jestem. Paru rzeczy brakuje – pewnie Sam już zaczął robić tu miejsce na swoje kije golfowe czy coś innego. Zrzucam wszystko co moje na kupę w rogu i nakrywam plandeką. Czego oczy nie widzą... tego nie ma w garażu, tak sobie przy tym mówię.

Wracam do domu, próbuję pooglądać telewizję, ale program jest głupkowaty, nie mówiąc już o tym, że mało co rozumiem. Rozmazane światełka na ekranie o niskiej rozdzielczości, do tego wypukłym, poruszające się powoli, nużąco, opowiadające bezsensowne fabuły odwołujące się do wspólnej bazy pojęć, której po prostu nie posiadam. Biorę się w garść, wyłączam go, żeby stawić czoła nudzie w samotności, kiedy dzwoni telefon.

– Reeve?

– Cześć? Kto... Janis? Co tam u ciebie? – Ściskam słuchawkę.

– Słuchaj, Reeve, masz jakieś plany na dzisiaj?

– Nie, raczej nie... A co?

– Umówiłam się na mieście z paroma koleżankami, pójdziemy obejrzeć nową kawiarnię nad jeziorem, które dopiero się pojawiło. Pomyślałam, że może też przyjdiesz? Jeśli czujesz się na siłach.

– Ja... – waham się – ...mam odpoczywać przez parę dni. Tak powiedziała Hanta. – Niech się nad tym pozastanawia. – A co, jakiś problem w pracy?

– Nic szczególnego. – Głos Janis pobrzmiewa lekceważeniem. – Szczerze mówiąc, to nadrabiam zaległości w czytaniu. A poza tym, ze szpitala przyszło twoje zwolnienie. Mną się nie martw.

– No to przyjdę. Żebym tylko nie musiała nigdzie biegać. Jak się tam dostać?

– Poproś taksówkarza, żeby cię zawiózł do Village Cafe. Będę koło drugiej. Pomyślałam, że zobaczymy, co to za lokal, i trochę pogadamy.

Mam nieprzyjemne przeczucie, że nie mówi mi wszystkiego, choć kształt tego, co przemilczała, rysuje mi się wystarczająco wyraźnie. Wzdrygam się lekko. Naprawdę mam się znowu w coś wplątywać? Raczej nie – ale jak nie przyjdę, to mnie obgadają. Poza tym, jeśli knują coś głupiego i niebezpiecznego, może im to wyperswaduję, jestem to chyba winna Hancie. Zerkam na telewizor.

– No dobra. To do zobaczenia.

Jest już pierwsza, więc przebieram się w coś trochę elegantszego i wołam taksówkę. Nie mam pojęcia, co to za koleżanki, ale Janis raczej nie będzie na tyle pozbawiona gustu, żeby zapraszać Jen. Poza tym nie chcę ryzykować, że wywrę złe wrażenie. Kiedy chcesz podkreślić sobie punktację, liczą się pozory, a inni ludzie zwracają uwagę na takie rzeczy. Zresztą nie wydaje mi się, żeby Janis organizowała coś takiego, gdyby to nie było ważne.

Mamy piękny dzień, niebo jest intensywnie niebieskie, wieje ciepły wietrzyk. W jednej kwestii Janis ma rację – nie przypominam sobie, żebym wcześniej widziała tę okolicę. Taksówka jedzie między rzędami obitych deseczkami domów z białymi drewnianymi płótkami i niemiłosiernie wyczyszczonymi fartuszkami trawników, a potem skręca w lewo za wyższym, murowanym gmachem i sunie w dół obsadzonym drzewami bulwarem. Po obu stronach stoją budynki o dziwnych kształtach. Pełno tu innych taksówek i ludzi! Mijamy licznych spacerowiczów na chodniku. Myślałam, że tylko my z Samem to robimy. Kogo przegapiłam?

Taksówka przystaje na końcu ślepej uliczki, gdzie półkole markiz osłania przed niebem białe stoliki i inne ogrodowe meble. Obok jezdni wilgotno bulgocze kamienna fontanna.

– Village Cafe – recytuje szofer. – Village Cafe. Opłata za kurs została pobrana.

Błękitne cyferki polatują mi w kąciku lewego oka, gdy otwieram drzwi i wysiadam. Przy stolikach siedzą ludzie – ktoś macha. Janis. Wygląda o wiele lepiej niż ostatnio, a przede

wszystkim się uśmiecha. Podchodzę.

– Cześć, Janis. – Poznają siedzącą obok Tammy, ale nie wiem, co powiedzieć. – Cześć wszystkim?

– Cześć, Reeve! To Tammy, a to Elaine...

– El – mruczy El.

– A to Bernice. Siądziesz? Właśnie się zastanawialiśmy, co zamówić. Chcesz coś konkretnego?

Siadam i widzę wydrukowane na folii menu leżące przed każdym krzesłem. Próbuję się na nim skupić. Wtem skrzynka z kratką nad wejściem do kawiarni potrzaskuje i zaczyna wykrzykiwać:

– Dzień dobry państwu! Mamy kolejny piękny dzień...

– Wezmę dzin z tonikiem – rzucam.

– Proszę o uwagę, przeczytam dwa komunikaty – ciągnie skrzynka. – Specjalnie dla państwa mamy w sprzedaży lody. Smaki dnia to trufłowy i bananowy. Uwaga: później możliwe są przelotne deszcze. Dziękuję za uwagę.

Tammy się krzywi.

– Odkąd tu siedzimy, drze się co dziesięć minut. Mogłoby się zamknąć.

– Pytałam przy barze – mówi przepraszająco Janis. – Mówią, że nie mogą tego wyłączyć, że takie są w całym sektorze.

– Tak? A co to w ogóle za sektor? Jakoś go sobie nie przypominam. – Wtykam nos w menu, na wypadek gdybym właśnie popełniła faux pas.

– Sama nie wiem. Pojawił się wczoraj, więc pomyślałam, żeby go sobie obejrzeć.

– No to jest już obejrzany – mówi Bernice. Jest śniada, lekko pulchna i ma minę wyrażającą nieustający lekki niesmak. Chyba widziałam ją w kościele, ale nie kojarzę nic więcej. – Dla mnie mango lassi.

Z kawiarni wychodzi zombiak, facet, w ciemnym garniturze i długim, białym fartuchu.

– Czy mogę przyjąć zamówienie?

– Tak, proszę. – Janis terkocze listę napojów i zombiak wraca do środka.

Większość zamówiła bezalkoholowe, tylko ja się wyróżniam. Ups, myślę.

– Tammy, El i ja od jakiegoś czasu spotykamy się co sobota – rzuca Janis wyjaśniająco w moją stronę. – Mówimy mężom, że to kółko krawieckie. Dobra wymówka, żeby spotkać się, coś wypić, poplotkować, a nikt z nich nie poznałby kółka krawieckiego, gdyby ugryzło go w tyłek, więc...

– A co to takiego kółko krawieckie? – pyta Bernice.

El nieśmiało sięga do wielkiej torby i wyciąga coś, co przypomina zrobioną z tkaniny pokrywę śluzu powietrznej. Są w nią powtykane igły i kolorowe nitki.

– Że niby spotykamy się razem i wyszywamy. O, tak. – Wyciąga igłę i natychmiast kłuje się nią w kciuk. – Na razie nie za dobrze mi idzie – dodaje żałośnie.

– Na szycie się nie piszę – mówię. – Ale drinki i ploty to co innego.

– Janis mówiła, że tak właśnie powiesz. – Tammy rzuca mi przepraszający uśmiech. – A poza tym, zastanawiałam się, czy masz pojęcie, co się stało z Mickiem.

Znowu „ups”.

– Nie bardzo. Pytałam Hantę i odpowiedziała, że to jest „do ustalenia”, cokolwiek znaczy. Wiem, że Cass jeszcze leży w szpitalu.

– Taaa, jasne. – Tammy odchyła się na krześle. – Stawiam dziesięć dolarów, że w tydzień zabiorą ich z eksperymentu.

Wzdrygam się. RADUG ma tylko jedno wyjście, dla bezpieczeństwa – żeby załoga mogła je zabarykadować, jeśli cywilizacja po drugiej stronie upadnie.

– Nie wiem, czy to prawdopodobne – mówię. – Ale doktor Hanta ma swoje sposoby na problemy. Na pewno będzie w stanie coś zrobić dla Cass, a Mick nie odwiedzał jej od czasu... no.

– A co z Fiorem? – pyta Janis.

Mam teraz wrażenie, że zaprosiły mnie tutaj, żeby ciągnąć za język, ale co tam? Stawiają drinki.

– Napatoczył mi się po tej sprawie z Cass – mówię. Potem otwierają się drzwi kawiarni, kelner wraca z drinkami. Milczę, dopóki się nie odwróci.

– On, no... nie podoba mu się, jak zachowujemy się nieprzewidywalnie, ale z drugiej strony Mick przejął. Rozwiązaliśmy ten problem za niego.

– Hm. – Janis robi rozczarowaną minę, w myślach kopię się w tyłek. Naprawdę pytała mnie, co stało się w bibliotece, kiedy poszła wcześniej do domu.

– W szpitalu gadałam z doktor Hantą – ciągnę. – Powiedziała, hm... w ogóle nie pochwałała tej sprawy z Esther i Philem. Mam wrażenie, że nawrzeszczała za to na biskupa. Będą dodawać do systemu punktów jakieś reguły pozwalające na rozwody, żeby coś takiego się nie powtórzyło. I kary za gwałt, by nikomu nie przyszło do głowy naśladować Micka.

– Hm – zastanawia się Janis. – Jeśli będą się ściśle trzymać ciemnowiecznej historii, to dadzą solidną karę za gwałt, ale tylko jeśli facet zostanie złapany.

– E? – Tammy robi oburzoną minę. – A co to pomoże?

– A co pomaga to wszystko? – pyta sucho Janis. Sięga do torebki, wyciąga jakąś plecionkę i podaje mi ją. – To chyba twoje, zostawiłaś w bibliotece.

Przełykam ślinę i pośpiesznie upycham do torebki drucianą klatkę Faradaya ze swojego nieudanego eksperymentu.

– Dzięki, faktycznie zostawiłam – bełkoczę.

Janis uśmiecha się powoli.

– Trochę sterczą druty, ale i tak ładnie błyszczą.

Pułapki w pułapkach.

– Muszę jeszcze nad tym popracować – gram na zwłokę. – A gdzie to było?

– W pokoju socjalnym. Robiłam porządek.

Serce mi wali, lecz nikt inny niczego nie zauważył. Janis patrzy na mnie, potem na El.

– A ty, co myślisz?

Udręczona El unosi wzrok znad tamborka.

– Trochę mi niedobrze. – Sięga po różową lemoniadę. – Jutro w kościele będzie się działo.

– Dużo nowych rzeczy – zgadza się Tammy.

– O czym wy mówicie? – pytam.

Janis kiwa głową.

– No właśnie, cały tydzień byłeś w szpitalu. A dokładniej, od wtorku.

Tammy wyciąga tablet.

– Pojawiła się masa nowych rzeczy – mówi, stukając w ekran. – Lepiej posłuchaj.

– Jakich rzeczy?

– Po pierwsze, zdaje się, że wpuścili tu ostatnią kohortę.

– Ale mówili, że po mojej będzie jeszcze czternaście... – liczę w myślach – więc brakuje sześciu. Przynajmniej. Tammy stuka w tablet.

– Oni prowadzili wiele sekcji Ustroju YFH równolegle. My, to tylko jeden sektor, parafia, jak to nazywają. Od poniedziałku wszystko będzie połączone, więc pojawi się masa nowych ludzi.

Na razie to się zgadza z tym, co mówiła Hanta.

– No i?

Janis rzuca mi długie, badawcze spojrzenie.

– To jest o wiele większe, niż mówili nam na zewnątrz, kiedy się zapisywaaliśmy. Co ci to mówi?

Zerkam na jej brzuch. Jeszcze za bardzo nie sterczy. A potem, niemal mimowolnie, patrzę obok.

– El, czy ty... to znaczy, nie chcę być wścibska, ale nie jesteś czasem...

– W ciąży? – El patrzy na mnie niebieskimi jak u dziecka oczyma i kładzie rękę na brzuchu. – Skąd ci to przyszło do głowy?

Próbuję się nie marszczyć zbyt ostentacyjnie.

– Mnie też się spóźnia okres – dodaje Bernice.

Na zawsze.

– Co oni tu jeszcze robią? – indaguję.

– Otwierają dużo nowych rzeczy – tłumaczy z zapalem Tammy. – Jest kino, basen, stadion sportowy, teatr. Więcej sklepów. I zaraz otworzą ratusz.

Bernice odzywa się przede mną.

– O! O tym nie wiedziałam.

– Chyba chcę, żebyśmy się tu dobrze poczuli – mówi Janis.

– My? – pytam. – Czy oni? – Wodzę wzrokiem po brzuchach wokół stołu. Wszystkie zamieszkałe. Oprócz mojego. Dzięki Samowi.

– A co za różnica? Zresztą, większość z nas zaraz ugrzęźnie w pieluchach i przestanie się przejmować innymi rzeczami.

Janis ma taki ton głosu, jakiego używa, chcąc przekazać słowami coś dokładnie odwrotnego niż ich dosłowne znaczenie. Teraz go przybiera, tracąc sarkazmem na kilometr.

Uśmiecham się promiennie.

– Więc powinniśmy się nie przejmować i cieszyć tymi nowymi rozrywkami!

– Reeve – upomina mnie Tammy – to poważna sprawa.

– O, no pewnie. – Zgadzam się z zapalem. – Absolutnie! – Dopijam drinka. – Wiecie co, moje panie, na pewno macie wiele ważnych spraw do przegadania, ale ja właśnie sobie przypomniałam, że muszę pozmywać i sprzątnąć w garażu, zanim wróci mąż. – Wstaję. – Dzięki za plecionkę, Janis. Na razie.

Reszta udawanego kółka krawieckiego patrzy podejrzliwie, za to Janis odwzajemnia uśmiech i mruga.

– Do zobaczenia!

Wycofuję się pośpiesznie. Janis lubię, chociaż to całe kółko mnie przeraża. Źle się tu czuje, to jasne, i chyba nie będzie chciała, żeby doktor Hanta jej w tym pomagała. Uświadamiam sobie, że muszę powiedzieć Fioremu o Janis. Ona potrzebuje pomocy. Jutro po mszy?

* * *

Jazda do kościoła odbywa się w napięciu. Ubraliśmy się w niedzielne ubrania i wezwaliśmy taksówkę, jak zawsze, ale Sam w ogóle się nie odzywa – ostatnio nabrał zwyczaju porozumiewania się pomrukami – i cały czas, kiedy myśli, że nie widzę, rzuca mi z ukosa dziwne spojrzenia. Udaję, że nie zauważam. W istocie też jestem spięta, nakręcam się przed nieuniknioną i nieprzyjemną rozmową z Fiorem po mszy. Dzisiaj w kościele jest pełno, mamy szczęście złapać ostatnie miejsca siedzące. Dobrze, że chociaż inne parafie mają swoje kościoły (i zapewne swoje instancje Fiorego na kazalnicy), więc większy tłok się już nie robi.

– Na przyszłość trzeba będzie wychodzić wcześniej – mówię do Sama, a on wytrzeszcza oczy.

Fiore wchodzi, idzie do ołtarza. Wzbiera muzyka, wpadający w ucho utwór na dęciaki autorstwa (jak mówi netlink) niejakiego Brechta. Fiore zaczyna nabożeństwo.

– Drodzy wierni, zebraliśmy się tutaj w jedności, by poznać swoje miejsce w świecie, swoje niezmiennie role w wielkim cyklu życia, którego nikomu nie wolno nam odbierać. Chwalmy projektantów, którzy dali nam ten dzień i wszystkie następne, przez które będziemy spełniać swoją rolę! Chwała projektantom!

– Chwała projektantom! – powtarzają wierni.

– Drodzy wierni, pamiętajmy, że prawdziwy sens i szczęście w życiu można odnaleźć tylko poprzez podporządkowanie się wielkiemu projektowi! Właściwy człowiek na właściwym miejscu!

– Właściwy człowiek na właściwym miejscu! – grzmi responsorium.

– Podziękujmy także za szczęście, jakie spłynęło na panią Reeve Brown, która z całą pewnością jest obecnie właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, oraz za ulgę i ukojenie, jakie członkowie naszej wspólnoty przynieśli pani Cassandrze Green, która dochodzi teraz do zdrowia w szpitalu! Szczęście, ulga i ukojenie!

– Szczęście, ulga i ukojenie!

Kręcę głową, zadowolona, choć zdezorientowana. Nie rozumiem, dlaczego Fiore stawia mnie za wzór reszcie wiernych? Rozglądam się i widzę Jen, o parę rzędów dalej. Gapi się na mnie wężowym wzrokiem.

– Waszym obowiązkiem jest dbać o bliźnich, pomagać im w przestrzeganiu społecznych reguł, łączyć się z nimi w radości i smutku, zgodzie i tolerancji. Gdy bliźni jest w potrzebie, idźcie do niego i wspomóżcie go w swojej hojności. Wszyscy jesteśmy braćmi, a ten, kto dziś nie jest w potrzebie, może jej bardzo potrzebować za tydzień. Prowadźcie ich i opiekujcie się nimi, a kiedy trzeba, napominajcie...

Zaczynam odpływać. Głos Fiorego jest hipnotyczny, unosi się i opada w rytmicznej kadencji. W kościele, przy zamkniętych drzwiach, jest ciepło i duszno, wygląda też na to, że ksiądz w tym tygodniu odstąpi od zwyczaju i nie potępi żadnego grzesznika. Powinnam mu być za to wdzięczna – za to, co zrobiłam w zeszłym tygodniu mógłby mi wyzerować konto. Pomimo tego ciepła, czuję, że dygocę. Okazał większą pobłażliwość, niż się spodziewałam. Czy mam wziąć z niego przykład i nie mówić mu o Janis, ale spróbować przekonać ją sama?

– ...pamiętajcie bowiem, jesteście stróżami swoich braci i za ich zachowanie będziecie sążeni. Podróż nie ma końca, amen!

– Podróż nie ma końca! – powtarza chór. – Amen!

Wstajemy, kolej na następny numer ze śpiewaniem i klaskaniem – tym razem w języku, którego nie znam, według śpiewnika to coś o maszerowaniu, wolności i chlebie – a potem ksiądz i ministranci wychodzą i msza się kończy.

Gdy wychodzimy jedno za drugim z kościoła na światło dzienne, gdzie czekają zastawione stoły, jestem trochę rozczarowana, choć jednocześnie czuję ulgę. Sam jest jeszcze bardziej milczący niż zwykle, ale w tej chwili mnie to nie obchodzi. Łapię kieliszek wina, talerz z czymś mączno-grzybowym i udaję się w pobliże naszej kohorty.

– Co, postanowiliśmy się ustatkować, tak? – słyszę głos za moim lewym ramieniem. Udaje mi się stłumić grymas obrzydzenia. To oczywiście Jen.

– Bo troszczę się o swoich bliźnich – mówię, wkładając w te słowa każdy gram szczerości, na jaki mnie stać; potem zmuszam się do uśmiechu.

Ona oczywiście też się do mnie szczyrzy.

– Ja tak samo! – ćwierka i się rozgląda. – Ale ucieszyłam się, że Fiore był dziś miłosierny. Bo chyba niektórzy mogliby nieźle oberwać!

Mała podstępna menda.

– Nie wiem, o czym mówisz – zaczynam, nie mogę jednak kontynuować, bo zaczynają bić kościelne dzwony. Zwykle dzwonią mniej więcej do rytmu, teraz jednak brzęczą i klekoczą, jakby coś między nie wpadło. Ludzie się odwracają, patrzą na dzwonnice. – Dziwna sprawa.

– Tak, dziwna. – Jen parska lekceważąco i zaczyna odwracać się ku pobliskiej gromadce mężczyzn.

– Jeszcze z tobą nie skończyłam.

– Chciałabyś, skarbie. – Szeroki uśmiech i odchodzi.

Poirytowana, zerkam na dzwonnice. Drzwi na dole są uchylone. Dziwne, myślę sobie. To nie moja sprawa, ale co, jeśli tam się coś urwało? Trzeba zawołać kogoś na pomoc. Odstawiam kieliszek i talerz na tacę przechodzącego kelnera i idę do drzwi, starając się nie wchodzić wysokimi obcasami na trawę.

Dzwony łomocą i klekocą coraz głośniejsze, a na progu, pod drzwiami leży coś ciemnego. Podchodzę, zerkam. W nozdrza wnika nieprzyjemnie znajomy zapach; w oczach stają mi łzy. Odwracam się i krzyczę:

– Tutaj! Na pomoc! – Potem popycham drzwi.

Dzwonnica to puste, wysokie pomieszczenie oświetlone małymi okienkami tuż pod podstawą iglicy. Leżące się z nich światło dzienne rzuca długie cienie na belki i zwisające z nich dzwony, kołyszące się i zderzające nad pobieloną podłogą, oraz na rozlewającą się kałużę ciemnej cieczy. Przelewająca się czerń, szarość cieni i kołyszące się nad podłogą blade wahadło. Trwa sekundę, zanim oczy przyzwyczajają mi się do ciemności, i kolejną, zanim dotrze do mnie, co widzę.

Tę nieskończoną, atonalną melodię na carillon, która mnie tu ściągnęła, gra Mick we własnej osobie. Od razu widać, że ta muzykalność nie przyszła mu z własnej woli. Wisi przywiązany za kostki do sznura dzwonu, głowa kreśli na posadzce niekończący się wahadłowy zawijas, dwiema równoległymi kreskami z krwi. Ktoś przykleił mu ręce taśmą do ciała, zakneblował go i wbił do uszu igły od strzykawek. Miarowo kapie z nich krew, opróżniając i tak siną i obrzękniętą głowę. Na podłodze maluje się delikatny ażur z krwawych pętli, spiral i wirów, ale jakaś nierówność gruntu powoduje, że wszystko to spływa w kałużę pod drzwiami.

Czuję obrzydzenie i jednocześnie niesamowity podziw dla czyjejś artystycznej techniki, przerażenie, że ten ktoś może tu się jeszcze czaić, oraz niesmaczną satysfakcję, że Mick skończył właśnie tak. Robię więc jedyną rozsądną i społecznie akceptowaną rzecz, jaka przychodzi mi do głowy: drę się ile sił w płucach.

Pierwszy człowiek, który się pojawia – parę sekund po tym, jak zaczęłam – nieszczęśliwie się na coś przydaje. Jedno spojrzenie na zaimprovizowany żyrandol, zgina się wpół i dorzuca do kałuży swój obiad. Drugim natomiast jest Martin, jeden z ochotników-grabarzy.

– Reeve? Nic ci się nie stało?

Kiwam głową i przerywam łkanie, żeby nabrać powietrza. Kręci mi się w głowie, a w oczach mam wodę.

– Zobacz – pokazuję – Lepiej zawołajcie... tego... Fiorego. Będzie wiedział, co zrobić.

– Zadzwoń na policję. – Martin ostrożnie obchodzi kałużę krwi i wymiocin i bierze słuchawkę telefoniczną wiszącą na ścianie obok wejścia do zakrystii. – Halo? Centrala? – Kilkakrotnie naciska przycisk na wierzchu słuchawki. – Dziwne.

Mój mózg powoli dochodzi do siebie.

– Co dziwne?

– Telefon. Nic w nim nie słyhać. Nie działa. Pociągam nosem, wycieram go rękawem żakietu i wytrzeszczam oczy.

– Bardzo dziwne. – Tak, stwierdza spokojny zakątek mojego umysłu, to bardzo dziwne, bardzo niepokojąco dziwne. – Chodźmy stąd.

Andrew – ten gość, co się porzygał – teraz wydaje z siebie odgłosy jakby się dusił i szlochał jednocześnie. Martin bierze go pod ramię i razem wychodzimy. Na ganku zgromadził się tymczasem zaciekawiony tłum.

– Niech ktoś zawoła policję! – krzyczy Martin. – I niech ktoś znajdzie wielebnego!

Ludzie przepychają się obok niego, żeby zajrzeć do środka. Krzyczą z niedowierzaniem i wychodzą z powrotem.

Ktoś chce nam, wiernym, coś przekazać, prawda? Potykam się, ale docieram na trawnik. Stoi tu Sam, pełen obaw.

– Byłeś ze mną przez całą mszę – syczę. – Stałam obok ciebie, cały czas. Dokładnie wiesz, gdzie byłam.

– Tak? – Patrzy zdziwiony. Ja też. Nie jestem pewna, czemu to robię, ale...

– Chwilę gadałam z Jen, potem usłyszałam dzwony i poszłam zobaczyć. Zaraz wrzasnęłam. Byłam w środku sama przez jakąś sekundę. Prawda?

Dociera do niego. Nagle sztywnieją mu ramiona.

– Co się tam stało, coś strasznego?

– Mick

Tracę dech i nie mogę się wysłowić. Nie mogę tak po prostu mówić dalej, bo przecież musiałam to widzieć: widziałam, jak morderca przywiązał go do dzwonów za kostki, przecinając skórę i przewlekając gruby sznur między kością a ścięgnem Achillesa. Trochę obawiam się, że kiedy go odetną, zobaczą, że najpierw, po obezwładnieniu, został zgwałcony, a dopiero potem morderca powiesił go, żeby się wykrwawił jak półtuszka. Chwilę później już

wiszę na ramieniu Sama i szlocham. Nie odsuwa się i przytrzymuje mnie, nic nie mówiąc, a tłum wokół kłębi się i gada. Widywałam w życiu wiele strasznych rzeczy, ale tu widać przemyślane wymierzenie sprawiedliwości – makabryczne umoralnienie, ślepo wierzące we własną słuszność. Wiem dokładnie, kto to zrobił, choć stałam obok Sama przez całą mszę; za to w tę noc, kiedy zabraliśmy od niego Cass, nie śpiąc, przez wiele godzin wyobrażałam sobie, że robię Mickowi coś takiego...

– No, pani Brown, to fascynujące, że panią tu widzę! Zawsze w centrum wydarzeń, jak się zdaje.

Jego Ekscelencja uśmiecha się jak szkielet, szczerząc zęby. Sam wierci się obok mnie, ale zachowuje spokój. Biskupowi się nie pyskuje, zwłaszcza że wiadomo, że jego humor to ulotna rzecz, motylek polatujący nad hutniczym piecem wściekłości, że ktoś śmie psuć mu niedzielę.

Fiore odchrząkuje.

– Nie jest podejrzana – mówi sztywno.

– Co takiego? – Głowa Yourdona odwraca się gwałtownie jak u węża.

Policyjne zombiaki sztywnieją, jakby się denerwowały. Ich ręce wędrują do pałek za pasami.

Odkąd otworzyłam te drzwi, minęło pół godziny i policja otoczyła cały kościół. Nie wypuszczają nikogo bez zgody Yourdona. Jest wyraźnie w paskudnym humorze. Dotąd nie mieliśmy do czynienia z morderstwem z zimną krwią, a żeby trzymać się ducha eksperymentu, należy pamiętać, że dla starożytnych to była zbrodnia równie straszna, jak kradzież tożsamości czy manipulacja przy relacjach obiektów. I w takim momencie widać braki naszej małej parafii. Nie mamy prawdziwego komendanta policji ani wyszkolonych śledczych. Dlatego biskup nie ma wyjścia – musi samemu zająć się swoją trzódką.

– Widziałem, jak przyszła z mężem, była obecna przez całe nabożeństwo, wielu świadków widziało, jak wchodzi do dzwonnicy, i słyszało, jak krzyczy. Była sama w środku przez może dziesięć sekund i jeśli myślisz, że zdążyłaby w tym czasie popełnić taką zbrodnię...

– Jak będę miał problem z podjęciem decyzji, to poproszę cię o wskazówki. – Drga mu policzek, potem zwraca się do Martina, tak niespodziewanie, że aż mięknię mi kolana.

Z wnętrza czaszki znika mi niewidzialny ucisk.

– Ej ty. Co widziałeś?

Martin chrząka i, jękając się, opowiada, jak znalazł mnie wrzeszczącą obok trupa; tymczasem do Fiorego podchodzi policjant i przekazuje mu coś szeptem.

Yourdon łypie groźnie na podwładnego.

– Możesz przestać?

Fiore przestępuje z nogi na nogę.

– Ekscelencjo, mam nowe informacje.

– Jakie? No, gadaj! Nie mam czasu!

Fiore – zarozumiały, wyniosły bufon w sutannie, który najbardziej w życiu uwielbia wywyższać się nad swoich wiernych – więdnie jak przekłuty aerostat.

– Wstępne badanie kryminalistyczne wykazało pozostawione przez zabójcę ślady DNA.

Yourdon prycha.

– Czemu my zwlekaliśmy z powołaniem detektywów? No dawaj, szkoda czasu.

Fiore bierze kartkę od policjanta.

– Reakcja łańcuchowa polimerazy, zgodna z... a mniejsza... wykazała, że ten odcisk palca zgadza się z odciskiem... moim odciskiem. I nikogo więcej w całym Ustroju YFH.

Yourdon robi wściekłą minę.

– Mówisz mi, że to ty go tam powiesiłeś, żeby się wykrwawił?

Fiore, trzeba mu przyznać, nie daje się zbić z tropu.

– Ależ nie, Ekscelencjo. Mówię, że morderca robi nas w konia.

Robi mi się niedobrze i opieram się na ramieniu Sama. Ale to przecież moja fantazja? Co zrobić Mickowi. I nikomu o niej nie mówiłam. Co znaczy, że to ja jestem mordercą! Tylko że tego nie zrobiłam. O co tu chodzi?

– Dokładnie. – Yourdon klaszcze w dłonie. – Plan na dzisiaj: ty, wielebny Fiore, dogadasz się z doktor Hantą, żeby wybrać, wyszkolić i wyposażyć szefa policji. Który z kolei będzie mieć prawo powołania do służby czterech sierżantów. W późniejszym terminie omówisz ze mną wybór sędziego, procedurę stawiania podejrzanych przed sądem i rekrutację kata. – Łypie nań groźnie. – A potem, jak sądzę, przywrócisz w swojej kaplicy nieskazitelny porządek, który panował w niej, zanim ci ją powierzyłem, i zaopiekujesz się jako dobry pasterz swoją trzodą, która mocno potrzebuje przewodnictwa!

Odwraca się na pięcie i sunie ku swojej długiej czarnej limuzynie, a za nim trio policyjnych zombiaków z prymitywną, choć skuteczną bronią automatyczną. Wiszę Samowi na ramieniu, ale trzyma mnie prosto. Fiore oczekuje, aż biskup trzaśnie drzwiami, nabiera powietrza i smętnie kiwa głową.

– Nic dobrego z tego nie będzie – mruży w naszym kierunku; w stronę nas, bezpośrednich świadków i dyskretnie otaczających nas policjantów. – Policja, rozejść się. Obywatele, proszę zastanowić się nad swoimi sumieniami. Co najmniej jeden z was dokładnie wie, co wydarzyło się tutaj przed mszą, a milczenie wcale nie wyjdzie mu na dobre.

Policyjne zombiaki zaczynają się rozchodzić, a za nimi gromadki zaciekawionych parafian. Ostrożnie podchodzę do Fiorego. Jestem bardzo zdenerwowana. Zresztą, chwila może jest niestosowna, ale...

– Co tam, moje dziecko? – Mruży oczy i układa usta w dobrotliwy uśmiech.

– Proszę księdza, można na słowo? – pytam z wahaniem.

– Oczywiście. – Zerka na policjanta. – Idź do dzwonnicy, weź mop, wiadro i jakiś środek do czyszczenia i zacznij myć podłogę w dzwonnicy.

– Chodzi o... – Waham się. Kłuje mnie sumienie, ale nie wiem, jak to powiedzieć. Czuję na sobie czyjś wzrok, ciekawskie oczy po drugiej strony dziedzińca, zastanawiające się, co mówię.

– Wiesz, kto to zrobił? – pyta Fiore.

– Nie, chciałam porozmawiać o Janis, ostatnio bardzo dziwnie...

– Myślisz, że to Janis go zabiła? – Krzaczaste, uniesione brwi obramowują ciemne oczy, które gapią się na mnie znad patrycjuszowskiego nosa, który nie należy do tej samej twarzy, co fałdy tkanki tłuszczowej wokół szyi. – Tak czy nie?

– Eee... nie...

– No to innym razem – mówi, i zanim się orientuję, że mnie odprawił, już woła do innego policyjnego zombiaka: – Ej, ty! Ty, do ciebie mówię. Idź do magazynku firmy pogrzebowej i przynieś pod dzwonnice trumnę... – Chwilę później odchodzi, powiewając sutanną.

– No chodź – mówi Sam. – Jedźmy do domu. – Bierze mnie za ramię.

Zaciskam powieki, żeby powstrzymać łzy.

– Jedźmy.

Prowadzi mnie przez parking ku kolejce taksówek. – Co chciałaś powiedzieć Fioremu?

– Nic. – Skoro tak bardzo chce wiedzieć, mógłby rozmawiać ze mną przez resztę czasu, kiedy siedzę sama.

– Nie wierzę ci. – Milczy przez minutę, kiedy wsiadamy do taksówki.

– No to nie wierz.

Kierowca rusza, nie pytając, dokąd chcemy jechać. Zombiaki znają nas wszystkich z twarzy.

– Reeve. – Wbijają we mnie wzrok, z poważną miną.

– Co?

– Czy ty chcesz, żebym cię znienawidził?

– Za późno – rzucam gorzko. I właśnie wtedy, przez tę jedną chwilę, jest to prawdą.

17. Misja

Dzień po morderstwie, kiedy się budzę, pada deszcz. I leje – drobny, delikatny, ale uparty – do samego końca tygodnia, idealnie odzwierciedlając mój nastrój.

Mogę zajmować się domem, a doktor poleciła się nie przemęczać – czyli nie muszę chodzić do biblioteki – chyba zatem należy się cieszyć? Postanowiłam, że będę zadowolona, prawda? Niestety, między mną i Samem coś się chyba pochrzało, wokół mnie krążą dziwne, mroczne prądy – to ludzie, którzy podjęli odwrotną decyzję i w sekundę rzucają się na mnie, jeśli nie będę uważać na własne zachowanie. Teraz, gdy mam czas, żeby przemyśleć sobie różne sprawy, cieszę się niezmiernie, że Fiore nie zwrócił uwagi, gdy chciałam mu opowiedzieć o Janis. Życie tanieje tu z każdym tygodniem i nie ma darmowych zmartwychwstań – bo nie ma domowych asemblerów, w których można by się codziennie backupować.

Naprawdę jestem aż tak zaniepokojona?

Tak.

Udaje mi się dotrzeć do czwartkowego ranka, zanim pęknę. Budzę się o świcie (ostatnio nie za dobrze sypiam) i słyszę, jak Sam krząta się w łazience. Patrę przez okno na miarowo spadające krople, jak przesłaniająca roślinność półprzejrzysta zasłona, i dociera do mnie, że już dłużej nie wytrzymam. Nie chcę kolejny dzień siedzieć sama w domu. Wiem, że doktor Hanta kazała wziąć cały tydzień wolnego, żeby dojść do siebie, ale czuję się dobrze, a jak pójdę do pracy, przynajmniej znajdę sobie coś do roboty. Kogoś do pogadania. Przyjaciółkę, w pewnym sensie, choć ostatnio dziwnie się zachowuje.

Ubieram się jak do pracy, schodzę na dół i wzywam taksówkę, jak zwykle. Trochę mnie kusi, żeby się przejść, ale pada, a nie chciało mi się kupić nic przeciwdeszczowego. Deszcz na statku kosmicznym, kto by pomyślał? Czekam na werandzie, aż podjedzie auto, biegnę do niego i wsiadam.

– Proszę do biblioteki – sapię.

– Tak jest, proszę pani. – Taksówkarz rusza, trochę ostrzej, niż jestem przyzwyczajona. – Ciekawe, kiedy wreszcie przestanie lać.

Że co? Otrząsam się.

– Co pan powiedział?

– Słyszałem od Jimmy’ego z usług komunalnych, że pada, bo wykryli jakiś problem z kanalizacją i muszą przepłukać kanały burzowe. A w ogóle, to jestem Ike. Miło mi panią poznać.

Ledwo zdążam dojść do siebie.

– Jestem Reeve. Długo pan jeździ na taksówce?

Chichocze.

– Od początku. A pani pracuje w bibliotece. Nie wiedziałem, że mamy coś takiego. Do centrum panią zawiozę, ale potem będzie mi pani musiała pokazać, gdzie to jest.

– Połączyli sektory – udaje mi się wykrztusić.

– No właśnie, o to chodzi. – Wystukuje na kierownicy synkopowany rytm, do taktu wycieraczek, a potem ostro skręca. – A co się robi w takiej bibliotece przez cały dzień?

– A co się robi w taksówce? – ripostuję, jeszcze zbita z tropu. Kieruje tym ręcznie! Dali nam do sterowania taką maszynę... Muszą naprawdę poważnie myśleć, żeby zrobić z tego wszystkiego działający ustrój. Co pewnie znaczy, że według nich punktacja, jaką mamy na wszczepkach, jest z grubsza dobrze opracowana. – Ludzie przychodzą, pytają o różne książki, pomagamy im je znaleźć. – Wzruszam ramionami. – I jeszcze parę innych rzeczy, ale w skrócie tyle.

– Aha. A ja przez cały dzień jeżdżę po mieście. Dostaję wezwanie przez radio, jadę po pasażera, zabieram go.

– Nudne to chyba, prawda?

Śmieje się.

– Dla mnie nudne byłoby to grzebanie w książkach, więc jesteśmy kwita! Dojeżdżamy do centrum, pod ratusz. Teraz którądy?

W centrum nie pada.

– Proszę mnie tu wysadzić i dalej sobie pójde – proponuję, ale on się nie zgadza.

– Nie-e, muszę się nauczyć, gdzie jest wszystko, prawda? To którądy jedziemy?

Poddaję się.

– Następna w lewo. Mija pan dwie ulice, potem w prawo i już.

Przyjeżdżam pod pracę potwornie wstrząśnięta. Nie za bardzo wiem dlaczego. Słyszałam już tę gadkę Yourdona o sierżantach policji i sędziach. Co, w końcu nie będzie tu żadnych zombiaków, wszystko będziemy robić sami? Uświadamiam sobie, że tak mniej więcej powinna wyglądać realistyczna symulacja ciemnych wieków, ale to znaczy, że wszystko się dzieje na znacznie większą skalę, niż sobie wyobrażałam.

Trochę się spóźniłam, biblioteka jest już otwarta. Nie ma jednak żadnych klientów, idę więc prosto do kontuaru i uśmiecham się do siedzącej z nosem w książce Janis.

– Cześć!

Podskakuje i robi zaskoczoną minę.

– Reeve? Nie spodziewałam się ciebie.

– Znudziło mi się siedzenie w domu. Doktor Hanta powiedziała, że jak chcę, mogę przyjść do pracy. To ciekawsze niż siedzieć i gapić się na deszcz, prawda?

Janis kiwa głową, ale nie jest rozbawiona. Zamyka książkę i odkłada ją ostrożnie na blat.

– No tak, pewnie tak. – Wstaje. – Kawy?

– Pewnie!

Idę za nią do pokoju socjalnego. Naprawdę cieszę się, że tu wróciłam – tu jest moje miejsce. Janis ma podły humor, ale coś na to wymyślę. I mamy swoją bibliotekę. Co może być w życiu lepszego? Ike niech się schowa ze swoją śmierdzącą, niebezpieczną taksówką.

– No dobra. – Janis włącza czajnik i mierzy mnie krytycznym wzrokiem od stóp do głów.

– Może będę musiała wyjść na parę godzin. Dasz sobie radę sama ze wszystkim?

– Nie ma problemu! – Poprawiam spódnice. Może przyczepiły mi się jakieś farfocle?

Krzywi się, potem trze czoło.

– Reeve, jeju, trochę mniej tego entuzjazmu od rana. Co w ciebie wstąpiło?

– Nudziłam się! – Udaje mi się nie zmienić głosu w pisk. – Nudziłam się w domu, a od niedzieli tylko leje i leje. – Wysuwam drugie krzesło i siadam. – Nie można codziennie łączyć po sklepach, wszystko już miałam wysprzątane i poukładane, telewizja jest nudna, miałam przyjść tutaj po jakieś książki, ale pomyślałam... – Uspokajam się. Co właściwie sobie pomyślałam?

– Chyba rozumiem. – W kącikach jej oczu pojawia się blady uśmiech. – Jak tam Sam?

Sztywnieję.

– A czemu pytasz?

Uśmiech blednie.

– Był tu wczoraj. Chciał pogadać o tobie, pytał, co myślę... Chyba nie daje rady pogadać z tobą, więc musi z kimś innym. Reeve, to niedobrze. Wszystko u was w porządku? Może jakoś wam pomóc?

– Tak. Możesz zmienić temat. – Mówię to lekkim tonem, ona jednak natychmiast nieruchomieje. – Sam obraził się za coś, co powiedziałam, i musimy załatwić to między sobą.

– Żołądek wywraca mi się ze złości i wstydu, lecz brnę dalej. W końcu to nie wina Janis, to Sam powinien trochę pomyśleć, szuja jedna. – Spokojnie, dogadam się z nim – dodaję, starając się ją uspokoić.

– Eee... rozumiem. – Ma taką minę, jakby gryzła cytrynę. Po chwili zagotowuje się woda, wstaje więc, nalewa wrzątku do kubków, wsypuje śmietankę w proszku i miesza. – Reeve, nie odbierz tego źle, ale strasznie się zmieniłaś, odkąd wyszłaś ze szpitala. Jakbyś nie była sobą.

– Hm? A co dokładnie? – Dmucham na kawę, by ostygła.

– A, różne takie drobiazgi. – Unosi brew. – Jakiegoś zapachu dostałaś. Bardziej interesujesz się zewnętrzem niż wnętrzem. I jakbyś straciła swoje poczucie humoru.

– A co ma do tego poczucie humoru? – Gapię się na kubek, starając się nie wpaść w

złość. – Wiem, kim jestem, wiem, kim byłam.

– Zapomnij, że to powiedziałam. – Janis wzdycha. – Przepraszam, nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Strasznie wredna się ostatnio robię... Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że zostawię cię tutaj na parę godzin.

Zmuszam się do uśmiechu. Problemy Janis to, ściśle rzecz biorąc, nie moja sprawa, ale...

– W końcu od czego są przyjaciółki?

Patrzy na mnie dziwnie.

– Dzięki. – Pije łyk kawy i się wykrzywia. – Co za obrzydlistwo, jedyna gorsza rzecz to w ogóle nie pić kawy. – Marszczy się jeszcze bardziej. – Późno się robi. Do zobaczenia w przerwie obiadowej?

– Jasne – odpowiadam, a ona wstaje, łapie wiszącą na drzwiach kurtkę i wybiega.

Kończę kawę, potem wracam za kontuar. Jest parę rzeczy do odłożenia na półki, zombiaki sprzątały jednak dokładnie – nie zostawiły mi do wytarcia ani jednej zakurzonej półki. Wpada paru znudzonych pracowników biurowych, żeby oddać książki albo poszukać na regałach jakiejś rozrywki na porę obiadową, ale poza tym nie ma nikogo. Siedzę więc za kontuarem, zastanawiając się, czy półkę ze zwrotami po terminie dałoby się jakoś lepiej zorganizować, wtem otwierają się drzwi i wchodzi Fiore.

– Nie spodziewałem się ciebie – mówi, podejrziwie mrużąc otuszczone oczka.

– Naprawdę? – Zeskakuję ze stołka i uśmiecham się do niego, choć wszystkie instynkty drą się, że mam być ostrożna.

– W istocie. – Pociąga nosem. – A druga bibliotekarka, Janis, jest?

– Z rana nie, będzie po południu. – Patrząc na niego mam potworne déjà vu, jak wspomnienie złego snu.

– Hm. No cóż, jeśli mogę prosić, to mi nie przeszkadzaj. Mam robotę w archiwum. – Podnosi głos. – Proszę, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

– Eee... oczywiście. – Mimo woli cofam się o krok. Coś z tym Fiorem jest nie tak: w oczach ma jakąś dzikość, napięcie; nagle czuję nieprzyjemną świadomość, że jesteśmy tu sami, a on waży ze dwa razy tyle co ja. – Długo ksiądz będzie?

Zerka mi gdzieś za ramię.

– Nie, Reeve, to nie potrwa długo. – Po czym odwraca się i człapie ku zbiorom specjalnym, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Przez moment nie dowierzam własnym instynktom. Pogardliwy gest godny Fiorego, człowieka tak skupionego na sobie, że jeśli spędzisz z nim więcej czasu, sam uwierzysz, że jesteś wytworem jego wyobraźni. Potem jednak słyszę prychnięcie. Skrzypi klucz w zamku, trzeszczą deski podłogi.

– Możesz tu do mnie podejść? Porozmawiamy w środku.

Biegnę za nim.

– O jakiej sprawie mamy rozmawiać? – pytam, rozpaczliwie szukając wymówki, żeby

tam nie iść. – Chodzi o Janis?

Odwraca się i mierzy mnie paciorkowatymi oczyma.

– Niewykluczone, córko. – Cały Fiore.

Idę więc za nim przez drzwi i schodami do piwnicy, a beznadziejne napięcie wyżera mnie od środka: cały czas nie wiem, czy mam się bać, czy nie.

W dziwacznej sali na dole Fiore przystaje.

– Co właściwie sądzisz o doktor Hancie? – pyta. Głos ma zmęczony, jakby ciążyła mu odpowiedzialność.

Stoję zbita z tropu. Co to ma być, jakaś ich wewnętrzna polityka?

– Hanta... – Waham się, gryzę w język, świadoma, do kogo mówię. – Jest niezwykle bezpośrednia. Chce dobra pacjentów i troszczy się o nich. Budzi zaufanie – dodaję spontanicznie, powstrzymując się przed dokończeniem: „nie to, co ty”. Manewruję tyłem, w końcu udaje mi się stanąć plecami do półek na ścianie. Jeśli trzeba będzie coś chwycić...

– Tego się spodziewałem – mówi cicho Fiore. – Co ona ci zrobiła?

– Nie powiedziała księdzu?

– Chcę, żebyś mi opowiedziała własnymi słowami. – Głos ma cichy i natarczywy, coś pęka mi w sercu. Nie mogę już udawać, że to się nie dzieje, prawda? Gram na zwłokę.

– Miałam coraz częstsze zaniki pamięci, fugi, a tam na górze, w zbiornikach rezerwy masowej statku, zaraziłam się jeszcze jakąś paskudną szarą mazią. Postawiła na nogi mój układ immunologiczny, który zaczął mi wyżerać zapisy pamięciowe. Doktor Hanta dała mi antyrobotyki i potraktowała utrwalczem pamięci, żeby to się nie posuwało dalej. – Chowam ręce za plecami i powoli się cofam ku ścianie. – Powiedziałabym, że jest zadziwiająco etycznym lekarzem, zwłaszcza że tutaj wszyscy trzymają wszystko w tajemnicy. A co, ksiądz ma inne zdanie?

– Hm. – Fiore, fałszywy Fiore, nachyla się nad konsolą asemlera i wstukuje jakiś kod. – Tak, istotnie mam inne.

Kiedy nie patrzy, robię kolejny krok w tył, docierając do półek. Dobrze. Zaczynam się w myślach przymierzać do tego, co będę musiała zrobić.

Fiore kontynuuje:

– Rozpracował to jeden z twoich poprzedników tutaj. Tak, ciągle tu jest, mocno zakonspirowany. Hanta to nie jest prawdziwe nazwisko. Ona, czy raczej ono, było członkiem Ligi Eskulapa.

Zaczerpuję tchu.

– No właśnie, pamiętasz ich, co? Była Wiwisektorem, Reeve. Należała do zamkniętej elity, zajmującej się realizacją własnej wizji restrukturyzacji ludzkości.

– Dzięki, że mi ksiądz przypomniał, przed czym się tu schowałam – mówię drżącym głosem. – Teraz przez tydzień znowu będę mieć koszmary.

Odwraca się i wytrzeszcza oczy.

– Głupia jesteś czy...? Przepraszam. Ale jeśli to oznacza dla ciebie tylko tyle, to faktycznie już nie ma dla ciebie... – Gniewnie dźga palcem konsolę. – Cholera. Myślałem, że przynajmniej trochę się przejmiesz losem nas wszystkich tutaj.

Biorę głęboki wdech, usiłując opanować mdłości. Eskulapowcy – kolejna dyktatorska sekta, morfologiczna wspólnota. O wiele gorsza niż Państwo Solipsystyczne. Restrukturyzowali ustroje, jedno okaleczane, wrzeszczące ciało za drugim. Jeśli doktor Hanta jest Eskulapowcem i współpracuje z Yourdonem i Fiorem, przyszłość, jaką tu rzeźbią, jest czymś potwornym.

– To niemożliwe. Ona... niemożliwe.

– Tak? A doktor major Fiore to według ciebie po prostu gruby, egocentryczny psychiatra? – Szczerzy się. – Przestań, Reeve, już widzę, co kombinujesz. Hanta porządnie napierdzieliła ci w głowie. Pewnie najpierw wyłudziła od ciebie zgodę, co? Ci Eskulapowcy lubią formalności. Fiore i Yourdon to też zbrodniarze wojenni. Zresztą, cholera, większość ludzi tutaj robiła tak obrzydliwe rzeczy, że teraz chce o wszystkim zapomnieć. Pamiętasz jeszcze, dlaczego to jest eksperymentalny ustrój?

– Pamiętam? – To dla mnie coś nowego.

– A. No tak. Utrwalacz pamięci i wszystko jasne. – Ostatni raz szturcha palcem konsolę. Ta dźwięczy i rozjarza się jaskrawą zielenią. – Co by zrobili dyktatorzy bez tej posłusznej amnezji? Całe społeczeństwo traci pamięć i wszystko da się ukryć. „Kto dziś pamięta o Ormianach?”. – Cofa się o krok. – Posłuchaj, musimy złamać to warunkowanie, które wladowała ci na wszczepkę.

Tym razem żołądek naprawdę wywraca mi się na lewą stronę. Niedobrze mi. Ten potwór chce mnie na nowo wciągnąć w chaos, jaki miałam w głowie, zanim Hanta mnie wyleczyła. I byłam na górze – wiem, że stąd nie ma wyjścia. Wszyscy tu tkwimy. Opór jest bezcelowy. Naprawdę muszę stąd uciec, zaalarmować biskupa i policję, żeby go aresztowała. Ale to jakbym zdradziła samą siebie, prawda?

– To ty zabiłaś Micka? – szepczę. – Jak się dostałaś do tego ciała?

– Jeśli powiem ci, że tak, poczujesz się lepiej? – pyta, zaskakująco delikatnie. – A może gorzej?

– Ja... – Znów łykam powietrze. – Ja... chcę wiedzieć.

Fałszywy Fiore, Robin, mruga powoli, zamykając otłuszczone oczka. Tężeję, on jednak otwiera je, zanim wezmę się w garść, żeby coś zrobić.

– Zaraz po tym, jak zabiłaś Fiorego – mówi. – Wszedłem do asemblera i zbackupowałem się, zaprogramowałem połączenie ciał i systemów nerwowych, żebym wyszedł w skórce Fiorego, a nie... – Wskazuje mnie brodą. – Ustawiłem dwie godziny zwłoki, żeby dać ci czas na zrobienie porządku, ale w międzyczasie miałaś zanik. Budzę się w bramce, widzę, że jest częściowo posprzątane, ale ciebie nie ma, więc musiałem to wszystko skończyć. Fiore jest zbackupowany na bramce, a ja mam taką samą biometrykę jak on, więc udaje mi się zrobić

zrzut jego implantu i kiedy któraś jego kopia pojawia się, żeby cię sprawdzić, mówię jej, że zaginęłaś. Słabo ogarnia tę garstkę swoich kopii. W niedzielę rano poszedłem odwiedzić Cass w szpitalu. Okazało się, że nie byłem pierwszym gościem. Nie słyszałem, żeby rozeszły się jakieś plotki, choć sytuacja była nieciekawa. Hanta chyba to później zatuszowała, ale jeśli cię to interesuje... przyłapałem Micka. Mieszkał w piwnicy w pustym domu i kradł ludziom z kuchni jedzenie, kiedy byli w pracy – zauważyłaś, że my tu jesteśmy strasznie ufni? Nikt nie zamyka kuchennych drzwi. Zakneblował ją, a widziałaś te rusztowania, na których Hanta zawiesiła nogi Cass. Nic nie mogła zrobić. To znaczy, próbowała uciec, tylko nie bardzo mogła. Reeve, on ją znowu gwałcił, a wiesz, co myślę o trzecich razach.

Kiwam głową, z trudem łapiąc powietrze. Okropne jest to, że w wyobraźni wszystko widzę: ja w ciele Fiorego podkradam się do zajętego rżnięciem Micka, Cass miota się bezradnie – Mick pewnie związał jej ręce dla świętego spokoju – ja w ciele Fiorego walę go w podstawę czaszki. Fiore nie robi tego zbyt delikatnie, bo już nie panuje nad wściekłością, ma gdzieś niebezpieczeństwo podoponowego krwotoku. Nie obchodzi go, czy Mick odzyska przytomność. A nawet uważa, że to byłby kiepski pomysł, przynajmniej dla Cass, zresztą w sumie, jak się zastanowić, można by Micka wykorzystać, żeby przemówić do rozsądku ewentualnym socjopatom, którzy chcieliby go naśladować...

Cała ja. Ja, taka jak niedawno, nie jak kiedyś (cichy, spokojny, oddany rodzinie historyk), ani jak teraz (trochę kapryśna, promieniejąca radością odkrycia, jak to jest poddać się po trwającej całe życie walce). Ta „środkowa” ja, ponura maszyna do zabijania. Wtedy jednak nasze oczy się spotykają i widzę w nich potworny smutek, poczucie winy, lustrzane odbicie tego, co czuję sama – mam bowiem świadomość, że absolutnie będę musiała go podkablować biskupowi, gdyż nie możemy sobie pozwolić na to, aby po mieście latał sobowtór-morderca jednego z naszych najbardziej szanowanych obywateli...

Łapię pierwszą rzecz, na jaką trafiam palcami: ciężką teczkę z wydrukami, fragment zrzutu kodu Osobliwej Żółcieni z piętra wyżej. Robię dwa szybkie kroki do przodu i walę go tym po głowie, najmocniej jak potrafię. Fiore osuwa się na podłogę, ja jednak nie zostaję, żeby dokończyć dzieła – odwracam się i biegnę do schodów. Jeśli dotrę na górę i zdążę zamknąć drzwi, utknę tu na wystarczająco długo, żebym mogła zawołać...

– Wybierasz się gdzieś? – cedzi Janis, celując we mnie ze szczytu schodów ogłuszaczem. Widzę, jak palec bieleje jej na spuście za kabłąkiem.

Zaczynam podnosić ręce.

– Nie...

Tak.

Stękam i unoszę ręce do głowy, która boli jak cholera w miejscu, gdzie Reeve walnęła mnie teczką. Ktoś łapie mnie za rękę i kontrolnie szarpie, otwieram oczy. Janis. Wystraszona.

– Co się stało? – pytam.

– Złapałam ją, jak uciekała schodami, strasznie się gdzieś śpieszyła. – Patrzy na mnie

badawczo. – A co z tobą?

W końcu dotykam głowy i krzywię się, czując ostry ból.

– Czymś mnie uderzyła, chyba teczką z papierami. Upadłem. – Głupio, głupio. Trochę mi niedobrze. Kiedy się rozglądam, boli mnie szyja. – Walnąłem się głową o cokół bramki.

– To masz szczęście, że przyszedłem.

– He, he. Jeśli chodzi o ciebie, nie ma czegoś takiego, jak szczęście.

– To było w innym życiu – mówi z namysłem. – To jak, poradzisz sobie? Muszę zamykać.

– Zamykaj, i to już. – Krzywię się i podnoszę, dysząc ciężko. To ciało ma ogromną bezwładność i grubą izolację, ale nie jest stworzone do biegania. – Jeśli ktoś nas tu znajdzie...

– Poradzę sobie z nimi.

Znika na górze. Siadam, udaje mi się nie zwymiotować. Reeve omal wszystkiego nie zepsuła; to przerażające, jak niewiele brakowało. Gdybym nie doszedł, kim jest Janis, byłbym tu sam, a Reeve zabiłaby mnie, nie mrugnawszy okiem. „Rozkaz, pani doktor”.

Muszę coś zrobić z tą Reeve, a wcale nie mam ochoty. Pewnie, Hanta – chirurg pułkownik Vyshinski, żeby użyć prawdziwego nazwiska – nieźle jej namieszała w głowie, ale utrata całego tygodnia to nie byle co, a poza tym, ona umie parę rzeczy, które mogą nam się przydać. Same dylematy. Gdyby tak dało się w prosty sposób odkręcić to pranie mózgu, które zastosowała Hanta, tylko, że... cholera. W końcu to artystka, prawda? To będzie jakiś numer z motywacją i wartościami, coś z rozładowaniem napięcia emocjonalnego, bardzo subtelnego, co nie rusza osobowości, tylko manipuluje wzmocnieniem na paru jej cechach, w sam raz tyle, żeby zrobić z Reeve punktociągą jak się patrzy.

Siedzę z rozstawionymi nogami, ciężko oddychając potężnym, falującym bandziochem i próbując dojść do ładu z faktem, że zamierzam zabić swoją lepszą połówkę. Ciężka sprawa, obojętne ile razy się to wcześniej robiło.

Na górze coś stuka. Wstaję, sapiąc, i człapię zobaczyć, co się tam dzieje. Nienawidzę tego ciała, choć dzięki niemu mogłem wejść w parę miejsc, gdzie nikt inny nie ma wstępu – goście trochę opuścili się w zabezpieczeniach, zapomnieli o przysłowiu speców od ochrony: „coś tajnego, coś znanego, coś co masz, twoja twarz”. Niby „twoja twarz” wystarczy, kiedy się kontroluje wszystkie asemblery w ustroju, ale i tak... Zatrzymuję się na dole schodów.

– Kto to? – pytam cicho.

– Ja – odpowiada Janis. – Musisz mi z nią pomóc.

– Uch.

Gramolę się po schodach. Janis czeka na górze z Reeve. Skleiła jej kostki i nadgarstki taśmą biblioteczną. Reeve zaczyna się ruszać. Odzyskuje przytomność.

– Jak myślisz, co z nią zrobić? – pytam.

– Dasz radę znieść ją na dół? – pyta zdyszana Janis.

– Tak.

Pochylam się i łapię Reeve za kostki: moje ciało jest groteskowo tłuste, ale wcale nie słabe. Unoszę ją trochę i ciągnę, a Janis unosi jej ręce na tyle, żeby nie waliła głową o stopnie. Na dole ciągnę ją ku bramce. Już przewraca oczami, czerwienieje jej twarz. Nienawidząc siebie, nachylam się nad nią.

– A co ty byś zrobiła? – pytam ją.

– Mmmf! Mmmmf!

Walczy do końca – cała ja. Unoszę wzrok na Janis.

– Czemu jej nie zabiłaś?

– Nie chciałam – odpowiada.

– Jak to, chcesz tak po prostu...

– Pakuj ją do bramki i tyle! – Głos ma zestresowany.

Łapię Reeve pod pachy i unoszę. Robi się bezwładna, żeby było mi jak najciężej.

– Wcale mi się to nie podoba, tak jak tobie – mówię do niej. – Ale to miasto jest za małe dla nas dwóch.

Kiedy ładuję ją do bramki A, kopie mnie obunóż, lecz spodziewam się tego i walę ją pięścią nad lewą nerką. Po tym zgina się wpół. Zatrząskuję drzwiczki.

– No i? – Łypię na Janis. – Co teraz?

Gównianie się czuję. Zawsze tak jest, kiedy sam siebie zabiję. Dlatego chyba chciałem to zwalić na Janis. Zepchnąć trudną decyzję na czyjeś barki.

Janis pochyła się nad stacją sterującą.

– Zaczynam się tu orientować – mruczy. – Wiesz co, zdejmę z niej szablon, dobra?

– Kurwa. – Kręcę głową w parodii rezygnacji. Z bramki dobiega jakiś łomot. Krzywię się. Współczuję Reeve: widzę siebie na jej miejscu, to jest straszne. – Dlaczego?

– Bo tak. – Unosi na mnie wzrok. – Jeżeli będziesz tak biegać w przebraniu, Fiore w końcu nabierze podejrzeń. Nie wydaje ci się, że czas wrócić?

– Wrócić?

– Do postaci Reeve – tłumaczy cierpliwie.

– Aaa – powtarzam. – Aha, rozumiem.

Po tym ciosie w głowę wolno kojarzę. Janis ma rację, nie musimy jej zabijać. I nagle już mniej przejmuję się tym, że ją walnąłem i wpakowałam do dezasemblera nanostruktur: coś, jakby walnąć się samemu w twarz, nigdy nie boli tak, jak kiedy zrobi to ktoś inny.

– Zdejmę z niej szablon, potem zrobię deltę twojego aktualnego wektora stanu i nałożę na Reeve. Obudzisz się w jej ciele, będziesz mieć jedną i drugą pamięć, ale ty będziesz zestawem dominującym. Myślisz, że to zadziała?

Z bramki znów dobiega stłumiony rumor, potem odgłosy rzygania – Janis uruchomiła program do szablonów, paraliżując Reeve przez netlink, a komora bramki wypełnia się digitalizującą pianką ablacyjną.

– Lepiej niech zadziała – mówię.

– Trochę się boję, że Fiore podejrzewa, co się tu dzieje. Jak doda dwa do dwóch po tym numerze z Mickiem, wszystko może się wydać.

Wzdycham ciężko.

– No dobra, zostanę z powrotem Reeve. Tak chyba będzie najlepiej.

– Zgadzasz się ze mną? – W słabym świetle sufitowych lamp wygląda na umęczoną. – W takim razie, może to nie jest do końca głupi pomysł. A co potem?

– Potem siądziemy i zastanowimy się, jak zamieść pod dywan cały ten bajzel. Jak tylko będę wiedzieć, co ona wie.

– Dobra. – Na jej ustach pojawia się słaby uśmiech. – Z ciebie to jest człowiek-konkret, aż miło słyszeć.

– Jak się raz było czołgiem, to się nim jest do końca życia – przypominam jej.

– Racja.

Przez moment widzę cień jej poprzedniej postaci. Aż mnie kłuje w pierś.

– Im szybciej wrócę do siebie, tym lepiej.

Przez długie minuty siedzimy w milczeniu, słyhać tylko posapywanie bramki. W końcu pulpit dźwięczy, szcękają odblokowywane drzwiczki. Podchodzę, otwieram. Komora, jak zawsze, jest pusta i sucha. Rozglądam się, widzę, że mnie obserwuje.

– Gotowy? – pyta.

– Do zobaczenia po drugiej stronie, Sanni – mówię, zamykając bramkę za sobą.

I to by było tyle.

* * *

Komórka Bezpieczeństwa Błękit była częścią organizacji kontrwywiadowczej Kotów Linebargera. Rzekomo rozwiązano ją po zakończeniu wojen cenzorskich i zatarto wszystkie zapisy pamięciowe. Wiem jednak, że to nieprawda, bo sam do niej należę. Nie rozwiązano nas, tylko zesłaliśmy do podziemia, bo nasza misja jeszcze się nie skończyła.

Zadanie mamy ryzykowne. Musimy robić beztrioskim ludziom nieprzyjemne rzeczy. Zacieranie naszych śladów kosztuje, i to kolosalne pieniądze, a po wojnie nie każdy pieniądz jest wymienialny pomiędzy ustrojami. Różne lokalne bojówki i rządy odkurzyły kursy wymiany walut, spready walutowe i całą masę tego typu archaicznych rozwiązań. Niektóre ustroje są stosunkowo otwarte, inne wpadły pod but rozmaitych watażków. Niektóre przywiązują ogromną uwagę do uwierzytelniania i pilnowania unikatowości, inne nie dbają o to, kim jesteś, bylebyś tylko płacił podatek tlenowy. (W tych pierwszych świetnie się mieszka, w tych drugich świetnie się ukrywa). W rezultacie powojennej fragmentacji dużo wędrujemy, zmieniając wygląd, a czasem i wspomnienia, rozwidlając się w rezerwowe ciała, a potem łącząc delty przeżyć. Najpierw przejadamy kapitał uwolniony po likwidacji Kotów; później wspieramy to różnymi firmami-przykrywkami. (Słyszeliście może kiedyś o Brygadzie Zamachowców Żmija albo Cordwainer Heavy Industries? To my). Natomiast operacyjnie

organizujemy się w luźno powiązane komórki. Należę do cięższego kalibru zawodników: moje doświadczenie w operacjach bojowych doskonale łączy się z doświadczeniem z wywiadu.

Mniej więcej pięćdziesiąt mega po oficjalnym zakończeniu działań bojowych otrzymuję wezwanie do Ustroju Nefrytowego Świtu. Obowiązują tam ścisłe ograniczenia technologiczne, jestem więc w przebraniu ortosa, z legendą, według której jestem wędrownym instruktorem szermierki na miecze. Mam dostęp do wystarczającej ilości wojskowego softu neuronalnego, żeby umieć co trzeba, włącznie z przecięciem spadającego włosa, a według drugiego dna legendy jestem zdemobilizowanym uchodźcą przed ręką sprawiedliwości, z jakiegoś miejsca bez ograniczeń technicznych. Mam tu chodzić i wypatrywać ofiar nadających się do przekrętu typu „hiszpański więzień”, ryzykując podejrzenia o przynależność do stowarzyszenia zbrodniarzy wojennych. Ostatnio robiłem sporo tego typu numerów, ale w tym konkretnym nie wiem jeszcze, o co chodzi.

Ustalone miejsce spotkania to publiczna łaźnia na ulicy Pomarańczowych Liści, wąskiej, brukowanej, pofałdowanej uliczce, odchodzącej od głównej ulicy, biegnącej przez dzielnicę sklepików ze srebrem i schodzącej do portu. Jest pogodne wiosenne popołudnie, powietrze wypełnia ciężki zapach suchodrzewu. Przed chwiejącymi się jak pijane domami banda dzieciaków rzuca bumerangiem, a nieliczni przechodnie pną się środkiem drogi z trudem pod górę. Tragarze obrzucają obelgami riksarzy, po czym wszyscy zgodnie wylewają swoją żołąć na pasterza, usiłującego zagnać na górę małe stadko kóz jedwabniczych.

Jestem tu wystarczająco długo, żeby mniej więcej wiedzieć, co robić. Zauważam trzymającego się z boku chłopaczka i strzelam palcami. Podchodzi do mnie – a raczej sunie, żeby koledzy go nie zauważyli. Brudny, zagłodzony, ubranie ma wypłowiałe i połatane. Idealny. Między moimi palcami pojawia się moneta.

– Chcesz zarobić jeszcze jedną? – pytam.

– Na feks nie idę – sepleni.

Przyglądam się uważniej i dostrzegam, że ma rozszczepione podniebienie.

– Nie o to mi chodzi. – Pokazuję kolejną monetę, tym razem poza jego zasięgiem. – Ta herbaciarnia, tam. Zajdź od tyłu, zobacz, czy tam czekają jacyś ludzie. Jeśli tak, wróć i mi powiedz. Jeśli nie, wejdź do środka, znajdź panią Sanni. Powiedz jej, że ma pozdrowienia od Czołga, potem wróć i mi powiedz.

– To dwie monety.

– Dobra, niech będą dwie.

Łypię na niego, znowu robi sztuczkę ze zniknięciem. Ma talent, myślę, robi to jak zawodowiec. Przychodzi podejrzliwość: a może to zawodowiec? Łatwe cele wyłapaliśmy już dawno – ci, którzy jeszcze się uchowali, to przeważnie o wiele trudniejsze przypadki.

Długo nie muszę czekać. Mija hektosekunda, czy coś w tym stylu, potem sepleniacz wraca.

– Pani Fanni mówi, fe pfynęta ffyciła. Faprofadzę pana.

Przynęta chwyciła. To nie za dobrze. Daję mu dwie monety.

– No dobra, to gdzie to jest?

Rozpływa się w nicość na moich oczach, ale nie tak szybko, żebym za nim nie nadążył. Nurkujemy w jakąś podejrzaną uliczkę, potem na parę sekund w labirynt anonimowych podwórek. Przechodzi przez rozwalający się drewniany płotek, za nim jest inny zaułek – tym razem zasypany kompostem, smród jest niezmierny – i podchodzi do niewyróżniających się niczym tylnych drzwi.

– Tutaj jeft.

Ręka wędruje mi do główki miecza.

– Naprawdę? – Gapię się na chłopaka, potem na dwóch martwych oprychów opierających się jeden o drugiego obok schodków.

Błyska uśmiechem.

– Pofiedziałeś, feby fprafdzić, fy nikogo tam nie ma, Robin.

– Sanni?

Kłania się z urwisowską nonszalancją. Unoszę brwi. Opryszkowie wyglądają tak, jakby spali, jeśli nie liczyć cieknącej z nosów krwi. Dobra robota, jak na specja wywiadu.

– Mało czasu. Sprawdź mnie.

Odbębniamy procedurę uwierzytelniania, coś tajnego, coś znanego, coś co masz, twoja twarz – wszystko to, co kiedyś robiła dla nas Republika Byt.

– Dobra, szefowo, to po co tu jestem? – Sanni nie jest już moją przełożoną, ale stare nawyki mocno się trzymają.

– Przynęta chwyciła. – Przestaje seplenić i się prostuje. Osobowość Sanni zaczyna przeblęskiwać przez wąskie gardło tego trzystumegowego ciała. – My, to znaczy Vera Sześć, około dwudziestu mega temu dowiedzieliśmy się, że paru znajomych podejrzanych typów kręci się po Niewidzialnej Republice. Sprawa bardzo szybko nabrała rozpędu. Wygląda na to, że zinfiltrowali parę klinik pamięci i przejęli szklany dom.

Opieram się o ścianę.

– Ten Szklany Dom?

Sanni kiwa głową.

– Ktoś będzie tam musiał wejść i poprzecierać im lustro. Ktoś jeszcze. Bo pięć mega temu wpuściłam tam swoją rozwidloną instancję i do tej pory nie dała znaku życia. Obawiam się, że konieczna będzie mocna konspiracja.

– Szlag, niech to, kurwa, szlag. – Patrzę na martwych bandytów, jakby to była ich wina.

Szklany dom to ośrodek resocjalizacyjny dla jeńców wojennych. Jest zbudowany tak, by skłaniać do resocjalizacji, żeby zintegrowali się z powrotem w coś przypominającego powojenne społeczeństwo – to dawny RADUG skonfigurowany w niewielki samodzielny ustrój z jedną bramką T na świat. Wchodzą zbrodniarze, wychodzą cywile. Przynajmniej takie

było założenie.

– I co się tam dzieje?

– Ktoś chyba nas zdekonspirował – mówi Sanni. – Tak – dodaje, widząc, gdzie patrzę. – Mówiłam, że mamy mało czasu. Grupa sformowana z paru naszych konkurentów opanowała Komisariat Amnezji Strategicznej Niewidzialnej Republiki i przejęła kontrolę operacyjną i finansowanie Szklanego Domu. Obecnych pensjonariuszy wypuścili, nie mamy pojęcia, kogo tam teraz pakują. Szklany Dom ma nowy zarząd.

– Ja się do tego nie nadaję. Nie możesz wysłać Magnusa? Albo Syntetyka? Skontaktować się z naszą górą i stowarzyszeniem weteranów i zobaczyć, czy ktoś...

– Tylko że ja już w ogóle nie istnieję – mówi spokojnie Sanni. – Kiedy moja delta tam weszła i zaginęła bez wieści, wrogowie dobrali się do mojej głównej i zabili ją tyle razy, że prawie całkiem umarłam. To... – poklepuje się po chudej piersi – to tylko częściówka. Robin, jestem duchem.

– Ale... – Oblizuję wargi, serce mi dudni, zszokowane. – To mnie też po prostu nie zabijają?

– Nie, jeśli najpierw sami zabijemy twoją tożsamość. – Sanni-duch szczyrzy zęby. – Trzeba będzie zrobić tak...

18. Połączenia

Jestem sobą. Stawy skrzypią, serce pompuje. Ciepło, ciemno i sennie. Powoli dociera do mnie, że kucam, obejmując rękoma kolana i podbródek... Czyli już nie robię za Fiorego? Tak. Dobrze wiedzieć. Kolejny fakt na kupkę. Rzut kością, zobaczymy, co wyjdzie.

Przez ostatnie dwa tygodnie z reguły byłam w dwóch miejscach jednocześnie.

Leżałam w szpitalu, odpoczywałam w domu. Rozmawiałam z doktor Hantą, wpadłam w przerażenie w dzwonnicy, usiłowałam powiedzieć księdzu o Janis.

A druga „ja” mieszkała w bibliotece, spała w pokoju socjalnym, ostrożnie badała niedozwolone rejony habitatu, a później knuła razem z Janis. Sanni. Chwila podwójnego szoku, kiedy natknęłam się na nią na schodach, z pistoletem w dłoni, równie zaskoczona, jak wcześniej, kiedy była w piwnicy z nożem. Załamała się i rozplakała, uświadamiając sobie, że już nie jest w tym sama. Gdybym też tu trochę nie posiedziała, w życiu bym w coś takiego nie uwierzyła. Twarda jak diament Sanni, zamieniona w coś takiego? Izolacja robi z ludźmi dziwne rzeczy...

– Reeve, no! Odezwij się! Jesteś tam? – Jej głos pobrzmiwa desperacją. – Powiedz coś!
– Nachyla się nade mną niespokojnie. – Jak się czujesz?

– Zobaczmy.

Mrugam dalej, potem rozprostowuję ręce i wstaję się. Znowu jestem Reeve. Cholera, jaka jestem lekka! Po kilkunastu dniach skrępowania bezwładnościowymi łańcuchami przywiązanymi do cielska Fiorego wrażenie jest niesamowite. Lekki powiew i lecę. Uśmiecham się z zachwytem, potem patrzę na nią i uśmiech mi zamiera.

– Ja... ona... o mało co nie podkablowała cię Fioremu.

Janis błędnie.

– Kiedy?

– Po tym, jak pozbyliśmy się Micka. Daj pomyśleć. – Zamykam oczy. Muszę opanować ten nagły przyływ adrenaliny. – Małe ryzyko. Ja... ona... była niepewna i źle wybrała moment. Nie wiedziała, kim jesteś, po prostu pomyślała, że kombinujesz coś złego, więc chciała na ciebie donieść dla twojego bezpieczeństwa. Fiore był akurat zajęty i posłał ją w cholerę. Więc jeśli nic mu nie przypomni, jesteś czysta.

– Cholera. – Janis cofa się o krok i widzę, że ciągle trzyma ogłuszacz, choć teraz celuje nim w podłogę. Chwieje się nieznacznie, nie wiem, czy z ulgi, czy szoku. – Mało brakowało.

Biorę głęboki wdech.

– Nigdy wcześniej nikt nie robił mi prania mózgu. – Jakaś niewielka część mojego umysłu wciąż sądzi, że doktor Hanta jest sympatyczną i życzliwą lekarką, która chce tylko mojego dobra, jednak przegłosowuje ją znaczna większość, która najchętniej użyłaby jej flaków jako skakanki. – Wcale mi... – za szybko oddychasz, zwolnij – ...nie do śmiechu.

– Sprawdźmy pingiem. – Janis waha się przez moment. – Kochasz mnie?

– Kocham cię! – Serce znów mi przyspiesza. – O, słyszałam!

– Tak. – Janis kiwa głową. – Za to ja nie. Wychodzi na to, że przy łączeniu dwóch delt napisał ci się w netlinku ten fragment Osobliwej Żółcieni.

– Nie. – Wychodzę z asemblera i ostrożnie zamykam drzwiczki. – To było wcześniej. Już wcześniej to słyszałam... – marszczę czoło – ...jak rozmawiałam z Samem, po wyjściu ze szpitala. To znaczy... ona słyszała.

– Osobliwe. – Przekrzywia głowę, to gest typowy dla Sanni, wydający się kompletnie nie na miejscu u Janis, jaką poznałam przez ostatnie kilka miesięcy. – A może ona... – Janis pstryka palcami. – Oni zaadaptowali OŻ, prawda? Ta wersja, którą mamy w głowach, obsługuje punktację behawioralną i tak dalej, ale jeśli Hanta ją adaptowała, żeby służyła za uniwersalny program rozruchowy, odpalający dowolne rzeczy...

Wzdrygam się. Konsekwencje są jasne. Oryginalna Osobliwa Żółcień wykorzystywała ludzi jako nosicieli, ale naprawdę uruchamiała się tylko na zakażonych przez siebie bramkach A. Zmodyfikowana OŻ, która potrafi uruchomić się i robić różne rzeczy na netlinku nosiciela, a przy tym nie łapie się na test, to coś o wiele groźniejszego. Można jej użyć do...

– Zombiaki?

– Tak. – Janis patrzy, jakby zobaczyła ducha. – Dalej jesteśmy w szklanym domu? Czy gdzieś nas przenieśli?

– Jesteśmy w szklanym domu – zapewniam ją. – To pierwsza dobra wiadomość, jaką udało mi się na razie poskładać do kupy. RADUG *Żniwiarz nauk*, jeśli polegać na tym, co ona widziała na górze. Zresztą, jak rozumiem, dla ciebie to wszystko jedno, na którym RADUG-u jesteśmy?

– Tak mi się wydaje. – Kiwa głową, coraz bardziej ożywiona. – Więc ta zamknięta część ratusza, którą znalazłaś... – kiedy byłam Fiorem – ...to zapewne jedyna lokalna bramka. Tak?

– Są jeszcze krótkodystansowe bramki do ich mieszkań. – Znowu się wzdrygam: tylko szczęściu, tupetowi i bezczelności zawdzięczam, że nikt mnie nie zdemaskował, kiedy wchodziłam i wychodziłam z ratusza. Dziesięć minut później wpadłabym na prawdziwego Fiorego. – Rozgałęziacz w ratuszu na pewno wyłączyli; znalazłam tę salę konferencyjną, przez którą nas wpuszczali. Jeśli dobrze pamiętam, na *Wdzięcznym za ciągłość* bramka długodystansowa była połączona drugą, krótką, bezpośrednio ze sterownią statku, ale sama

znajdowała się w panczernej kapsule poza głównym kadłubem, na wypadek gdyby ktoś chciał wteleportować na statek atomówkę. Zakładając, że nie przebudowali *Żniwiarza* podczas lotu, nie powinno być problemu z dostaniem się do bramki długodystansowej z ratusza albo katedry naprzeciwko.

– Tak jest. – Kiwa głową. – A więc. Skoro to *Żniwiarz*, do następnego lądowania mamy około dwustu lat. Jeśli założymy przyrost naturalny w tempie, powiedzmy, pięciorga dzieci na rodzinę, w tym czasie pojawi się dziesięć pokoleń... No właśnie, zamierzają wyhodować jakieś dwadzieścia tysięcy niewierzytelnych ludzkich wektorów. Hanta zdąży im wszystkim powszczepić netlinki. Po przylocie będzie mogła zalać sieć tą nową populacją nosicieli...

– To się nie uda. – Uśmiecham się, pokazując zęby. – Nie miej nawet cienia wątpliwości. Myślą, że siedzimy w pułapce. Ale jedynie słuszny punkt widzenia jest inny: nie mamy się dokąd wycofać.

– Myślisz, że trzeba ich otwarcie zaatakować? – pyta Sanni i przez moment ponownie jest stuprocentową Janis, wyalienowaną, załamaną, przerażoną.

– Rób to, co ja – mówię jej.

* * *

Reszta dnia przechodzi bez sensacji. Żegnám się z Janis i idę do domu, jak zwykle. Przynajmniej tak ma to wyglądać dla obserwatora. Parę ostatnich godzin spędziłam w nieprzytomnym zamyśleniu, bawiąc się niemożliwymi do pogodzenia wspomnieniami i próbując dojść, jakie właściwie mam poglądy. Dziwna sprawa. Z jednej strony mam przerażenie Reeve, kiedy zobaczyła martwego Micka, jej niepokoje i lęki, że Janis jest „podejrzana” i stanowi zagrożenie dla życzliwej i otwartej doktor Hanty. Z drugiej, przeżycia Robina. Skradanie się na palcach po ratuszu, wyszukiwanie zamkniętych pomieszczeń, unikanie o włos spotkania z Fiorem. Przyłapanie Micka w szpitalu z Cass. Wpadnięcie na Janis w bibliotece, początkowy strach, a potem coraz silniejsze przekonanie – z mojej strony – że nie jest zwykłą osobą postronną, ale sprzymierzeńcem. Procedury identyfikacyjne i szok rozpoznania.

Janis musiała sobie radzić sama przez ponad pół roku dłużej niż ja. Kiedy dotarło do niej, że nie jest już sama, pękła i się rozplakała. Była pewna, że to tylko kwestia czasu, kiedy Hanta się do niej dobierze. Lęk, izolacja, strach przed waleniem w drzwi o północy – to wcześniej czy później złamałoby każdego. Zaszła w ciążę, zanim ktokolwiek odkrył ten element intrygi. Niesamowite, że w ogóle jakoś jeszcze się trzyma.

Punktacja i protokół eksperymentu stanowią dla nas poważną przeszkodę: równie dobrze połowa mieszkańców Ustroju YFH mogłaby być agentami tej czy innej komórki, poruszającymi się po omacku w ciemnościach, nie chcąc ryzykować i się ujawniać. Jeśli jednak w jakiś sposób nie wywrócimy tej wzniesionej przez eksperymentatorów, zbudowanej

z kłamstw i pozorów konstrukcji, nie zdołamy namierzyć potencjalnych sojuszników ani zidentyfikować faktycznych wrogów. Dzieli i rządzi: wiadomo, że to się sprawdza.

Wracam do domu o odpowiedniej godzinie, zaglądając po drodze do sklepu z narzędziami. Sama nie ma, więc idę prosto do garażu, żeby zobaczyć, co da się zrobić. To nie pora na obwinianie się, ale naprawdę jestem zła sama na siebie. Chciałam to wszystko wyrzucić! A przecież, pominąwszy już wszystko inne, fascynuje mnie rekonstruowanie dawnej broni. Kiedy to wszystko się skończy, może zajmę się tym w ramach hobby, o ile będzie czas na takie luksusy.

Niemniej, kusza chyba się już nie przyda. Ani miecz, który usiłowałam zahartować. Sanni i ja dobrałyśmy się do sterylnej asemblera z pełnym wojskowym asortymentem. Zostawiłyśmy go na noc na chodzie, produkującego ładunek heksogenowych kostek. Fabrykowanie broni w bramce trwa bardzo długo, tym dłużej, im większa gęstość energetyczna jest potrzebna, poszłyśmy więc na kompromis i zdecydowałyśmy się na broń napędzaną energią chemiczną. Jutro, jak przyjdziemy do pracy, będzie gotowa pierwsza partia pistoletów maszynowych. Co prowadzi do kolejnego logicznego pytania – gdzie w tej kupie rupieci podziła się moja torba z klatką Faradaya?

Skaczę wokół rozrzuconych stalowych prętów i rozsypanych śrubokrętów, klnąc na czym świat stoi i ściskając lewą stopę, kiedy jakaś zmiana oświetlenia ostrzega mnie, że drzwi do garażu są otwarte.

– Co, kur...

– Reeve?

– Kurwa! – drę się. – Cholera. Spadł mi młotek i...

– Reeve? Co się dzieje?

Uspokajam się na siłę.

– Upuściłam młotek, odbił się od tych prętów i spadł mi na palec. – Podskakuję jeszcze parę razy. Ból zaczyna ustępować. – Zły, niedobry młotek, trzeba go ukarać.

– Młotek? Ty coś piłaś?

– Jeszcze nie. – Opieram się o ścianę i kontrolnie stawiam stopę na podłodze. – Au. Po prostu postanowiłam odwrócić kartkę i zacząć od nowa. Dziewczyna musi mieć hobby i tak dalej. – Unoszę brwi.

Patrzy na mnie sceptycznie.

– Zły dzień w pracy?

– W pracy zawsze jest zły dzień, to wynika z samego istnienia pracy.

Marszczy czoło.

– Co to ma być za hobby?

– Ekstremalna obróbka metali czy coś takiego. Nie widziałeś mojego *Pomocnika płatnerza*?. Kiedy nie byłam sobą, chciałam go wywalić, ale w końcu się za to nie zabrałam.

Prawie widać, jak nad głową zapala mu się żarówka.

– Reeve? To ty?

– Też miałam gówniany dzień w pracy. Z nudów czytałam wiersze, wiesz? „Na schodach stał wczoraj człowiek / Grubas, co go nie było wcale / I dzisiaj też go nie ma, ale / Na zawsze zostanie w głowie”. Ogden Nashville*. Starożytni go z jakiegoś powodu lubili. No chodź, zarządzimy jakąś kolację.

Sam wycofuje się w głąb domu przede mną, poruszając bezdźwięcznie ustami, gdy obraca to wszystko w myślach. Ja naprawdę czytałam w pracy wiersze; mam nadzieję, że moja zaimprovizowana rymowanka dotrze do niego. (Wierszyki skutecznie zamulają systemy monitorowania rozmów. Analizowanie metafor i stanów emocjonalnych to problem AI-zupełny).

Lądujemy w kuchni.

– Chcesz znowu zacząć gotować? – pyta ostrożnie Sam. W retrospekcji: pewnie nie pała zbyt dużym zapalem, żeby znów próbować moich kulinarnych eksperymentów.

– Może lepiej zamówmy pizzę, co? I butelkę wina.

– Dlaczego? – Wytrzeszcza oczy.

– Czy ty musisz każdą moją propozycję na wieczór zamieniać w ekspresową sesję terapeutyczną?

Wzrusza ramionami.

– Tak tylko pytam. – Zaczyna się odwracać.

Chwytam go za ramię.

– Nie idź.

Gwałtownie, z zaskoczeniem, obraca się z powrotem.

– Że co?

– „Na schodach stał wczoraj człowiek, grubas, co go nie było wcale, i dzisiaj też go nie ma, ale na zawsze zostanie w głowie”. Sam, ostatnio nie byłam sobą, ale dzisiaj czuję się o wiele lepiej. – Łypię nań marsowo, modląc się, by dotarło.

– A, to znaczy...

– Ciii! – Ostrzegawczo unoszę palec. – Ściany mają uszy.

Oczy mu się rozszerzają, zaczyna się ode mnie odsuwać.

Łapię go mocno za rękę, podchodzę bliżej i obejmuję go. Próbuje się cofnąć, ale wciskam mu twarz w ramię.

– Musimy porozmawiać – szepczę.

– O czym? – odszeptuje. Lecz przynajmniej przestaje się szarpać.

– O tym, co się tu dzieje. – Liżę go po uchu, a on podskakuje, jakbym wetknęła mu tam kabel pod napięciem.

– Nie rób tego! – syczy.

* Ogden Nashville – skrzyżowanie nazwiska poety-humorysty, Ogdena Nasha, z miejscowością Nashville albo nazwiskiem Melville. Z kolei cytowany wierszyk to trawestacja wiersza *Antigonish* W.H. Mearnsa (przyp. tłum.).

– Czemu? – pytam, rozbawiona. – Boisz się, że ci się spodoba?

– Ale my... oni...

– Zamówię jedzenie. Dopóki nie zjemy, na razie pomalutku, dobra? Potem pójdziemy na górę. Chcę ci pokazać parę sztuczek. – Jak ominąć podsłuchy. I dodaję szeptem: – Teraz się uśmiechnij.

– A to nie będzie rzucać się w oczy? – Opuścił ręce i trzyma mnie luźno w talii.

Dygoce, tak tego chciałam przez ostatni tydzień... Nie, nie wracajmy do tego.

– Nie będzie. Normalne zachowanie kontrolują prostymi monitorami. Te zaawansowane włączają dopiero, gdy zachowujemy się dziwnie. Więc nie zachowuj się dziwnie.

– A.

Unoszę wzrok, on przez moment patrzy ze zdumieniem w dół. Całuję go. Smakuje potem i delikatnie pachnie stęchlizną, z kurzu i papierów. Po chwili entuzjastycznie reaguje.

– To jest normalne? – pyta.

– Zaraz, zaraz! Najpierw kolacja! – Śmieję się i odsuwam.

Dzwonię po pizzę i parę szklanych pojemników z winem, a gdy Sam idzie do salonu, próbuję złapać oddech. To dzieje się tak szybko, nagle muszę radzić sobie z całą masą sprzecznych emocji, podczas gdy chciałam tylko zwerbować do naszej kampanii kolejnego niezadowolonego uczestnika eksperymentu. Problem w tym, że Sam i ja mamy zbyt długą historię i nic między nami nie może być proste – mimo że w istocie za wiele razem nie robiliśmy. Nie mieliśmy czasu – Sam ma te swoje problemy z dużym ciałem, a potem ona/ja prawie wszystko spieprzyła, kiedy była pod wpływem podstępnej doktor Hanty... Taaa, po fakcie wszystko jest takie jasne i proste, prawda? Jak się dobrze zastanowić, to niezadowolenie i bierność Sama były dla nas obojga bolesnym cierniem. Trochę podejrzewam, że dopiero moja rzekoma kolaboracja była bodźcem, po którym obudził się i zechciał coś zrobić.

Czuję się winna, wspominając, co wtedy myślałam. Mogę się poddać... No tak, a oni zrobią mi z życia piekło, prawda? Naprawdę chciałam oddać całkowitą kontrolę nad życiem w łapy takich osobników jak Fiore, Yourdon i Hanta? Nie wydaje mi się, żebym wprost zamierzała to zrobić, ale skutek byłby właśnie taki. Tkwi to teraz w mojej przeszłości, jak chwilowe tchórzostwo, tchórzostwo z własnej woli, i czuję się z tym dziwnie nieswojo. Ponieważ taka skłonność nie może być zbyt odległa od mojego normalnego charakteru – Hanta mnie nie przebudowała, podregulowała tylko parę wag w mojej mapie umysłu. Nie owijając w bawełnę: „żeby zło zatriumfowało, wystarczy, żeby dobrzy nic nie robili”. A Sam miał okazję widzieć mnie z tej strony. Błę.

Szafka popiskuje, wyciągam z niej tacę z pizzą i winem. Po drodze do salonu zrzucam z nóg buty.

– Sam?

Odwraca się. Znów umościł się na sofie, nastawił telewizor na jakiś sport.

– Zrób głośniej.

Unosi brwi, ale robi, co mówię, a ja siadam obok.

– Proszę. Z czosnkiem, tofu i cytrynowym filetem z kurczaka. – Otwieram karton, urywam kawałek i podtykam mu pod nos. – Jesz?

– Co to ma być?

– Chcę cię nakarmić. – Nachylam się ku niemu i trzymam mu pizzę przed nosem, tuż poza zasięgiem. – No już. Przecież masz ochotę, prawda?

– Haaaps! – Pochyla się i odgryza kęs.

Próbuję cofnąć rękę, ale za wolno i udaje mu się. Śmieję się, przysuwam bliżej i stwierdzam, że obejmuję mnie ramieniem.

– Jesteś. Niemożliwa – mówi, żując.

– Wkurzająca – podpowiadam. – Manipulantka.

– Wszystko z powyższych?

– Tak, po kolei. – Karmię go kolejnym kęsem, potem zmieniam zdanie i nie pozwalam mu zjeść całego kawałka – resztę zjadam sama.

– Za każdym razem, kiedy już cię zrozumiem, zmieniasz reguły – narzeka. – Daj jeszcze...

– Nie moja wina. Nie ja ustalam te reguły.

– A kto?

Wskazuję sufit palcem i kiwam nim.

– Pamiętasz naszą pogawędkę w bibliotece?

W zeszły wtorek, kiedy ujawniłam się Janis, ona zadzwoniła do Sama i poprosiła, żeby przyszedł. Był bardzo zaskoczony, widząc mnie-jako-Fiorego, i prawie tak samo, kiedy pokazałyśmy mu piwnicę i asembler.

– Pamiętasz moją twarz?

Kiwa głową z powątpiewaniem.

– Wszystko z Janis przepracowałyśmy. Już nie mamy tej drobnej różnicy zdań. Czuję się teraz znacznie lepiej i jestem mniej chętna do oddawania pola.

Ręka mu tężeje. Ciepła, uspokajająca, obecna.

– Ale czemu?

Biorę głęboki wdech i podaję mu kolejny kawałek pizzy. Muszę się streszczać, bo w tym tempie zaraz wszystko zje.

– Bo nikt nie chce tak żyć.

– Ale ja... – urywa.

– Ty chcesz? – Szturcham go.

Gapi się na mnie.

– Kiedy patrzyłem na ciebie przez ostatni tydzień... – Kręci głową. – Chciałbym umieć się tak dostosować. – Znów kręci głową, podkreślając ironię w głosie. – Bo jaka jest alternatywa?

– Nie wolno nam rozmawiać o przeszłości. – Milknę na chwilę i przeżuвам. – A wrócić nie możemy. – Rzucam mu ostrzegawcze spojrzenie. – Ale możemy się tu urządzić trochę wygodniej, jeśli poprzestawiamy sobie priorytety. – Zrozumie to czy nie?

Sam wzdycha.

– Gdyby się tylko dało. – Spuszcza wzrok.

– Ja mam dla ciebie nowy priorytet – mówię, a serce mi przyśpiesza.

– Poważnie?

– Tak. – Odkładam karton z pizzą i rozpląszczam się na jego piersi. – Możemy zacząć już teraz: bierzesz mnie na ręce i niesiesz na górę do łazienki.

– Do łazienki?

– No. – Znowu go całuję i nagle nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. – Pójdziemy razem pod prysznic, umyjemy się nawzajem i porozmawiamy. Nie możemy iść do łóżka tacy śmierdzący pracą, prawda?

– Pysz... – Te monosylaby nie dodają mu uroku. Zamykam mu usta pocałunkiem, dygocąc z przerażenia.

– Już.

* * *

Jednakże nic nie idzie zgodnie z planem. A plan miał być prosty. Wciągnąć Sama do spisku. Żeby to zrobić, żeby porządnie z nim porozmawiać, to problem, zważywszy ciąglą groźbę podsłuchu. Ale jeśli zamaskujesz swoje podejrzone czynności jako coś, czego wszyscy się od ciebie spodziewają, w momencie, gdy słuchają tylko głupie automaty, szansa wykrycia jest nieduża. Głupie automaty nie umieją za wiele poza monitorowaniem słów kluczowych, a klika eksperymentatorów jest tak mało liczna, że nie dają rady przez cały czas obserwować wszystkiego, co mówimy.

Jeśli chcecie, możecie nazwać mnie naiwną. Przyszło mi do głowy, że skoro jesteśmy małżeństwem, to jedno z nas uda, że uwodzi to drugie, a potem zaciągnie je pod prysznic – dużo ładnego, białego szumu, żeby utrudnić śledzenie dźwięku, strugi wody utrudniające czytanie z ust i pretekst, żeby stanąć naprawdę blisko siebie – i będzie to całkiem zręczny sposób na ominięcie monitoringu.

Nie uwzględniłam jednak tego, że kiedy stanę tak blisko Sama, skóra zacznie mnie łaskotać, a miejsca intymne zrobią się ciepłe i spragnione. A już w ogóle nie przewidziałam tego, że Sam, choć potwornie skonfliktowany wewnętrznie, popęd płciowy jednak wykazuje. W końcu też jest człowiekiem, a wszyscy mamy pewne potrzeby, o które od dawna nie zadbaliśmy.

Robi, o co proszę, choć mniej więcej w połowie drogi na górę uświadamiam sobie, że jeśli to zrobimy, nie opanuję się. Omal nie mówię mu, żeby przestał, ale z jakiegoś powodu usta nie chcą mi się otworzyć. Sam stawia mnie na dywaniku w łazience i staje bardzo blisko.

– Co teraz? – pyta z napięciem w głosie.

– Teraz, eee... trzeba się rozebrać. – Zauważam, że moje dłonie już majstrują przy jego pasku. Kiedy czuję, że zaczyna rozpinąć mi bluzkę, dygocę, i to nie ze strachu. – Pysznic.

– To nie jest dobry...

– Cicho.

– Zайдziesz w tę... w ciążę.

– Nie zajdę. – Tym się będziemy martwić później. Przesuwam mu ręką po plecach, wyczuwając rosnące wzdłuż kręgosłupa rzadkie włoski i podchodzę jeszcze bliżej. – Tego już się nie boję.

– Ale... – Rozpina mi suwak spódnicy. Ręce na udach. – Jasne.

Całuję go, chcąc, żeby przestał. Jesteśmy w samej bieliźnie.

– Pysznic. Już. – Zęby mi dzwonią od rosnącej fali pożądania, grożącej zniszczeniem całej mojej samokontroli.

Stoimy w kabinie, jeszcze w bieliźnie, ustawiam maksymalny strumień i temperaturę fuzji atomowej. Jego język – czosnek, miód i nutka czegoś jeszcze – jego. Objęci, stoimy pod wodospadem, czuję napięcie w jego plecach. Oczywiście ma erekcję. Czemu ja mam coś jeszcze na sobie? Chwilę później już nie mam. A jeszcze chwilę później już jestem przyparta do ściany, z uniesionymi kolanami, tracąc dech od tego, jaki jest wielki we mnie.

– Chciałaś pogadać...

Jest tam cały wszechświat. Obejmuję go i żarłocznie wpijam mu się w usta. Chcę pogadać, ale teraz mam inne priorytety.

– To uroczyste otwarcie.

– Tak?

– Jesteśmy na RADUG-u. Tak!

– Tak...

– Jest tylko jedna bramka na zewnątrz. Sześć giga do najbliższego układu. Jeśli przerwiemy połączenie, wrogowie nie będą mogli wypłacić premii za punkty. Dyktatura traci marchewkę, nie ma nagrody za posłuszeństwo. No, chodź...

– Chcemy o... obalić...?

Faluje jak wzburzone morze. Zatracam się w nim, porzucona na morzu. Z początku, kiedy zostałam Reeve, idea ciąży mnie przerażała. Potem Hanta coś pokręciła, i to przestało być ważne. A teraz po prostu się już tym nie przejmuję: jest do przeżycia, a jeśli to cena za Sama, jestem gotowa ją zapłacić. Chcę się skupić, zacząć planować, ale już kompletnie nas poniosło. Sam posuwa mnie bez żadnej subtelności, a wie, o co chodzi, czyli też zagubił się na oceanie. Jeśli będziemy w stanie się na nim odnaleźć i trzymać się siebie przez całą noc, to kto wie?

– Sam, chcę żebyś... żebyś...

– O, tak, tak! – Chwilę później, trochę cichsze „o”. I uczucie rozlewającego się ciepła, które każe mi ocierać się o niego, aż wszystko odpłynie i sama na parę nieskończonych

sekund stanę się oceanem.

* * *

Nic nie idzie zgodnie z planem, ale mimo to zdumiewająco dobrze. Po pierwszej nieprzytomnej fali pożądania osuwamy się na podłogę prysznic, potem dokładnie się namydlamy. Sam już nie robi uników przed moimi dłońmi, jest natomiast zamyślony. Całuję go i reaguje. Po jakimś czasie czuję, że chyba zaraz zejdzie ze mnie skóra: spoza kłębow pary ledwo widać łazienkę.

– Wytrzymaj się i chodźmy do łóżka – mówię, czując kolejne ukłucie obaw.

– Dobrze. – Zakręca prysznic i otwiera drzwi kabiny. Na zewnątrz jest zimno. Drzę, a on niespodziewanie obejmuje mnie ramionami.

– Dobrze ci? – pytam z wahaniem. – To znaczy, dobrze się z tym czujesz?

Zastanawia się chwilę.

– Dobrze mi z tobą.

– Ale...

Całuje mnie w potylicę.

– Bo to ty. Tak łatwiej.

Nic już nas nie dzieli: dokładnie wiemy, jak jesteśmy popieprzeni. Przeszliśmy tyle katastrofalnych nieporozumień, że nic już nie zostało. Sam boi się być w ludzkim ciele, męskim, dużym? Tak. Ja mam problem z perspektywą ciąży, a w Ustroju YFH nie ma antykoncepcji? Jasne. To wszystko mamy za sobą. Odtąd będzie już prosto.

Wycieramy się zatem nawzajem, biorę go za rękę i razem idziemy do sypialni, a tam kochamy się znów, powoli i czule.

* * *

Następnego dnia rano człapię na dół, spóźniona, rozczochrana, zadowolona, i znajduję list czekający na mnie pod drzwiami. Jest jak wiadro zimnej wody. Podnoszę go, niosę tę kartkę do kuchni i czytam, podczas gdy ekspres obok gulgoce i posapuje.

Do: pani Reeve Brown

Od: Komitet Zarządzający Ustrojem

Szanowna Pani Brown, minęły właśnie cztery miesiące, odkąd przybyła Pani do Ustroju YFH. W tym czasie w naszej małej społeczności dokonały się liczne zmiany. Niedługo rozpoczniemy Fazę Drugą eksperymentu, w którym zgodziła się Pani uczestniczyć.

Dlatego właśnie chcemy zaprosić Panią na nasze pierwsze Zgromadzenie

Mieszkańców, które odbędzie się w Ratuszu w niedzielę rano, w porze dotychczasowego niedzielnego nabożeństwa. Podczas Zgromadzenia wyjaśnimy, jakie zmiany wprowadzi nadchodząca Faza Druga, a potem nastąpi ceremonia dziękczynna w katedrze, celebrowana przez Jego Ekscelencję Biskupa doktora H. Yourdona.

Z poważaniem...

Nowe spojrzenie na wszystko, prawda? Kręcę głową, potem zanoszę na górę dwa kubki z kawą. Po drodze zgarniam identyczny list adresowany do Sama.

– I co myślisz? – pyta, przeczytawszy go.

– Chyba dokładnie to, co mówią. – Wzruszam ramionami. – Wszystko będzie większe, nowe twarze, nowe dekoracje, ta jakaś „katedra”, którą wtedy otworzą! Nie da się prowadzić miasta tak jak wsiowej parafii z setką ludzi, prawda? Więc będą potrzebować nowego mechanizmu punktacji międzygrupowej, żeby ludzie się jakoś zachowywali. Który będzie brał pod uwagę miejską anonimowość, to, że pewne osoby znamy tylko z widzenia.

Drga mu policzek.

– Chyba nie bardzo mi się to podoba.

– Eee, nie będzie aż tak źle – zapewniam go, przewracając oczyma.

– Nie będzie?

Kręcę głową.

– Nie będzie. – Przychodzi mi coś do głowy. – Posłuchaj, będziesz mógł wyjść z pracy na obiad?

– Znaczący...?

– Tak. Wpadnij do biblioteki koło pierwszej i pójdziemy razem coś zjeść. – Uśmiecham się do niego. – Pasuje ci to?

– Chcesz, żebym... – Dociera do niego. – Tak. Bez problemu.

– Świetnie. – Pochylam się i całuję go w policzek. – To do zobaczenia.

Przyjeżdżam do pracy piętnaście minut przed czasem, ściskając torbę – co samo w sobie nie jest jakimś nietypowym zachowaniem – ale biblioteka jest już otwarta. Janis jest w środku.

– Janis? – Wsuwam głowę przez drzwi.

Nie ma jej tutaj. Wzdycham i idę do tajnego archiwum. Zastaję ją na dole, w piwnicy, pakującą magazynki do pudełek na akta.

– Pomóż mi – rzuca nerwowo. – Jeśli złapie nas tutaj Fiore albo Yourdon...

– Jasne.

Magazynki przypominają kształtem banany i nie pasują za dobrze, ale cztery czy pięć mieści się do każdego pudła. Potem odstawiam je na półkę. Janis ma przed sobą sześć pistoletów maszynowych ułożonych na krześle, jeszcze w kapsułach żelu syntezowego.

– Dostałaś list? – pytam.

– Tak. I Norm też. – Jej mąż. Za wiele o nim nie wiem. – Pchają wszystko do przodu. Kiedy zinstytucjonalizują policję i przestaną opierać się na izolacji, będziemy w tarapatkach.

– Dokładnie... Kółko krawieckie? – To był mój pomysł, kiedy byłam Robinem, ale Janis to firmowała, a po moim jednym spotkaniu z nimi pod postacią Reeve teraz to ona będzie musiała się nimi zajmować.

– Zaprosiłam je tutaj na obiad. Pośpiesz się! – Strasznie jest dzisiaj nerwowa.

– Dobra, już lecę. – Upycham ostatnie magazynki w pudełkach na akta na półkach, na pierwszy rzut oka dalej wyglądających jak niewinne wydruki kodu Osobliwej Żółcieni. – Zaprosiłam Sama. Chyba udało mi się do niego dotrzeć.

– Dobrze. Miałam nadzieję, że jakoś się w końcu dogadacie. – Przelotny uśmiech. – Teraz chodźmy na górę. Zanim zaczniemy obalać władzę, trzeba otworzyć bibliotekę.

19. Bramka długodystansowa

W tym momencie na subtelności daleko już nie zajdziemy, więc Janis zamawia dla nas kanapki z pobliskiej kawiarni, prowadzącej także catering, a kiedy pojawia się kółko krawieckie i dowództwo rewolucji w jednym, zamykamy bibliotekę, wieszamy tabliczkę ZAMKNIĘTE i wszyscy schodzimy na dół.

– Mamy jeden dzień, żeby to zorganizować – mówi Janis. – Reeve, mogłabyś podsumować sytuację?

Głowy się odwracają. Sądząc po minach, nie spodziewali się mnie tutaj. Uśmiecham się.

– To miejsce, ten ustrój, było pierwotnie zaprojektowane jako szklany dom, wojskowe więzienie. Takie coś świetnie się sprawdza; banda YFH doszła do wniosku, że więzienie nie tylko nie pozwala ludziom wyjść, ale i innym wejść. Zrobili więc z niego laboratorium badawcze, co właśnie mamy okazję oglądać. – Janis wskazuje gestem półki z papierami. – Pracują tutaj nad nowym typem dyktatury poznawczej, roznoszonej przez Osobliwą Żółcień, i hodują dla niej populację nosicieli. Kiedy dotrzemy do końca harmonogramu tego „eksperymentu”, planują zintegrować wszystkich z powrotem ze światowym społeczeństwem – i wykorzystać wasze dzieci do roznoszenia tej zarazy. – Widzę, jak Janis mimowolnie kładzie dłoń na brzuchu. – Chcecie im w tym pomagać?

Na sali rozlega się szybko narastający pomruk:

– Nie!

– Miło mi to słyszeć – rzuca sucho Janis. – Więc powstaje pytanie: co robić? Reeve i ja pracowaliśmy nad odpowiedzią. Ktoś chce zgadywać?

Sam unosi rękę.

– Chcecie wysadzić ramę kotwiczącą bramki długodystansowej – mówi spokojnie – tak żebyśmy zostali odcięci od świata, biliony kilometrów od najbliższego ludzkiego ustroju. A potem wytropić wszystkich członków bandy, powystrzelać ich, znaleźć sieci, w których mają backupy, powyłączać je, a potem poskakać po dymiących szczątkach.

Janis się uśmiecha.

– Nie najgorzej. Ktoś jeszcze?

El podnosi rękę.

– Urządzić wybory?

Janis wygląda na zbitą z tropu.

– Pewnie tak, coś w tym stylu. – Wzrusza ramionami. – Ale to już za daleko wybiegamy.

Coś pominęłam?

Odchrząkuję.

– Wiemy, gdzie jest ta bramka. To dobra i zła wiadomość.

– Dlaczego? – pyta Helen.

Zaczynają się uaktywniać, niby dobrze, ale to może obrócić się przeciwko nam, jeśli nie będziemy w stanie przedstawić im rozsądnej wizji. Nie są idiotami, muszą się domyślać, że nie ściągnęłybyśmy ich tutaj, gdyby sytuacja nie była rozpacзлиwa.

– Reeve? – podsuwa Janis.

– No dobra. Ogólna sytuacja jest taka: jesteśmy na RADUG-u, który w czasie wojen cenzorskich został opuszczony przez załogę. Możliwe, że na przykład Osobliwa Żółcień zaatakowała podczas regulaminowej wymiany załóg, albo coś takiego. W każdym razie, ustrój, w którym mieszkamy, to łątanina sektorów posklejanych krótkodystansowymi bramkami, są we wszystkich tych tunelach drogowych. Całość siedzi w jednej fizycznej rozmaitości na pokładzie jednego statku, nie jest rozrzucona po oddzielnych habitatach. Dlatego nadawało się to na więzienie. Cały RADUG ma wyjście i wejście tylko przez jedną długodystansową bramkę, która siedzi w opancerzonej kapsule poza kadłubem statku i łączy się z nim jeszcze jedną krótką bramką – to standardowe zabezpieczenie na RADUG-ach, rozumiecie. Gdyby ktoś przez ten tunel wrzucił do statku atomówkę, zdetonowałaby poza kadłubem. W każdym razie, najpierw musimy zająć i opanować krótkodystansową bramkę prowadzącą do tej kapsuły, a potem rozwalić kapsułę. Musimy przerwać łączność między nami a ich bazą operacyjną u chirurgów-spowiedników, a potem zadbać, żeby wszyscy się dowiedzieli. Yourdonowi i Fioremu udawało się dotąd prowadzić tę dyktaturę bez żadnego oporu, bo zdołali przekonać wystarczającą większość ludzi, że jeśli będą grać zgodnie z regułami, przy wyjściu czeka ich nagroda. Hanta jest dodatkowym asem w rękawie. Premią przejmować się nie muszą, bo ona w końcu dostanie w łapy i podreguluje każdego, kto tylko trochę zbłądzi. Kiedy będziemy odcięci od świata, banda straci całe wsparcie i społeczny wpływ, wtedy to będzie tylko otwarta walka. Ale jeśli nam się nie uda, będą mogli pablokować bramki między sektorami i oczyszczać je jeden po drugim. – Przerывam, oblizuję usta. – Przed wojną byłam jakiś czas na RADUG-u. Przejście do kapsuły z bramką było ukryte na samym mostku, w... eee... obszarze administracyjnym, co tutaj odpowiadałoby katedrze, albo ratuszowi w tej nowej okolicy, którą zbudował teraz Yourdon. W zeszłym tygodniu trochę się pokręciłam i zorientowałam się, gdzie on mieszka. Ma kwatery na najwyższym piętrze ratusza, z ochroną uzbrojoną po zęby. Nie wchodziłam tam, ale obejrzałam sobie niższe piętra i okazuje się, że ten cały ratusz jest bardzo podobny do kwatery kapitana na RADUG-u, na którym byłam. W takim razie bramka do kapsuły musi

być na najwyższym piętrze, w chronionym pomieszczeniu obok jego mieszkania.

Janis wstaje.

– To tyle. Jak najprościej. Wszyscy mamy zaproszenia na to zgromadzenie do ratusza, pojutrze. Proponuję, żeby tam pójść. Kazałam fabrykatorowi – pokazuje machnięciem dłoni – zrobić zestawy uzbrojenia i ekranowane torby, żeby dało się to nosić bez ryzyka zdemaskowania. Reeve?

Chrząkam.

– Plan jest taki: bierzemy broń i atakujemy jak tylko Yourdon wyjdzie, żeby przemawiać. Grupa Zielona ma zabezpieczyć ratusz, wyciąć całe uzbrojone wsparcie, jakie będą mieli, i wystrzelać tyle kopii Yourdona, Fiorego i Hanty, ile się tylko da. Będą mieli kopie zapasowe, albo i po kilka żywych kopii, ale jeśli zadziałamy szybko, mogą nie zdążyć powiadomić reszty. Tymczasem Grupa Żółta pójdzie do kwater kapitana – biskupa – i wysadzi kapsułę z bramką długodystansową, odcinając ją od statku. Pytania?

Unosi się wiele rąk.

– No dobra, robimy tak. El, Bernice, Helen, Priss, Morgaine, Jill – jesteście w Grupie Zielonej z Janis, która jest głównym dowódcą. Sam, Greg, Martin i Liz – Grupa Żółta, ze mną. Ja dowodzę. Grupa Żółta, zostańcie tutaj, zrobimy odprawę. Grupa Zielona, zjedzcie obiad i wracajcie do pracy, przyjdźcie do biblioteki pojedynczo, dziś po południu albo jutro, Janis was poprzydziela, zrobi wam backupy i urządzi odprawę.

Znowu rozlega się pomruk z tyłu. Janis odchrząkuje.

– Jeszcze jedna sprawa. Najważniejsza jest operacyjna konspiracja. Ktoś coś chłapie i wszyscy... nie, nie zginiemy. Żeby tam! Gorzej. Doktor Hanta ma tu, w szpitalu, regularną pralnię do mózgow. Jeśli ktoś tylko się zdradzi, że jest zamieszany w taki plan, oni powyłączają krótkie bramki, izolując nas wszystkich, i zaleją nas zombiakami, dopóki nie skończy nam się amunicja i noże. Potem wywiozą nas na noszach i zamienią w szczęśliwych, uśmiechniętych niewolników. Niektórzy mogą pomyśleć, że to lepsze niż śmierć – w porządku, to wasza decyzja. Ale jeśli ktoś myśli, że będzie w stanie narzucić mnie taką decyzję, i poleci z jężorem do księży, to przekona się, jaka jest moja decyzja: zastrzelić takiego gościa na miejscu. Jeśli ktoś nie chce brać w tym udziału, niech mówi teraz albo zaczeka na górze i powie mi, kiedy reszta pójdzie. Mamy tu bramkę: możemy was zbackupować i trzymać w zamrażarce, dopóki to się nie skończy. Jeśli ktoś się boi, nie musi. Ale jeśli wyraźnie mi nie powie, to zgadza się, że ja dowodzę. A ja będę oczekiwać całkowitego posłuszeństwa, pod groźbą śmierci, dopóki nie zabezpieczymy całego statku.

Janis rozgląda się z groźną miną po zebranych. Na moment wraca Sanni, przebłyскуje przez jej skórę jak mocna lampa przez siatkę maskującą, przerażająca i dzika.

– Wszyscy zrozumieli?

Rozlega się chór potakiwań. Wtem odzywa się jedna z ciężarnych kobiet z tyłu:

– No to na co czekamy? Jedziemy!

Czas pędzi, trwa odliczanie do punktu kulminacyjnego przed nami.

Mamy problemy logistyczne. W podziemiu biblioteki dysponujemy bramką, to wspaniale – nie potrafilibyśmy się bez niej obejść – ale nie wszystko da się w niej wytworzyć. Żadnych rzadkich izotopów, więc nie da się po prostu wysadzić kapsuły atomówką. Nie mamy też szablonów, żeby zrobić ludzkie czołgi czy bezzałogowe samoloty bojowe, w zasadzie niczego poza bronią osobistą. W bramce A nie da się zrobić bramek T, więc musimy obywać się bez technologii tuneli czasoprzestrzennych. To z kolei skreśla miecze wortalne. Gdybyśmy mieli odpowiednią ilość czasu i nie musieli przejmować się monitoringiem, może bylibyśmy w stanie obejść te ograniczenia, Janis mówi jednak, że maksymalny dopływ surowca do tej bramki wynosi sto kilogramów na godzinę. Podejrzewam, że Fiore, czy kto tam zainstalował to urządzenie w bibliotece, celowo przykręcił kurek, żeby ktoś taki jak ja nie wykorzystał bramki jako platformy inwazyjnej. Ich zabezpieczenia operacyjne są dziurawe, jak to bywa w wielu projektach prowadzonych w pośpiechu i ze zbyt małą obsadą, ale coś jednak w tej sprawie robili. Na koniec Janis mówi mi:

– Zostawię to na noc, niech zrobi kostkę plastycznego heksogenu, detonatory i jeszcze parę magazynków. Przez sześć godzin da się zmontować jakieś dziesięć kilo. Pewnie to maksymalna ilość energii, jaką możemy pociągnąć z sieci, żeby gdzieś nie włączył się alarm. Myślisz, że to wystarczy, żeby załatwić tę bramkę?

– Dziesięć kilo? – kręcę głową. – Słabo. To naprawdę nie za wiele.

Wzrusza ramionami.

– Jak chcesz ryzykować i iść na Yourdona z technologią, nad którą panuje, to proszę bardzo.

Coś jest w tym, co mówi. Jest spora szansa, że w szablonach na co bardziej zaawansowaną broń wrogowie poukrywali jakieś trojany – wszystko, co jest trochę lepsze niż ręczna broń palna i surowy materiał wybuchowy, może mieć jakieś blokady i systemy czujników, które przeoczmy. Pistolety maszynowe, które wyprodukowała, są prymitywne – stały celownik, mechaniczny spust, żadnego sterowania ruchem gałek ocznych. Nie mają nawet biometrycznej blokady, takiej, co nie pozwala wrogowi zabrać ci broni i zastrzelić cię z niej. O oczko lepsze niż moja kusza, lecz to oczko nie jest za wielkie. Z drugiej strony, nie mają w środku żadnej zdradzieckiej elektroniki, w której mogliby namieszać Yourdon czy Fiore.

– Sprawdzałaś amunicję? Na wszelki wypadek?

Janis kiwa głową.

– Grzmiący kij robić bum. Tu nie ma obaw.

– No dobra, to przynajmniej coś na pewno zadziała. – Fajnie by było zachomikować jeszcze większy zapas ogłuszaczy, ale teraz, kiedy już nie chodzę w skórze Fiorego, ciężko byłoby je skombinować.

Janis patrzy na mnie.

– Teraz. Wóz albo przewóz.

Oddycham głęboko.

– A kiedyś było inaczej?

– No tak, ale. Miałyśmy backupy, prawda? – Ramiona ma opuszczone w obronnej pozycji. – Tym razem to nasz ostatni występ. Nie spodziewałam się, że tak to wyjdzie.

– Ja też nie. – Kończę pakować torbę i się prostuję. – Myślisz, że ktoś pęknie?

– Mam nadzieję, że nie. – Gapi się na ścianę, ze wzrokiem skupionym gdzieś wewnątrz. – Mam nadzieję, że nie. – Ręka znów wędruje do brzucha. – Nie bez kozery zrekrutowałam głównie ciężarne kobiety. To zmienia perspektywę. Sama się przekonałam. – Oczy jej wilgotnieją. – Działo w obu przypadkach – ci, którzy w myślach nadal grają tu rolę, jak w grze, czują złość i lęk, a ci, którzy się pogodzili, kobiety, które przygotowują się do roli matki, wściekają się jeszcze bardziej, widząc, co ci skurwiele zamierzają zrobić z ich dziećmi. Jak przebijesz się przez strach i niewiarę, dokopiesz się do gniewu. Wydaje mi się, że z kobiet w ciąży żadna nie pęknie, a zauważ, że wszyscy mężczyźni są zwerbowani razem z partnerkami.

– To prawda.

Janis – nie, Sanni – ma umysł jak brzytwa. Wie, jak się organizuje siatkę konspiracyjnych komórek. Ale ta brzytwa ma kruche ostrze.

– Sanni, mogę cię o coś zapytać?

– Jasne. – Ton ma nonszalancki, widzę jednak drobne oznaki napięcia w zmarszczkach wokół oczu. Wie, czemu posłużyłam się tym imieniem.

– Co będziesz robić po wszystkim? – Szukam odpowiednich słów. – Chcemy zamknąć się w bąblu tego malutkiego ustroju, jak w epoce kamienia łupanego, w statku na całe pokolenia... nie wydostaniemy się stąd przez gigasekundy, dziesięć giga minimum! Chyba że zaczniemy się pauzować. Myślałam, że ty chcesz uciec, wydostać się i ostrzec wszystkich. Zniszczyć YFH od zewnątrz. A tu powstaje plan, w którym zawałamy sobie podkop na łeb. Co chcesz zrobić potem, kiedy się odetniemy od świata?

Sanni patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby wyrosła mi druga głowa.

– Chcę mieć święty spokój. – Rozgląda się nerwowo po piwnicy. – Ten loch przyprawia mnie o gęsią skórę. Idźmy zaraz do domu. Posłuchaj, Reeve... Robin, to miejsce w sam raz dla nas. To Szklany Dom. Tutaj po wojnie wysyłano pouszkodzanych ludzi. Tych, którzy potrzebowali reprogramowania, rehabilitacji. To miejsce dla Yourdona, Fiorego i Hanty... ale nie wydaje ci się, że także w sam raz dla nas? – Robi udręczoną minę.

Zastanawiam się przez minutę.

– Nie, nie wydaje mi się. – Potem zmuszam się do dodania: – Ale może mogłabym nawet to polubić, gdybyśmy nie byli pod taką presją... z ich strony.

– Tak pierwotnie miało być. Wypoczynek, przyjemna emerytura, kompres na zmordowane czoło. Idź do domu, do Sama. – Rusza w górę schodami, nie oglądając się na

mnie. – Pomyśl o tym, co zrobiłaś, co zrobił on. Mam krew na rękach i dobrze o tym wiem. – Jest w połowie drogi, muszę się ruszyć, żeby za nią nadążyć. – Nie wydaje ci się, że trzeba chronić świat przed takimi jak my?

Riposta przychodzi mi do głowy dopiero na szczycie schodów.

– Może. Może i masz rację, robiłyśmy straszne rzeczy. Ale była wojna, i to było konieczne.

Bierze głęboki wdech.

– Chciałabym być taka pewna siebie.

Mrugam. Ja – pewna siebie? Dopóki nie znalazłam jej tutaj, załęcznionej i osamotnionej, Sanni zawsze była dla mnie wzorem pewności siebie. Teraz, gdy zniknęła reszta konspiratorów, wydaje się zdezorientowana i jakby zagubiona.

– Nie mogę sobie pozwolić na wątpliwości – przyznaję. – Jeżeli je do siebie dopuszczę, zaraz się całkiem rozkleję.

Posyła mi promienny uśmiech, jak pierwszy rozbłysk na poligonie. – Robin, nie rób tego. Liczę na ciebie. Jesteś całą moją armią.

– Nie ma sprawy – mówię. I każda z nas idzie w swoją stronę.

Ja idę do domu, z zarzuconą na ramię ekranowaną torbą. Dzisiaj nie jest dobry dzień na przejażdżkę taksówką, zwłaszcza teraz, kiedy jest pewna szansa, że trafi się na Ike'a. Z jakiegoś powodu wszystko wydaje się jaskrawsze, trawa zieleńsza, niebo bardziej niebieskie, a zapach rabatki z kwiatami przed miejskimi budynkami jest przytłaczająco słodki i osobliwy. Mam wrażenie, że skóra naładowała mi się elektrostatycznie, cebulki z włoskami stoją na baczność. Żyję, uświadamiam sobie. Jutro o tej porze mogę już nie żyć, nie żyć na zawsze, bo jeśli nam się nie uda, klika YFH będzie nadal panować nad bramką T, a ich współspiskowcy nie zawahają się przed skasowaniem wszystkich naszych kopii, jakie tylko znajdą. Może najwyżej zostanę częścią historii, wyschniętym na pieprz obiektem badawczym, jeśli w ogóle będzie jakaś kolejna generacja historyków.

A jeśli jednak jakoś uda mi się przeżyć, będę tu uwięziona przez kolejne trzy nieulepszone żywoty.

Mam mieszane uczucia. Wcześniej, kiedy szłam na akcję – o ile to pamiętam – nie przejmowałam się, że zginę. Ale wtedy nie byłam człowiekiem. Byłam batalionem czołgów. Mogłam zginąć naprawdę tylko w przypadku, gdyby nasza strona całkiem przegrała wojnę.

Teraz natomiast mam Sama. Wzdrygam się na myśl, że znajdzie się w niebezpieczeństwie. A myśl, że oboje jesteśmy na łasce i niełasce kliki YFH, budzi całkiem inny niepokój. Zegnij kark, poddaj się i wszystko będzie dobrze: to echo jej decyzji, powracającej, żeby mnie prześladować. Odrzuciłam ją przecież. Jest jednak częścią mnie. Niepodzielną, nieuniknioną. Nigdy nie ucieknę przed świadomością, że się poddałam...

Dociera do mnie, że Sanni też się poddała. Nie uległa Yourdonowi i Fioremu, lecz wzięła sobie do serca koniec wojny. Nie chce już walczyć; chce się ustatkować, wychowywać dzieci

i pracować jako małomiasteczkowa bibliotekarka. Janis to teraz prawdziwa Sanni, tak prawdziwa, jak tylko się da. Spiskowcy może i zinfiltrowali i zdeprawowali ideę szklanego domu, lecz on i tak działa na nas swoją psychologiczną alchemią. Może to właśnie miała na myśli. Nie jesteśmy już tymi osobami co kiedyś, choć przeszłość jest nie do zmazania. Próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądałam w oczach cywilów z siłowo opanowywanych przez nas habitatów, i mam w tym miejscu białą plamę. Wiem, że musiałam ich przerażać, ale w środku, za pancerzem, za lufami działek, to byłam ja, prawda? Tylko skąd oni mieli o tym wiedzieć? Zresztą, nieważne. Było, minęło. Muszę z tym żyć, tak jak musiałam to robić. Wówczas to była konieczność: jeśli nie chciałeś, żeby cenzurował ci pamięć zdziczały robak albo, co gorsza, sterujący nim oportuniści bez skrupułów, trzeba było walczyć. A kiedy już postanowi się walczyć, trzeba żyć z konsekwencjami. Taka jest różnica między nami a Yourdonem, Fiorem i Hantą. My pozwalamy sobie na wątpliwości, dajemy sobie spokój, tymczasem oni dalej walczą, żeby na nowo ściągnąć wojnę na swoich wrogów. Czyli na nas.

To nie są dobre myśli na teraz. Przerażające i niepotrzebne – ale nie dają mi spokoju, więc idę i próbuję je zwalczać, machając torebką i gwizdząc wesołą melodię. I usiłuję jednocześnie spojrzeć na siebie z zewnątrz. Oto idzie pogodna bibliotekarka, z wyglądu młoda kobieta w letniej sukience, z torebką w dłoni, pogwizduje sobie, wracając z pracy do domu. Ale odwróćmy ten obraz – teraz widzimy nękanego koszmarami byłego żołnierza, ściskającego torbę z pistoletem maszynowym, przekradającego się do kryjówki na ostatni odpoczynek przed...

No przestań wreszcie!

Tak lepiej.

Docieram do domu i chowam torbę w kuchni. W salonie gra telewizor, zrzucam więc buty i od razu tam idę.

– Sam?

Siedzi na sofie, jak zwykle, zwinięty w kłębek naprzeciwko migocącego ekranu. Trzyma metalowy pojemnik z piwem. Zerka na mnie, kiedy wchodzę.

– Sam.

Siadam obok na kanapie. Po chwili zauważam, że on w istocie nie ogląda telewizji. Wzrok ma utkwiony w patio na zewnątrz, za szklanymi drzwiami. Oddycha powoli, miarowo, pierś unosi mu się i opada rytmicznie.

– Sam.

Zerka na mnie, chwilę później unosi kąciki ust.

– Co, dużo miałaś pracy?

– Szłam na piechotę. – Podwijam nogi. Zapadają się w miękkich poduchach sofy. Przechyliłam się ku niemu, opuszczając mu głowę na ramię. – Chciałam poczuć, że...

– Jesteśmy razem.

– Tak, dokładnie tak. – Czuję jego puls, oddech ma głęboki, aż porusza korzeniami

mojego świata. – Brakowało mi ciebie.

– Mnie ciebie też. – Dłoń dotyka mojego policzka, unosi się, odgarnia mi włosy z czoła.

W takich chwilach boleję, że jestem niezrekonstruowanym człowiekiem – wysepką myślącej galarety zamkniętej w kościanej skorupie, oddaloną o nieskończone milisekundy od swoich ukochanych, zmuszoną do przepychania wszystkich znaczeń kanałem o niskiej przepustowości – mową. Wszyscy ludzie to takie wysepki, otoczone bezdennymi oceanami bezmyślnego mroku. Gdybym była choć w połowie taka jak kiedyś i miała ówczesne możliwości – i gdyby Sam, gdyby Kay też chciała – moglibyśmy się zmultipleksować i poznać się tysiąc razy głębiej, niż to jest możliwe w tym niewygodnym, szeregowym człowieczeństwie. Bolesna jest świadomość, co straciliśmy, co mogliśmy razem przeżyć – ale to tylko sprawia, że pragnę go jeszcze bardziej. Poruszam się nerwowo i obejmuję go w talii.

– Dopiero teraz to mówisz?

– Bo ja uciekam. – W końcu odwraca twarz i patrzy na mnie bokiem. – Przed samym sobą.

– Ja też. – Wyzbywając się wszelkiej ostrożności, dodaję: – Czy na tym polega twój problem? Że jesteś... w takim ciele?

– Jest za bardzo podobne. – Przełyka ślinę. – Do tego, co oni chcieli ze mnie zrobić.

Nie pytam, kim byli ci „oni”.

– Chcesz uciec? Wyjść z ustroju?

Długo milczy.

– Chyba nie – mówi w końcu. – Musiałbym wrócić do postaci, którą już nie chcę być, rozumiesz mnie? Reeve, Kay była przebraniem, taką maską. Kobieta-wydmuszką. Nieprawdziwą.

Tulę się do niego mocniej.

– Wiem, że chciałeś w nią wrosnąć.

– Tak? – Unosi brew.

– Posłuchaj, a jak myślisz, dlaczego ja tu jestem?

– To racja. – Robi smutną minę. – A chcesz stąd uciec?

Tak naprawdę nie mowa tutaj o zostaniu czy ucieczce, oboje to rozumiemy, naprawdę chodzi mu o...

– Myślałam, że tak – przyznaję, bawiąc się guzikami jego koszuli. – Potem doktor Hanta zrobiła ze mną porządek i zdałam sobie sprawę, że naprawdę chcę się gdzieś zaszyć i wygoić rany, gdzieś, gdzie będę mogła być sobą. Jakaś grupa ludzi. I spokój. – Wkładam mu rękę pod koszulę, jego oddech staje się odrobinę chrypliwy. Ściskam uda. – Kochanie... Niekoniecznie tak, jak to ona obmyśliła.

Gładzi mnie po włosach. A drugą ręką...

– Rób tak, jeszcze.

– Boję się, Reeve.

– To jest nas dwoje.

Później Sam mówi:

– Też chcę tego, o czym mówiłaś.

Tracę dech.

– To. Jest. Nas. Dwoje. Ooooch.

– Skarbie.

I tak trwa nasza bez słów rozmowa, w języku, którego nie zinterpretuje żadna podludzka sztuczna inteligencja – języku dotyku i pieśczoć, liczącym sobie tyle lat, co ludzki gatunek. Mówimy sobie proste rzeczy: „Nie bój się, kocham cię”. Mówimy to z pośpiechem i naciskiem, ciała wykrzykują nieme słowa zachęty. W tę ciemną noc, gdy nawzajem wyciągamy ku sobie ręce, mam odwagę przyznać, że może to wszystko jakoś się ułoży.

Nie jesteśmy skazani na porażkę.

Naprawdę?

* * *

Śniadanie spożywamy w milczeniu. Nad kawą i grzankami odchrząkuję i zaczynam starannie zaplanowaną przemowę:

– Sam, przed kościołem muszę zajrzeć do biblioteki. Zostawiłam tam rękawiczki.

– Poważnie? – Unosi wzrok. Zmarszczki niepokoju przecinają mu czoło.

Kiwam energicznie głową.

– Nie mogę iść bez nich do kościoła, to nie wypada. – Jeden z tych monitorowanych zwrotów. Brak rękawiczek nie jest jakimś naruszeniem zasad, ale stanowi dobry pretekst.

– No dobra, to chyba pojedę z tobą – mówi, z zapalem stojącego przed służą skazańca. – To zaraz trzeba będzie wyjść, prawda?

– Tak, już idę po torbę – dodaję.

– A ja włożę nową kamizelkę.

Unoszę brwi. Jego zmysł mody jest jeszcze bardziej wymuszony niż mój.

– Jest na górze – tłumaczy.

Przez chwilę obawiam się, że zaraz doda coś jeszcze, coś dekonspirującego, ale w samą porę udaje mu się to przełknąć. Żołądek kurczy mi się z nerwów.

– Uważaj na siebie, kochanie.

– Nic się nie ma prawa stać – odpowiada z wymęczoną ironią.

Wstaje, idzie schodami do naszej sypialni. (Naszej sypialni. Koniec z samotnymi nocami). Serce jakby zabiło mi dodatkowy raz. Czas posprzątać resztki organiczne, wstawić naczynia do zmywarki i włożyć buty.

Kiedy schodzi na dół, ma na sobie niedzielne ubranie – pod marynarką kamizelkę z wieloma kieszeniami, a w dłoni spakowaną wczoraj walizkę.

– No to ten, chodźmy – mówi, uśmiechając się do mnie słabo.

– Tak jest – mówię, zerkam na zegar i biorę swoją wielką torbę. – Jedziemy.

Do biblioteki docieramy koło dziesiątej, otwieram drzwi kluczem. Drzwi do piwnicy są już otwarte. Schodząc na dół, sięgam do torby, świadoma, że jeśli ktoś doniósł, wrogowie mogą już tam czekać. Na dole jednak zastaję tylko Janis.

– Cześć, Janis – mówię, lekko zdenerwowana.

– Cześć ci. – Opuszcza lufę. – Na wszelki wypadek.

– Ja tak samo. Sam? Chodź na dół. – Odwracam się od Janis. – Czekamy jeszcze na Grega, Martina i Liz.

– Tak jest. – Janis wskazuje kupkę szarawych kostek na jednym z krzeseł. – Sam? Chyba będzie lepiej, jeśli ty to poniesiesz.

– Jasne. – Sam podchodzi do niej i unosi jedną kostkę. Ścisną ją kontrolnie, potem węża. – Hm, pachnie sukcesem. A detonatory?

– Na kanapie. – Zauważam stosik zapasowych magazynków i biorę kilka, potem sprawdzam, czy są załadowane. – A gdzie mechanizmy zegarowe?

– Się robią. – Janis wskazuje asembler. – Musimy też zsynchronizować zegarki.

– Dobra.

Bez słuchawek i inteligentnych radionadajników niewiele by się nam udało, są one jednak ostatnie na liście, bo za bardzo rzucają się w oczy. Są bardziej podatne na sabotaż niż metalowe rury i chemiczne materiały wybuchowe. Szybciej niż tamte zabytki wywołają w bramce jakiś alarm. Jeśli radia nie zadziałają, plan B jest prymitywny – zsynchronizowane mechaniczne zegarki i umówiona pora, o której zaczynamy strzelać.

Sam upycha kostki heksogenu po kieszeniach kamizelki, która wydyma mu się w pasie, jakby przybrał nagle na wadze, a kiedy naciąga na nią marynarkę, nie dopina się. To, co robi, kojarzy mi się z jakimś znajomym z przeszłości, z czymś niepokojącym, ale za dobrze nie pamiętam. Kręcę głową, wychodzę na górę i czekam za kontuarem.

Parę minut później przyjeżdżają razem Martin i Liz. Wysyłam ich do piwnicy. Zaczynam się już denerwować, kiedy pojawia się Greg. Robi się mało czasu. Jest 10.42, zgromadzenie zacznie się za jakąś kilosekundę.

– Coś cię zatrzymało?

– Słabo się czuję – odpowiada Greg. Wygląda tak, jakby coś pił. – Nie mogłem zasnąć. Miejmy to już z głowy, co?

– Tak. – Kieruję go do piwnicy. – Tam są wszyscy.

Dziesięć minut do godziny zero. Drzwi się otwierają, wychodzi Janis.

– Dobra, ja jadę i zaczynam występ przed publiką – mówi. Błady uśmiech. – Powodzenia.

– Nawzajem. – Pochyliła się ku mnie, ścisną ją przez moment i już rusza, idzie pieszo z biblioteki do ratusza.

– A gdzie Sam? – pytam.

– Miał coś jeszcze do załatwienia – mówi Liz, trochę pogardliwie. – Nerwy.

Chwilę później Sam pojawia się na schodach.

– No chodź, chcesz przegapić rozpoczęcie?

Otwieram usta.

– To ruszamy?

Fragmenty mojej pamięci zbiegają się w jeden moment: Jest nas pięcioro, trzech mężczyzn i dwie kobiety. Idziemy Main Street do ratusza. Wszyscy w niedzielnych ubraniach, z drobnymi modyfikacjami – kamizelka Sama, moje buty, torba Martina. Dyskretne słuchaweczki szumią każdemu w lewym uchu, cieleciste mikrofony wiszą równolegle do konturu szczęki. Profeska.

– Wmieszamy się w tłum, potem, kiedy wszyscy pójną do auli, odbijemy w lewo do wyjścia ewakuacyjnego. Do zobaczenia po drugiej stronie.

Misja. Napięcie. Bijące serce, nerwy. Na palcach delikatny zapach oleju mineralnego. I typowa, zwiększona czujność.

Kohorty i parafie zwykłych obywateli – współwięźniów – zbierają się na schodach oraz w otwartej sali recepcyjnej największego gmachu na Main Street. Niektórych rozpoznaję, większość jest anonimowa.

Jen wyłania się z tłumy i z uśmiechem idzie wprost ku mnie. Cała lodowaciej w środku.

– Reeve! Wspaniale, prawda?

– Tak, prawda – odpowiadam, odrobinę zbyt chłodno, bo gapi się na mnie, mrużąc oczy.

– No to przepraszam – mówi i odwraca się na pięcie, jakby miała odejść, po czym nieruchomieje. – Myślałem, że będziesz się cieszyć.

– Bo się cieszę. – Unoszę brwi. – A ty?

– Ha! – Z pogardliwym grymasem odtacza się i przykleja Chrisowi do ramienia.

Zimny pot pływa mi tam i z powrotem po kręgosłupie – głównie z potwornej ulgi – i kieruję się do tabliczki „Wyjście ewakuacyjne”, która znajduje się dogodnie blisko toalet. Przystaję na sekundę, żeby się rozejrzeć i zerknąć na zegarek (trzy minuty do godziny zero), a potem nacisnąć dźwignię na drzwiach. Drzwi otwierają się ze zgrzytem, wchodzę na betonową klatkę schodową.

Klik. Rozglądam się. Liz opuszcza lufę. Jakaś wolna dziś jestem, myślę bezradnie. Wyciszam mikrofon.

– Dwie minuty – mówię, cofając się do rogu naprzeciwko wnęki, gdzie się schowała.

Kiwa głową. Sięgam do torby, wyciągam pistolet, utykam zapasowe magazynki po kieszeniach i rzucam torbę pod nogi. Klik. Tym razem to ja.

Minuta. Sam, Greg i Martin, ten ostatni jakby nieco przygnębiony.

– Za mną.

Parę tygodni temu, w kradzionym ciele Fiorego, zbadalam ten obszar – z niezwykłą ostrożnością, uważając, żeby Yourdon był wówczas zajęty gdzie indziej. Na parterze jest hall i wielka aula, oraz parę rzeczy opisanych na mapie jako „sale rozpraw”. Pierwsze piętro,

przez które przechodzimy bez zatrzymywania, jest zajęte w całości przez biura. Na drugim... no, tu zbyt długo nie przebywałam. Docieramy do drzwi, stajemy.

– Zero – mówię, śledząc sekundnik zegarka.

Sekundę później dźwięczy mi w uchu:

– Start! – To głos Janis.

Greg ekspresowo otwiera drzwi, Martin i Liz przechodzą w przysiadzie, krzyczą, że korytarz o gołej podłodze jest czysty. Prowadzę nas dalej, do kolejnych drzwi, Greg pcha drążek po naszej stronie. Dywan. Krótkie, wąskie przejście. Yourdon już na pewno wyszedł, prawda? Pędzę naprzód i ląduję w nudnym, niewyróżniającym się salonie, urządzonego w ciemnowiecznym stylu, nie licząc gładkiego, białego bąbla bramki. A w narożniku.

– Jesteśmy – mówię. – Rozdzielić się.

Nie jesteśmy fachowcami od wchodzenia do mieszkań. Gdyby tu była uzbrojona ochrona, niewątpliwie stanowilibyśmy łatwy łup. Ale apartament jest pusty. Trzy sypialnie, salon, gabinet – z biurkiem, starożytnym terminalem komputerowym i książkami – oraz kuchnia, łazienka i jeszcze jeden pokój, zastawiony pudłami. Pusty. Ani ludzi, ani anachronizmów w rodzaju bramki długodystansowej.

– Co teraz? – pyta Sam.

– Sprawdźmy z przodu.

Podchodzę do frontowych drzwi mieszkania, Greg przepycha się obok mnie i je otwiera. Wychodzi, ja idę za nim, żeby zobaczyć gdzie jesteśmy. Wtedy ziemia podskakuje i wali mnie w kolana we wstrząsie zbyt basowym, żeby nazwać go hukiem.

– Alarm kod jeden – mówi Janis w uchu, umówiony kod Grupy Zielonej.

To była bomba, myślę oszołomiona.

Za mną coś szczeka, potem rozlega się krzyk bólu. Okręcam się, i to mi ratuje życie, bo krótka seria z broni prześlizguje się obok i trafia w Liz, która podryguje, kiedy uderzają w nią pociski. Ja obracam się dalej, opadam na jedno kolano i strzelam serią, która kończy magazynek i niemal wykręca mi nadgarstki.

– ... – mówi do mnie Janis w dzwoniących uszach.

– Powtórz. – Gapię się na Grega. Na coś, co kiedyś nim było. Ktoś za mną wydaje potworne odgłosy. Chyba Liz. – Mamy czerwony alarm, dwóch rannych.

– Powiedziałam: alarm kod dwa – mówi Janis. – Mają worpalny...

Uszy wypełnia mi różowy szum, sygnał przerywa: inteligentne radia kontra heurystyczne zagłuszacze.

– Idziemy! – drę się do Sama, który nachyla się nad Liz. – Za mną.

Stoimy na platformie u szczytu schodów. Jeden bok budynku zajmuje mieszkanie Yourdona, natomiast po drugiej stronie... są drzwi. Pędzę do nich, przeladowując w biegu. Greg próbował mnie zabić, dociera do mnie. Co znaczy, że ich ostrzegł. Więc...

Zatrzymuję się po jednej stronie drzwi, gestem wołam Sama na drugą. Potem biorę się w

garść i wywalam w nie cały magazynek, na wysokości pasa.

Podczas gdy dzwoni mi w uszach i z trudem wtykam do pistoletu kolejny magazynek, Sam kopie drzwi i szybko strzela w głowę policyjnemu zombiakowi leżącemu pod ścianą. (Jeszcze się ruszał, a ręka pełzła mu do strzelby; dwa inne ciała obok ani drgną). Widząc, jak dobrze sobie radzi ze szturmem, przez moment czuję chłód – skądś to znam. Żadnego wahania. Liz za nami dalej jęczy, a Martin zda się na nic.

– Co to za miejsce? – pytam na głos.

– Jakieś biura. – Sam kopie drzwi i wchodzi przez nie w przysiadzie. – Nowoczesne.

Idę za nim. Kolejne drzwi są solidniejsze i wychodzą na przeszkloną galerię nad salą z biurem na otwartym planie, z korporacyjnym asemblerem po jednej stronie i szeregiem szklanych drzwi...

– To to, co myślę?

Bingo.

– Bramki – mówię. – Stacja rozgałęziająca. Jak tam zejdziemy...?

– Dzień dobry, Reeve – słyszę w słuchawce głos, od którego cierpną mi zęby. – To się nie ma szans udać.

Skąd Fiore wytrzasnął słuchawkę? Od Grega? Czy złapali kogoś z Grupy Zielonej?

Sam ma taką minę, jakby dostał obuchem. Szczęka dosłownie mu opadła. Zbyt późno uświadomiłam sobie, że jest na tej samej linii.

– Przegrałaś, Reeve – rzuca nonszalancko Fiore. W tle słyszę jakieś hałasy. – Wszystko wiemy o spisku. W sali z bramkami są strażnicy, a jeśli przejdziecie przez nich i dostaniecie się do kapsuły z bramką, zginiecie – tam jest włączona laserowa zaporą. Jestem bardzo rozczarowany tym, co robisz, ale możemy się jeszcze dogadać, jeśli odłożycie te pukawki i się poddadacie.

Przytykam palec do ust i czekam aż Sam kiwnie głową, że rozumie. Potem idę do drzwi, za którymi są schody na dół, do sali z bankiem bramek krótkodystansowych. Nie chcę pokazać Samowi, jak beznadziejnie się poczułam.

– Gównu wiesz, Fiore – mówię beztrąsko.

– A wiem. – Pobrzmiewa samozadowoleniem. – Pechowa śmierć Grega i cała konspira jest bezcelowa. Po prostu przegraliście. Nie dacie rady...

Wyrywam słuchawkę z ucha i odrzucam ją, zamaszycie gestykulując, żeby Sam zrobił to samo. Wyciąga ją z ucha i wytrzeszcza oczy. Gdy już ma ją rzucić, rozlega się podwójny huk. Zgina się w pół, rzadka czerwona mgiełka tryska mu z palca wskazującego i kciuka lewej dłoni.

– Sam! – wrzeszczę. Ścisną ramię dłoń, dysząc. – Sam! Mamy tylko kilka sekund! Fiore nie może nas zatrzymać, inaczej już by tu był! Sanni go blokuje! Musimy wysadzić bramkę, zanim się uwolni! Dawaj kamizelkę!

– Nie mam wyboru... – Robi chrapliwy wdech i kręci głową. – Reeve.

Rzucam broń pod nogi i biorę go za ramiona.

– Co, kochanie?

Straszna jest ta chwila czułości, widzę bowiem ból w jego oczach.

– Przepraszam – mówi łamiącym się głosem. – Nie potrafiłem być taki, jak chciałaś.

– Co...

Jego zdrowa pięść, ciągle zaciśnięta na kolbie karabinka, wali mnie w potylicę i wysyła prosto do ciemnej jamy, z której wydobywam się dopiero, kiedy jest już o wiele za późno.

Epilog

W skrócie: wygraliśmy.

* * *

Kiedy oglądasz nagranie, na którym człowiek koziółkuje w przepaść w niekontrolowanym upadku ku brutalnej ziemi, tak daleko w dole, na wszystko patrzysz całkiem inaczej, jeśli to nie jest twoje ciało i nie ma drugiej szansy.

Przez całe lata, odkąd Sanni, ja i reszta naszego zaimprovizowanego ruchu oporu zawaliliśmy wyjście i obaliliśmy kieszonkową dyktaturkę Yourdona, wiele razy oglądałam nagranie śmierci Sama. Jak mnie ogłuszył, potem delikatnie położył na podłodze, sapiąc z wysiłku, ułożył w pozycji bocznej, żebym nie zadławiła się wymiocinami. Potem z bólem się wyprostował, odłożył broń. Jak ruszył wzdłuż szeregu drzwi do bramek, szukając tej, która wychodzi na krótki metalowy korytarz z poręczą i pierścieniem uchwytów w połowie. Jak przystanął, wrócił i przesunął mnie, żebym nie leżała na wprost drzwi. I jak tam wszedł.

Kim trzeba być, żeby wejść w korytarz, wiedząc, że według wroga jest w nim laserowa zaporą? I jakby tego było mało, mieć przy tym na sobie kamizelkę z dziesięcioma kilogramami plastiku upchanego po kieszeniach?

Sam dociera do połowy korytarza, następuje rozbłysk, potem drzwi wydymają się i czernieją, kiedy bramka T wyłącza się w trybie awaryjnym i wyrzuca koniec swego tunelu czasoprzestrzennego przez bok kapsuły. Nie wygląda to jakoś spektakularnie.

I tak docieramy na dno przepaści.

Gdy byłam nieprzytomna, Janis i jej załoga zrobili to, co do nich należało. Ona chyba cały czas spodziewała się zdrady, bo przygotowała na własną rękę parę niespodzianek. Yourdon w auli przeciął ją na pół worpalnym mieczem: mogę sobie tylko wyobrazić, jak był zaskoczony, kiedy z wyjścia ewakuacyjnego wypadła kolejna Janis i wywalila mu dziurę w piersi. Ja powinnam się była domyślić, że przygotowuje jakieś numery – jej wymówka, że zrobienie dziesięciu kilo materiału wybuchowego zajmuje całą noc, była aż nadto przejrzysta – ale z perspektywy czasu widzę, że wtedy już nikomu nie ufała. Nawet mnie.

Kiedy byłam nieprzytomna, Fiore – zdesperowany, zamknięty przez pluton

krwiożerczych Sanni na pobliskim komisariacie policji – użył netlinka i wszedł do naszej sieci łączności, która, jak podejrzewaliśmy, z natury nie była bezpieczna. Lecz Sanni cały czas wyprzedzała go o krok. Greg powiedział mu, co się będzie działo. Fiore pomyślał, że wystarczy laserowa zaporą i paru dodatkowych strażników. Ci goście od psychowojny po prostu nie umieją myśleć jak czołg albo bojowy kot. Dwie moje kopie – choć potwornie wkurzone na Sanni, że kazała im mieszkać na strychu biblioteki i nie widywać się z Samem – zdjęły go z granatnika, a trzy inne plutony rozproszyły się i przeczesaly pozostałe kościoły w poszukiwaniu ukrywających się niedobitków. Tak wytłumaczyła to później Janis:

– Kiedy jedynym żołnierzem, na którym możesz polegać, jest Reeve, to robisz jej jak najwięcej.

Właściwie nie mam jej tego za złe, choć dwa egzemplarze mnie zginęły.

Ponieważ, kiedy pył już osiadł na kulących się kohortach w auli, podczas gdy inne nasze wcielenia uganiały się po sektorze administracyjnym i szpitalu, gorączkowo szukając asemblerów i kasując im bufory szablonów, zanim wylezie z nich kolejny Yourdon albo Fiore, to Janis weszła na mównicę, oddała strzał w sufit i poprosiła o ciszę.

– Przyjaciele – powiedziała, z delikatnym drżeniem w głosie. – Przyjaciele. Eksperyment zakończony. Więzienie zostaje zamknięte.

* * *

To wszystko stało się wiele lat temu. Rzeka historii na nikogo nie czeka. Żyjemy wśród skutków wielkich wydarzeń, przystosowując się do ich kształtu. Nawet ci z nas, którzy przyłożyli do tych wydarzeń rękę.

Najdziwniejsze jest chyba to, że po obaleniu dyktatury punktacji tak niewiele się zmieniło. Dalej zwołujemy regularne zgromadzenia mieszkańców. Nadal żyjemy w małych rodzinnych grupach, jak ortohumanoidzi. Wielu z nas pozostało nawet przy przydzielonych przez Fiorego i Yourdona małżonkach. Ubieramy się jak w ciemnych wiekach, pracujemy jak przedtem, nawet dzieci rodzimy w prymitywny sposób. Czasami.

Ale...

Na naszych zgromadzeniach głosujemy. Nikt nie nosi w głowie punktacji opartej na ukrytej tabeli, którą jakiś zadowolony z siebie badacz może tak kręcić, żeby parafianie skakali mu jak zechce. Nie służymy nikomu za marionetki, nawet naszemu wybranemu w wyborach burmistrzowi. Może i żyjemy w rodzinach jak ortosi, asembler mamy jednak w każdym domu. Przeważnie po prostu nie chcemy być neomorfami. Wielu z nas podczas wojny zbyt długo było żywą bronią. Mamy – i z zapalem wykorzystujemy – nowoczesną technikę medyczną, z bramkami A na każdym kroku. Trudniej wyjaśnić, że pozostaliśmy przy kostiumach i rekwizytach, ale składam to na karb bezwładności. Przedwczoraj widziałam w centrum handlowym centaury-hermafrodytę w kolczudze i bez gaci, i wiecie co? Nikt nawet nie mrugnął okiem. Tolerancyjne z nas teraz towarzystwo. Nie mamy innego wyjścia – nie

mamy dokąd pójść, dopóki nie dotrzemy tam, gdzie wiezie nas *Żniwiarz nauk*.

Jeśli o mnie chodzi, nie muszę już walczyć. Spełniły się wszystkie życzenia tego mojego ja, które się poddało, ale bez żadnych związanych z tym ofiar. A poszczyliło mi się tak bardzo, że łażą się w oku kręci na samą myśl.

Mam córkę. Ma na imię Andy, zdrobnienie od Andromedy. Przysięga, że kiedy będzie duża, zostanie chłopcem, choć do okresu dojrzewania brakuje jej jeszcze sześciu lat, a kiedy jej ciało zacznie się zmieniać, może zmieni zdanie. Liczy się to, że żyjemy w społeczeństwie, w którym może zostać kim zechce. Andy wygląda jak losowa fenotypowa krzyżówka Reeve i Sama, a czasami, gdy przy odpowiednim świetle mignie mi jej profil, tracę dech, widząc jego, jak skacze w przepaść. Czy wiedział, że jestem w ciąży, kiedy starannie zatroszczył się, żeby nic mi się nie stało, a potem skoczył? To chyba niemożliwe, choć czasami zastanawiam się, czy czegoś nie podejrzewał.

Andromeda urodziła się w szpitalu, odebrana – tu niespodzianka – przez przeniłą doktor Hantę. Której nie trzeba już przez cały dzień celować w głowę z pistoletu, bo Sanni dała jej wybór: albo przeprogramuje się tak, żeby pozwalać ludziom samodzielnie decydować, co jest dla nich dobre, albo dołączy do Yourdona i Fiorego. Po urodzeniu dziecka wróciłem do postaci Robina – na tyle bliskiej Robina, na ile się to dało osiągnąć naszymi medycznymi programami. Wszyscy ojcowie powinni choć raz w życiu przejść poród siłami natury (to znaczy jako dorośli), ja jednak potrzebowałem znów zostać Robinem – jedyną wersją mnie, która nie ma na rękach krwi niewinnych ludzi.

Teraz jest już późno, Andy śpi na górze. Ja zaś spisuję tę relację, odręcznie na papierze, żeby samemu sobie utrwalić w pamięci te zdarzenia, jak w liście, który ktoś napisał do mnie tak dawno temu, że ledwo pamiętam, jak to było, kiedy nim byłem. Nawet bez operacji pamięci jesteśmy kruchymi istotami, światełkami w ciemności, pozostawiającymi za sobą blednący ślad, gdy zapominamy, kim byliśmy. Właściwie, to za bardzo nie chcę pamiętać, kim byłem przed wojną. Dobrze mi tutaj i spodziewam się żyć tu przez długi czas, dłuższy niż całe moje dotychczasowe, burzliwe życie. Jeśli z jego pierwszej połowy zapamiętam tylko wielką stertę papieru i nękaną wątpliwościami miłość Sama, wystarczy. Jest jednak różnica między niepamiętaniem a umyślnym zapomnieniem. Stąd ten stos kartek.

Ostatnia myśl: naprzeciwko drzemie na kanapie moja żona. Chcę ją zbudzić, bo mam do niej pytanie.

– Jak ci się zdaje, co Sam myślał, kiedy wchodził w ten tunel?

O. Tak, to mi się przyda. Ziewa i odpowiada:

– Skąd mam wiedzieć, mnie tam nie było.

– Ale może się domyślasz?

– Powiedziałabym, że liczył na drugą szansę.

– Tylko tyle?

Wstaje.

– Wiesz, Robin, prawda bywa nudna. Niech to się znajdzie w twoich dziennikach.

– Dobra. Jeszcze jakieś uwagi na koniec? Bo za minutę idę do łóżka.

– Niech pomyślę... – Kay wzrusza ramionami w niezwykle płynnym geście angażującym cztery stawy barkowe. – Nie. Nie siedź długo. – Uśmiecha się leniwie i rusza do schodów, kołysząc biodrami w sposób sugerujący, że ma na myśli coś innego niż tylko sen.

Odkąd przestała być Samem, a uczyniła to natychmiast po panicznym, pośpiesznym backupie w piwnicy biblioteki, jest o wiele szczęśliwsza. Ja tak samo, zapewniam was.

Dobranoc.